

# Czysta robota

Chandler Raymond



calibre 0.9.27

RAYMOND CHANDLER

CZYSTA ROBOTA

PRZEŁOŻYŁ ROBERT GINALSKI

TYTUŁY ORYGINAŁÓW ANGIELSKICH: PEARLS ARE A NUISANCE, NEVADA GAS, PICKUP ON NOON STREET, SMARTALECK KILL, SPANISH BLOOD, THE KING IN YELLOW

PERŁY TO TYLKO KŁOPOT

1.

Nie da się ukryć, że od samego rana nie robiłem nic, tylko kontemplowałem czystą kartkę wkręconą w maszynę do pisania, zbierając się do spłodzenia listu. Nie da się także ukryć, że z rana zwykle nie mam nic szczególnego do roboty. Ale to jeszcze nie powód, żebym miał zawracać sobie głowę szukaniem naszyjnika z pereł staruszki Penruddock. Tak się składa, że nie jestem policjantem.

Jednakże zadzwoniła do mnie Ellen Macintosh, co naturalnie zmieniało postać rzeczy.

Jak się masz, kochanie? spytała. Zajęty?

I tak, i nie odpowiedziałem sztywno. Właciwie nie. Mam się doskonale. O co chodzi tym razem?

Ty mnie chyba nie kochasz, Walterze. A w ogóle to powiniene znaleźć sobie co do roboty. Masz stanowczo za dużo pieniędzy. Kto ukradł perły pani Penruddock i chcę, żeby je odzyskał.

Sędzi pani zapewne, że rozmawia z posterunkiem policji odparłem zimno. Tu rezydencja Waltera Gage. Pan Gage przy aparacie.

Wobec tego niech pan przekaże panu Gage od panny Ellen Macintosh, że jeżeli nie zobaczą go tu za pół godziny, to otrzyma przesyłkę poleconą zawierającą piercionek zaręczynowy z brylantem, sztuk jeden.

I dużo mi z niego przyszło burknąłem. Ta stara krowa będzie żyła jeszcze przez następne pięćdziesiąt lat.

Jednakże Ellen odwiesiła już słuchawkę, wobec czego nasadziłem kapelusz, wyszedłem i odjechałem Packardem. Jeżeli obchodzą takie rzeczy, był piękny poranek pod koniec kwietnia. Pani Penruddock mieszkała przy szerokiej, spokojnej ulicy w Carondelet Park. Jej dom wyglądał zapewne dokładnie tak samo, jak przed pięćdziesięciu laty, lecz żadna to dla mnie pociecha wobec perspektywy, że Ellen Macintosh może spędzić w nim najbliższe pół wieku, chyba że staruszka Penruddock umrze wcześniej i nie będzie już potrzebowała pielęgniarki. Pan Penruddock opuścił ziemski padół przed kilku laty, zostawiając w miejsce testamentu gruntownie powikłane sprawy

majątkowe i listę emerytów długi jak kolejka po darmowy sup.

Przycisnęłam dzwonek u frontowych drzwi i po dłuższej chwili otworzyła mi drobna starowina w fartusku pokojówki, o siwych włosach zebranych w ciasny kok na czubku głowy. Obrzuciła mnie takim spojrzeniem, jak gdyby widziała mnie po raz pierwszy w życiu, a i teraz nie miała ochoty oglądać.

Pan Walter Gage do panny Ellen Macintosh powiedziałem.

Pocięgnęła nosem, odwróciła się bez słowa i zapuciliśmy się w zatęchłe zakamarki domostwa, wychodząc ostatecznie na przeszklony werandę pełny trzcinowych mebli i zapachów rodem z egipskich grobowców. Pocięgnęwszy nosem raz jeszcze, zostawiła mnie tam i zniknęła.

Wkrótce drzwi otworzyły się ponownie i weszła Ellen Macintosh. Być może nie podobają ci się wysokie dziewczyny o włosach koloru miodu i cerze jak pierwsza brzoskwinia, którą sprzedawca ukradkiem odkłada dla siebie. Jeśli tak, to żal mi was.

Kochanie, a jednak przyjechała! zawołała. To bardzo ładnie z twojej strony. Usiądź, zaraz ci wszystko opowiem.

Usiedlimy.

Walterze, pani Penruddock skradziono naszójnik z pereł.

Mówiła mi o tym przez telefon. Temperaturę mam wciąż normalną.

Anormalną, przewlekłe obniżoną, jeśli wybaczysz mi tę profesjonalną uwagę zawyrokowała. Chodzi o sznur czterdziestu dziewięciu różowych pereł, dobranych odcieniem, które pani Penruddock dostała w prezencie od męża na złote gody. Ostatnio rzadko kiedy je nosiła, może jedynie podczas wiast Bożego Narodzenia albo obiadów ze starymi przyjaciółkami, jeżeli pozwalał jej na to stan zdrowia. No i co roku w Dniu Dziękczynienia wydaje obiad dla wszystkich emerytów, przyjaciół i byłych pracowników pana Penruddocka, których zostawił jej na głowie, i wówczas także je zakładała.

Gramatyka ci się cokolwiek poplątała, ale ogólna idea jest przejrzysta rzekłem. Mów dalej.

Otoż, Walterze cięgnęła Ellen, obrzucając mnie spojrzeniem określanym niekiedy jako figlarne pereł skradziono. Tak, wiem, że powtarzam ci to już trzeci raz, ale to dziwnie tajemnicza sprawa. Przechowywano je w skórzanym futerale w starym sejfie, który prawie zawsze był otwarty, ale nawet gdyby był zamknięty, moim zdaniem silny mężczyzna potrafiłby go otworzyć gołymi rękami. Dzi rano musiałam pójść po gazetę i zajrzałam do pereł, ot tak, żeby się z nimi przywitać

Mam nadzieję, że nie kręcisz się koło pani Penruddock licząc na to, że ci zostawi naszójnik wtrściłem oschle. Pereł są dobre dla starszek i tłustych blondynek, ale dla wysokich, smukłych

Oj, bądźże cicho, kochanie przerwała mi Ellen. Naturalnie, że nie liczyłam na te pereł ponieważ były sztuczne.

Głono przełknęłam linę i wlepiłam w nią wzrok.

Tam, do kata! powiedziałem umiechając się łajdacko. Słyszałem, że stary Penruddock potrafił czasami wyciąć lepszy numer, ale sprezentować żonie lipne perły na złote gody to już szczyt wszystkiego.

Przestań się wreszcie wygłupiać, Walterze! Wtedy były jak najbardziej prawdziwe. Rzecz w tym, że pani Penruddock sprzedała je i zleciła wykonanie imitacji. Zajął się tym jeden z jej starych przyjaciół, pan Lansing Gallemore z Firmy Jubilerskiej Gallemore, oczywiście dyskretnie, ponieważ zależało jej, żeby się nikt nie dowiedział. Włanie dlatego nie wezwaliśmy policji. Odzyskasz dla niej te perły, Walterze, powiedz?

Jak? I dlaczego je sprzedała?

Dlatego, że pan Penruddock zmarł nagle, nie zapisawszy ani grosza tym wszystkim ludziom, których utrzymywał. Póniej nastąpił kryzys i z pieniędzy prawie nic nie zostało. Wystarcza ich za ledwie na prowadzenie domu i opłacanie służby, która pracuje tu od tylu lat, że pani Penruddock wolałaby przymierać głodem, niż odprawić choćby jedną osobę.

A, to co innego rzekłem. Chylę przed nią czoło. Ale jak, u diaska, mam je odzyskać i po co skoro są sztuczne?

No cóż, te perły to znaczy ich imitacja kosztowały dwieście dolarów. Wykonano je na specjalne zamówienie w Czechach, co trwało kilka miesięcy, a obecnie sprawy tak się mają, że chyba już nigdy nie będzie jej stać na drugą tak wietną kopię. Poza tym przeraża ją myśl, że kto może się dowiedzieć o imitacji albo że złodziej dowiedziawszy się, że są fałszywe, zacznie ją szantażować. Widzisz, kochanie, ja wiem, kto ukradł ten naszyjnik.

Hę? wyrwało mi się. Słowa tego używam nadzwyczaj rzadko, nie zaliczam go bowiem do słownictwa dżentelmena.

Kierowca, który pracował u nas przez kilka miesięcy, Walterze odrażający, wielki dręgal. Nazywa się Henry Eichelberger. Przedwczoraj porzucił nagle pracę, bez najmniejszego powodu. Pani Penruddock nikt nigdy nie porzuca. Jej poprzedni kierowca był już bardzo leciwy i zmarł. Ale Henry Eichelberger odszedł bez słowa i jestem pewna, że to on ukradł perły. Kiedy próbował mnie pocałować, Walterze.

Czy mnie uszy myśl? powiedziałem całkiem innym tonem. Próbował cię pocałować, tak? Nie wiesz przypadkiem, gdzie jest ta bryła mięsa, kochanie? Mało prawdopodobne, żeby sterczał na rogu, czekając, aż mu rozkwaszę nos.

Ellen zerknęła na mnie, opuszczając długie jedwabiste rzęsy, ja za w takich wypadkach mięknię jak przeżuta guma.

On nie uciekł. Na pewno wiedział, że perły są sztuczne i że może bezpiecznie szantażować panią Penruddock. Zadzwoiłam do agencji, która go tu skierowała, i okazało się, że wrócił tam i znowu

wpisał się na listę oczekujących na posadę. Ale owiadczyli mi, że podanie jego adresu byłoby sprzeczne z zasadami firmy.

A dlaczego nie miałby ukraść tych pereł kto inny? Na przykład włamywacz?

Nikt inny nie wchodzi w rachubę. Służba jest poza wszelkim podejrzeniem, dom co wieczór zamykamy szczelnie jak lodówkę i nie było żadnych ladów włamania. No i Henry Eichelberger wiedział, gdzie leżą perły, bo widział, jak chowałam je ostatnim razem, kiedy pani Penruddock miała je na sobie to znaczy wtedy, gdy zaprosiła dwie serdeczne przyjaciółki na obiad, w rocznicę śmierci męża.

Ubaw był pewnie po pachy mruknęłam. Zgoda, pojedę do tej agencji i zmuszę ich, żeby mi dali jego adres. Gdzie to jest?

Agencja Porednictwa Pracy Ady Twomey, mieci się przy Drugiej Wschodniej, w bardzo nieprzyjemnym sąsiedztwie.

To jeszcze nic w porównaniu z tym, jak nieprzyjemne będzie moje sąsiedztwo dla Henryego Eichelbergera zapowiedziałam. A więc próbował cię pocałować, tak?

Perły, Walterze przypomniała mi łagodnie Ellen. One są najważniejsze. Oby tylko nie odkrył, że są sztuczne, i nie wyrzucił ich do oceanu.

W razie czego zmuszę go, żeby zanurkował po nie osobiście.

On ma metr dziewięćdziesiąt wzrostu i jest bardzo wielki i silny, Walterze powiedziała niemiła Ellen. Ale oczywiście nie tak przystojny jak ty.

Akurat moja waga stwierdziłam. To będzie sama przyjemność. Do zobaczenia, kochanie.

Przytrzymała mnie za rękaw.

Jeszcze jedno, Walterze. Nie mam nic przeciwko małej bójce, bo to rzecz męska. Ale nie wolno ci wywołać awantury, która sprowadziłaby policję, pamiętaj. Poza tym, mimo że jesteś duży i silny, a w szkole siałe postrach na boisku, masz jedną słabość. Obiecuj mi, że nie wemiesz do ust ani kropli whisky.

Ten Eichelberger to jedyny trunek, jakiego mi trzeba.

2.

Agencja Porednictwa Pracy Ady Twomey przy ulicy Drugiej Wschodniej reprezentowała sobą wszystko to, czego można się było spodziewać po jej nazwie i lokalizacji. Woń przedpokoju, w którym przez pewien czas zmuszony byłem czekać, nie należała do przyjemnych. Agencję kierowała kobieta w rednim wieku, o zaciętej twarzy, która powiadomiła mnie, że Henry Eichelberger figuruje w ich rejestrze jako reflektant na posadę kierowcy i że może umówić go ze mną na telefon albo

wezwać tu, do biura, na rozmowę. Kiedy jednak położyłem przed nią na biurku banknot dziesięciodolarowy, zaznaczając, że jest to tylko dowód czystych intencji, bez uszczerbku dla wszelkich prowizji należnych ewentualnie jej agencji, ustąpiła i dała mi jego adres w zachodniej części miasta, przy bulwarze Santa Monica, w pobliżu dzielnicy zwanej Sherman.

Pojechałem tam bez zwłoki, w obawie, że Henry Eichelberger może zadzwonić do agencji i dowiedzieć się o mojej wizycie. Okazało się, że pod wskazanym adresem kryje się obskurny hotel, dogodnie usytuowany w pobliżu trasy autobusów dalekobieżnych, mający wspólne wejście z chińską pralnią. Mieścił się na piętrze, schody za tu i ówdzie pokrywały strzępy sparciałej gumowej wykładziny, do której przyrubowano nieregularne kawałki zaniedbanego mosiądzu. Zapachy z chińskiej pralni docierały mniej więcej do połowy schodów, gdzie zastępował je odór nafty i zaduch pomieszczeń sypialnych. Wszędzie leżały niedopałki i przesiąknięte tłuszczem papierowe torby. U szczytu schodów na drewnianej półce znajdował się rejestr gości. Ostatni wpis, dokonany ołówkiem, nosił datę sprzed trzech tygodni, a nabazgrała go wyjątkowo drżąca ręka. Wywnioskowałem z tego, że kierownictwo hotelu nie odznacza się przesadną skrupulatnością.

Obok księgi znajdował się dzwonek i wywieszka, informująca: Dyrektor. Zadzwoniłem i czekałem. Wkrótce w głębi korytarza uchyliły się drzwi i ktoś szurając nogami bez popiechu ruszył w moją stronę. Ukazał się mężczyzna w rozczłapanych pantoflach i spodniach nieokreślonego koloru, których dwa górne guziki były rozpięte, aby zostawić więcej swobody peryferiom obszernego brzucha. Nosił on ponadto czerwone szelki, koszulkę miał pociemniałą pod pachami, i nie tylko, a twarz gwałtownie domagała się mydła i brzytwy.

Mamy pełno, kolego odezwał się i prychnął drwiśco.

Nie szukam pokoju odparłem. Szukam niejakiego Eichelbergera, który, jak mnie powiadomiono, mieszka tutaj, choć widzę, że nie wpisał się do pańskiego rejestru. To za, jak panu oczywiście wiadomo, jest sprzeczne z prawem.

Mśdrała. Grubas znowu prychnął. W końcu korytarza, kolego. Dwieście osiemnacie. Skinął kciukiem koloru i wielkości przypalonego ziemniaka.

Zechce pan z łaski swojej pokazać mi drogę poprosiłem.

Łaskawca, jak pragnę zdrowia! parsknął i zaczął potrzęsać brzuchem. Jego małe oczka zniknęły w zwałach żółtego tłuszczu. Sie robi, kolego. Chod pan.

Weszliśmy w mroczną otchłań korytarza na tyłach budynku i zatrzymaliśmy się przed drewnianymi drzwiami na samym końcu. Okienko nad nimi było zamknięte. Grubas zagrzmocił w drzwi tłustą ręką. Bez skutku.

Wyszedł owiadczył.

Zechce pan z łaski swojej otworzyć drzwi powiedziałem. Chciałbym wejść i zaczekać na Eichelbergera.



Ucho od ledzia! warknął grubas gronie. Zdaje ci się, że co ty za jeden, pętaku?

Rozgniewałem się. Był wprawdzie słusznego wzrostu, mierzył dobry metr osiemdziesiąt, ale za bardzo przepełniały go wspomnienia piwa. Rozejrzałem się po ciemnym korytarzu. Wyglądało na to, że cały przybytek jest kompletnie wyludniony.

Zaprawiłem grubasa w kałdun.

Siadł na podłodze, czknął, a jego prawe kolano gwałtownie nawiązało kontakt ze szczęką. Zakaszłał i z oczu trysnęły mu łzy.

Jezusie, Maryjo, kolego! zaskomlał. Masz nade mną dwadzieścia lat przewagi. Tak się nie godzi.

Otwórz drzwi poleciałem. Nie mam czasu na dyskusje.

Dolara! zakwilił, wycierając oczy koszulą. Dwa dolce i nie dam cynku.

Wyciągnąłem z kieszeni dwa dolary i pomogłem mu dwignąć się na nogi. Złożył banknoty i wyszedł zwykły klucz uniwersalny, jaki mógłbym kupić za pięć centów.

Wiesz, jak bić, bracie powiedział z uznaniem. Gdzieże się tego nauczył? Większość dużych facetów ma mnie do niczego.

Otworzył drzwi.

Gdyby usłyszał później jakie hałasy, nie wtrącaj się przykazałem. Za ewentualne szkody otrzymasz sowitą zapłatę.

Skłonił głowę, a ja wszedłem do pokoju. Zamknął za mną drzwi i jego kroki oddaliły się. Zapadła cisza.

Pokoik był mały, urządzony skromnie i bez gustu. Nad ciemną komodą wisiało małe lustro, a ponadto stało tam zwykłe drewniane krzesło, drewniany bujak i jednoosobowe łóżko z odpryskującą farbą, przykryte wielokrotnie cerowaną bawełnianą narzutą. Zasłony w pojedynczym oknie były upstrzone przez muchy, a żaluzjom brakowało dolnej listewki. W rogu znajdowała się umywalka, obok której wisiały dwa cienkie jak papier ręczniki. Łazienki, ma się rozumieć, nie było, podobnie jak i szafy, której funkcję pełnił zwisający z półki strzęp ciemnego wzorzystego materiału. Znalazłem za nim szary garnitur największego z dostępnych na rynku rozmiarów, czyli w sam raz na mnie, gdyby nie to, że nie mam w zwyczaju nosić gotowych ubrań. Na podłodze ujrzałem parę czarnych butów z juchtowej skóry, numer co najmniej dwanacie. Stała tam również tania walizka z fibry, którą rzecz jasna przeszukałem, bo nie była zamknięta.

Przejrzałem też zawartość komody i ze zdziwieniem stwierdziłem, że panuje w niej ład, czystość i porządek. Ale niewiele tam tego było. Przede wszystkim za nie było pereł. Przeszukałem również wszystkie mniej lub bardziej podejrzane zakamarki pokoju, lecz nie znalazłem nic ciekawego.

Przysiadłem na skraju łóżka i czekając zapaliłem papierosa. Teraz już było dla mnie jasne, że Henry

Eichelberger jest albo niewiarygodnie głupi, albo całkiem niewinny. Jego pokój, a także wyrany ład, jaki za sobą zostawił, nie wskazywały na człowieka, dla którego kradzieże naszyjników z pereł to chleb powszedni.

Wypaliłem cztery papierosy, czyli więcej niż zwykle w ciągu całego dnia, aż wreszcie usłyszałem zbliżające się kroki. Były lekkie i szybkie, ale nie ukradkowe. Kto wsunął klucz w zamek, przekręcił i drzwi otworzyły się niedbale. Kto stanął w progu i spojrzał na mnie.

Mam metr dziewięćdziesiąt wzrostu i ważę prawie sto kilo. Ten nieznajomy był wysoki, ale na oko lżejszy. Nosił niebieski garnitur z popeliny, z tych, które z braku lepszego słowa określa się mianem gustowny. Miał gęste, sztywne jak drut blond włosy, kark niczym pruski kapral z karykatury, nad podziw szerokie bary i wielkie, silne dłonie, a do kompletu twarz, która swego czasu nie raz zebrała cięgi. Jego małe zielonkawe oczka błysnęły ku mnie z jak mi się wówczas zdawało zjadliwym humorem. Od razu stwierdziłem, że z tym człowiekiem nie ma żartów, ale wcale się go nie bałem. Dorównywałem mu wzrostem i siłą oraz co do tego nie miałem cienia wątpliwości przewyższałem go inteligencją.

Spokojnie wstałem z łóżka i odezwałem się:

Szukam niejakiego Eichelbergera.

Jake tu wszedł, kole? Jego głos brzmiał wesoło i choć tubalny, miło wpadał w ucho.

Wyjaniecie tej kwestii może poczekać odparłem sztywno. Szukam niejakiego Eichelbergera. Czy to pan?

Ha! rzucił tamten. Pajac. Komediant. Zaczekaj, aż popuszczę pasa. Zrobił dwa kroki w głębi pokoju, a ja tyleż samo w jego stronę.

Nazywam się Walter Gage powiedziałem. Czy Eichelberger to pan?

Dasz miedziaka, to ci powiem.

Puciłem to mimo uszu.

Jestem narzeczonym panny Ellen Macintosh poinformowałem go zimno. O ile mi wiadomo, próbował już pan pocałować.

Zrobił jeszcze jeden krok w moim kierunku, a ja jeszcze jeden ku niemu.

Co znaczy próbowałem? parsknął.

Wyprowadziłem chytrze prawy sierpowy, który wylądował precyzyjnie na jego podbródku. Wydawało mi się, że to całkiem solidny cios, lecz Eichelberger nawet nie drgnął. Następnie przyłożyłem mu silnie dwa razy lewą ręką w kark i zdzieliłem go kolejnym prawym sierpowym dokładnie w bok szerokiego nosa. Prychnął i wyrzucił mnie w splot słoneczny.



Zgišłem się wpół, oburšcz schwyciłem pokój i zakręciłem nim. A gdy już pięknie wirował, jeszcze raz zakręciłem nim zamaszycie i uderzyłem się w tył głowy podłogš. To sprawiło, że na chwilę straciłem równowagę, kiedy za rozmylałem nad tym, jak by jš odzyskać, mokry ręcznik zaczął mnie klepać po twarzy. Otworzyłem oczy. Twarz Henryego Eichelbergera, przysunięta do mojej, wyrażała niejakię zatroskanie.

Kole, twój brzuch jest słaby jak herbata u Chińczyka powiedział jego głos.

Brandy! wychrypiałem. Co się stało?

Potknšłe się o dziurę w dywanie, kole. Naprawdę trzeba ci trunku?

Brandy! wychrypiałem ponownie i zamknšłem oczy.

Mam nadzieję, że nie popłynę znów w kurs rzekł jego głos.

Drzwi otworzyły się i zamknęły. Leżałem bez ruchu, usiłujšc powstrzymać mdłoci. Czas mijał powoli, za długim, szarym welonem. Wreszcie drzwi raz jeszcze otworzyły się i zamknęły, a po chwili co twardego przywarło do moich ust. Rozchyliłem wargi i do gardła spłynšł mi trunek. Zaniósłem się kaszlem, ale palšcy płyn zaczął kršżyć mi w żyłach, natychmiast stawiajšc mnie na nogi. Usiadłem.

Dziękuję, Henry powiedziałem. Czy mogę się tak do ciebie zwracać?

Bez podatku, kole.

Dwignšłem się i stanšłem przed nim. Przyglšdał mi się z zaciekawieniem.

Wyglšdasz w porzšdku orzekł. Czemu nie mówił, że chory?

A niech cię diabli, Eichelberger! krzyknšłem i z całej siły zaprawiłem go z boku w szczękę. Potrzšsnšł głowš, a w oczach błysnęło mu co na kształt gniewu. Nim skończył potrzšsać głowš, ulokowałem trzy dalsze ciosy na jego policzkach i szczęce.

Więc idziesz na całego! ryknšł, porwał łóżko i rzucił nim we mnie.

Uchyliłem się, ale zabrałem się do tego ciut za szybko, straciłem równowagę i wbiłem głowę dobre dziesięć centymetrów w listwę podłogi pod oknem.

Mokry ręcznik zaczął mnie klepać po twarzy. Otworzyłem oczy.

Słuchaj, mały. Zostały ci dwa serwy, a zabrakło krzepy. Przerzuć ty się może na lżejszš raketę.

Brandy! wychrypiałem.

Dostaniesz żyta! owiadczył stanowczo i przycisnšł mi szklanę do ust. Wypiłem łapczywie, a po chwili znów się dwignšłem.

Ku mojemu zdziwieniu łożko stało tam, gdzie przedtem. Przysiadłem na nim. Henry Eichelberger usiadł obok i poklepał mnie po ramieniu.

Moglibyśmy się dogadać, ty i ja powiedział. Nigdy nie pocałowałem twojej dziewczyny, chociaż nie twierdzę, że nie miałem ochoty. Czy tylko to cię gryzie?

Nalał sobie pół szklanki żytniej whisky z półlitrowki, po którą wczemniej wyszedł. W zamyleniu przełknął trunek.

Nie, jest jeszcze jedna sprawa odparłem.

To strzelaj. Ale z młockš koniec. Słowo?

Dałem słowo, choć nie bez oporów.

Dlaczego rzuciła pracę u pani Penruddock? spytałem.

Zerknął na mnie spod krzaczastych brwi. Potem przyjrzał się butelce, którą trzymał w ręku.

Nazwałby mnie przystojniakiem? zapytał.

No cóż, Henry

Tylko mnie nie bajeruj! warknął.

Nie, Henry, nie powiem, żeby był szczególnie przystojny. Ale nie ulega wštpliwości, że jeste bardzo męski.

Znów nalał mi pół szklanki whisky.

Twoja kolej.

Nie bardzo zdajšc sobie sprawę z tego, co robię, wypilem do dna. Kiedy przestałem kaszleć, Henry wyjšł mi szklankę z dłoni i jeszcze raz napełnił. Popijał w zamyleniu. Butelka była już prawie pusta.

Wyobra sobie, że się zabujal w babce z nogami do samej szyi i resztš też jak trzeba. Z takš gębš jak moja. Taki facet jak ja, facet, co w szkole rolniczej ostro zagrywał na lewym skrzydle i zostawił urodę i wykształcenie na tablicy wyników. Facet, co wojował ze wszystkimi i wszystkim prócz wielorybów i krokodyli to po twojemu podnoniki hydrauliczne i dołożył każdemu, choć czasem sam też musiał oberwać. No i dostaję robotę, gdzie oglšdam to cudo na okršgło dzień w dzień i wiem, że nie dla psa kiełbasa. To co by ty zrobił na moim miejscu? Bo ja to rzuciłem posadkę, i tyle.

Henry, chciałbym ucisnšć ci dłoń owiadczyłem.

Apatycznie potrzsnsł mojš rękš.

No to wzišłem sobie wolne. Bo i co mogłem zrobić? zakończył. Podniósł butelkę i obejrzał jš pod

wiatło. Twój błęd, chłopie, że mnie po to posłał. Jak zaczynam pić, to idę w kurs na całego. Starczy ci szmalu?

Naturalnie. Dostaniesz whisky, Henry, skoro tego pragniesz. Mam całkiem sympatyczne mieszkanie w alei Franklina w Hollywood, toteż nie rzucajś kalumnii na twojś skromnś i niewstpliwie tymczasowś siedzibę, proponuję przenieć się teraz do mojego apartamentu, który jest znacznie większy i pozwala człowiekowi swobodnie rozprostować koci powiedziałem, beztrasko wymachujś rękś.

A niech mnie, zalałe się! rzekł Henry z podziwem w małych zielonych oczkach.

Nie jestem jeszcze pijany, Henry, chociaż istotnie odczuwam już działanie whisky, zresztś wcale przyjemne. Nie zwracaj uwagi na mój sposób wysławiania się, gdyż jest to cecha indywidualna, podobnie jak twój zwięzły i treciwy styl wypowiedzi. Jednakże pozostaje jeszcze jeden, drobny w sumie szczegół, który chciałbym z tobś przedyskutować, zanim wyjdziemy. Upoważniono mnie, abym postarał się o zwrot pereł pani Penruddock. Jak zrozumiałem, niewykluczone, iż to ty je ukradłe.

Ryzykujesz jak jasny gwint, synu powiedział łagodnie.

To czysto handlowa transakcja, Henry, dlatego też najlepiej będzie szczerze sobie wszystko wyjanić. Te perły sś sztuczne, a zatem bez trudu powinniśmy dojć do porozumienia. Życzę ci jak najlepiej, Henry, i jestem ci dlužny za zorganizowanie whisky, ale interes interesem. Czy przyjmiesz pięćdziesiśt dolarów w zamian za zwrot pereł bez żadnych pytań?

Henry wybuchnś krótkim, niewesołym miechem, lecz w jego głosie nie było ani ladu urazy, kiedy powiedział:

Więc mylisz, że gwizdnśłem te kulki, a teraz siedzę tu i czekam, aż wparujś gliny i mnie przyskrzyniś?

Nie zawiadomiono policji, Henry, a ty miałe prawo nie wiedzieć, że perły sś sztuczne. Nalej trunku.

Nalał mi większość z tego, co zostało w butelce, a ja wypilem do dna. Humor dopisywał mi jak rzadko kiedy. Cisnśłem szklankś w lustro, niestety chybiłem i grube, liche szkło spadło na podłogę, nie tłuksć się. Henry Eichelberger rozemiał się serdecznie.

Co cię tak bawi, Henry?

Nic odparł. Tak sobie tylko mylałem, jak kto tu wyjdzie na jelenia z tymi kulkami.

Chcesz przez to powiedzieć, Henry, że nie ukradłe tych pereł?

Znów się rozemiał, tym razem posępnie.

Tak powiedział. Znaczy się, nie. Powinienem ci przyłozyc, ale po kiego? Każdemu może odbić. Nie, kolego, ja tam nie rśbnśłem żadnych pereł. Lipnymi nie zawracałbym sobie głowy, a jeliby były takie, jak te, które widziałem na szyi starszej pani, to na pewno nie kiblowałbym w jakiej tandetnej

dziurze w Los Angeles i nie czekał, aż zjadł się po mnie blacharze.

Ponownie ucisnąłem mu dłoń.

To wszystko, czego chciałem się dowiedzieć stwierdziłem radonie. Nareszcie jestem spokojny. Udamy się teraz do mojego apartamentu i rozważymy sposoby odzyskania pereł. We dwóch powinniśmy stworzyć zespół, który stawi czoło każdemu przeciwnikowi.

Nie robisz mnie w konia?

Wstałem i nałożyłem kapelusz do góry nogami.

Nie, Henry. Proponuję ci pracę, której, jak rozumiem, potrzebujesz, i tyle whisky, ile zdołasz wypić. Chodmy więc. Czy możesz prowadzić samochód w takim stanie?

Diabła tam, toć przecież nie jestem pijany zaprotestował, wyranie zdziwiony.

Wyszliśmy z pokoju i ruszyliśmy mrocznym korytarzem. Z mglistego cienia wychynął zniecka gruby kierownik hotelu i zagroził nam drogę. Masując brzuch, łypał na mnie wyczekująco małymi, chciwymi oczkami.

Wszystko gra? zapytał przeżuwając nadzartś zębem czasu wykałaczkę.

Daj mu dolara rzekł Henry.

Za co?

Bo ja wiem? Normalnie, daj mu dolara.

Wyciągnąłem banknot z kieszeni i podałem go grubasowi.

Dzięki, stary powiedział Henry. Dgnął grubasa w jabłko Adama i zręcznie wysupłał banknot z jego palców. To za gorzałkę dorzucił. Nie znoszę żebrać o szmal.

Kiedy ramię w ramię schodziliśmy po schodach, kierownik hotelu usiłował wykrztusić z przełyku wykałaczkę.

3.

O piśtej po południu tegoż dnia ocknąłem się z drzemki i stwierdziłem, że leżę we własnym łóżku w Château Moraine przy alei Franklina, róg Ivar, w Hollywood. Przekręciłem obolałś głowę i ujrzałem, że obok mnie leży Henry Eichelberger, w spodniach i podkoszulku. Uprzytomniłem sobie wówczas, że sam jestem równie skśpo przyodziany. Na pobliskim stoliku stała prawie pełna litrowa butelka żytniej whisky Old Plantation, na podłodze za leżała całkiem pusta butelka tej samej wybornej marki. Wszędzie wałały się części garderoby, a na oparciu jednego z krytych brokatem foteli widniała wypalona papierosem dziura.

Obmacałem się troskliwie. W brzuchu miałem obolały węzeł, a szczękę jakby nieco spuchniętą z jednej strony. Ale na tym obrażenia się kończyły. Gdy wstałem z łóżka, kłujący ból przeszył mi skronie, lecz nie bacząc na nic, ruszyłem wprost do butelki na stoliku i podniosłem ją do ust. Pociśgnąwszy spory łyk wody ognistej, poczułem się o niebo lepiej. Ogarnął mnie serdeczny, radosny nastrój i byłem gotów na każdą przygodę. Wróciłem do łóżka i energicznie potrząsnąłem Henryego za ramię.

Wstawaj, Henry powiedziałem. Zachód słońca za pasem. Drozdy ćwierkają, wiewiórki chroboczą i powój składa się do snu.

Jak wszyscy ludzie czynu, Henry Eichelberger obudził się z zaciniętymi pięciami.

Co to za mowa trawa? warknął. A, to ty. Sie masz, Walter. Żyjesz?

Czuję się wspaniale. Wypocząłem?

Jasne. Opucił bosa stopy na podłogę i zmierzwił palcami gęste jasne włosy. Szło nam bosko, póki ci się film nie urwał. No to się przekimałem. Nigdy nie piję solo. Zdrów i cały?

Tak, Henry. Istotnie, czuję się znakomicie. Ale czeka nas praca.

To byczo. Ruszył do butelki, pociśgnął z niej zdrowo i pomasaował brzuch otwartą dłonią. Jego zielone oczka błyszczały przyjanie. Jestem chory, muszę zażyć lekarstwo wyjanił, odstawił butelkę na stolik i zlustrował pokój. Kurcze, wstawiliśmy się tak szybko, że nawet nie obejrzałem tej meliny. Masz tu ładne gniazdko, Walter. O kurcze, biała maszyna do pisania i biały telefon! Co jest grane, mały, wróciła od komunii?

To tylko taki głupi kaprys wyjaniłem, beztrosko wymachując ręką.

Henry podszedł do biurka i obejrzał maszynę i stojący obok telefon, a także zestaw oprawnych w srebro przyborów do pisania, znaczonych moimi inicjałami.

Niele ustawiony, co? rzekł zwracając na mnie zielone spojrzenie.

Całkiem znonie, Henry odparłem skromnie.

No dobra, stary, i co dalej? Masz jakiś pomysł, czy łyknijemy po małąpeczce?

Owszem, Henry, mam pewien pomysł. Uważam, że z pomocą człowieka twojego pokroju uda się wcielić go w czyn. Odnoszę wrażenie, że musimy, jak to się mówi, trafić po nitce do kłębka. Wieć o kradzieży sznura pereł natychmiast rozchodzi się wśród przestępców. Perły trudno jest sprzedać, zważywszy, że jak czytałem nie można ich pociśnąć, a zatem specjaliści mogli je zidentyfikować. W wiatku przestępczym będzie wrzało jak w ulu. Znalezienie osoby, która da znać, komu trzeba, że jesteśmy skłonni godziwie zapłacić za zwrot naszyjnika, nie powinno nastęrczyć nam trudności.

Jak na faceta pod muchą, gadasz całkiem do rzeczy stwierdził Henry, sięgając po butelkę. Ale czy ty nie zapomniał, że te kulki są lipne?

Tak czy inaczej, ze względu na pewne sentymenty, gotów jestem zapłacić za ich zwrot.

Henry pociśgnął nieco whisky, smakując ją z wyranym upodobaniem. Wypił jeszcze trochę i uprzejmie wyciśgnął do mnie butelkę.

Jak na razie, szafa gra powiedział. Ale ten cały wiatek przestępczy, co to ma niby wrzeć jak w ulu, nie będzie wrzał tylko dlatego, że kto zakosił sznurek paciorków. A może mam nie po kolei pod sufitem?

Mylałem, Henry, że przestępcy też mają poczucie humoru i że miech pójdzie w wiat.

Co w tym jest przyznał. Jaki oprych słyszy, że pani Penruddock ma kupę mamony w owocach ostrygi, więc elegancko robi kasę i drałuje do pasera. A ten zrywa boki ze miechu. To by się mogło rozejść po ferajnie, nie powiem, wiara miałyby o czym gadać. No i klawo. Ale nasz kasiarz pchnie te kulki byle szybciej, bo wie, że towar jest trefny, nawet jeli jest wart tylko miedziaka plus podatek. Kradzież z włamaniem to odsiadka, Walter.

A jednak, Henry, nie uwzględniłeś pewnego czynnika. Nie ma on, oczywiście, większego znaczenia, jeżeli ten złodziej jest głupi. Ale jeli jest choć trochę inteligentny, to co innego. Pani Penruddock jest niezwykle dumna i mieszka w bardzo ekskluzywnej dzielnicy. Gdyby rozeszło się, że nosiła sztuczne perły, a przede wszystkim, gdyby w gazetach pojawiła się choćby wzmianka o tym, że właśnie ten naszyjnik dostała w prezencie od męża na złote gody no cóż, Henry, sam chyba rozumiesz.

Kasiarze główkować nie lubisz stwierdził, pocierając kamienny podbródek. Uniósł kciuk i przygryzł go w zamyleniu. Spojrzał na okna, na przeciwległy róg pokoju, wreszcie na podłogę. W końcu zerknął na mnie z ukosa. Szantaż, co? mruknął. Kto wie? Chociaż w ferajnie każdy pilnuje swojej działki. Ale gość mógł co szepnąć, komu trzeba. Zawsze to jaka szansa, Walter. Nie postawiłbym na to swoich złotych plomb, ale szansa jest. Ile mylisz odpalić?

Sto dolarów byłoby aż nadto, ale gotów jestem dać nawet dwieście, to znaczy dokładnie tyle, ile kosztowała imitacja.

Henry potrzęsł głowę i zajął się butelką.

E tam. Na taką forszę to on nie poleci. Niewarta ryzyka. Wywali kulki i będzie czysty.

W każdym razie możemy spróbować.

Jasne. Ale gdzie? Poza tym gorzałka się kończy. Lepiej wskoczę w buty i znikam, co?

W tej samej chwili, jak gdyby w odpowiedzi na moją niemiłą modlitwę, od drzwi doleciał głuchy stuk. Otworzyłem je i podniosłem ostatnie wydanie popołudniówki. Zamknąłem drzwi i wróciłem z gazetą do pokoju, rozkładając ją po drodze. Dotknąłem jej palcem wskazującym i umiechnąłem się do Henrygo z pewnością siebie.

Proszę. Zakładam się o cały litr Old Plantation, że odpowiedź znajdziemy na kolumnie kryminalnej tej gazety.

Nie ma żadnej kolumny kryminalnej zarechotał. Jesteśmy w Los Angeles. To ja wybywam.

Kiedy otwierałem gazetę na trzeciej stronie, ręce mi drżały, bo wprawdzie czekając w Agencji Porednictwa Pracy Ady Twomey czytałem w porannym wydaniu artykuł, którego teraz szukałem, ale nie byłem pewien, czy w popołudniówce zamieszczę go w pełnej wersji. Moja wiara została jednak nagrodzona – zajmował on, tak jak poprzednio, rodek trzeciej szpalty. Był to jeden krótki akapit, zatytułowany: Lou Gandesi przesłuchiwany w związku z kradzieżami biżuterii.

Posłuchaj, Henry rzekłem i odczytałem na głos:

Wczoraj wieczorem, na skutek donosu anonimowego informatora, policja zatrzymała Louisa G. (Lou) Gandesiego, właściciela znanego lokalu przy Spring Street. Zatrzymanego poddano wielogodzinnym przesłuchaniom w związku z niedawnymi seriami napadów dokonanych w ekskluzywnych dzielnicach naszego miasta. Szacuje się, że łupem bandytów padła biżuteria wartoci ponad dwustu tysięcy dolarów, skradziona pod groźbą użycia broni kobietom bawiącym na eleganckich przyjęciach. Gandesi, zwolniony w późnych godzinach nocnych, odmówił dziennikarzom wszelkich komentarzy. Stwierdził jedynie: Nigdy nie kapuję glinom. Kapitan William Norgaard z policji miejskiej wyraził przekonanie, że Gandesi nie miał nic wspólnego z tymi napadami, a donos był po prostu aktem zemsty z pobudek osobistych.

Złożyłem gazetę i rzuciłem ją na łóżko.

Twoje na wierzchu, szefie przyznał Henry i podał mi whisky. Wypiłem solidny łyk i oddałem mu butelkę. Więc co robimy? zapytał. Przyciniemy Gandesiego i wymaglujemy drania?

On może być niebezpieczny, Henry. Sędzisz, że podołamy temu zadaniu?

Prychnął z pogardą.

Też co! To zwykły gnojek ze Spring Street. Jaki tłucioch z lipnym rubinem na paluchu. Wywrócimy grubasa na lewą stronę i wyciniemy mu wstrębę. Ale trunku co mało. Będzie tego góra pół literka. Obejrzał butelkę pod wiatło.

To nam na razie wystarczy.

A co, czy kto tu jest wstawiony? Łyknąłem u ciebie tylko siedem razy, no, może dziewięć.

Naturalnie, że nie jesteśmy pijani, Henry, ale twoje łyki są raczej spore, a mamy przed sobą ciężki wieczór. Myle, że już najwyższy czas ogolić się i ubrać, a poza tym sędzę, że powinniśmy włożyć smokingi. Mam tu zapasowy, który powinien leżeć na tobie jak ulał, skoro jesteśmy tego samego wzrostu i budowy. Czyż to nie prawdziwy omen, że dwóch takich dużych mężczyzn połączy się we wspólnym przedsięwzięciu? Stroje wizytowe budzą u mętów społecznych należyty respekt, Henry.

Byczo. Wezmę nas za silnoremkich jakiej szychy. Ten cały Gandesi ze strachu połknie własny krawat.

Uzgodnilimy, że zrobimy tak, jak mówiłem. Przygotowałem ubranie dla Henryego, a kiedy poszedł wykšpać się i ogolić, zadzwoniłem do Ellen Macintosh.



Jakże się cieszę, że dzwoniisz, Walterze! zawołała. Dowiedziała się czego?

Jeszcze nie, kochanie. Ale mamy pewien pomysł. Henry i ja zamierzamy włanie wcielić go w czyn.

Henry, Walterze? Co za Henry?

Jak to? Henry Eichelberger, skarbie, to przecież oczywiste. Czyżby tak szybko o nim zapomniała? Henry i ja zaprzyjaniłimy się serdecznie i

Walterze, ty piłe, przyznaj się! przerwała mi lodowatym tonem.

Skśdże znowu, najdroższa. Henry jest abstynentem.

W słuchawce wyranie usłyszałem, jak gwałtownie pociśga nosem.

Czyli że Henry nie ukradł pereł? zapytała po wymownej przerwie.

Henry, aniele? Oczywiście, że nie. Zrezygnował z pracy dlatego, że się w tobie zakochał.

Co też ty opowiadasz, Walterze! Ten goryl? Jestem pewna, że pijesz na umór! Nie pokazuj mi się więcej na oczy! Żegnam.

I odłożyła słuchawkę tak raptownie, że w uchu pozostało mi bolesne ukłucie.

Z butelkś Old Plantation w ręku przysiadłem na krzele, zastanawiając się, czy powiedziałem co, co można by poczytać za obrazę lub niedyskrecję. Pocieszając się zawartociś butelki, siedziałem tak do chwili, gdy Henry wyszedł z łazienki. W mojej koszuli z gorsem i kołnierzykiem do fraka oraz czarnej muszce prezentował się niezwykle elegancko.

Kiedy opuszczaliśmy mieszkanie, było już ciemno. Z nas dwóch przynajmniej ja byłem pełen wiary i nadziei, choć nieco przygnębiony tym, jak Ellen Macintosh potraktowała mnie przez telefon.

4.

Bez trudu odnalelimy przybytek pana Gandesi, wskazał nam go bowiem pierwszy taksówkarz na Spring Street, przywołany rykiem Henryego. Lokal, skśpany w nieprzyjemnym niebieskim wietle, nazywał się Błękitna laguna. Henry i ja weszlimy do rodka dziarskim krokiem, do czego przyczyniła się kolacja tylko częściowo płynna którś skonsumowaliśmy w Karaibskiej grocie Mandyego, zanim wyruszyliśmy na poszukiwanie pana Gandesi. W jednym z moich najlepszych smokingów, czarnym filcowym kapeluszu zsuniętym na tył głowy (tylko trochę większej od mojej) i z białym, wykończonym frędzlami szalikiem przewieszonym przez ramię oraz butelkś whisky w każdej bocznej kieszeni płaszcz mój towarzysz był nieomal przystojny.

W barze Błękitnej laguny panował tłok, ale przeszlimy na tyły lokalu, do małej, mrocznej sali. Podszedł do nas jaki mężczyzna w brudnym smokingu. Gdy Henry zapytał o Gandesiego, wskazał nam samotnego grubasa przy stole w rogu sali. Ruszyliśmy za wyciśgniętym palcem.

Grubas siedział nad szklaneczką czerwonego wina i powoli obracał na palcu wielki zielony kamień. Nie spojrzał na nas. Przy stole nie było wolnych krzeseł, więc Henry oparł się łokciami o blat.

Jeste Gandesi? odezwał się.

Nawet teraz Włoch nie zaszczyił nas spojrzeniem. ciśgnął tylko gęste czarne brwi i odparł drewnianym głosem:

Si. Tak.

Mamy z tobą do pogadania na osobności rzekł Henry. Tak, żeby nam nie przeszkadzano.

Tym razem Gandesi podniósł wzrok. Z jego matowych, czarnych migdałowych oczu przebijało miertelne znudzenie.

Tak? bśknął, wzruszając ramionami. A w jakiej sprawie? dorzucił z silnym włoskim akcentem.

W sprawie pereł wyjanił Henry. Czterdziestu dziewięciu różowych, dobranych odcieniem pereł na jednym sznurku.

Chcecie sprzedać czy kupić? zapytał Gandesi. Jego broda zaczęła się trząść, jak gdyby co go rozbawiło.

Kupić odparł mój towarzysz.

Grubas przy stole spokojnie zakrzywił palec i u jego boku pojawił się olbrzymi kelner.

On jest pijany stwierdził Włoch apatycznie. Wyrzuć ich.

Olbrzym chwycił Henryego za ramię. Mój współnik niedbale wyciśgnął rękę, cisnął jego dłoń i wykręcił. W niebieskim wietle twarz kelnera przybrała kolor, którego nie potrafię opisać, w każdym razie zdecydowanie niezdrowy. Słysząc cichy jęk, Henry pucił jego rękę i zwrócił się do mnie:

Położ paczkę na stole.

Wyciśgnęłam portfel i wyjęłam jedną z dwóch studolarówek, w które przezornie zaopatrzyłam się u kasjera w Château Moraine. Gandesi wlepił wzrok w banknot i dał znak kelnerowi, który odszedł, masując przyciętą do piersi dłoń.

Za co to? spytał Włoch.

Za pięć minut sam na sam z tobą.

On jest bardzo zabawny, bardzo. Zgoda, biorę. Gandesi wziął banknot, złożył go starannie i schował do kieszonki kamizelki. Potem oparł się oburącz o blat stołu i dwignął z wysiłkiem. Nie patrząc na nas, ruszył przed siebie.

Lawirując między zajętymi stolikami, Henry i ja wyszliśmy za nim przez drzwi w boazerii do wąskiej, ciemnej sieni. Na końcu korytarza Gandesi otworzył drzwi do oświetlonego pokoju i przytrzymał je, przepuszczając nas przodem. Na jego smagłej twarzy błyskał się posępny uśmiech. Wszedłem pierwszy.

W chwili gdy Henry mijał Włocha, ten z zaskakującą zręcznością wyciągnął małą błyszczącą pałkę z czarnej skóry i z całej siły uderzył Henrygo w głowę. Mój towarzysz osunął się na kolana. Nadspodziewanie szybko, jak na człowieka swej postury, Gandesi zatrzasnął drzwi i oparł się o nie, trzymając pałkę w lewej ręce. W jego prawej dłoni pojawił się znieczeka krótki, pękaty rewolwer.

On jest bardzo zabawny rzekł uprzejmie i zachichotał pod nosem.

To, co się potem wydarzyło, umknęło nieco mojej uwagi. W pewnym momencie Henry znalazł się na czworakach, zwrócony plecami do Włocha. W następnej, a może nawet w tej samej chwili co zakotłowało się niczym wielka ryba w wodzie i Gandesi jęknął. Ujrzałem wówczas, jak jasnowłosa, twarda głowa Henrygo znikła w brzuszysku grubasa, a jego wielkie dłonie zaciskały się na owłosionych nadgarstkach tłuciocha. Henry wyprostował się i Gandesi, z rozdziawionymi z napięcia ustami i nabiegłą krwią twarzy, zawisł w powietrzu, balansując na czubku głowy Henrygo. Zdawało się, że mój towarzysz otrząsnął się lekko i Włoch zwałił się na ziemię z potwornym łoskotem. Leżał na plecach, łapczywie chwytając powietrze. Następnie w zamku przekręcił się klucz, a Henry stał oparty o drzwi, w lewej ręce trzymając pałkę i rewolwer, a prawą niespokojnie macając kieszenie, w których nosił nasz zapas whisky. Wszystko to rozegrało się tak szybko, że oparłem się o cianę, powstrzymując mdłoci.

Pajac wycedził Henry. Komediant. Zaczekaj, aż popuszczę pasa.

Gandesi przeturlał się na brzuch; walcząc z bólem, powolutku stanął o własnych siłach i chwiejąc się, przesuwał dłońmi po twarzy. Cały był zakurzony.

To jest kicha objanął Henry, pokazując mi małą, czarną pałkę. Tym mi przyłożył, dobrze mówię?

Jak to, Henry, czyżby sam nie wiedział? zdziwiłem się.

Chciałem się tylko upewnić odparł. Tak się nie traktuje Eichelbergerów.

Dobra jest, chłopaki, o co biega? odezwał się nagle Gandesi, już bez ładnego włoskiego akcentu.

Mówiłem ci, zakuta pała.

My się chyba nie znamy, chłopcy powiedział grubas, ostrożnie sadzając cielsko na drewnianym krzele za sfatygowanym biurkiem. Przetarł twarz i szyję, po czym obmacał się tu i ówdzie.

Bierzesz nas za kogo innego, Gandesi. Dwa dni temu w Carondelet Park wisnęli jednej babce naszyjnik z czterdziestu dziewięciu pereł. Robota dla kasiarza, ale łatwizna. Nasza firma ubezpiecza te kulki. A tamtą stówę zabieram.

Henry zbliżył się do Włocha, który czym prędzej wyłowił banknot z kieszonki i podał go mojemu

przyjacielowi. Ten z kolei przekazał go mnie. Schowałem pieniądze do portfela.

Nie przypominam sobie, żebym o tym słyszał powiedział ostrożnie Gandesi.

Zrobił mnie na kichę rzekł Henry. Rusz łepetyńš.

Grubas potrzśsnł głowš i skrzywił się z bólu.

Ja nie nadaję roboty kasiarzom stwierdził. Nie wysyłam chłopaków na włam. Trafilicie pod zły adres.

Rusz łepetyńš powtórzył cicho Henry. Może sobie przypomnisz. Dwoma palcami prawej ręki zakołysał przed sobą czarnš pałkš. Przymały kapelusz, teraz już nieco pognieciony, wcišz siedział mu na głowie.

Wyglšda na to, Henry, że dzi wieczór całš pracę przejšł na siebie wtršciłem się. Nie sšdzisz, że to niesprawiedliwe?

Dobra, we go w obroty odparł. Takie grubasy w siniakach to co licznego.

Gandesi odzyskał tymczasem względnie naturalny kolor twarzy i wlepił w nas wzrok.

Wy z ubezpieczeń? mruknł z powštpiewaniem.

A jak ci się zdaje, zakuta pało?

Melachrino rzekł nagle Gandesi. Próbowalicie?

Ha! rzucił Henry ochryple. Pajac. Kome ale przerwałem mu bez pardonu.

Chwileczkę, Henry powiedziałem i zwróciłem się do Włocha: Czy Melachrino to osoba?

Grubas ze zdumienia wybałuszył oczy.

Jasne taki jeden goć. Nie znacie go, co? W jego czarnych jak smoła oczach zrodził się błysk podejrzliwoci, lecz zniknł szybciej, niż się pojawił.

Dzwoń do niego rozkazał Henry, wskazujšc aparat stojšcy na sfatygowanym biurku.

Telefon nie wychodzi na zdrowie zaprotestował Gandesi w zamyleniu.

Kicha też nie.

Włoch westchnł, odwrócił swoje cielsko na krzele i przysunł sobie aparat telefoniczny. Wybrał numer palcem poplamionym atramentem. Przez chwilę słuchał w milczeniu.

Joe? odezwał się w końcu. Lou. Mam tu dwóch z ubezpieczeń, chcš się dogadać w sprawie roboty w Carondelet Park Tak Nie, kulki Nic ci się nie obilo o uszy? To na razie, Joe.

Odstawił telefon i z powrotem odwrócił się na krzele. Przyjrzał nam się badawczo sennym wzrokiem.

Nici. Dla jakiej firmy robicie, chłopaki?

Daj mu wizytówkę rzekł Henry.

Ponownie wyciągnąłem portfel, a z niego wizytówkę. Na karcie wytłoczone było tylko nazwisko. Wobec tego ołówkiem dopisałem pod spodem: Château Moraine Apartments, aleja Franklina, róg Ivar. Pokazałem kartonik Henryemu i podałem go Włochowi.

Gandesi obejrzał wizytówkę i w milczeniu przygryzł kciuk. Nagle rozpromienił się.

Zajdcie, chłopaki, do Jacka Lawlera doradził.

Henry przyglądał mu się uważnie. Włoch patrzył teraz bez zmrużenia powieki, błyszczącym, szczerym wzrokiem.

Co to za jeden? spytał mój współnik.

Prowadzi klub Pingwin. Na Bulwarze Zachodzącego Słońca, osiemdziesiąt sześć czterdzieci cztery, czy jako tak. Jeżeli kto co wie, to tylko on.

Dzięki rzekł Henry spokojnie. Zerknął na mnie. Wierzysz mi?

Prawdę mówiąc, Henry, przypuszczam, że byłby zdolny pokalać usta kłamstwem odparłem.

Ha! wyrwał się Gandesi. Pajac! Kome

Stul pysk! warknął Henry. To moja piewka. Nie zalewasz, Gandesi, co? Z tym Jackiem Lawlerem?

Włoch energicznie pokiwał głową.

Nie zalewam, słowo daję. Przez niego przechodzi każdy towar z klasą. Ale niełatwo się z nim zobaczyć.

Niech cię o to głowa nie boli. Dzięki, Gandesi.

Henry rzucił pałkę w kąt pokoju i otworzył bębenek rewolweru, który przez cały czas trzymał w lewej ręce. Wyjął kule, nachylił się i pchnął broń tak, że zniknęła pod biurkiem. Przez chwilę bezmyślnie podrzucał naboje, aż wreszcie rozsypał je po podłodze.

Żegnaj, Gandesi powiedział zimno. I nie pakuj nochała, gdzie nie trzeba, bo go znajdziesz pod łóżkiem.

Otworzył drzwi. Wyszliśmy szybko i nie zatrzymywani przez nikogo z personelu, opuciliśmy Błękitną lagunę.

5.

Mój samochód stał niedaleko. Kiedy wsiedliśmy, Henry oparł ręce na kierownicy i markotnie zapatrzył się w dal.

I co o tym mylisz, Walter? zapytał po chwili.

Jeżeli pytasz mnie o zdanie, Henry, uważam, że pan Gandesi uraczył nas wyssańs z palca bajeczks, żeby się nas pozbyć. Co więcej, nie wierzę, że wziął nas za agentów ubezpieczeniowych.

Ja też. Mało tego, po mojemu takich facetów jak ten Melachrino czy Jack Lawler w ogóle nie ma. Ten cały Gandesi zadzwonił pod pierwszy lepszy numer i ucił sobie dęts gadkę. Powinienem wrócić i powyrywać mu rśczki i nóżki. Żeby tak pękl, tłucioch jeden! To był najlepszy plan, jaki nam przyszedł do głowy, i przeprowadziliśmy go na miarę naszych możliwości. Proponuję więc, żebyśmy wrócili teraz do mnie. Spróbujemy wymyślić co innego.

I ubzdryngolimy się dorzucił Henry, zapuszczajśc silnik i odrywajśc samochód od krawężnika.

Możemy sobie chyba pozwolić na odrobinę alkoholu przyznałem.

Blagier! parsknął nagle Henry. Kogo kryje. Powinienem wrócić i rozwalić mu budę.

Na skrzyżowaniu przyhamował, mimo że o tej porze sygnalizacja wietlna już nie działała, i podniósł do ust butelkę whisky. W tym momencie z tyłu nadjechał drugi samochód i zderzył się z naszym, na szczęście niegronie. Henry zakrztusił się i opucił butelkę, rozlewajśc nieco alkoholu na ubranie.

Co tłoczno w tym miecie! warknął. Człowiek sobie nawet łykńśc nie może, żeby mu się jaki palant nie wtrynił na odcisk.

Kierowca za nami uparcie naciskał klakson, albowiem nie ruszaliśmy z miejsca. Henry gwałtownym szarpnięciem otworzył drzwi, wysiadł i przeszedł na tył samochodu. Usłyszałem podniesione głosy, przy czym zdecydowanie wybijał się głos Henryego. Po chwili mój przyjaciel wrócił, usiadł za kierownicę i odjechał.

Powinienem rozkwasić mu ryło, ale zmięklełm wyjanił.

Przez resztę drogi do Hollywood i Château Moraine prowadził szybko, a kiedy już znaleliśmy się w moim apartamencie, usiedliśmy z wielkimi szklankami w rękach.

Mamy ponad półtora basa oznajmił, spoglśdajśc na dwie butelki, które ustawił na stole obok innych, z dawien dawna pustych. Powinno starczyć na dobry pomysł.

Jeli zabraknie, Henry, to wiemy, gdzie zdobyć dalsze zapasy. Co rzekłszy, radonie wychyliłem szklankę.

Tak w ogóle, to równy z ciebie gość orzekł. Ale co jest, że zawsze tak misznie gadasz?

Niestety, nie potrafię zmienić sposobu wysławiania się. Moi rodzice byli zatwardziałymi purystami wychowanymi w tradycji nowoangielskiej i mowa potoczna nigdy nie przechodziła mi przez gardło, nawet w szkole.

Henry usiłował przetrwać tę uwagę, ale widziałem, że stanęła mu na żołądku.

Przez pewien czas rozprawialiśmy o Gandesim i jego wstępliwiej radzie. W ten sposób upłynęło nam mniej więcej pół godziny, aż tu zniemacka zadzwonił biały telefon na moim biurku. Odebrałem czym prędzej, z nadzieją, że to Ellen Macintosh przestała się gniewać. Okazało się jednak, że głos należy do mężczyzny, w dodatku zupełnie mi obcego. Mówił szybko, nieprzyjemnym, metalicznym tonem.

Walter Gage?

Przy aparacie.

To uważaj pan, panie Gage. Słyszałem, że reflektujesz pan na błyskotki?

Mocniej cisnąłem słuchawkę i odwróciłem się, robiąc miny do Henryego. On jednak melancholijnie nalewał sobie kolejną solidną porcję Old Plantation.

Istotnie powiedziałem do rozmówcy, starając się panować nad głosem, choć podniecenie mnie rozpierało. Jeżeli przez błyskotki rozumie pan perły.

Czterdzieci dziewięć na jednym sznurku, brachu. Za jedyne pięć patoli.

Ależ to czysty absurd! zachłysnąłem się. Pięć tysięcy dolarów za te

Słysząc, brachu przerwał mi bezceremonialnie głos w słuchawce. Pięć patoli. We łapę i policz palce. Nie mniej, nie więcej. Przemyl to sobie. Jeszcze zadzwonię.

Usłyszawszy suchy trzask, drżąc rękami odłożyłem słuchawkę na widełki. Cały dygotałem. Wróciłem do fotela, usiadłem i wytarłem twarz chusteczką.

Henry, a jednak poskutkowało owiadczyłem. Ale jak dziwnie.

Mój współnik odstawił pustą szklankę na podłogę. Po raz pierwszy ujrzałem, jak odstawia szklankę nie napełniwszy jej. Wbił we mnie zwięzione zielonkawe oczy.

Tak? powiedział łagodnie. Niby co poskutkowało, mały? Niespiesznie przejechał czubkiem języka po wargach.

To, czego dokonaliśmy w lokalu Gandesiego, Henry. Włanie dzwonił jaki człowiek i pytał, czy reflektuję na błyskotki.

O w mordę! Henry wydsławił wargi i zagwizdał cicho. A jednak ten sakramencki makaroniarz co



wiedział!

Ale cena wynosi pięć tysięcy dolarów. Nie da się tego wytłumaczyć w żaden rozsądny sposób.

Hę? Oczywiście Henryego omal nie wyszły z orbit. Pięć kawałków za lipne kulki? Facet sfiksował. Mówiłem, że kosztujś dwie paczki. wirus, regularny wirus. Pięć kawałków? Za pięć kawałków kupiłbym doć lipnych pereł, żeby obwiesić kufer słonicy.

Widziałem, że jest zdziwiony. W milczeniu nalał dwie porcje whisky i przyglądaliśmy się sobie ponad szklankami. Po dłuższej chwili przerwał ciszę.

No i co z tym zrobisz, do ciężkiej jasnej? zapytał.

Pozostaje nam tylko jedno, Henry odparłem stanowczo. Faktem jest, że Ellen Macintosh zdradziła mi historię pereł w zaufaniu, bo nie miała wyranej zgody pani Penruddock, a zatem powinienem to uszanować i zachować dyskrecję. Jednakże Ellen jest na mnie zła i nie chce ze mną rozmawiać, ponieważ piję whisky w znacznych ilościach, choć wciśz mówię i myślę względnie jasno, co, prawdę powiedziawszy, jest dla mnie samego niespodzianką. Mimo wszystko uważam, że należy skonsultować się z jakim przyjacielem rodziny. Oczywiście, najlepiej z mężczyzną, z kim, kto ma dowiadczanie w prowadzeniu interesów i kto w dodatku zna się na biżuterii. Taki człowiek istnieje i jutro z samego rana zamierzam do niego zatelefonować.

Ja cię kręcę rzekł Henry. Mogłe to wszystko powiedzieć w dziewięciu słowach, szefie. Co to za jeden?

Mylę o panu Lansingu Gallemore, prezesie Firmy Jubilerskiej Gallemore z ulicy Siódmej. Jest on jednym z najstarszych przyjaciół pani Penruddock. Ellen często o nim wspominała, a poza tym to właśnie on wystarał się o imitację naszyjnika.

Ależ facet wychłapie wszystko ledziom! zaprotestował Henry.

Nie sędzę. Nie sędzę, żeby uczynił co, co mogłoby sprawić kłopot pani Penruddock.

Henry wzruszył ramionami.

Paciorki to tylko paciorki powiedział. I choćby się skichał, nic na to nie poradzisz, ani ty, ani żaden tam prezes jubilerów.

A jednak musi być jaki powód, dla którego żsdajś tak wygórowanej sumy. Przychodzi mi na myśl tylko szantaż, a to, szczerze mówiąc, przerasta moje możliwości, bo nie znam wystarczająco dobrze historii rodziny Penruddocków.

No dobra rzekł Henry z westchnieniem. Rób, jak uważasz, skoro masz czuja. To ja lecę do siebie uderzyć w kimono. Jakby co do czego, wolę być w formie.

Nie miałby ochoty spędzić nocy tutaj?

Dzięki, stary, ale dobrze mi w hotelu. Wezmę tylko jedną flaszkę tej miedziuchy na dobry sen. Rano mogł zadzwonić do mnie z agencji, to będzie trzeba wyszorować zęby i biegać po robotę. Aha, i lepiej zmienię łachy, żebym się mógł pokazać na oczy zwykłym ludziom.

Mówiąc to, wszedł do łazienki i wkrótce ukazał się w swoim niebieskim garniturze z popeliny. Nalegałem, żeby wziął mój samochód, ale odparł, że wolałby go nie zostawiać na ulicy. Zgodził się jednak zatrzymać płaszcz i ostrożnie chowając do kieszeni nie napoczętś butelkę whisky, gorśco ucisnł mi dłoń.

Chwileczkę, Henry zatrzymałem go, wyjmując portfel. Podałem mu banknot dwudziestodolarowy.

A to niby za co? warknł.

Jeste chwilowo bez pracy, Henry, a dzi wieczór napracowałe się solidnie, nawet jeli rezultaty okazały się zaskakujące. Należy ci się nagroda, a mnie naprawdę stać na tę symbolicznś zapłatę.

Jak tak, to dzięki, stary odparł. Ale to tylko pożyczka. Głos mu ochrypł ze wzruszenia. Zadzwonić do ciebie rano?

Koniecznle, Henry. Ale, ale, włanie co mi przyszło do głowy. Czy w twoim wypadku nie byłaby wskazana zmiana hotelu? Załóżmy, że nie z mojej winy policja dowie się o kradzieży. Nie sđdzisz, że uznaliby cię co najmniej za podejrzanego?

Tam do licha, dusiliby mnie całymi godzinami przyznał. Ale co by ze mnie wycisnęli? Nie jestem cytrynś.

Decyzja należy, oczywicie, do ciebie.

Mowa. Dobranoc, stary, i pij bez koszmarów.

Zostawił mnie samego, a ja poczułem się nagle przygnębiony i samotny. Pomimo niewyszukanego języka, swym towarzystwem dostarczał mi bodca do działania. Był uosobieniem męskoci. Nalałem sobie godziwś miarkę whisky z butelki, którś zostawił, i wypilem szybko, acz posępnle.

W rezultacie za wszelkś cenę zapragnłem porozmawiać z Ellen Macintosh. Uczucie to było tak przemożne, że podszedłem do telefonu i zadzwoniłem do niej. Po dłuższej chwili odebrała zaspana pokojówka. Jednakże Ellen, usłyszawszy moje nazwisko, odmówiła rozmowy. Przygnębiło mnie to jeszcze bardziej i prawie nie zdając sobie sprawy z tego, co robię, wypilem whisky do ostatniej kropli. Następnie zlełem na łóżku i zapadłem w niespokojny sen.

6.

Obudziło mnie natarczywe dzwonienie telefonu. Stwierdziłem, że poranne słońce zagłśda do pokoju, a wszystkie wiatła się palś. Była dziewiśta. Wstałem cokolwiek zdrętwiały po hulance, wciśż jeszcze w smokingu. Mam jednak końskie zdrowie i nerwy jak postronki, więc czułem się o wiele lepiej, niż można by się spodziewać. Podniosłem słuchawkę.

Jak tam zdrówko, stary? usłyszałem głos Henryego. Bo ja mam kaca jak kompania rekruta.

Wcale niele, Henry.

Dzwonili z agencji, że mają dla mnie robotę. Chyba pójdę rzucić okiem co i jak. Wpać potem do ciebie?

Tak, Henry, koniecznie. Do jedenastej powinienem wrócić ze spotkania, o którym ci mówiłem wczoraj wieczorem.

Dzwonił ten co wiesz?

Jeszcze nie.

No i klawo. Do rychłego.

Rozłszył się, a ja poszedłem wziąć zimny prysznic, ogolić się i ubrać. Włożyłem spokojny brązowy garnitur i zamówiłem kawę z kawiarni na parterze. Kazałem też kelnerowi usunąć z apartamentu puste butelki i dałem mu dolara za fatygę. Po dwóch filiżankach czarnej kawy znowu poczułem się sobą i wyjechałem do miasta odwiedzić wielki, szykowny salon Firmy Jubilerskiej Gallemore na ulicy Siódmej Zachodniej.

Był znowu pogodny, złocisty poranek i wydawało mi się, że w taki dzień wszystko powinno jako ułożyć się samo.

Okazało się, że o spotkanie z panem Lansingiem Gallemore wcale nie jest łatwo, wobec czego zmuszony byłem wyjawić jego sekretarce, że przyszedłem w poufnej sprawie dotyczącej pani Penruddock. Gdy przekazano mu tę wiadomość, natychmiast zostałem wprowadzony do długiego, wykładanego boazeriś gabinetu. Na wprost drzwi stał za masywnym biurkiem pan Gallemore. Wyciśgnął do mnie szczupłś, różowś dłón.

Pan Gage? My się chyba nie znamy?

To prawda, panie Gallemore, nie znamy się. Jestem a raczej byłem do ubiegłego wieczoru narzeczonym panny Ellen Macintosh, która, jak panu zapewne wiadomo, jest pielęgniarkś pani Penruddock. Przychodzę w sprawie niezwykle delikatnej natury, dlatego też, zanim przejdę do szczegółów, muszę pana prosić o dyskrecję.

Jubiler miał około siedemdziesięciu pięciu lat, był nadzwyczaj szczupły, wysoki i poprawny w każdym calu. Trzymał się wietnie. Niebieskie oczy miał zimne, za to umiech ciepły. W garniturze z szarej flaneli, z czerwonym godzikiem w klapie, prezentował się nieomal jak młodzieniec.

Mam zasadę nigdy nie składać takich obietnic, panie Gage odparł. Uważam, że za tego rodzaju probś prawie zawsze kryje się co nieuczciwego. Ale jeli da mi pan słowo, że sprawa dotyczy pani Penruddock i jest rzeczywiście delikatna i poufna, tym razem zrobię wyjśtek.

Istotnie, panie Gallemore, to prawda zapewniłem go, a następnie przedstawiłem mu całś historię,

nie ukrywając niczego, nawet faktu, że poprzedniego dnia skonsumowałem stanowczo za dużo whisky.

Kiedy skończyłem opowieść, przyglądał mi się z zaciekawionym. Kształt dłoni ujął białe, starowieckie gęsie pióro i niespiesznie polechtał się nim w prawe ucho.

Panie Gage, nie domyła się pan, dlaczego żądaś za ten naszyjnik pięć tysięcy dolarów? zapytał. Jeli pozwoli mi pan na domysły w tak osobistej sprawie, panie Gallemore, gotów jestem pokusić się o wyjanienie.

Przesunął białe pióro do lewego ucha i skinął głową.

miało, synu.

Perły są prawdziwe. Od dawien dawna jest pan przyjacielem pani Penruddock może nawet jej sympatiś z lat dziecięcych. Kiedy, zmuszona paląc konieczności zdobycia pieniędzy na szlachetny cel, zleciła panu sprzedaż naszyjnika prezentu, który dostała od męża na złote gody pan tego nie zrobił, panie Gallemore. Pan tylko udawał, że go sprzedał. Wypłacił jej pan dwadzieścia tysięcy dolarów z własnej kieszeni i zwrócił prawdziwe perły, utrzymując, że jest to imitacja wykonana w Czechach.

Mądrzej mylisz, niż mówisz, synu.

Jubiler wstał, podszedł do okna i odsunął zasłonę. Przez chwilę obserwował ruch na ulicy, po czym wrócił za biurko, usiadł i umiechnął się ze smutkiem.

Trafność pańskich domysłów jest wręcz krępująca, panie Gage powiedział. Pani Penruddock to niezwykle dumna kobieta, inaczej po prostu zaproponowałbym jej te dwadzieścia tysięcy jako pożyczkę bez zabezpieczenia. Tak się składa, że byłem jednym z zarządców majątku pana Penruddocka i zdawałem sobie sprawę, że ówczesna sytuacja na rynku finansowym wyklucza podjęcie gotówki w ilości wystarczającej na utrzymanie tych wszystkich krewnych i emerytów bez nieodwracalnego naruszenia żelaznego kapitału. Toteż pani Penruddock sprzedała perły a w każdym razie tak jej się zdawało stanowczo żądając, żeby się o tym nikt nie dowiedział. A ja postąpiłem tak, jak pan mówił. To była błahostka, mogłem sobie pozwolić na taki gest. Nigdy się nie ożeniłem, Gage, i uchodzę za człowieka bogatego. Gwoli ciśłoci, w owym czasie te perły nie osiągnęłyby nawet połowy sumy, jakś jej dałem, czy jakś przyniosłyby dzisiaj.

Spuściłem wzrok w obawie, że ten starszy pan o złotym sercu może się poczuć skrępowany moim spojrzeniem.

I dlatego uważam, że musimy zdobyć te pięć tysięcy, synu dorzucił dziarsko jubiler. Cena jest stosunkowo niska, choć kradzione perły o wiele trudniej sprzedać niż pocięte kamienie. A skoro już twoja twarz wzbudziła we mnie tyle zaufania, jak sądzisz, czy dasz sobie radę z tym zadaniem?

Panie Gallemore odparłem cicho, lecz stanowczo jestem tylko człowiekiem z krwi i koci, w dodatku zupełnie panu obcym. Ale przyrzekam na cześć i pamięć moich zmarłych rodziców, że nie

okażę się małoduszny.

Sporo tej krwi i koci, synu stwierdził dobrotliwie. Nie obawiam się, że ukradniesz pieniądze, ponieważ przypadkiem wiem o pannie Ellen Macintosh i jej narzeczonym więcej, niż ci się zdaje. Poza tym perły są ubezpieczone, oczywiście na moje nazwisko. W gruncie rzeczy powinno się tym zająć towarzystwo ubezpieczeniowe, ale jak dotąd ty i twój zabawny przyjaciel radzicie sobie wcale niele, a ja wierzę w dobrą passę. Ten Henry to chyba chłop na schwał.

Jest wprawdzie nieokrzesany, lecz bardzo się do niego przywiślałem odrzekłem.

Jubiler zabawiał się przez chwilę gęsim piórem, a następnie wyciśgnął pokanś ksiżeczkę czekowś. Wystawił czek, starannie osuszył go bibułą i podał mi go nad biurkiem.

Jeżeli odzyska pan perły, dopilnuję, żeby zwrócili mi to z ubezpieczenia rzekł. Nie będzie z tym problemu, jeli chcś prowadzić ze mnś interesy. Bank jest na rogu. Będę czekał na telefon od nich. Prawdopodobnie nie zrealizujś czeku, zanim się ze mnś nie skontaktujś. Bśd ostrożny, synu, i uważaj na siebie.

Jeszcze raz ucisnś mi dłoń. Zawahałem się.

Panie Gallemore, pokłada pan we mnie zaufanie, jakim dotychczas nikt mnie nie obdarzył wyznałem. Z wyjątkiem mojego ojca, ma się rozumieć.

Zachowuję się jak skończony dureń odparł z dziwnym umieszkim. Tak dawno już nie słyszałem, żeby kto mówił językiem jakby żywcem wyjętym z ksiżek Jane Austin, że postępuję jak pierwszy naiwny.

Dziękuję panu. Wiem, że mój język jest nieco zwietrzały. Czy zechciałby pan wywiadczyć mi drobnś przysługę?

Jakś, Gage?

Zadzwoń do panny Ellen Macintosh, która się do mnie lekko zraziła, i powiedzieć jej, że dzisiaj nie piję i że powierzył mi pan bardzo delikatnś misję.

Rozemiał się głono.

Z przyjemnościś, Walterze. A ponieważ wiem, że można jej ufać, dam jej do zrozumienia, o co chodzi.

Rozstaliśmy się. Zszedłem z czekiem do banku, gdzie kasjer, obrzuciwszy mnie podejrzliwym spojrzeniem, opucił na dłuższy czas swś klatkę, aż w końcu odliczył należność w banknotach studolarowych z takim oporem, jak gdyby wypłacał mi swoje własne pieniądze.

Schowałem płaski plik banknotów do kieszeni i rzekłem:

Poproszę jeszcze rulon ćwierćdolarówek.

Rulon ćwierćdolarówek, proszę pana? powtórzył kasjer, unosząc brwi.

Włanie. Potrzebne mi są na napiwki, a wygodniej byłoby mi je zabrać w opakowaniu, rzecz jasna.

Ach tak, rozumiem. Proszę. Dziesięć dolarów.

Schowałem gruby, twardy rulon monet do kieszeni i wróciłem do Hollywood.

W hallu Château Moraine czekał na mnie Henry, miętosząc kapelusz w twardych, sękatych dłoniach. Zmarszczki na jego twarzy wydawały się głębsze niż poprzedniego dnia, a także poczułem od niego zapach whisky.

Jak poszło, stary? zapytał skwapliwie, zaledwie weszliśmy do mieszkania.

Henry, zanim przejdziemy do czekających nas zadań, chciałbym postawić jasno jedną sprawę: ja dziś nie piję. Widzę, że ty już zaglądałaś do butelki.

Strzeliłem sobie tylko klina odparł ze skruchą. Jak dojechałem, roboty już nie było. Mów, co dobrego.

Usiadłem, zapaliłem papierosa i spojrzałem mu prosto w oczy.

Właciwie sam nie wiem, Henry, czy powinienem ci o tym mówić. Ale zatajenie faktów byłoby małostkowe, zważywszy na to, co zrobiła wczoraj z Gandesim. Przez dłuższą chwilę wahałem się, a tymczasem on nie spuszczał ze mnie wzroku, napinając mięnie lewej ręki. Te perły są prawdziwe, Henry. Polecono mi dokonać transakcji i mam teraz przy sobie pięć tysięcy dolarów w gotówce.

Streściłem mu pokrótce przebieg wydarzeń. Nie sposób wyrazić słowami jego zdziwienia.

Jezus, Maria! zawołał i rozdziawił usta. Mówisz, że wyciśnął pięć kawałków od tego Gallemorea ot tak, po prostu?

Włanie tak, Henry.

Dziecko, niejeden facet sygnąłby groszem aż miło, żeby tylko mieć to, co ci daje ten gładki cyferblat i ta gadka szmatka. Wycygnąć pięć kawałków od dusigrosza tak po prostu! A niech mnie dunder winie! A niech mnie co pokręci! A niech mnie kaczka kopnie zadnimi łapami

W tej samej chwili, zupełnie jak gdyby kto obserwował mój powrót do domu, zadzwonił telefon. Poderwałem się, by odebrać.

Usłyszałem jeden z tych głosów, na które czekałem, choć nie ten najbardziej wytęskniony.

I jak to widzisz dziś rano, Gage?

Widzę to w lepszym wietle odparłem. Jeżeli uzyskam gwarancję uczciwego traktowania, jestem przygotowany do przeprowadzenia transakcji.

Odniosłem wrażenie, że głos powoli wciśga powietrze.

Nie bój nic, Gage, dostaniesz swoje kulki jeżeli my dostaniemy flotę. Za długo w tym siedzimy, żeby nawalać. Smród by poszedł po ludziach i nikt by z nami więcej nie gadał.

Tak, potrafię to zrozumieć przyznałem i dorzuciłem zimno: Czekam na instrukcje.

Słuchaj uważnie, Gage. Wieczorem punkt ósma masz być w Pacific Palisades. Wiesz, gdzie to jest?

Naturalnie. To mała dzielnica willowa na zachód od pól do gry w polo przy Bulwarze Zachodźszego Słońca.

Zgadza się. Bulwar przecina jś na pół. Jest tam taka drogeria, otwarta do dziewiętej. Czekaj tam dzi wieczorem na telefon, punkt ósma. Sam. A jak mówię sam, to sam, Gage. Żadnych glin, żadnej obstawy. Teren tam górzysty, więc możemy cię poprowadzić na miejsce tak, żeby sprawdzić, czy nikogo za sobś nie ciśgniesz. Dotarło?

Nie jestem idiotś odparowałem.

Żadnej lipy, Gage. Przeliczymy szmal. Żadnej broni. Zrewidujemy cię, a jest nas doć, żeby cię wziść na cel z każdej strony. Znamy twój samochód. Jak nie będzie żadnych numerów, kombinacji i partaniny, to wszyscy będś zdrowi. Tak załatwiamy interesy. W czym jest forsa?

W banknotach studolarowych odparłem. Prawie wszystkie sś używane.

Tak lubię. To do ósmej. Tylko nie nawal, Gage.

Usłyszałem trzask i odłożyłem słuchawkę. Prawie natychmiast telefon zadzwonił znowu. Tym razem był to ten jeden jedyny głos.

Och, Walterze! zawołała Ellen. Taka byłam dla ciebie okropna! Wybacz mi, proszę. Pan Gallemore powiedział mi o wszystkim. Tak się boję!

Nie ma się czego obawiać uspokoiłem jś ciepło. Czy pani Penruddock już wie, najdroższa?

Nie, kochany. Pan Gallemore kazał mi nic jej nie mówić. Dzwonię ze sklepu przy Szóstej. Walterze, ja się naprawdę boję. Czy Henry pojedzie z tobś?

Niestety nie, skarbie. Decyzja już zapadła, i oni się na to nie zgadzajś. Muszę jechać sam.

Walterze, umieram ze strachu! Nie zniosę tego napięcia!

Nie ma się czego obawiać zapewniłem jś. To zwyczajna transakcja. A ja nie jestem karzełkiem.

Ale Walterze No dobrze, postaram się być dzielna. Czy przyrzekniesz mi tylko jeden, jedyny drobiażdżek?



Ani kropli, kochanie owiadczyłem stanowczo. Ani jednej kropelki.

Och, Walterze!

Jeszcze przez chwilę trwała podobna wymiana zdań, w tych okolicznościach bardzo dla mnie przyjemna, choć dla innych zapewne niezbyt interesująca. Ostatecznie rozstaliśmy się, gdy obiecałem, że zadzwonię, jak tylko moje spotkanie z przestępcami zostanie sfinalizowane.

Odwróciwszy się stwierdziłem, że Henry pociśga tęgo z butelki, którą wydobyl z tylnej kieszeni spodni.

Henry! krzyknąłem ostro.

Łypnął na mnie sponad butelki, a w jego oczach pod krzaczastymi brwiami widać było upór.

Słuchaj, bracie odezwał się niskim, twardym głosem. Słyszałem doć, żeby wykombinować co i jak. Każś ci jechać w jakie krzaki samemu, upiś cię na kichę, zwinś szmal i zostawiś cię tam a kulki wciśz będś mieli w garci. Nic z tego, bracie. Powiedziałem: nic z tego! Ostatnie słowa niemal wykrzyczał.

To mój obowiśzek, Henry, i muszę go wypełnić wtrściłem spokojnie.

Ha! parsknął. Powiedziałem: nie. Jeste bzik, ale poza tym swój chłop. Mówię: nie! Henry Eichelberger z Eichelbergerów z Wisconsin a cilej z Eichelbergerów z Milwaukee mówi nie. I mówi to zdrowy na ciele i umyle. Znowu pociśgnął z butelki.

Wstpię, żeby w stanie upojenia przysłużył się naszej sprawie powiedziałem z goryczą.

Opucił butelkę i spojrzał na mnie. Na jego grubo ciosanej twarzy malowało się kompletne osłupienie.

Pijany, Walterze?! ryknął. Czy mnie uszy myłś, czy powiedział pijany? Pijany Eichelberger? Słuchaj no, synu. Nie ma teraz na to czasu. Trza by mieć ze trzy miesiśce. Jak będziesz miał kiedy ze trzy miesiśce, a do tego z pięć tysięcy galonów whisky i lejek, to chętnie zrobię sobie wolne i pokażę ci, jak wyglśda pijany Eichelberger. W życiu by nie uwierzył. Synu, z całej tej mieciny zostałyby tylko parę rozwalonych belek i kupka potłuczonych cegieł, porodku których o, psiakrew, jeszcze parę dni z tobś, a sam zacznę gadać jak jaki lord porodku których spokojniutko, bez żywej duszy w promieniu pięćdziesięciu mil, Henry Eichelberger będzie się wylegiwał na plecach i umiechał do słońca. Pijany, Walterze. Nie pijany w trupa, nawet nie zalany w pestkę. Ale jak mi wtedy powiesz, że jestem pijany, nie będę chował urazy.

Usiadł i jeszcze raz pociśgnął z butelki. Posępnie wpatrzyłem się w podłogę. Cóż mogłem powiedzieć?

Ale to już innym razem dorzucił. Póki co zażywam tylko lekarstwo. Jak to się mówi, nie jestem sobś bez lekkiego delirium tremens. Wyssałem je z mlekiem matki. I jadę z tobś, Walterze. Gdzie to ma być?

Niedaleko plaży, ale nie pojedziesz ze mną. Upij się, jeśli już koniecznie musisz, ale ze mną nie pojedziesz.

Masz przecież wielką gablotę. Schowam się z tyłu na podłodze, pod dywanikiem. Nie ma mowy o wpadce.

Nie, Henry.

Jeste swój chłop, Walterze, i razem wskoczmy w ten kocioł. Powściąj korek, bracie. Co mi się widzisz nietęgi.

Sprzeczałyśmy się tak jeszcze przez godzinę, aż rozboleła mnie głowa i poczułem się zmęczony i podenerwowany. I wtedy to właśnie popełniłem błąd, który mógł się okazać fatalny w skutkach. Uległem podszeptom Henryego i wypłem niewielką porcję whisky, wyłącznie w celach leczniczych. Odprężyłem się dzięki temu tak dalece, że pozwoliłem sobie na jeszcze jedną, większą miarkę. Byłem na czczo, rano wypłem tylko kawę, a poprzedniego wieczora zjadłem jedynie lekką kolację. Zanim następna godzina dobiegła końca, Henry wyszedł po dwie dalsze butelki whisky, a ja byłem radosny jak szczygiełek. Wszelkie przeszkody zniknęły i z ochotą przystałem na to, żeby Henry towarzyszył mi w drodze na spotkanie, leżąc na podłodze samochodu pod dywanikiem.

Spędzałyśmy czas bardzo przyjemnie aż do drugiej, kiedy to ogarnięty sennością zleżłem na łóżku i zapadłem w głęboki sen.

7.

Kiedy się obudziłem, było już prawie całkiem ciemno. Zerwałem się z łóżka z paniką w sercu i ostrym, kłującym bólem w skroniach. Ale minęła dopiero szósta trzydziści. Byłem w mieszkaniu sam. Na podłodze kładły się coraz dłuższe cienie, a kolekcja pustych butelek po whisky na stole wyglądała odrażająco. Henry Eichelberger przepadł bez ladu. Powodowany nagłym instynktem, czym prędzej ruszyłem do wiszącej na oparciu krzesła marynarki i wstydząc się tego, co robię, zanurzyłem rękę w wewnętrznej kieszeni. Plik studolarówek był nietknięty. Po chwili wahania wycisnąłem je z nieczystym sumieniem i przeliczyłem powoli. Nie brakowało ani jednego banknotu. Schowałem pieniądze z powrotem, próbując umiechem zbyć ten brak zaufania. Następnie zapaliłem wiatło i wszedłem do łazienki, gdzie brałem na przemian gorący i zimny prysznic, aż jako tako rozjaśniło mi się w głowie.

Wkładałem akurat wież bieliznę, kiedy w drzwiach przekręcił się klucz i wszedł Henry Eichelberger z dwiema zawiniętymi butelkami pod pachą. Gdy spojrział na mnie, w jego wzroku wyczytałem nieklamane przywiśzanie.

Facet, co potrafi tak odespać kaca jak ty, to jest klasa odezwał się z podziwem. Podprowadziłem ci klucze, żeby cię nie budzić. Musiałem zorganizować wałówkę i trunek. Pogazowałem trochę solo, co, jak wiesz, kłóci się z moimi zasadami, ale mamy dziś wielki dzień. W każdym razie od tej pory pomalutku z gorzałką. Musimy trzymać formę, póki się to nie skończy.

Mówiąc to, rozpakował jedną butelkę i nalał mi trochę do szklanki. Wypiłem z wdzięczności i natychmiast poczułem ożywcze ciepło w żyłach.

Idę o zakład, że szukał po kieszeniach tej paczki szmalcu? rzekł Henry wykrzywiając twarz w umiechu.

Poczułem, że się rumienię. Nie odpowiedziałem.

Nie ma sprawy, bracie, dobrze zrobił. Co ty w końcu wiesz, do ciężkiej jasnej, kto to jest Henry Eichelberger? A, i jeszcze co załatwiłem. Sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyjął mały pistolet samopowtarzalny. Jakby tamci szukali guza, to mam tu pięć dolców w żelastwie, które też jest nie od tego, żeby trochę pohłasować. A mało który Eichelberger pudłuje, jak już się bierze do strzelania.

Nie podoba mi się to, Henry stwierdziłem poważnie. To niezgodne z umową.

Kicham na umowę odparł. Majś tylko dostać swójś dolę i żadnych glin. Jadę dopilnować, żeby nie dali dyla, zanim nie oddadźś kulek.

Zrozumiałem, że nie ma sensu się sprzeczać, toteż ubrałem się i przygotowałem do wyjścia. Obaj wypiliśmy jeszcze po szklaneczce. Henry schował pełną butelkę do kieszeni i opuciliśmy mieszkanie.

Przed domem czeka na mnie taryfa, żebym cię mógł ledzić, na wypadek, gdyby tamci też wpadli na to samo wyjanił po drodze do windy. Przejed się po paru spokojnych uliczkach, to sprawdzę co i jak. Chociaż pewnie cię namierzś dopiero przy plaży.

Wszystko to musiało cię bardzo dużo kosztować, Henry powiedziałem i kiedy czekaliśmy na windę, wyciśgnęłem z portfela kolejne dwadzieścia dolarów i podałem mu. Wzbraniał się przyjsć pieniądze, ostatecznie jednak złożył banknot i schował do kieszeni.

Zgodnie z sugestią Henryego objechałem kilka uliczek na wzgórzach po północnej stronie Bulwaru Hollywood i wkrótce usłyszałem za sobą znajomy dźwięk klaksonu taksówki. Zjechałem na pobocze. Henry wysiadł, zapłacił kierowcy i zajął miejsce obok mnie.

Szafa gra owiadczył. Żadnego ogona. To ja się tu przykulę, a ty stań gdzie po prowiant, bo jakby przyszło dać wycisk tym cwaniakom, lepiej wrzucić co w pierw na ruszt.

Zawróciłem więc na zachód, skręciłem w Bulwar Zachodźścego Słońca i wkrótce zajechałem do restauracji dla zmotoryzowanych, gdzie przy kontuarze zjedliśmy lekki posiłek złożony z omletów i czarnej kawy. Następnie ruszyliśmy w dalszą drogę. Gdy znaleliśmy się w Beverly Hills, Henry znów kazał mi krzyć po uliczkach, sam za uważnie wyglądał przez tylną szybę.

W końcu wróciliśmy usatysfakcjonowani na Bulwar Zachodźścego Słońca i mijając bez przeszkód Bel Air i obrzeża Westwood, dotarliśmy na skraj terenów do gry w polo, zwanych Riwierś, gdzie w niewielkiej kotlinie znajduje się kanion Mandeville niezwykle spokojny zakątek. Henry kazał mi tam wjechać. Wkrótce zahamowałem, a on, pociśgnwszy nieco whisky, przesiadł się do tyłu i skulił swe potężne ciało na podłodze. Kiedy już nakrył się dywanikiem, kładąc broń i butelkę tuż pod ręką, ruszyłem w dalszą drogę.

Mieszkańcy Pacific Palisades najwyraźniej wczynie udajš się na spoczynek. Kiedy dotarłem do centrum handlowego, z wyjątkiem sąsiadującej z bankiem drogerii wszystko było pozamykane na cztery spusty. Zaparkowałem. Henry leżał pod dywanikiem nie wydajšc najmniejszego dźwięku, jeli nie liczyć cichego bulgotu, który doleciał mnie, zaledwie stanšłem na ciemnym chodniku. Wszedłem do drogerii. Zegar na cianie wskazywał za kwadrans ósma. Kupiłem paczkę papierosów, zapaliłem i zajšłem stanowisko przy otwartych drzwiach budki telefonicznej.

Sprzedawca, barczysty osobnik o czerwonej twarzy, w bliżej nie określonym wieku, słuchał zbyt głoło nastawionego radia. Nadawano włąnie jakie głupawe słuchowisko w odcinkach. Poprosiłem go, żeby przyciszył aparat, ponieważ oczekuję ważnego telefonu. Tak też zrobił, aczkolwiek niechętnie, i natychmiast wycofał się na zaplecze, skšd obserwował mnie jadowitym wzrokiem przez okienko.

Gdy na zegarze ciennym była dokładnie za minutę ósma, rozległ się natarczywy dzwonek telefonu. Popieszyłem do budki i starannie zamknšłem za sobš drzwi. Podnoszšc słuchawkę, mimo woli dygotałem.

Był to ten sam zimny, metaliczny głos.

Gage?

Przy aparacie.

Zrobię, jak kazałem?

Tak. Mam przy sobie pienišdze i jestem sam odparłem zbierajšc się na odwagę, gdyż tak bezwstydne kłamstwo, nawet wobec złodzieja, wzbudzało we mnie niesmak.

To uważaj. Wrócisz ze sto metrów szosš, którš tu przyjechała. Za remizš jest nieczynna stacja obsługi samochodów, białozielonoczerwona. Dalej odchodzi na południe piaszczysta droga. Pojedziesz niš z kilometr, aż zobaczysz biały płot ustawiony w poprzek drogi. Na oko blokuje przejazd, ale przeciniesz się po lewej stronie. Przyga wiatła i zjed ze wzgórza do kotliny poroniętej szałwiš. Zaparkuj tam, zga wiatła i czekaj. Kapewu?

Owszem odparłem lodowato. Zastosuję się cile do instrukcji.

Jeszcze jedno, brachu. W promieniu kilometra nie ma tam żadnego domu i nikt się tam nie kręci. Na dojazd masz dziesięć minut. Jeste pod obserwacjš. Bšd tam migiem i sam albo zobaczysz figę, nie kulki. I nie zapalaj żadnych wiateł, petów ani latarki. Zbieraj się.

W słuchawce zapadła cisza. Wszedłem z budki. Jeszcze nie zamknęły się za mnš drzwi drogerii, a już sklepikarz popędził do radia i nastawił je na cały regulator. Wsiadłem do samochodu, zawróciłem i zgodnie z poleceniem, cofnšłem się nieco Bulwarem Zachodzšcego Słońca. Mój przyjaciel leżał za mnš cicho jak mysz pod miotłš.

Teraz już byłem porzšdnie zdenerwowany, a tymczasem to Henry miał w swojej pieczy cały nasz

trunek. Nim się obejrzałem, mijaliśmy już remizę. Przez okno dostrzegłem czterech strażaków grających w karty. Za białozielonoczerwony stację obsługi samochodów skręciłem w prawo, na piaszczystą drogę, i w jednej chwili noc wypełniła taka cisza, że pomimo nikłego szumu samochodu słyszałem cykanie wierszczy i kumkanie rzekotek. Od pobliskiej sadzawki doleciał mnie ochrypły rechot samotnej ropuchy.

Droga to opadała, to znów się wznosiła. W oddali widać było żółte okno. Nagle, w mroku bezksiężycowej nocy, zamajaczyła przede mną niewyrana biała bariera zagrządzająca przejazd. Dostrzegłem lukę po lewej stronie, przygasilem wiatła, ostrożnie minąłem ogrodzenie i stromym, krótkim zboczem zjechałem do owalnej kotlinki otoczonej niskimi krzewami. Dookoła walały się

butelki, puszki i papierzyska, ale o tak późnej porze nie było tam nikogo. Zahamowałem, zgasilem silnik i wiatła i siedziałem bez ruchu z rękami opartymi na kierownicy.

Za moimi plecami Henry ani pisnął. Oczekałem z pięć minut, choć wydawało mi się, że trwa to o wiele dłużej, ale wciąż nic się nie działo. Było cicho, pusto i czułem się nieswojo.

W końcu usłyszałem za sobą lekki szelest. Odwróciwszy się ujrzałem bladą twarz Henryego, który patrzył na mnie spod dywanika.

Dzieje się co? wyszeptał ochrypłym głosem.

Zaprzeczyłem energicznym ruchem głowy, na co z powrotem zakrył twarz. Usłyszałem cichy bulgot.

Minął cały kwadrans, zanim znów odważyłem się poruszyć. Zdrętwiałem z napięcia. Wobec tego miałem otworzyć drzwi, wysiadłem i stanąłem na wyboistej ziemi. Nic się nie stało. Z rękami w kieszeniach zacząłem spacerować powoli tam i z powrotem. Mijała minuta za minutą. Gdy upłynęło ponad pół godziny, zniercierpliwilem się. Podszedłem do tylnej szyby samochodu i powiedziałem cicho:

Henry, obawiam się, że padliśmy ofiarą prymitywnego żartu. Poważnie się obawiam, że cała ta historia to tylko kiepski dowcip pana Gandesi w odwecie za to, jak go potraktowała wczoraj wieczorem. Nie ma tu nikogo, a dojechać można tylko z jednej strony. Wydaje mi się, że to najmniej stosowne miejsce na spotkanie, jakie nas czeka.

To sukiny! odszepnął Henry i w ciemnościach samochodu znów rozległ się cichy bulgot. Potem co się poruszyło, to mój przyjaciel uwalniał się od dywanika. Trzęciły mnie otwierane drzwi i ukazała się jego głowa. Siadł na stopniu wyszeptał. Ja wysiadam. Jeżeli filujecie na nas zza krzaków, to zobaczcie tylko jeden czerep.

Poszedłem za jego radą, nasunąłem kapelusz na oczy i postawiłem kołnierz. Henry wysiadł z samochodu jak cień, bezszelestnie zamknął drzwi i stanął przede mną, omiatając wzrokiem ograniczony horyzont. Widziałem słaby odblask wiatła na broni, którą trzymał w ręku. Czekał tak jeszcze dziesięć minut.

W końcu Henry zelił się i machnął ręką na dyskrecję.

Wystawili nas do wiatru! warknął. Wiesz, co się stało?

Nie, Henry. Nie mam pojęcia.

Chcieli cię wypróbować, ot co. Ci skubani tacy owacy sprawdzili gdzie po drodze, że połknął haczyk, a potem sprawdzili cię jeszcze tam w sklepie. Stawiam dwa koła rowerowe z czystej platyny, że ten telefon, co go tam odebrał, był zamiejskowy.

Rzeczywiście, Henry, teraz, kiedy o tym wspomniacie, też tak myślę przyznałem ze smutkiem.

A nie mówiłem? Nygusy nawet nie ruszyły tyłków z miasta. Grzeję sobie teraz nogi przy kominku i nabijam się z ciebie aż miło. A jutro facet znowu zadzwoni i powie, że klawo jest, ale muszę być ostrożni, więc tym razem masz być wieczorem na przykład w dolinie San Fernando, tyle że zapiewaj ci już dziesięć kawałków, niby za ekstra fatygę. Powinienem wrócić i tak potańcować z Gandesim, żeby go własna babka nie poznała.

No cóż, Henry, prawdę mówiąc ja również nie postąpiłem tak, jak mi kazali, ponieważ uparłem się jechać ze mną. Bardzo możliwe, że oni są sprytniejsi, niż ci się zdaje. W tej sytuacji uważam, że należy wrócić do miasta. Miejmy nadzieję, że jutro nadarzy się okazja, by jeszcze raz spróbować. Ale musisz mi solennie obiecać, że nie będziesz się wtręcał.

Gadaj zdrow! odciśnięcie się ze złociś. Gdyby nie ja, potańcowałiby z tobą jak kot z myszą. Równy z ciebie gość, Walter, ale o życiu to masz takie pojęcie, jakby się wczoraj urodził. Ci faceci to złodzieje i mają w garści kulki, za które wyciągnęliby ze dwadzieścia kawałków, jakby się do tego zabrali z głową. Chcę ubić szybki interes, ale spróbuję wydusić z ciebie, ile się da. Powinienem teraz wrócić do tej beki makaronu. Wykręciłbym mu parę takich numerów, o jakich nikomu się jeszcze nie udało.

No, no, Henry, nie bądź brutalny wtręciłem.

Ha! parsknął. Zaleli mi za skórę, gnojki jedne. Lewą ręką podniósł butelkę do ust i pociągnął z niej łąpczywie. Gdy się znów odezwał, mówił o kilka tonów ciszej i jakby spokojniej. Umoczn dzioba, Walter. Z imprezy kłapa.

Chyba masz rację, Henry przytaknąłem z westchnieniem. Wyznam ci szczerze, że od pół godziny ciska mnie w żołądku jak obcęgami.

Tak więc miałem stanąć obok niego i przepłukałem gardło solidną miarką wody ognistej. Natychmiast wróciła mi odwaga. Oddałem mu butelkę, on za postawił ją ostrożnie na stopniu samochodu. Stał obok mnie, podrzucając w szerokiej dłoni krótki pistolet samopowtarzalny.

Potrafię załatwić tych chłystków gołymi rękami. Do diabła z tym. Zamachnął się i cisnął pistolet w krzaki. Broń spadła na ziemię z głuchym odgłosem. Henry odszedł kilka kroków od samochodu, podparł się pod boki i zapatrzył w niebo.

Stanąłem koło niego, przyglądając się na ile to było możliwe w panujących ciemnościach jego

twarży. Ogarnęła mnie dziwna melancholia. W trakcie naszej krótkiej znajomości niezmiernie go polubiłem.

I co teraz, Henry? zapytałem. Jaki będzie następny ruch?

Po mojemu spływamy do domu odparł wolno, ponuro. I zalejemy robaka. Zaciśniętymi dłońmi w pięci i potrzęsnił nimi powoli.

Odwrócił się do mnie. Taaa mruknął. Nic tu po nas. Spływamy do domu, mały, tylko to nam zostało.

Niezupełnie, Henry rzekłem cicho.

Wyciągnąłem z kieszeni prawą rękę. Mam duże dłonie. W prawej niańczyłem rulon ćwierćdolarówek, który otrzymałem rano w banku. Zaciśnięta na monetach dłoń tworzyła olbrzymią pięć.

Żegnaj, Henry powiedziałem spokojnie i zamachnąłem się, wkładając w cios całą siłę i ciężar ciała. Dałem ci dwie szanse, Henry ciśnąłem. Trzeciej nie będzie.

Ale Henry już tego nie słyszał. Moja pięć, ciskająca ciężkie, zapakowane monety, trafiła go czysto i precyzyjnie w podbródek. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa runęły na twarz, ocierając się o mój rękaw. Szybko odskoczyłem na bok.

Henry Eichelberger leżał na ziemi bez ruchu, sflaczały jak gumowa rękawiczka.

Spoglądałem na niego ze smutkiem, czekając, aż się poruszy, lecz on ani drgnął. Leżał bezwładny, nieprzytomny. Wsunąłem monety z powrotem do kieszeni, pochyliłem się i zrewidowałem go dokładnie, obchodząc się z nim jak z workiem kartofli, ale minęło sporo czasu, zanim znalazłem perły. Miał je owinięte wokół kostki lewej nogi, pod skarpetką.

No i tak, Henry zwróciłem się do niego po raz ostatni, mimo iż nie mógł mnie słyszeć. Jeste wprawdzie złodziejem, ale prawdziwym dżentelmenem. Dzisiaj co najmniej dziesięć razy mogłem mi zabrać pieniądze, nie dając nic w zamian. Mogłem to zrobić przed chwilą, gdy trzymała pistolet, ale i to budziło w tobie wstręt. Wyrzuciła broń i stanęliśmy twarzą w twarz, sami, zdani tylko na własne siły. Ale nawet wtedy się zawahała. Prawdę mówiąc, Henry, jak na dobrego złodzieja wahała się zbyt długo. Lecz jako człowiek doceniający sportową postawę, tym wyżej cię cenię. Żegnaj, Henry, i powodzenia.

Wyjąłem z portfela sto dolarów i ostrożnie wsunąłem mu je do kieszeni, w której jak zauważyłem nosił pieniądze. Następnie wróciłem do samochodu, wypiąłem łyk whisky, mocno zakorkowałem butelkę i położyłem ją obok Henrygo tak, by miał ją pod ręką.

Nie wątpię, że ocknąwszy się, będzie jej potrzebował.



Kiedy wróciłem do domu, było już po dziesiątej, lecz czym prędzej podszedłem do telefonu i zadzwoniłem do Ellen Macintosh.

Kochanie! zawołałem. Mam perły.

Usłyszałem, jak gwałtownie wciśga powietrze po drugiej stronie sznura.

Mój ty kochany. Jej głos zdradzał napięcie i podniecenie. I nic ci się nie stało? Nie zrobili ci nic złego? Wzięli tylko pieniądze i pucili cię wolno?

Nie oni, bo żadnych onych nie było odparłem z dumą. Pieniądze pana Gallemorea nadal mam nietknięte. Był tylko Henry. Henry?! krzyknęła zmienionym głosem. A ja myślałam Walterze Gage, przyjeżdżaj tu natychmiast i wyjanij mi

Mój oddech zdradza, że piłem whisky, Ellen.

Widocznie była ci potrzebna, kochanie! Przyjeżdżaj natychmiast.

Tak więc raz jeszcze wyszedłem z domu, pojechałem szybko do Carondelet Park i ani się obejrzałem, a już byłem w rezydencji pani Penruddock. Ellen oczekiwała mnie na werandzie. Trzymaj się za rękę, rozmawialimy tam szeptem, ponieważ domownicy już spali. Najprościej, jak potrafiłem, opowiedziałem jej całą historię.

Kochanie, ale skąd wiedziała, że złodziejem jest Henry? zapytała w końcu. Zdawało mi się, że on był twoim przyjacielem. A ten drugi człowiek, z którym rozmawiała przez telefon

Henry rzeczywiście był moim przyjacielem przyznałem ze smutkiem. I właśnie to go zgubiło. Co się za tyczy mojego rozmówcy, to bez trudu można było załatwić taką błażostkę. Henry wielokrotnie rozstawał się ze mną i mógł to zorganizować. Ale pewien drobiazg dał mi wiele do myślenia. Kiedy wręczyłem Gandesiemu wizytówkę z dopisanym adresem, Henry musiał przekazać tę wiadomość swojemu wspólnikowi. Mój głupi a może nie taki znów głupi pomysł wizyty u któregoś ze znanych przestępców dawał Henryemu możliwość przekonania mnie, iż ów telefon jest wynikiem naszej rozmowy z Gandesim. Skoro jednak po raz pierwszy zadzwoniono do mnie, zanim jeszcze Henry miał okazję porozumieć się ze wspólnikiem, było jasne, że kryje się za tym jakiś podstęp. Aż wreszcie przypomniałem sobie, że po drodze mieliśmy kraksę i Henry wysiadł naubliżać kierowcy. Było to, ma się rozumieć, planowe zderzenie, które Henry celowo sprowokował, a kierowca tamtego samochodu był oczywiście jego wspólnik. I w ten oto sposób, pod pretekstem sztorcowania sprawcy wypadku, Henry zdołał przekazać mu niezbędne informacje.

Ależ Walterze, opowiadasz mi tu o drobiazgach zaprotestowała Ellen, wysłuchawszy niecierpliwie mego wyjanienia. A ja się chcę dowiedzieć, skąd wpadła na pomysł, że Henry w ogóle ma te perły?

Przecież sama mi o tym powiedziała odparłem. Była o tym więc przekonana. Henry to wyjątkowo twarda sztuka. Byłoby to do niego bardzo podobne, gdyby ukrył gdzieś naszyjnik, nie obawiając się policji, i zmienił posadę, by po dłuższym czasie wyciągnąć perły z kryjówki i spokojnie opuścić te strony.

W ciemnościach werandy Ellen potrząsnęła głową niecierpliwie.

Walterze, ty co przede mną ukrywasz stwierdziła ostro. Nie mogły być tego pewny, a nie mając absolutnej pewności, nie potraktowałby Henrygo tak brutalnie. Dobrze cię znam.

No cóż, kochanie rzekłem skromnie. Istotnie, była jeszcze jedna wskazówka, jeden z tych głupich szczegółików, które umykają uwagi nawet najbystrzejszych ludzi. Jak wiesz, nie korzystam z centrali telefonicznej w moim bloku, ponieważ nie życzę sobie, żeby mi się naprzykrzali akwizytorzy i im podobni. Mam telefon bezprecedensowy, co więcej zastrzeżony. A jednak wspólnik Henrygo zadzwonił do mnie właśnie pod ten numer. Henry dużo czasu spędził w moim mieszkaniu, a ja przewidując nie podałem panu Gandesi tego telefonu, bo naturalnie nie liczyłem na jego pomoc. Od samego początku byłem pewny, że to Henry ma perły i że muszę tylko znaleźć sposób, aby wyciągnąć je z kryjówki. Kochanie! zawołała Ellen, zarzucając mi ręce na szyję. Taki jesteś dzielny! Naprawdę uważam, że jesteś bardzo mądry, na swój przedziwny sposób. Wierzysz, że Henry się we mnie kochał, powiedz?

Jednakże ten temat nie interesował mnie w najmniejszym stopniu. Zostawiłem naszyjnik pod opieką Ellen i mimo późnej pory, bez zwłoki pojechałem do rezydencji pana Lansinga Gallemorea, gdzie zrelacjonowałem mu całą historię i zwróciłem pieniądze.

Kilka miesięcy później wielką radość sprawił mi list nadany w Honolulu i skrelony na papierze bardzo poledniego gatunku.

Ale mnie, bracie, zamalował w tę niedzielę, ani bym się tego po Tobie spodziewał, choć oczywiście nie byłem przygotowany. Majstersztyk. Przez tydzień myślałem o Tobie za każdym razem, jak szorowałem zęby. Szkoda, że musiałem nawiać, bo jesteś swój chłop, chociaż stuknięty, i wolałbym siedzieć teraz z Tobą, zamiast czyścić zawory, w czym właśnie robię ładne parę tysięcy kilometrów od miejsca, gdzie nadali ten list. Chcę tylko, żeby wiedział dwie rzeczy, nic nie zalewam. Naprawdę mnie wzięła ta wysoka blondyna i to był główny powód, dla którego urwałem się z roboty u starszej pani. A zakosić perły to był durny pomysł z tych, co to przychodzi do głowy, jak się człowiek zabija w panience. Żal było patrzeć, jak trzymali te kulki w tym pudełku na chleb, a że robiłem kiedyś w Dziubuti u Żabojada, to poznam co perła, a co piguła ze niegu. Ale jak przyszło co do czego tam w krzakach, jakemy zostali sam na sam, to zmiękłem i nie potrafiłem ubić interesu. Powiedz tej blondynie, co już zaobserwowałem, że o nią pytałem.

Jak zawsze Twój,

Henry Eichelberger (Alias)

PS. Ten palant od telefonów chciał wycyckać ode mnie pół paczki, co mi już wsadził do kieszeni, masz pojęcie? Musiałem frajera zwyobracać na fest.

Twój Henry Eichelberger (Alias)

GAZ SKAZAŃCÓW

1.

Hugo Candless, zginając w pasie potężne ciało, stał na rodku kortu do gry w squasha. Kciukiem i palcem wskazującym lewej ręki delikatnie trzymał małą czarną piłkę. Upuścił ją tuż przy linii serwisowej i zamachnął się rakieta o długiej ręczce.

Czarna piłka trafiła w przednią cianę mniej więcej na rodku jej wysokości, odbiła się i poszybowała wysokim, leniwym łukiem, nieomal muskając sufit i lampy osłonięte drucianą siatką. Zeliznęła się ospale po tylnej cianie, dotykając jej za lekko, by mogła się odbić.

George Dial złożył się od niechcenia i grzmotnął rakieta w cementowy mur. Piłka upadła i znieruchomiała.

I to by było na tyle, szefie. Dwadzieścia jeden do czternastu. Jak dla mnie, jesteście za dobrzy.

George Dial był wysoki, ciemnowłosy, przystojny. W hollywoodzkim typie. Niady i szczupły, wyglądał na twardego faceta, który dużo przebywa na słońcu. Bo też wszystko w nim było twarde, pomijając jego pełne, miękkie wargi i olbrzymie krowie oczy.

Włanie. Zawsze byłem dla ciebie za dobrzy zarechotał Candless.

Przebiegł się do tyłu i wybuchnął miechem, szeroko otwierając usta. Jego piersi i gruby brzuch błyszczały od potu. Za cały strój służyły mu tylko niebieskie szorty, białe wełniane skarpety i trampki na grubej gumowej podeszwie. Miał szpakowate włosy, twarz okrągłą jak księżyc w pełni, mały nos i usta oraz przebiegłe, błyszczące oczy.

Spuścić ci jeszcze raz manto? zapytał.

Nie, chyba że musisz.

Candless spojrzał na Diala spodobał się.

Nie, to nie odburknął. Wsadził rakieta pod pachę i wyciągnął z kieszeni szortów ceratowy kapciuch, a z niego papierosa i zapalniczkę. Przypalił papierosa zamazując i rzucił zapalniczkę na radek kortu, skąd powinien ją podnieść ktoś inny.

Gwałtownie otworzył drzwi sali i z wypiętą piersią przedelfilował korytarzem do szatni. Dial bez słowa ruszył za nim bezszelestnie jak kot, gładko i z wdziękiem. Weszli pod natrysk.

Candless piewał pod prysznicem, obficie namydlając swe potężne ciało, a potem wskoczył z gorzej wody pod lodowatą. Lubił to. Bez popiechu wytarł się do sucha, wziął wieży ręcznik i dumnie jak paw wymaszerował z łani, wrzeszcząc na kelnera, żeby podał lód i piwo imbirowe.

Murzyn w wykrochmalonej białej marynarce czym prędzej zjawił się z tacą. Candless zamazystym ruchem podpisał czek, otworzył swoją wielką, podwójną szafkę i stuknął butelką Johnny Walkera w okrągły zielony stolik, zajmujący wnękę koło szafki.

Kelner pieczołowicie zmieszał dwa koktajle, bšknšł:

Tak, dziękuję, panie Candless i odszedł, ciskajšc ćwierć dolara.

George Dial, ubrany w elegancki garnitur z szarej flaneli, wyszedł zza rogu i podniósł jednš ze szklanek.

To jak, szefie, na dzi koniec? spytał, zwężonymi oczyma obserwujšc napój pod wiatło.

Chyba tak odparł Candless wielkodusznie. Chyba wróće do domu i wezmę kobitkę w obroty.

Może pojechałby dzisiaj beze mnie? rzucił Dial od niechcienia.

Mnie tam za jedno. To Naomi będzie zawiedziona odparł Candless nieprzyjemnym tonem.

Dial cmoknšł cicho i wzruszył ramionami.

Lubisz wkurzać ludzi, co, szefie?

Candless nie odpowiedział, nawet na niego nie spojrział. Dial w milczeniu popijał koktajl, patrząc, jak jego szef wkłada jedwabnš bieliznę z monogramem, fioletowe skarpetki z szarym szlaczkiem, jedwabnš koszulę, również znaczonš inicjałem, i garnitur w czarnobiałš pepitę, w którym wydawał się wielki jak stodoła.

Zawišzujšc fioletowy krawat, Hugo wrzeszczał na czarnego, Źeby przyszedł zmieszać następný koktajl.

Dial wymówił się od drugiej szklanki, skinšł głowš i odszedł, stšpajšc bezszelestnie po chodniku wyciełajšcym podłogę między wysokimi zielonymi szafkami.

Candless skończył się ubierać, wypił drugi koktajl, zamknšł butelkę w szafce i włożył do ust bršzowe cygaro. Poczekał, aż czarny mu je przypali, i opucił salę dostojnym krokiem, Źegnany przez niektórych gromkimi okrzykami.

Gdy wyszedł, zdawało się, Źe w szatni zapanowała nienaturalna cisza. Ten i ów parsknšł.

Na dworze padało. Portier klubu Delmar pomógł Candlessowi uporać się z białym, zapinanym na pasek deszczowcem i poszedł sprowadzić jego samochód. Póniej osłaniał Huga parasolem, eskortujšc go do krawężnika. Czekał tam juŹ Lincoln granatowa limuzyna w płowe pasy, o numerze rejestracyjnym 5A6.

Szofer w czarnym deszczowcu z wysoko postawionym kołnierzem nawet się nie obejrzał. Portier otworzył drzwiczki. Hugo Candless wsiadł i opadł ciężko na tylne siedzenie samochodu.

Dobranoc, Sam. KaŹ mu jechać do domu.

Portier dotknšł palcem czapki, zatrzasnšł drzwi i przekazał polecenie kierowcy, który skinšł głowš

nie odwracając się. Samochód odjechał w ulewę.

Zacinający deszcz bębnił o szyby wozu, miotany nagłymi podmuchami wiatru u wylotów ulic. Na skrzyżowaniach ludzie zbijali się w gromadki, usiłując przejść na drugą stronę Bulwaru Zachodźcego Słońca tak, by ich nie ochlapano. Candless umiechał się do nich z politowaniem.

Samochód zjechał z bulwaru, minął Sherman i skręcił w stronę wzgórz. Pędził coraz szybciej. O tej porze ruch na bulwarze był niewielki.

W limuzynie zrobiło się gorąco. Okna były zamknięte, a szklana przegroda, tuż za plecami szofera, zasunięta. Z tyłu samochodu wisiał gęsty, duszący dym z cygara Huga.

Candless skrzywił się gniewnie i szarpnął za gałkę do opuszczania szyby. Ani drgnęła. Spróbował z drugiej strony. Także bez skutku. Z narastającą wciekłością sięgnął po słuchawkę telefonu, żeby zwymyślać szofera. Ale słuchawki nie było.

Samochód wziął ostry zakręt i zaczął pić się na wzgórzu długą, prostą drogą, wysadzaną z jednej strony eukaliptusami. Wokół nie było ani jednego domu. Candless poczuł zimne ciarki przechodzące po kręgosłupie, od krzyża po kark i z powrotem. Nachylił się i załomotał pięcią w szybę. Kierowca nie zareagował. Samochód pędził pod górę długą, ciemną szosą.

Rozwieszony Hugo sięgnął do klamki. Drzwi nie miały klamki ani z jednej, ani z drugiej strony. Okręglą jak księżyc w pełni twarz Candlessa wykrzywił pełen udręki i niedowierzania grymas.

Kierowca pochylił się w prawo, sięgając po coś dłonią w rękawiczce. Rozległ się ostry syk. Candless poczuł zapach migdałów.

Z początku bardzo słaby słaby i nawet dosyć przyjemny. Syczenie nie ustawało. Zapach migdałów stał się gorzki, ostry, miertelny. Upuścił cygaro i z całej siły zaczął grzmocić pięcią w najbliższe okno. Szkło nie pękło.

Samochód był już na wzgórzach, z dala nawet od sporadycznych latarni w dzielnicach willowych.

Candless opadł z powrotem na siedzenie i uniósł nogę, by wykopać szklaną przegrodę przed sobą. Ale do kopnięcia nie doszło. Jego oczy już nie widziały. Twarz wykrzywił grymas, głowa uderzyła w zagłówek, opadła na szerokie barki. Miękki, biały pilniowy kapelusz spoczywał bezkształtnie na wielkiej, kwadratowej czaszce.

Kierowca obejrzał się szybko, przez okamgnienie ukazując chudą, ptasią twarz. Znow pochylił się w prawo i syczenie ustało.

Zjechał na pobocze opustoszałej szosy, zahamował i wygasił wiatła. Deszcz bębnił głucho o dach.

Kierowca wysiadł na deszcz, otworzył tylne drzwi wozu i szybko odskoczył do tyłu, zaciskając nos.

Przez pewien czas stał z dala od samochodu, obserwując drogę.

Na tylnym siedzeniu limuzyny Hugo Candless leżał bez ruchu.

2.

Francine Ley siedziała w niskim czerwonym fotelu, przy stoliku, na którym stała alabastrowa misa. Z papierosa, którego dopiero co do niej wrzuciła, ulatywał dym, tworząc w stojącym ciepłym powietrzu fantazyjne wzory. Dziewczyna splotła ręce za głowę; jej zamglone niebieskie oczy spoglądały leniwie, kusząco. Miała ciemnokasztanowe, luno wijące się włosy. W załamaniach fal kładły się niebieskie cienie.

George Dial nachylił się i mocno pocałował ją w usta. Pocałunek rozpałił mu wargi, przyprawił o dreszcz. Dziewczyna siedziała nieruchomo. Kiedy się wyprostował, obdarzyła go leniwym uśmiechem.

To jak, Francie powiedział Dial ochryple, zacinając się. Kiedy pucisz kantem tego hazardzistę i pozwolisz, żebym cię ustawił?

Francine Ley wzruszyła ramionami, nie przesuwając splecionych rąk.

Jest hazardzistą, ale uczciwym wycedziła. To dzisiaj rzadkość, George, a ty i tak nie masz dość forsy.

Zdobędę.

Jak? Głos miała niski, głęboki. Rozczulał Georgea niczym brzmienie wiolonczeli.

Od Candlessa. Wiem to i owo o tym ptaszku.

Na przykład? podsunęła leniwie.

Umiechnął się do niej łagodnie. Zrobił okrągłe oczy, udając niewiniątko. Spostrzegła, że białka jego oczu wcale nie są białe.

Pomachał nie zapalonym papierosem.

Kupę rzeczy na przykład, jak to zeszłego roku wykołował jednego gangstera z Reno. Przyrodni brat gangstera siedział tu oskarżony o morderstwo, a Candless wziął dwadzieścia pięć kawałków za to, że go wywinie od stryczka. Ale dogadał się z prokuratorem okręgowym w innej sprawie i pozwolił, żeby braciszek dostał czapę.

A co na to ten gangster? spytała łagodnie.

Nic na razie. Pewnie nie podejrzewa szwindlu. Każdy od czasu do czasu przegrywa.

Ale gdyby wiedział, mógłby narozrabiać stwierdziła Francine Ley, kiwając głowę. Jak się nazywa ten gangster, Georgie?

Dial ciszył głos i znów się nad niś pochylił.

Chyba zgłupiałem do reszty, że ci to mówię. Nazywa się Zapparty. Nie znam go.

I módl się, żeby go nie poznał jeżeli masz za grosz rozsǳdku. Nie, dzięki, nie mam ochoty wpakować się z tobś w takś kabałę.

Umiechnś się lekko. Jego równe zęby błysnęły na tle ciemnej, gładkiej twarzy.

Zostaw to mnie, Francy. Zapomnij o tym. Pamiętaj tylko, jak za tobś szaleję.

Zrób co do picia powiedziała.

Znajdowali się w utrzymanym w tonacji białoczerwonej salonie apartamentu hotelowego. Wystrój wnętrza był przeładowany, zbyt sztywny. Białe ciany zdobiły czerwone malowidła, białe kotary tworzyły oprawę dla białych żaluzji, przed kominkiem gazowym leżał półkolisty czerwony dywan z białś lamówkś. Przy cianie, między oknami, stało białe biurko w kształcie nerki.

Dial podszedł do biurka i nalał szkockiej do dwóch szklanek. Dodał lodu i wody sodowej i wrócił ze szklankami na drugś stronę pokoju, gdzie cienka smuga dymu wciśż ulatywała z alabastrowej misy.

Puć go kantem doradził podajśc dziewczynie napój. To on cię wpakuje w kabałę, nie ja.

Upiła łyk, skinęła głowś. Dial odebrał jej szklankę, przytknś usta do jej krawędzi w miejscu, którego dotykały wargi dziewczyny, i też się napił. Trzymajśc obie szklanki, pochylił się i znów jś pocałował w usta.

W drzwiach prowadzścych z salonu do krótkiego korytarza wisiały czerwone zasłony. Rozsunęły się o kilka centymetrów i w szparze ukazała się twarz mężczyzny. Zimne szare oczy w zamyleniu obserwowały pocałunek. Zasłony opadły bezszelestnie.

Po chwili głono trzasnęły drzwi i w korytarzu rozległy się kroki. W chwili, gdy zza zasłony wszedł do salonu Johnny De Ruse, Dial przypalał już sobie papierosa.

Johnny De Ruse był wysoki, szczupły, spokojny. Nosił ciemny, wystrzałowy garnitur. Drobne zmarszczki w kścikach jego zimnych szarych oczu zdradzały wesołe usposobienie. Miał delikatne, lecz wcale nie miękkie wśskie usta i dołeczek w brodzie.

Dial wlepił w niego wzrok i niezobowiszujśc machnś rękś. De Ruse bez słowa podszedł do biurka, nalał sobie whisky i wypił jś jednym haustem.

Przez chwilę stał twarżś do ciany, bębniśc palcami w blat biurka. Nagle odwrócił się z nikłym umiechem.

Sie macie! rzucił miękkim, przeciśgłym głosem i wyszedł do śśsiedniego pokoju.

Znalazł się w wielkiej, przesadnie umeblowanej sypialni, wyposażonej w dwa blińiacze łóżka.

Zajrzał do szafy w cianie, wyciągnął brązową walizkę z cielej skóry i położył ją na łóżku. Opróżnił szuflady komody i starannie, bez popiechu zaczął się pakować, pogwizdując przez zęby.

Zamknął spakowaną walizkę i zapalił papierosa. Stał na rodoku pokoju, wpatrując się w cianę niewidzącym wzrokiem.

Po chwili znów zajrzał do szafy w cianie i wrócił z małym pistoletem w miękkiej skórzanej kaburze mocowanej na dwa krótkie paski. Podwinął lewą nogawkę i przypiął kaburę do nogi. Dopiero wtedy podniósł walizkę i wrócił do salonu.

Na widok bagażu Francine Ley przymrużyła oczy.

Wybierasz się gdzie? spytała swym niskim, głębokim głosem.

Uhm. Gdzie Dal?

Już poszedł.

Szkoda stwierdził cicho De Ruse. Postawił walizkę na podłodze i stał, wodząc zimnymi szarymi oczyma po twarzy dziewczyny, po jej szczupłym ciele, od kostek do kasztanowych włosów. Bardzo szkoda powtórzył. Lubię, jak się tu kręci. Ja jestem dla ciebie za nudny.

Może i masz rację, Johnny.

Sięgnął po walizkę, lecz wyprostował się nie dotykając jej.

Pamiętasz Mopsa Parisi? rzucił od niechcienia. Widziałem go dzisiaj na mieście.

Zrobiła okrągłe oczy, zmrużyła je szybko i zadzwoniła zębami. Przez chwilę obserwował ostry zarys jej szczęki.

Nadal mierzył ją wzrokiem od stóp do głów.

Masz w związku z tym jakie plany? zapytała.

Mylałem, żeby się wybrać w podróż odparł. Nie jestem już taki chojrak jak kiedyś.

Nawiewasz stwierdziła cicho. Dokąd jedziemy?

Ja nie nawiewam wybieram się w podróż sprostował bezbarwnym tonem. I nie my, tylko ja. Wyjeżdżam sam.

Siedziała bez ruchu, patrząc mu prosto w oczy. Na jej twarzy nie drgnął ani jeden mięsień.

Johnny sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął długi, otwierany jak książka portfel. Rzucił dziewczynie na kolana plik banknotów. Nie dotknęła ich. Zanim ci się skończy, dawno już przygadasz sobie takiego, co się tobą zaopiekuje powiedział beznamiętnie. Ale nie mówię, że ci nie



podele więcej, jakby była w potrzebie.

Wstała powoli, nie zwracając uwagi na banknoty, które zsunęły jej się po spódnicy na podłogę. Zwiesiła ręce, zaciskając pięści tak, że kostki na dłoniach zarysowały się ostro. Jej oczy zgasły jak zdmuchnięta wieca.

To znaczy, że z nami koniec, Johnny?

Dwignął walizkę. Dwoma szybkimi krokami zagroziła mu drogę i dotknęła jego marynarki. Stał bez ruchu, umieszczając się oczami. Podrażnił go zapach perfum Shalimar.

Wiesz, co ty jeste, Johnny? Jej głęboki głos przypominał syk.

Czekał.

Frajer jeste, Johnny. Frajer.

Skinął lekko głowę.

Jasne. Bo napuciałem gliny na Mopsa Parisi. Porywanie ludzi dla okupu mnie nie bawi, złotko. Za takie co każdego wydałbym gliniarzom, zawsze i wszędzie. Choćby mi to miało nie wyjść na zdrowie. Ale to już znasz na pamięć. Skończyła?

Wydała Mopsa Parisi gliniarzom i mylisz, że o tym nie wie. Ale on może wiedzieć, więc uciekasz przed nim. Porzucając mnie.

Może po prostu mam cię doć, skarbie.

Odrzuciła głowę do tyłu i rozemiała się ochryple. W jej miechu pobrzmiwała wciekłość. De Ruse stał niewzruszony.

Ty wcale nie jeste twardy, Johnny. Jeste mięczak. To już George Dial jest twardszy. Boże, ale z ciebie mięczak!

Odsunęła się i utkwiała wzrok w twarzy mężczyzny. W jej oczach mignęła i zgasła nieznona udręka.

Przystojny z ciebie szczeniak, Johnny. Boże jedyny, ale ty przystojny. Szkoda, że jeste taki miękki.

Nie, złotko, nie miękki, tylko sentymentalny odparł łagodnie, nie ruszając się z miejsca. Lubię obstawiać konie, siść do partyjki pokera czy pobawić się czerwonymi kostkami w białe ćetki. Lubię hazard, w tym także kobiety. Ale jak przegrywam, nie wnerwiam się ani nie kantuję. Po prostu zmieniam stolik. To na razie!

Schylił się, podniósł walizkę i wyminął dziewczynę. Nie odwracając się, zniknął za zasłoną po drugiej stronie pokoju.

Francine Ley wbiła wzrok w podłogę.

3.

Stojąc pod szklanym daszkiem w kształcie muszli, który osłaniał boczne wejście do hotelu Chatterton, De Ruse rozejrzał się po Irolo, zerknął na jarzące się wiatła Wilshire i obrzucił wzrokiem ciemny, spokojny wylot przecznicy.

Padał drobny, zacinający deszcz. Niesiona wiatrem kropla wpadła pod daszek i z sykiem trafiła na rozżarzony koniuszek jego papierosa. Dwignął walizkę i ruszył do samochodu, który zaparkował przy następnej przecznicy Irolo. Był to lniący czarny Packard, tu i ówdzie dyskretnie zdobiony chromem.

Pochylił się i otworzył drzwiczki wozu. Z samochodu niespodziewanie wysunął się pistolet i szturchnął go w pier.

Spokojnie! warknął czyj głos. Łapki w górę, słoneczko!

De Ruse widział niewyraźną sylwetkę mężczyzny w samochodzie, jego szczupłą twarz, której rysów w odbitym wietle nie był w stanie rozróżnić. Czuł, jak pistolet uciska mu pier, bólenie wgniatając mostek. Usłyszał za sobą szybkie kroki i następny pistolet dgnął go w plecy.

Teraz lepiej? zapytał drugi głos.

De Ruse upucił walizkę, podniósł ręce i oparł je na dachu samochodu.

W porządku odezwał się ze znużeniem. Co to ma być napad?

Mężczyzna w samochodzie parsknął miechem. Ten z tyłu poklepał Johnnynego po biodrach.

Cofnij się tylko powoli!

De Ruse cofnął się, podnosząc ręce jak najwyżej.

Nie tak wysoko, palancie ostrzegł go ten z tyłu. Na kark.

De Ruse opuścił ręce nieco niżej. Ten z samochodu wysiadł i wyprostował się. Znow wbił pistolet w pier Johnnynego, wyciągnął długą rękę i rozpiął mu płaszcz. De Ruse odchylił się do tyłu. Facet o długiej ręce przeszukał mu kieszenie, obmacał go pod pachami. Trzydziestka ósemka w elastycznej kaburze przestała mu ciążyć pod ramieniem.

Jednego gnata znalazłem, Chuck. A ty?

Na biodrach czysty.

Ten z przodu cofnął się i podniósł walizkę.

Ruszaj, słoneczko. Pojedziesz nasz gablot.

Przeszli do stojącego nieco dalej Lincolna granatowej limuzyny w janiejsze pasy. Mężczyzna o ptasiej twarzy otworzył tylne drzwiczki.

Wskakuj.

De Ruse obojętnie wykonał polecenie. Schylając się do samochodu, wypuścił niedopałek papierosa w mokrą ciemność. Uderzył go lekki zapach przejrzałych brzoskwiń, a może migdałów. Wsiadł do limuzyny.

Wskakuj do tyłu, Chuck.

Słuchaj, jedmy obaj z przodu. Dam sobie radę z

Nic z tego. Wskakuj do tyłu! warknął ten o ptasiej twarzy.

Chuck sarkając usiadł obok De Rusea. Jego kompan mocno zatrzęsł drzwi wozu. Przez zamknięte okno widzieli, jak ptasiś twarz wykrzywia sardoniczny uśmiech. Mężczyzna usiadł za kierownicą, zapuścił silnik i oderwał samochód od krawężnika.

De Ruse pociągnął nosem, wdychając dziwny zapach.

Na skrzyżowaniu skręcili na wschód w Ósmą, potem na północ, w Normandię, przecięli Wilshire i kilka innych przecznic i pokonawszy strome wzgórze, dotarli do Melrose. Siąpiło. Olbrzymi Lincoln sunął bezszelestnie. Chuck siedział w samym rogu, trzymając broń na kolanach i łypiąc spode łba. Uliczne latarnie wydobywały z mroku jego twarz kwadratową, czerwona, arogancką. A przede wszystkim zdradzającą niepokój.

Głowa kierowcy za szklaną przegrodą ani drgnęła. Minęli Bulwar Zachodzącego Słońca i Hollywood, skręcili na wschód w aleję Franklina, a potem na północ do Los Feliz, skąd zjechali ku rzece.

Wjeżdżając na wzgórze samochody zalały nagle wnętrza Lincolna jaskrawym światłem. De Ruse zebrał się w sobie i czekał. Kiedy następne reflektory trafiły w limuzynę, schylił się szybko i podcisnął lewą nogawkę. Zanim olepiające światło przesunęło się dalej, siedział już wygodnie oparty.

Chuck nie poruszył się, nic nie zauważył.

U stóp wzgórza, na rogu Riverside Drive, spod zmieniających się wiatel ruszyła na nich cała falanga samochodów. De Ruse wyczekał na odpowiedni moment, wyliczył, kiedy zostaną olepieni. Schylił się w mgnieniu oka, opucił rękę i wyrwał mały pistolet z kabury na nodze.

Znow oparł się wygodnie. Przy lewym udzie trzymał broń, ukrytą przed wzrokiem Chucka.

Lincoln wpadł w Riverside i minął bramę parku Griffitha.

Dokąd jedziemy, palancie? zapytał De Ruse obojętnie.

Stul pysk! warknął Chuck. Zobaczysz.

To chyba nie napad, co?

Stul pysk! powtórzył Chuck.

Robicie to dla Mopsa Parisi? spytał Johnny powoli, cienkim głosem.

Rewolwerowiec o nabiegłej krwiś twarzy poderwał się, unosząc broń z kolan.

Stul pysk, powiedziałem! ryknął. Przykro mi, palancie rzekł De Ruse. Wysunął pistolet ponad udo, wycelował szybko i lewą ręką nacisnął spust. Rozległ się cichy, głuchy wystrzał dźwięk niemal bez znaczenia.

Chuck zawył, a jego ręka podskoczyła gwałtownie. Wypuścił broń, która potoczyła się na podłogę wozu, i lewą dłoń zacisnął na prawe ramię.

De Ruse przełożył mausera do prawej ręki i wbił lufę głęboko w bok gangstera. Spokojnie, chłoptasiu, tylko spokojnie. Niech cię aby ręce nie wierzbiś. A teraz kopnij no tu tę armatę razdwa!

Rewolwerowiec pchnął nogą wielki pistolet samopowtarzalny. De Ruse schylił się i podniósł go zwinnie. Kierowca o ptasiej twarzy szarpnął głową, oglądając się za siebie. Samochód lekko zarzucił, po czym znów jechał prosto.

Johnny zważył w dłoni wielki pistolet. Jego mauser nie nadawał się na pałkę, był za lekki. Mocno uderzył Chucka w skroń. Ten jęknął i osunął się do przodu, zginając wyciągnięte niczym szpony palce.

Gaz! wybełkotał. Gaz! On tu wpuci gaz!

De Ruse przyłożył mu jeszcze raz, mocniej. Chuck zwałił się bezwładnie na podłogę.

Lincoln skręcił w Riverside i minawszy krótki mostek i alejkę do jazdy konnej, wjechał na wąską piaszczystą drogę, która przecinała pole golfowe i ginęła w ciemnościach między drzewami. Pędzący samochód kołysał się z boku na bok, jak gdyby o to właśnie kierowcy chodziło.

Johnny zbierał się w sobie, macając drzwi w poszukiwaniu klamki. Ale klamki nie było. Bezgłonie poruszył ustami, z całej siły walił pistoletem w szybę. Grube szkło przypominało kamienny mur.

Kierowca pochylił się i rozległ się syk. Zapach migdałów nagle przybrał na sile.

De Ruse wyrwał z kieszeni chusteczkę i przycisnął ją do nosa. Mężczyzna o ptasiej twarzy wyprostował się i zaraz zgarbił, prowadząc z nisko pochyloną głową.

Johnny przytknął lufę wielkiego pistoletu do szklanej przegrody za głową kierowcy, który rzucił się w bok. Wystrzelił szybko cztery razy pod rząd, zamykając oczy i odwracając się niczym znerwicowana panienka.

Szkoło się nie rozprysło. Gdy otworzył oczy, ujrzał wyszczerbionš, okršglš dziurę w przegrodzie. Przednia szyba wozu na wprost otworu była popękana, ale nie stłuczona.

Zaczšł walić pistoletem w otwór w przegrodzie. Udało mu się wybić kawałek szkła. Teraz juź wchłaniał gaz poprzez chusteczkę. Czuł, że głowę ma wielkš jak balon. Wszystko falowało, rozpływało się przed oczami.

Kierowca, nadal skulony, otworzył drzwi po swojej stronie, obrócił kierownicę w przeciwnym kierunku i wyskoczył z wozu.

Samochód pokonał niskš skarpę, okręcił się i wpał bokiem na drzewo. Karoseria wygięła się; tylne drzwi po jednej stronie wozu puciły.

De Ruse wyskoczył szczupakiem. Upadek na miękks ziemię pozbawił go tchu, lecz wkrótce zaczerpnšł wieżego powietrza. Przetoczył się na brzuch, oparł na łokciach i trzymajšc głowę przy samej ziemi, uniósł broń.

Męczyzna o ptasiej twarzy klęczał jakie dziesięć metrów dalej. Johnny widział, jak wycišga pistolet z kieszeni i składa się do strzału.

Broń Chucka zagrzmiała w dłoni Johnnyego. Umilkła dopiero, gdy magazynek był pusty.

Męczyzna o ptasiej twarzy powoli zgišł się wpół. Jego sylwetka złała się z czarnymi cieniami i mokrš ziemiš. W oddali, na Riverside Drive, przejeżdżały samochody. Z drzew spadały krople deszczu. Reflektor patrolowy w parku Griffitha omiół ołowiane niebo. Poza tym była tylko ciemność i cisza.

De Ruse odetchnšł gęboko. Wstał, wyrzucił pusty pistolet i wycišgnšł z kieszeni płaszcz małš latarkę. Zakrył usta i nos klapš płaszcz, mocno przyciskajšc gruby materiał do twarzy, i podszedł do samochodu. Zgasił wiatła i skierował promień latarki na schowek. Nachylił się szybko i przekręcił kurek miedzianego, przypominajšcego ganicę pojemnika. Gaz przestał syczeć.

Poszedł sprawdzić, co z kierowcš. Był martwy. W kieszeniach miał nieco drobnych, papierosy i firmowe zapałki klubu Egipt. Portfela nie było. De Ruse znalazł jeszcze dwa zapasowe magazynki do pistoletu i swójš trzydziestkę ósemkę. Schował jš na miejsce i wstał znad leżšcych na ziemi zwłok.

Spojrzał na wiatła Glendale po drugiej stronie ciemnego koryta rzeki. Stosunkowo blisko mrugał zielony, oddalony od innych neon z napisem: Klub Egipt.

Johnny umiechnšł się pod nosem, wrócił do Lincolna i wytaszczył Chucka na mokrš ziemię. W wietle latarki zwykle czerwona twarz gangstera była sina. Otwarte oczy patrzyły pustym wzrokiem. Pier nie poruszała się. De Ruse odłóżył latarkę i znów zaczął przeszukiwać kieszenie.

Znalazł to, co zwykle nosi się przy sobie, w tym portfel z prawem jazdy wystawionym na nazwisko Charlesa Le Grand, hotel Metropol, Los Angeles. Ponadto zapałki z klubu Egipt i klucz hotelowy z plakietkš, informujšcš: hotel Metropol, 809.

Schował klucz do kieszeni, przymknął wygięte drzwi Lincolna i usiadł za kierownicę. Silnik zapalił od razu. Przy akompaniamencie zgrzytu odrywanego zderzaka odjechał od drzewa, zakręcił powoli na grzyskiej ziemi i znalazł się na drodze.

Na Riverside włączył wiatła i wrócił do Hollywood. Zaparkował pod drzewami pimentowymi przed wielką ceglaną kamienicą na Kenmore, kawałek na północ od bulwaru Hollywood, zgasił silnik i podniósł walizkę.

wiatło z bramy kamienicy padało na przednią tablicę rejestracyjną Lincolna. Odchodząc zastanawiał się, po co gangsterom samochód z rejestracją 5A6. Taki numer mógł dostać tylko kto uprzywilejowany.

Z drogerii zadzwonił po taksówkę, którą wrócił do Chattertona.

4.

Apartament był pusty. W ciepłym powietrzu unosił się zapach perfum Shalimar i dym z papierosa, jak gdyby jeszcze całkiem niedawno kto tu przebywał. De Ruse wpadł do sypialni, przejrzał zawartość obu szaf i przybory na komodzie i wrócił do białoczerwonego salonu, gdzie zmieszał sobie mocny koktajl.

Zamknął drzwi od korytarza na zatrask i ze szklanką w ręku przeszedł do sypialni. Zrzucił zabłocone ubranie i przebrał się w ciemny, wietnie skrojony garnitur. Popijając koktajl, zawiśzał czarnego motyla w wycięciu rozpiętej pod szyję koszuli z miękkiego białego płótna.

Wyrzucił magazynek z mausera i wsadził go z powrotem, wciskając jeszcze jeden nabój. Schował broń do kabury na nodze. Potem umył ręce i usiadł ze szklanką koło telefonu.

Najpierw zadzwonił do redakcji Chronicle i poprosił Wenera z działu miejskiego.

Mówi Werner doleciał go przeciągły głos. Dalej, zasuń mi jakiś głodny kawałek.

Tu John De Ruse, Claude. Sprawdź mi w swoich papierach rejestrację kalifornijską numer 5A6.

Pewnie jakiś sakramencki polityk odparł przeciągły głos i zapadła cisza.

De Ruse siedział nieruchomo, spoglądając na żłobioną kolumnę w rogu pokoju. Na jej szczycie stała białoczerwona misa ze sztucznymi różami, białymi i czerwonymi. Z niesmakiem zmarszczył nos.

W słuchawce rozległ się głos Wenera: To Lincoln, rocznik trzydziesty, zarejestrowany na nazwisko Hugo Candlessa, Casa de Oro Apartments, 2942 Clearwater Street, West Hollywood.

Czy to aby nie ten mecenasik? zapytał De Ruse obojętnie.

Zgadza się. To on. Papuga. Spec od wrabiania wiadków. Werner ciszył głos. Tak między nami mówiąc, Johnny, ale tylko dla twoich uszu, to kawał spalonego kanciarza, który nawet nie jest

wany, po prostu chodzi po tym wiecie doć długo, żeby wiedzieć, kto jest na sprzedaż. Da się z tego wykroić jakiś materiał?

Gdzie tam odparł De Ruse. Obtarł mi tylko bok wozu i nawet się nie zatrzymał.

Odłożył słuchawkę, dopił koktajl i zmieszał sobie następny. Przeniósł księżkę telefoniczną na białe biurko, wyszukał numer Casa de Oro i zadzwonił. Telefonistka w centrali poinformowała go, że pan Hugo Candless wyjechał za miasto.

Proszę mnie połączyć z jego mieszkaniem poprosił.

Odpowiedział mu zimny kobiecy głos:

Mówi pani Candless. Słucham, o co chodzi?

Jestem klientem pana Candlessa i muszę się z nim pilnie porozumieć rzekł De Ruse. Czy może mi pani pomóc?

Bardzo mi przykro, ale męża wezwano nagle za miasto odparł zimny, powolny głos. Nie wiem nawet, dokąd pojechał, chociaż spodziewam się, że zadzwoni wieczorem. Wyszedł z klubu

Jakiego? wtrcił Johnny obojętnie.

Delmar. Więc, jak mówiłam, wyszedł stamtąd i nawet nie zajrzał do domu. Jeżeli chce pan zostawić wiadomość

Nie, dziękuję pani. Być może zadzwonię później.

Odłożył słuchawkę, umiechnął się posępnie i popijając koktajl małymi łydkami, wyszukał numer hotelu Metropol. Zadzwonił tam i poprosił pana Charlesa Le Grand z pokoju osiemset dziewięć.

Sześćset dziewięć sprostowała telefonistka obojętnie. Łączę. A po chwili dodała: Nie odpowiada.

De Ruse podziękował, wyciągnął klucz z kieszeni i spojrzął na plaketkę. Był na niej numer 809.

5.

Sam, portier z klubu Delmar, stał oparty o jasną cianę przy wejściu, obserwując Bulwar Zachodniego Słońca i przejeżdżające ze wstern samochodami. Ich wiatła raziły go w oczy. Był zmęczony i pilno mu było do domu. Marzył o papierosku i szklanicy dżinu. Chciał, żeby przestało padać. Podczas deszczu życie w klubie zamierało.

Oderwał się od ciany i zaczął spacerować pod daszkiem osłaniającym fragment chodnika, klaszcząc wielkimi czarnymi dłońmi w białych rękawiczkach. Spróbował zagwizdać walca Na lizgawce, a że nie mógł się zbliżyć do melodii ani na kilometr, przerzucił się na Low Down Lady. Ten kawałek nie miał żadnej melodii.

Zza rogu Hudson Street wyszedł De Ruse i stanął koło niego przy cianie.

Jest Hugo Candless? zapytał, nie patrząc na Sama.

Portier z dezaprobatą zgrzytnął zębami.

Nie.

A był?

Pan lepiej zapyta w recepcji.

De Ruse wyciągnął z kieszeni dłonie w rękawiczkach i zaczął obracać banknot pięciodolarowy wokół palca lewej ręki.

A co oni tam wiedzą takiego, czego ty nie wiesz?

Sam umiechnął się powoli, patrząc, jak banknot coraz cianiej oplata palec w rękawiczkę.

Co racja, to racja, szefie. No więc był. Przyjeżdża prawie dzień w dzień.

O której wyszedł?

Widzi mi się, że co koło pół do siódmej.

Odjechał swoim granatowym Lincolnem?

Pewno. Ale on sam nie prowadzi. Na co to panu?

Padło wtedy powiedział spokojnie De Ruse. Łało jak z cebra. Może to nie był Lincoln?

Lincoln, a jakże zaprotestował Murzyn. Przecie sam go wsadziłem do rodka. Zawsze nim jedzi.

Numer rejestracyjny 5A6? Johnny nieubłaganie wiercił czarnemu dziurę w brzuchu.

Zgadza się. Sam zarechotał. Numer jak dla jakiego radnego, no nie?

Znasz kierowcę?

A pewno zaczął portier, lecz urwał w pół zdania. Potarł czarną szczękę białym paluchem wielkoci banana. Znowu zafundował sobie nowego szofera, jakim czarny. Bo tego żem jeszcze nie widział.

De Ruse wetknął zwinięty banknot w wielkie białe łapsko. Murzyn chwycił pieniądze, lecz naraz łypnął na Johnniego podejrzliwie.

Panie, a na co panu wiedzieć to wszystko?

Zdaje się, że jesteśmy kwita? odparł Johnny.



Zniknął za rogiem Hudson i wsiadł do swojego czarnego Packarda. Dojechał do Bulwaru Zachodźszego Słońca, skręcił na wschód i tuż przed Beverly Hills zboczył w stronę wzgórz, wypatrując na skrzyżowaniach tabliczek z nazwami ulic. Clearwater Street biegła w poprzek stoku. Roztaczał się z niej widok na całe miasto. Casa de Oro, przy rogu Parkinsona, był to zmylny zespół luksusowych parterowych domków, otoczony murem z suszonej na słońcu cegły, przyozdobionym na szczycie czerwonymi dachówkami. Recepcja mieściła się w oddzielnym budynku, a wzdłuż muru od strony Parkinsona ciągnął się olbrzymi prywatny garaż.

De Ruse zaparkował po drugiej stronie ulicy, na wprost garażu, obserwując przez szerokie okno przeszkloną stróżówkę, gdzie dozorca w nieskazitelnie białym kombinezonie siedział z nogami na biurku i strzykał liną przez ramię do niewidocznej spluwaczki.

Po chwili Johnny wysiadł z Packarda, przeszedł nieco dalej na drugą stronę ulicy, wrócił i nie zauważony przez dozorcę wliczył się do garażu.

Samochody stały w czterech rzędach – dwa rzędy pod białymi cianami, dwa na rodku pomieszczenia. Było tam sporo wolnych miejsc, choć równie wiele pojazdów udało się już na spoczynek. Przeważały wielkie, kosztowne kryte modele, a do tego ze dwa, trzy wystrzałowe kabriolety.

I tylko jedna limuzyna, o numerze rejestracyjnym 5A6.

Był to dobrze utrzymany samochód, wypucowany i lniący. Granatowe nadwozie zdobiły płowe pasy. De Ruse zdjął rękawiczkę i oparł dłoń na masce chłodnicy. Zimna. Pomacał opony i obejrzał palce. Trochę się zabrudziły. Na oponach nie znalazł ladu błota, jedynie suchy pył.

Przeszedł wzdłuż rzędu ciemnych karoserii i oparł się o framugę otwartych drzwi stróżówki. Po chwili dozorca raptownie podniósł wzrok.

Nie ma tu gdzie szoferka Candlessa? zapytał De Ruse.

Dozorca pokręcił głową i zręcznie strzyknął liną do miedzianej spluwaczki.

Nie było go tu, odkąd przyszedłem o trzeciej.

Może pojechał do klubu po starego?

E, chyba nie. Ta landara jak stała, tak stoi. A on zawsze niś jedzi.

Gdzie uderza w kimono?

Kto? Mattick? Służba ma tu mieszkania na tyłach. Ale zdaje się mówił co, że parkuje w jakim hotelu. Niech no pomyślę. Zmarszczył brwi.

W Metropolu? odpowiedział De Ruse.

Wpatrywał się w czubek brody dozorca, który przetrawiał w myślach jego sugestię.

Taa. Chyba tak. Ale nie jestem pewny. Mattick niełatwo puszcza farbę.

De Ruse podziękował i wrócił na drugą stronę ulicy. Wsiadł do Packarda i pojechał do centrum.

Gdy dotarł na róg Siódmej i Spring, gdzie miecił się Metropol, była dziewiętna dwadzieścia pięć.

Ten stary, niegdy ekskluzywny hotel żeglował teraz chwiejnie pomiędzy upadłością a złym markiem w branży. Za dużo w nim było wywieconych boazerii z ciemnego drewna i popękanych lusterek w złoconych ramach. Za dużo dymu wisiało pod niskim sufitem hallu, a sfatygowana skóra foteli wycierała za dużo trutki.

Blondynka sprzedająca papierosy za wielką ladę w kształcie podkowy nie grzeszyła młodocią. Miała cyniczny wzrok kobiety przywykłej do spalania natrętów. De Ruse oparł się łokciami o szklany blat i zsunął kapelusz na tył czarnych, kędzierzawych włosów.

Camele, dziecko odezwał się niskim głosem hazardzisty.

Z trzaskiem położyła przed nim paczkę, wybiła na kasie piętnaście centów i z ledwie uchwytnym umieszkiem wsunęła mu pod łokieć dziesięć centów reszty. Podobasz mi się mówiły jej oczy. Oparła się o ladę naprzeciwko niego i pochyliła głowę, by mógł poczuć zapach perfum w jej włosach.

Zrobisz coś dla mnie? zapytał.

Co? szepnęła.

Dowiesz się, kto mieszka w osiemset dziewięć, ale jakby cię recepcjonista wypytywał, nic nie mów.

Była wyranie zawiedziona.

A sam pan nie może go spytać?

Jestem zbyt niemiały.

Jasne, widać gołym okiem.

Podeszła do telefonu, z omdlewającym wdziękiem zamieniła kilka słów i wróciła do De Rusea.

Nazywa się Mattick. Co to panu mówi?

Niewiele odparł. Ale dzięki. Podoba ci się w tym miłym hotelu?

A kto powiedział, że to miły hotel?

Johnny umiechnął się, dotknął kapelusza i odszedł bez popiechu. Odprowadziła go smutnym wzrokiem. Oparła na ladzie kociste łokcie i spoglądała za nim, podpierając brodę.

De Ruse przeszedł przez hall, pokonał trzy schodki i wsiadł do windy.

Ażurowa klatka z szarpnięciem ruszyła w górę.

Ósme rzucił i z rękami w kieszeniach oparł się o cianę windy.

Ósme było na samym szczycie Metropolu. Johnny ruszył długim korytarzem, przesiśknęty zapachem lakieru. Na końcu skręcił i stanął twarzą w twarz z numerem 809. Zastukał w ciemne drewno. Bez odpowiedzi. Nachylił się, zajrzał przez dziurkę od klucza i zastukał ponownie.

Po chwili wyciągnął z kieszeni klucz z plakietką, otworzył drzwi i wszedł do pokoju.

Dwa okna były zamknięte. mierzchało whisky. U sufitu paliła się lampa. W pokoju znajdowało się szerokie mosiężne łóżko, ciemna komoda, dwa kryte brązowe skóry fotele i solidne na pierwszy rzut oka biurko, na którym stała jasnobrązowa, prawie pusta litrowa butelka Four Roses, bez nakrętki. De Ruse powściął ją, oparł się tyłem o biurko i zaczął myśkować wzrokiem po pokoju.

Jego spojrzenie powędrowało od ciemnej komody do łóżka i drzwi w cianie, aż padło na drugie drzwi, zza których przebijało światło. Otworzył je.

Mężczyzna leżał twarzą w dół na żółtawobrązowej posadzce łazienki. Krew na podłodze wydawała się lepka i czarna. Dwie mokre plamy z tyłu głowy leżącego zaznaczały, skąd wyciekły ciemnoczerwone strumyczki krwi i spłynęły po szyi na podłogę. Ale krew już od dawna nie płynęła.

De Ruse ciągnął rękawiczkę, nachylił się i przytknął dwa palce do miejsca, gdzie powinna pulsować tętnica. Potrząsnął głową i włożył rękawiczkę.

Wszedł z łazienki, zamknął drzwi i otworzył okno. Wychylił się i wdychając czyste, wilgotne powietrze, spoglądał przez zacinające nitki deszczu na ciemny wylot alejki.

Po chwili zamknął okno, z górnej szuflady komody zabrał wywieszkę z napisem Nie przeszkadzać i wyszedł, gasząc za sobą światła.

Powiesił wywieszkę na klamce, wrócił korytarzem do windy i opuścił hotel Metropol.

6.

Francine Ley mruczała pod nosem, idąc cichym korytarzem hotelu Chatterton. Podpiewywała niepewnie, nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co nuci. Czerwień jej paznokci kontrastowała z zielenią aksamitu, gdy lewą ręką przytrzymywała zarzuconą na ramiona pelerynę. W prawej niosła zawiniętą butelkę.

Przekręciła klucz w zamku, otworzyła drzwi i zatrzymała się, marszcząc brwi. Stała nieruchomo, przypominając sobie, usiłując sobie przypomnieć. Była jeszcze trochę wstawiona.

A właśnie, wychodząc zostawiła zapalone światła. A teraz były pogaszone. Oczywiście, mogła to zrobić pokojówka. Francine weszła przez czerwone zasłony do salonu.

Blask kominka padał na czerwono-białe dywan i rzucał czerwone światło na dwa łóżka, czarne przedmioty. Buty. Nieruchome buty. O och! wyszła dziewczyna. Długie, pięknie opielowane paznokcie ręki przytrzymującej pelerynę omal nie przebiły jej szyi.

Co pstryknęło i rozbłysła lampa. Obok niej siedział w fotelu De Ruse i spoglądał na dziewczynę beznamiętnie.

Był w płaszczu i kapeluszu. Wzrok miał mętny, nieobecny; na jego twarzy malowała się głęboka zaduma.

Wychodziła, Franczy? odezwał się.

Przysiadła powoli na skraju półkolistej kanapy i odłożyła butelkę.

Wstawiłam się odparła. Więc pomyślałam, że może by tak co zjeść. A potem doszłam do wniosku, że warto by się znowu wstawić. Poklepała butelkę.

Zdaje się, że porwali szefa twojego przyjaciela Diale. De Ruse powiedział to obojętnie, jak gdyby wcale go to nie obchodziło.

Francine Ley powoli rozchyliła wargi. Cała jej uroda gdzie przysła, znikła pod maską bez wyrazu, na której ostro odcinała się szminka. Usta jakby same składały się do krzyku.

Po chwili zamknęły się, a uroda wróciła na twarz dziewczyny.

Czy to co da, jeli powiem, że nie mam pojęcia, o czym mówisz? Jej głos dobiegł jak gdyby z oddali.

De Ruse nie zmienił wyrazu twarzy.

Kiedy stąd wyszedłem, na ulicy napadło mnie dwóch osiłków rzekł. Jeden z nich czekał ukryty w samochodzie. Oczywiście, mogli mnie namierzyć gdzie indziej i przyjechać tu za mną.

Tak było wtręciła bez tchu. Na pewno tak było, Johnny.

Przekręcił głowę o centymetr.

Wsadzili mnie do wielkiego Lincolna ciśnień. Nie z tej ziemi gabloty. Nietłukące się szyby, drzwi bez klamek i szczelnie zamknięta. A z przodu zbiornik z gazem skażącym wiesz, z cyjankiem który facet za kierownicą mógł wpuszczać na tylne siedzenie tak, że sam go nie wdychał. Wieli mnie przez park Griffitha do klubu Egipt. To ten lokal na państwowym terenie, koło lotniska. Przerwał, pomasaż koniuszek brwi i mówił dalej: Przegapili mausera, którego noszę czasami na nodze. Kierowca rozbił wóz, a ja się wydostałem.

Rozłożył ręce i przyjrzał im się. W kącie jego ust zaigrał metaliczny umieszek.

Ja nie miałam z tym nic wspólnego, Johnny zapewniła go dziewczyna martwym głosem, jak gdyby obchodziło ją to tyle, co zeszłoroczny nieg. Ten, co jechał tym samochodem przede mną, raczej nie

miał broni. To znaczy Hugo Candless. To była wierna kopia jego wozu ten sam model, kolor i rejestracja ale to nie był jego Lincoln. Kto zadał sobie wiele trudu. Candless odjechał tym podstawionym samochodem sprzed klubu Delmar około szóstej trzydziści. Żona twierdzi, że go wezwali za miasto. Rozmawiałem z nią godzinę temu. Jego Lincoln nie ruszał się z garażu od południa Żona może już wie o porwaniu, ale niekoniecznie.

Francine Ley skubała spódnice długimi paznokciami. Jej wargi drżały.

Kto zastrzelił szofera Candlessa w hotelu, w centrum miasta ciśgnął De Ruse zimno, beznamiętnie. Dzi wieczorem albo po południu. Policja jeszcze nic o tym nie wie. Kto zadał sobie naprawdę wiele trudu, Francie. Ty by się chyba nie bawiła w takie rzeczy, co, skarbie?

Spuciła głowę i wbiła wzrok w podłogę.

Muszę się napić powiedziała ochryple. Wszystko już ze mnie wyparowało. Czuję się okropnie.

Wstał i podszedł do białego biurka. Wlał resztę whisky z butelki do szklanki i stanął przed dziewczyną, trzymając naczynie poza zasięgiem jej ręki.

Rzadko kiedy się wkurzam, dziecino, ale jak już się wkurzę, niełatwo mnie powstrzymać. Możesz mi wierzyć na słowo. Jeli wiesz co na ten temat, to teraz masz najlepszą okazję, żeby wszystko wypiewać.

Podał jej szklankę. Wychyliła whisky i jej zamglone niebieskie oczy odzyskały nieco blasku.

Ja naprawdę nic o tym nie wiem, Johnny powiedziała wolno. W każdym razie nie to, co mylisz. Ale dzi wieczór George Dial proponował mi wspólne gniazdko. Powiedział, że może wycisnąć forszę z Candlessa, grożąc mu, że wypiewa, jak to wykołował on jednego gangstera z Reno. Łebskie chłopaki, te mieszańce stwierdził De Ruse. Znam Reno jak własną kieszeń, złotko. Znam tam wszystkich gangsterów. Który to?

Nazywa się Zapparty.

Zapparty to nazwisko właściciela klubu Egipt powiedział cicho De Ruse.

Francine zerwała się z kanapy i chwyciła go za ramię.

Nie mieszaj się do tego, Johnny! Na miłość boską, czy choć raz w życiu mógłby się do czego nie mieszać?

Potrząsnął głową, umiuchając się do niej delikatnie, przeciśgle. Potem uwolnił ramię z jej ucisku i odsunął się.

Nie spodobała mi się przejażdżka tś ich komorś gazowś, dziecino. Nawśchałem się gazu skazańców. I poczęstowałem ołowiem czyjego gnojka od wymachiwania spluwś. Więc albo piewam glinom, albo podpadam pod paragraf. Jeżeli kogo porwali, a ja napuszczę gliniarzy, to pewne jak dwa a dwa cztery, że faceta sprzątną i będziemy mieli kolejną ofiarę porwania. Zapparty to gangster z Reno, co

by się nawet zgadzało z historyjką Diale, a jeżeli kombinuje co z Mopsem Parisi, to mam powód, żeby się tym zająć. Parisi utopiłby mnie w łyżce wody. Co nie znaczy, że od razu musisz się bawić w jednoosobową armię wtręciła dziewczyna z desperacją.

Nadal się do niej umiechał, z zaciniętymi ustami i powagą w oczach.

Będzie nas dwoje, skarbie. Włóż lepiej długi płaszcz. Ciśgle jeszcze pada.

Wytrzeszczyła na niego oczy. Wyprostowała palce wyciągniętej ręki, tej, którą niedawno trzymała go za ramię, i naprężyła tak, że aż się wygięły do góry.

Ja, Johnny? wyśkała głuchym ze strachu głosem. Och nie, proszę cię

Bierz płaszcz, złotko. I postaraj się wyglądać szalowo. Kto wie, czy nie po raz ostatni wychodzimy razem powiedział łagodnie.

Przeszła chwiejnie obok niego. Ujął ją lekko za ramię, przytrzymał i szepnął:

To nie ty mnie wystawiła na odstrzał, Francy, powiedz?

Spojrzała kamiennym wzrokiem w jego pełne bólu oczy, mruknęła co ochryple pod nosem i wyszarpnęła rękę. Szybko zniknęła w sypialni.

Po chwili ból zniknął z oczu De Rusea, a w kącikach ust znów pojawił się metaliczny umieszek.

7.

De Ruse obserwował spod przymkniętych powiek, jak palce krupiera cofają się i zatrzymują na krawędzi stołu. Były okrągłe, pulchne, stożkowate i zwinne. Johnny podniósł wzrok na jego twarz. Ujrzał łysego mężczyznę w nieokreślonym wieku, o spokojnych niebieskich oczach. Był łysy jak kolano, na głowie nie miał choćby jednego, jedyne włoska.

Znów spojrzał na jego ręce. Prawa dłoń krupiera obróciła się tak, że guziki na rękawie brązowej aksamitnej marynarki skrojonej jak smoking dotknęły krawędzi stołu. De Ruse pozwolił sobie na leciutki metaliczny umiech.

Postawił właśnie trzy niebieskie sztony na czerwone. Tym razem kulka zatrzymała się na czarnej dwójce. Krupier wypłacił wygranych dwóm z czterech graczy przy stole.

De Ruse posunął pięć niebieskich sztonów i obstawił czerwony romb. Odwrócił się w lewo, patrząc, jak potężnie zbudowany blondyn stawia trzy czerwone sztony na zero.

Obliznął wargi i przeniósł wzrok dalej. Z boku tej niewielkiej salki siedziała na kanapie Francine Ley, opierając głowę o cianę.

Co mi się widzi, że przerznięłem, złotko zwrócił się do niej. Oj, przerznięłem.

Dziewczyna zatrzepotała długimi rękami i oderwała głowę od ciany. Sięgnęła po szklaneczkę stojącą przed nią na niskim, okrągłym stoliku.

Upiła łyczek, wbiła wzrok w podłogę, nie odpowiedziała.

Johnny znów spojrzał na blondyna. Trzej pozostali już obstawili. Krupier był zniecierpliwiony, a zarazem czujny.

Jak to się dzieje, że zawsze obstawia pan zero, jak ja stawiam na czerwone, a podwójne zero, jak stawiam na czarne? spytał De Ruse.

Blondyn umięknął się i bez słowa wzruszył ramionami.

De Ruse oparł dłoń na stole.

Zadałem pytanie rzekł cicho.

Widać taki już ze mnie cwaniak, że lubię tracić, co nie moje warknął blondyn.

Co jest, panowie? wtrącił się ostro jeden z pozostałych hazardzistów. Gracie na zwłokę?

Proszę obstawiać, panowie ponaglił krupier.

De Ruse spojrzał na niego.

Kręć pan.

Krupier pucił tarczę w ruch lewą ręką i także lewą rzucił kulkę w przeciwnym kierunku. Prawej dłoni nie odrywał od stołu.

Kulka zatrzymała się na czarnym 28, obok zera. Blondyn rozemiał się.

Blisko powiedział. Bliziotko.

Johnny przeliczył swoje sztony i ułożył je starannie.

Jestem sześć kawałków do tyłu stwierdził. Przykre to, ale zdaje się, że kto na tym zarobi. Jest tu gdzie właściciel tej szulerni?

Krupier umięknął się powoli i spojrzał Johnnyemu prosto w oczy.

Powiedział pan: szulernia? zapytał spokojnie.

De Ruse skinął tylko głową. Nie raczył odpowiedzieć.

Zdawało mi się, że pan powiedział: szulernia? powtórzył krupier, przesunął jedną nogę i oparł się na niej.

Trzej gracze szybko zabrali swoje sztony i podeszli do małego baru w rogu sali. Zamówili co do picia i oparli plecami o cianę koło lady, obserwowali Johnnynego i krupiera. Blondyn został na miejscu, umiechając się sarkastycznie do De Rusea.

No, no, no rzucił w zamyleniu. Co za maniery.

Francine Ley dopiła koktajl i znów oparła głowę o cianę. Przymknęła oczy, ukradkiem obserwując Johnnynego spoza długich rzęs.

Wkrótce otworzyły się wykładane boazeriś drzwi i do sali wszedł istny olbrzym o czarnych włosach i krzaczastych czarnych brwiach. Krupier spojrzał na niego i wskazał mu wzrokiem De Rusea.

Taak, zdaje się, że pan co mówił o szulerni powtórzył bezbarwnym tonem.

Olbrzym przysunął się do Johnnynego i trścił go łokciem w łokieć.

Jazda stśd powiedział beznamiętnie.

Blondyn umiechnął się od ucha do ucha i włożył ręce do kieszeni szarego garnituru. Olbrzym nie patrzył na niego.

De Ruse spojrzał ponad stołem na krupiera.

Odbiorę tylko swoje szeć kawałków i już mnie tu nie ma.

Jazda stśd powtórzył olbrzym ze znużeniem i dał mu sójkę w bok. Łysy krupier umiechnął się uprzejmie. Nie chcesz się chyba stawiać, co? rzekł olbrzym.

De Ruse obrzucił go sarkastycznym, zdziwionym wzrokiem.

Patrzcie, patrzcie, wykidajło powiedział cicho. Bierz go, Nicky.

Blondyn wyciągnął z kieszeni prawś rękę i zamachnął się. W jaskrawym wietle pałka wydawała się czarna, błyszcząca. Z głuchym odgłosem trafiła wykidajkę w tył głowy. Olbrzym wyciągnął łapy do De Rusea, który odsunął się szybko, wyrывая rewolwer spod pachy. Wykidajło zaczął palcami o skraj stołu do rulety i runął ciężko na podłogę.

Francine poderwała się, wydając zduszony, ochryply okrzyk.

Blondyn skoczył w bok, okręcił się na pięcie i spojrzał na barmana, który natychmiast położył ręce na ladzie. Pozostali trzej gracze byli wyranie zainteresowani, lecz stali bez ruchu.

rodkowy guzik prawego rękawa, Nicky odezwał się De Ruse. Pewnie miedziany.

Blondyn bez popiechu okrężył stół, chowając pałkę do kieszeni. Podeszedł do krupiera, chwycił rodki z trzech guzików prawego rękawa marynarki i pociśgnął mocno. Za następnym szarpnięciem guzik pucił, a za nim wysunął się z rękawa cienki drut.



Zgadza się potwierdził obojętnie i puciał rękę krupiera.

To teraz odbiorę swoje szcękawałków, a potem pójdziemy pogadać z twoim szefem rzekł De Ruse.

Krupier powoli skinął głową i sięgnął po sztony leżące na stojaku obok stołu.

Olbrzym na podłodze leżał bez ruchu. Blondyn sięgnął prawą ręką za siebie i wyjął pistolet samopowtarzalny kaliber 0,45, który nosił na plecach, za paskiem od spodni.

Zakręcił nim na palcu, umiechając się sympatycznie do wszystkich obecnych.

8.

Przeszli galerią wychodząc na salę jadalną i parkiet do tańca, skąd dobiegał jazgot jazzu w wykonaniu gibkich rozkołysanych Mulałów, a z nim zapach potraw, dymu papierosowego i potu. Widok z wysokiego balkonu przypominał wykonanie z góry fotografię.

Łysy krupier otworzył drzwi w rogu galerii i minął je, nie oglądając się za siebie. Za nim wszedł blondyn, którego De Ruse nazywał Nicky, a na końcu Johnny i Francine Ley.

Znaleli się w krótkim korytarzu, oświetlonym lampami z mlecznego szkła i prowadzącym do malowanych metalowych drzwi. Krupier nacisnął pulchnym palcem guzik z boku wejścia i zadzwonił w umówiony sposób. Rozległ się brzęczyk elektrycznego zamka. Krupier pchnął drzwi przy framudze.

Za nimi znajdował się pogodny, ni to mieszkalny, ni to biurowy pokój. Na wprost drzwi, pod kłosem prostym do kominka, stała kryta zieloną skórą kanapa. Siedzący na niej mężczyzna odłożył gazetę, podniósł wzrok i jego twarz posiniała z wciekłości. Był to niady mikrus o małej, okrągłej głowie i małej, okrągłej twarzy. Jego matowe oczka wyglądały jak guziki z gagatu.

rodek pokoju zajmowało wielkie, niskie biurko. Stojący obok niego drżał z shakerem w ręku powoli odwrócił głowę i spojrzał przez ramię na wchodzących, nie przestając kołysać naczyniem w łagodnym rytmie.

Twarz i oczy miał zapadnięte, szarą skórę obwisłą, a rudawe włosy przyлизane, bez połysku i przedziałka. Lewy policzek szpeciła wąska blizna w kształcie krzyża, przypominająca szramę po szabli.

Odstawił shaker, odwrócił się i wbił wzrok w krupiera. Mikrus na kanapie ani drgnął. Mimo pozornego bezruchu siedział spięty, gotów do skoku.

Mylę, że to napad odezwał się krupier. Sam nic nie mogłem poradzić. Upili Dużego Georgea.

Blondyn umiechnął się radonie, wyciągnął z kieszeni czterdziestkę piśtkę i wycelował w podłogę.

On myli, że to napad powiedział. Mylenie niewprawnym szkodzi.

De Ruse zamknął masywne drzwi. Francine odsunęła się od niego i stanęła pod cianą naprzeciw kominka. Nie spojrzał na nią. Za to mikrus na kanapie na nią patrzył, patrzył na wszystkich.

Ten wysoki to Zapparty przedstawił spokojnie De Ruse. A ten mały to Mops Parisi.

Blondyn usunął się na bok, zostawiając krupiera samego na rodku pokoju. Wycelował czterdziestkę pistkę w człowieka na kanapie.

Jestem Zapparty, a bo co? potwierdził drżgał.

Przez chwilę spoglądał na De Rusea z zaciekawieniem, po czym odwrócił się do niego tyłem, wziął shaker, odkorkował i nalał koktajlu do płytkiego kieliszka. Wypił do dna, otarł usta batystową chusteczką i starannie wsadził ją z powrotem do kieszonki na piersi, tak żeby wystawały trzy rogi.

Johnny umięknął się blado i potarł palcem lewą brew. Prawą rękę trzymał w kieszeni marynarki.

Odstawiliśmy z Nickim mały cyrk powiedział. Po to, żeby chłopcy za drzwiami mieli o czym gadać, jakby nasza wizyta przebiegała za głono.

Zaczyna się ciekawie przyznał Zapparty. A czemu to zawdzięczam waszą wizytę?

Tej komorze gazowej na kółkach, którą zabierasz ludzi na przejażdżki wyjanił De Ruse.

Mikrus na kanapie poderwał nagle rękę, jakby go coś użdziło.

Nie radzę a zresztą, jak pan sobie życzy, panie Parisi rzekł blondyn. Wszystko jest kwestią gustu.

Parisi znieruchomiał, a jego ręka opadła na krótkie, grube udo.

Zapparty wytrzeszczył głęboko osadzone oczy.

Komorze gazowa na kółkach? spytał lekko zdziwionym tonem.

De Ruse wyszedł na rodek pokoju i stanął obok krupiera, balansując na piętach. Jego szare oczy błyszczały sennie, lecz twarz miał ciśnień, zmęczony, postarzały.

Możliwe, że ktoś ci podrzucił kukułcze jajo, Zapparty, ale nie sądzę powiedział. Mówię o granatowym Lincolnie numer rejestracyjny 5A6, ze zbiornikiem gazu skazańców na przednim siedzeniu. Wiesz, z tym draństwem, którym w naszym stanie likwidujesz morderców.

Zapparty przełknął linę, a jego wystające jabłko Adama poruszyło się w górę i w dół. Wydł wargi, przygryzł je i znowu wydł.

Mikrus na kanapie rozemiał się na cały głos. Najwyraniej znakomicie się bawił.

Rzuć to, blondasku! A reszta przewietrzyć pachy! padł ostry rozkaz, choć nikt z obecnych się nie odezwał.

De Ruse spojrział na uchylonego judasza w cianie nad biurkiem. W otworze pojawiła się dłoń z pistoletem. Żadnej twarzy, nic. wiatło w pokoju padało tylko na rękę i broń.

Pistolet wycelowany był w dziewczynę.

W porządku rzucił Johnny i podniósł rękę. Puste.

To pewnie Duży George stwierdził blondyn. Wypoczęty, zwarty i gotowy. Rozchylił palce. Czterdziestka piątka z głuchym stukiem upadła na podłogę.

Parisi zwinnie powstał z kanapy, wrywając broń spod pachy. Zapparty wyciągnął rewolwer z szuflady biurka i wycelował.

Wracaj do roboty, Louis! Uszy do góry.

Krupier skinął głową, odwrócił się i wyszedł, starannie zamykając za sobą drzwi.

Francine Ley zachichotała głupawo. Podniosła rękę i otuliła się szczelnie kołnierzem peleryny, jak gdyby zmarzła. Ale pokój nie miał okien, a z kominka rozchodziło się ciepło.

Parisi zagwizdał przez zęby, podszedł szybko do De Rusea i przycisnął mu rewolwer do twarzy. Lewą ręką przeszukał kieszenie, odebrał colta i zrewidował pod pachami. Obszedł go dokoła, poklepując po biodrach, i znów stanął przed nim.

Cofnął się o krok i kolbę rewolweru uderzył go w policzek. De Ruse ani drgnął, jedynie głowa odskoczyła mu do tyłu, gdy twardy metal wyrzucił go w twarz.

Parisi uderzył go jeszcze raz, w to samo miejsce. Z policzka De Rusea powoli spływała krew. Głowa opadła mu na bok, kolana odmówiły posłuszeństwa. Osunął się na podłogę. Leżał skulony, z podciągniętymi nogami, wspierając się lewą ręką i potrzyskując głową. Prawa ręka zwisała bezwładnie obok lewej stopy.

Wystarczy, Mops wtrzącił Zapparty. Co taki napalony? Najpierw musisz nam wypiewać to i owo.

Francine znów zachichotała głupawo. Zatoczyła się i oparła ręką o cianę.

Oddychając ciężko, Parisi odsunął się od Johnyego z umiechem szczęścia na okrągłej, niadej twarzy.

Długo czekałem na tę chwilę powiedział.

Gdy cofnął się o dwa metry, w dłoni De Rusea pojawił się ciemny połyskujący przedmiot. Zdawało się, że wyskoczył z jego lewej nogawki. Rozległ się suchy trzask wystrzału i z podłogi wytrysnął mały, pomarańczowozielony płomień.

Parisi szarpnął głową do tyłu. Pod broń wykwitła mu nagle okrągła dziurka, która natychmiast rozszerzyła się i zabarwiła na czerwono. Rewolwer wypadł z rozwartych, bezwładnych dłoni. Parisi zachwiał się i runął na podłogę.

Jezus, Maria! wrzasnął Zapparty i poderwał rewolwer.

Francine krzyknęła i rzuciła się na niego kopiśc, drapiśc, wyjšc przeraliwie.

Rewolwer wypalił dwukrotnie z głuchym odgłosem. Dwie kule utkwiły w cianie. Zagrzeczotał tynk.

Dziewczyna osunęła się na podłogę. Wylśdowała na czworakach, prezentujśc spod spódnicy długie, zgrabne uda.

Odebrała sukinsynowi broń! krzyknęł blondyn, klęczśc na jednym kolanie z odzyskanš czterdziestkš piškš.

Zapparty stał z pustymi rękami i wykrzywionš z wciekłoci twarzš. Na grzbiecie prawej dłoni miał długš, krwawš pręgę. Nie dowierzajśc własnym oczom, spoglśdał z przerażeniem na rewolwer leżšcy obok dziewczyny.

Parisi zakaszłał i znieruchomiał na podłodze.

De Ruse wstał. Niewielki mauser wyglśdał w jego dłoni jak zabawka.

Miej oko na tę dziurę w cianie, Nicky Zdawało się, że jego głos dobiega gdzie z oddali.

Zza drzwi nie dochodziły żadne dźwięki, panowała absolutna cisza. Zapparty stał przy biurku jak skamieniały. Wyglśdał upiornie.

De Ruse schylił się i dotknęł ramienia dziewczyny.

Wszystko w porzřdku, dziecinko?

Podciśgnęła nogi i wstała, wpatrujśc się w Parisiego. Jej ciałem wstrzśsnęł nerwowy dreszcz.

Przepraszam, dziecinko powiedział cicho Johnny. Chyba się co do ciebie myliłem.

Wyjšł z kieszeni chusteczkę, polinił i delikatnie przetarł sobie lewy policzek. Spojrzał na zakrwawiony materiał.

Zdaje się, że Duży George znowu zasnął rzekł Nicky. Pograłem jak ostatni cymbał, trzeba go było kropnśc.

De Ruse lekko skinęł głowš.

Fakt przyznał. Rozegralimy to parszywie. A gdzie pański płaszcz i kapelusz, panie Zapparty? Zabieramy pana na przejażdżkę.

Patrz, Nicky, jest powiedział De Ruse, gdy zaparkowali w cieniu drzew pimentowych. O, tam. Nikt się nim nie zainteresował. Rozejrzyj się.

Blondyn wysiadł z za kierownicy Packarda i odszedł pod drzewami. Przystanął na chodniku, po czym przemknął się na drugą stronę ulicy, do wielkiego Lincolna zaparkowanego przed murowanym kamieniem na North Kenmore.

De Ruse nachylił się nad oparciem przedniego siedzenia i uszczypnął Francine Ley w policzek.

Pojedziesz teraz do domu, dziecinko ty bryczku. Zobaczymy się później.

Johnny szepnęła chwytając go za ramię. Co chcesz zrobić? Na miłość boską, nie masz już dosyć na dzisiaj?

Jeszcze nie, mała. Pan Zapparty chce nam opowiedzieć to i owo. Co mi się widzi, że przejażdżka w tej komorze gazowej rozwiśnie mu język. Zresztą i tak ta gabłota będzie mi potrzebna jako dowód rzeczowy.

Zerknął z ukosa na gangstera, skulonego na tylnym siedzeniu przy drzwiach. Zapparty chrząknął ochryple, gapiąc się przed siebie z ponurym miną.

Nicky wrócił i oparł nogę na stopniu Packarda.

Nie ma kluczyków powiedział. Zabrała?

Jasne. De Ruse wyciągnął kluczyki z kieszeni i podał je blondynowi. Nicky przeszedł na drugą stronę wozu i otworzył drzwiczki.

Wysiadaj pan.

Zapparty wysiadł sztywno. Stał na lekko zacinającym deszczu, mamrocząc co pod nosem. De Ruse wysiadł za nim.

No jed, dziecinko.

Francine Ley przesunęła się za kierownicę i przekręciła kluczyk w stacyjce. Silnik zaskoczył z cichym pomrukiem.

Na razie, dziecinko powiedział Johnny łagodnie. Czekać na mnie i wygrzeć mi pantofle. I jeszcze jedno, skarbie. Bądź tak dobra i nie dzwoń do nikogo.

Packard odjechał ciemną ulicą pod drzewami pimentowymi. De Ruse spoglądał za nim, póki nie skręcił w przecznicę, i szturchnął gangstera łokciem. Idziemy. Tym razem ty się przejedziesz swoim samochodem na tylnym siedzeniu. W przegrodzie jest dziura, więc nie wpucimy ci tyle gazu, ile byśmy chcieli, ale i tak ci się spodoba. Pojedziemy gdzieś za miasto. Mamy przed sobą całą noc.

Zdajecie sobie sprawę z tego, że to jest porwanie? wykrztusił Zapparty ochryple.

Wolę o tym nie myśleć zadrwił De Ruse.

Przeszli na drugą stronę ulicy trzech mężczyźni, którym się nigdzie nie spieszy. Nicky otworzył nie uszkodzone tylne drzwiczki Lincolna. Zatrzasnął je za gangsterem, usiadł za kierownicą i włożył kluczyk do stacyjki. De Ruse zajął miejsce obok niego, trzymając między nogami pojemnik z gazem.

Zapach migdałów wciśz unosił się w samochodzie.

Nicky ruszył, zawrócił nie dojeżdżając do skrzyżowania i pojechał na północ, ku alei Franklina, a potem przez Los Feliz w kierunku na Glendale. Wkrótce Zapparty pochylił się i zabębnił w przegrodę. De Ruse przysunął ucho do dziury za głową Nickyego.

Kamienny dom wykrztusił Zapparty ochryple. Na Castle Road w strefie powodzi w La Crescenta.

Patrz pan, jaki mięczak mruknął Nicky, nie odrywając wzroku od szosy.

De Ruse pokiwał głową.

Co w tym musi być powiedział w zamyleniu. Jeżeli puszcza farbę po mierci Parisiego, to widać liczy, że się jako wywinie.

Ja tam na jego miejscu wolałbym dostać po pysku, ale trzymać gębę na kłódkę owiadczył Nicky. Przypał mi, Johnny.

De Ruse przypalił dwa papierosy i podał jednego blondynowi. Rzucił okiem na długą postać Zappartyego, skuloną w rogu samochodu. wiatło przydrożnej latarni omiotło gangstera, uwydatniając głębokie cienie na jego napiętej twarzy.

Limuzyna bezszelestnie minęła Glendale, pokonała wzniesienie prowadzące do Montrose, a stamtąd przez Sunland wyjechała na niemal wyludnioną strefę powodzi w La Crescenta.

Odnaleli Castle Road i skręcili w stronę gór. Po kilku minutach dotarli do kamiennego domu.

Stał z dala od szosy, na rozległym terenie, gdzie kiedy był pewnie trawnik. Teraz jednak zalegał tam tylko ubity piach, kamienie i kilka wielkich głazów. Tuż przed parcelą droga zakręcała pod kątem prostym, a dalej kończyła się gładką betonową krawędzią pozostałości powodzi w dniu Nowego Roku, 1934.

Była to granica zasięgu głównej fali powodzi. Za nią rozciągało się pustkowiec usiane olbrzymimi głazami, wśród których rosły jakie krzewy. Na samej krawędzi sterczało samotne drzewo, wystawiające połowę korzeni dwa i pół metra ponad teren nawiedzony przez powód.

Nicky zahamował, wygasił wiatła i podał Johnnyemu wielką, niklowaną latarkę, którą wyciągnął z kieszeni w drzwiach samochodu.

De Ruse wysiadł. Przez chwilę stał oparty jedną ręką o drzwi Lincolna; w drugiej miał latarkę. Sięgnął do kieszeni płaszcza, wyjął rewolwer i opucił rękę, trzymając broń tuż przy boku.

Wpucił nas chyba w maliny powiedział. Na mój gust nie ma tu żywego ducha.

Zerknął na Zappartyego, umiechnął się zjadliwie i ruszył po zwałach piasku w stronę domu. Podszedł do rogu budynku, trzymając się na ile to możliwe z dala od uchylonych, zaklinowanych przez piach drzwi. Przemknął się wzdłuż bocznej ciany, spoglądając na zabite deskami okna. W żadnym nie dojrzał przebłysków wiatła.

Na tyłach domu stał kurnik. Kupa zardzewiałego żelastwa w zgniecionym garażu była jedyną pozostałością po rodzinnym samochodzie. Tylne drzwi budynku były zabite deskami tak samo jak okna. De Ruse stał na deszczu, zastanawiając się, dlaczego frontowe drzwi są otwarte. Przypomniawszy sobie, że zaledwie przed kilkoma miesiącami wystąpiła tu następna powódź, już nie tak gromka, lecz jak widać dostatecznie duża, by woda otworzyła drzwi z tej strony domu, która wychodziła na góry.

Na sąsiednich parcelach majaczyły w ciemności dwa opuszczone, pokryte stiukami domy. Nieco dalej od nurtu powodzi, na niewielkim wzniesieniu, paliło się wiatło w oknie. Było to jedyne wiatło w zasięgu wzroku Johnnynego.

Wrócił przed front budynku, wliźnął się przez otwarte drzwi i stanął, wytyczając słuch. Po dłuższej chwili zapalił latarkę.

Dom wcale nie pachniał domem, pachniało w nim jak na dworze. We frontowym pokoju był tylko piasek i kilka połamanych mebli. Tam, gdzie nie doszła woda, widniały na cianach lada po obrazach.

Przeszedł korytarzykiem do kuchni. W miejscu, gdzie kiedyś stał zlewozmywak, straszyla teraz dziura w podłodze, zatkana przerdzewiałym gazowym piecykiem. Wszedł do sypialni. Jak dotąd, nie dobiegł go najłżejszy szelest.

Sypialnia była kwadratowa, ciemna. Podłogę oblepiał sztywny od zaschniętego błota dywan. Poplamiony materac leżał krzywo na zardzewiałych sprężynach metalowego łóżka.

Spod łóżka wystawały stopy.

Duże stopy, w brązowych pantoflach z juchtowej skóry i fioletowych skarpetkach. Po bokach skarpetek biegł szary szlaczek. Nad nim widać było spodnie w czarnobiałym pepitkę.

De Ruse znieruchomiał, owietlając latarką stopy pod łóżkiem. Cmoknął cicho. Przez dłuższą chwilę stał jak wryty. Potem ustawił latarkę na podłodze, tak że odbity od sufitu promień zalewał cały pokój mrocznym wiatłem.

ciśgnął materac z łóżka. Nachylił się i dotknął ręki leżącego. Była zimna jak lód. Chwycił trupa za nogi i pociśgnął, ale mężczyzna był duży i ciężki.

Łatwiej było usunąć z niego łóżko.

Zapparty odchylił zwróconš na bok głowę na oparcie siedzenia i zamknšl oczy. Zaciskał powieki, usiłujšc odwrócić się jak najdalej od wiatła wielkiej latarki.

Nicky przyciskał mu latarkę do twarzy i monotonnie zapalał jš i gasił, zapalał i gasił w jednostajnym rytmie.

De Ruse, z nogš na stopniu samochodu, stał przy otwartych drzwiczkach, przebijajšc wzrokiem deszcz i mrok. Na horyzoncie błysnęły słabo wiatła pozycyjne samolotu.

Nigdy nie wiadomo, co na kogo podziała stwierdził Nicky obojętnie. Widziałem raz faceta, co pękl, jak mu gliniarz przejechał paznokciem po dołeczku w brodzie.

De Ruse rozemiał się cicho.

Ten jest twardy powiedział. Musisz wymylić co lepszego niż wiecenie po oczach.

Nicky zapalał latarkę i gasił, zapalał i gasił.

Czemu nie? odparł. Ale nie chcę sobie ubabrać ršk.

Wkrótce Zapparty podniósł dłonie do oczu, opucił je i zaczął gadać. Mówił niskim, monotonnym głosem, zaciskajšc powieki przed ostrym wiatłem: Parisi sam zorganizował to porwanie. Ja się o tym dowiedziałem dopiero po fakcie. Przyssał się do mnie z miesišc temu, z dwoma goryłami do pomocy. Dowiedział się jako, że Candless podjšł się obrony mojego przyrodniego brata w sprawie o morderstwo i że wycykał ze mnie dwadziecia pięć kawałków, a chłopaka wystawił do wiatru. Ja mu tego nie mówiłem. Do dzi nie miałem pojęcia, że on o tym wie.

Przyszedł do klubu o siódmej, może trochę póniej, i powiedział: Mamy twojego przyjaciela Candlessa. Robota za sto patoli, z ršczki do ršczki. Ty masz tylko pomóc rozprowadzić szmal przy stołach, zmieszany z innš forsš. Musisz to zrobić, odpalimy ci za to działkę, a jakby co nawaliło, ten numer i tak pójdzie na twoje konto. To wszystko. Potem siedział u mnie, gryzł paluchy i czekał na swoich chłopaków. Niele się wkurzył, jak nie przyjechali. Wszedł raz zadzwonić z piwiarni.

De Ruse zacišgnšł się papierosem, osłaniajšc go dłoniš przed deszczem.

Kto nadał robotę i skšd wiedziałe, że Candless jest tutaj? zapytał.

Mops mi powiedział. Ale nie wierzyłem, że nie żyje.

Nicky rozemiał się i kilkakrotnie zamrugał szybko latarkš.

Nie ga przez chwilę rzekł Johnny.

Nicky owietlił białš twarz gangstera. Zapparty poruszył ustami. Na chwilę otworzył oczy. Były martwe jak spojrzenie niętej ryby.

Zimno tu jak cholera stwierdził blondyn. Co zrobimy z jego dostojnościš?



Wemiemy go do domu i przywiŹjemy do Candlessa odparł Johnny. Ogrzejš się nawzajem. Wrócimy rano, moŹe będnie miał juŹ jakie nowe pomysły.

Zapparty wzdrygnł się. Co być moŹe łza błysnęło mu w kšciuku oka. Po chwili przerwał milczenie:

Zgoda, to ja wszystko zaplanowałem. Samochód z gazem to był mój pomysł. Nie chodziło mi o forszę. Chciałem dostać Candlessa, chciałem, Źeby zdechł. W zesły pištek powiesili w Quentin mojego młodszego brata.

Zapadła cisza. Nicky mruknł co pod nosem. De Ruse nie poruszył się, nie odezwał.

Mattick, szofer Candlessa, teŹ brał w tym udział cišgnł Zapparty. Nienawidził go. Miał pojechać tym podstawionym samochodem, Źeby wszystko było na cacy, a potem prysnąć. Ale za bardzo się zalał przed robotš, więc Parisi sprzštnł go na wszelki wypadek. Kto inny prowadził wóz. Na szczęście akurat padało, co ułatwiło sprawę.

JuŹ lepiej, Zapparty ale to jeszcze nie wszystko rzekł Johnny.

Gangster szybko wzruszył ramionami i otworzył na chwilę oczy. Omal się nie umiechnł.

Chcę mieć dowody na tego cwaniaczka, co kazał mnie porwać wyjanił De Ruse. Ale nie ma sprawy. Sam to załatwię.

Zdjšł nogę ze stopnia i pstryknł niedopałkiem w ciemność. Zatrzasnął drzwiczki i usiadł z przodu. Nicky odłóżył latarkę, wsunł się za kierownicę i zapalił silnik. Wysad mnie gdzie, skšd będę mógł zadzwonić po taksówkę, Nicky. Pojedz z nim jakš godzinę, a potem zadzwoń do Franczy. Zostawię ci u niej wiadomość.

Blondyn pokręcił głowš powoli.

Lubię cię, Johnny, dobry z ciebie kumpel. Ale i tak juŹ zabrnęliśmy za daleko. Jadę przekazać to do centrali. Nie zapominaj, Źe pod starymi koszulami trzymam w domu licencję prywatnego detektywa.

Daj mi godzinę, Nicky poprosił De Ruse. Tylko jednš godzinę.

Samochód zjechał ze wzgórze, przecišł Sunland Highway i skierował się w dół, ku Montrose. W końcu Nicky powiedział:

Zgoda.

11.

Zegar na ladzie recepcji w hallu Casa de Oro wskazywał pierwszš dwanacie. Hall utrzymany był w stylu wczesnokolonialnym czerwoneczarne indiańskie pledy, nabijane ćwiekami krzesła ze skórzanymi poduszkami, zdobionymi na rogach skórzeńš frędzliš; szarozielone drzwi z drewna oliwkowego wyposażono w cięŹkie zawiasy z kutego Źelaza.

Szczupły, wytworny recepcjonista z wypomadowanym blond włosom i misternie ułożonym blond fryzurą oparł się o ladę, spojrzął na zegar i ziewnął, stukając w zęby błyszczącymi paznokciami.

Otworzyły się drzwi od ulicy i wszedł De Ruse. Zdjął kapelusz, potrząsnął nim, nałożył go z powrotem i zgiął rondo w dół. Powoli ogarnął wzrokiem wyludniony hall, podszedł do recepcjonisty i uderzył w ladę dłońmi w rękawiczce.

Pod jakim numerem mieszka Hugo Candless? zapytał.

Recepcjonista był wyrażenie zirytowany. Zerknął na zegar, na twarz De Rusea i znowu na zegar. Umiechnął się lekceważąco.

Dwanacie C odparł z lekkim obcym akcentem. Chce pan, żeby pan zapowiedział o tej porze?

Nie.

Johnny odwrócił się i skierował się do szerokich drzwi ze szklanymi tafelami w kształcie rombu, które sprawiały wrażenie, że prowadzą do wytwornej wygodki.

W chwili gdy sięgał do klamki, usłyszał za sobą ostry dzwonek.

Obejrzał się przez ramię i zawrócił. Recepcjonista szybko zdjął rękę z dzwonka.

To nie taki hotelik, jak pan myśli, jeśli łaska. Jego głos był zimny, sarkastyczny, bezczelny.

Na policzkach De Rusea wystąpiły dwie ciemne plamy. Johnny przechylił się, chwycił recepcjonistę za obszytą galonem klapę kurtki i przycisnął go do lady.

Mówiłeś co, lala?

Recepcjonista zbladł, lecz zdołał jeszcze trząść dzwonek trzepocząc ręką.

Zza rogu recepcji wyszedł pękaty mężczyzna w lunym garniturze i peruce o barwie laku.

Hej! powiedział, wyciągając tłusty paluch.

De Ruse pucił recepcjonistę. Spojrzął beznamiętnie na popiół z cygara na marynarce pękatego.

Jestem detektyw hotelowy wyjanił pękaty. Chcesz rozrabiać, to zgłoś się do mnie.

Mówimy tym samym językiem. Chod pan na stronę.

Usiedli w rogu hallu, koło palmy. Pękaty umiechnął się sympatycznie, uniósł skraj peruki i podrapał się po czaszce.

Nazywam się Kuvalick powiedział. Czasami sam bym mu chętnie przyłożył, jak mnie wnerwi, szwajcar jeden. W czym problem?

Potrafisz trzymać język za zębami?

Nie. Lubię gadać. To jedyna rozrywka na tym ranczu dla miastowych. Kuvalick wyciągnął z kieszeni pół cygara i przypalił je niemal z własnym nosem.

Tym razem nie pucisz pary z gęby rzekł Johnny.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni, wyjął portfel, a z niego dwa banknoty dziesięciodolarowe. Okręcił je na palcu wskazującym, zwinął w rulonik i wsadził pękatemu do kieszeni marynarki.

Kuvalick zamrugnął, ale nic nie powiedział.

W mieszkaniu Candlessa jest taki jeden facet, nazywa się George Dial wyjął De Ruse. Jego samochód stoi na ulicy, więc musi tam być. Muszę się z nim zobaczyć, ale nie chcę podawać nazwiska. Możesz mnie tam zaprowadzić i zostać ze mną, póki nie wyjdę.

Trochę pono zauważył ostrożnie pękaty. Może już być w łóżku.

Jeli nawet, to nie w swoim. Powinien wstać.

Pękaty podniósł się z miejsca.

Nie podoba mi się to, co mi chodzi po głowie, ale podobajś mi się twoje dychy owiadczył. Przejdę się zobaczyć, czy nie piś. Ty sied tutaj.

Johnny skinął głowś. Kuvalick ruszył wzdłuż ciany do drzwi w rogu hallu. Spod marynarki wystawał mu kawałek topornego olstra na biodrze. Recepcjonista odprowadził go wzrokiem, spojrzał pogardliwie na De Rusea i wyciągnął pilnik do paznokci.

Minęło dziesięć minut, piętnacie, Kuvalick nie wracał. Johnny wstał raptownie, zmarszczył brwi i pomaszerował do drzwi w rogu. Recepcjonista zeszywniał, spojrzał na telefon przed sobą, ale go nie dotknął.

De Ruse minął drzwi i znalazł się pod arkadami. Z pochyłych dachówek cicho kapały krople deszczu. Przeszedł przez patio, którego rodek zajmowała podłużna sadzawka, obramowana barwną mozaiką. Za nią odchodziły na boki inne patia. Na końcu, po lewej stronie, widać było wiatło w oknie. De Ruse zdał się na los szczęścia i ruszył ku niemu. Dopiero z bliska odczytał numer na drzwiach: 12C.

Wszedł po dwóch schodkach i trzącił dzwonek, który zabrzączał w oddali. Bez skutku. Po chwili zadzwonił jeszcze raz i nacisnął klamkę. Zamknięte. Zdawało mu się, że słyszy dolatujący z mieszkania cichy stukot.

Przez chwilę stał na deszczu, po czym okrążył róg domku i w śskim, mokrym przejściu dotarł na tyły budynku. Sprawdził drzwi kuchenne także zamknięte. Zaklął, wyciągnął spod pachy rewolwer, przyłożył kapelusz do szyby w drzwiach i uderzył w nią kolbą broni. Szkło z cichym brzękiem wpadło do kuchni.

Schowwał rewolwer, nałożył kapelusz i wsadził rękę w wybity otwór, by odsunąć rygiel.

Kuchnia była duża, jasna, wyłożona glazurą w czarnożółtą szachownicę. Wyglądała, jak gdyby korzystano z niej głównie do mieszania koktajli. Na suszarce z kafelków stały dwie butelki whisky Haig and Haig, brandy Hennessy i jeszcze trzy lub cztery oryginalne flaszki. Krótki korytarz kończył się drzwiami prowadzącymi do salonu. W rogu stał fortepian, a obok niego paliła się lampa. Druga lampa stała na niskim stoliku, wśród alkoholu i szklanek. Na kominku dogasała polana.

Stukot przybrał na sile.

De Ruse przeszedł przez obramowane frędzle drzwi do drugiego korytarza, a stamtąd do wyłożonej piękną boazerią sypialni. Stukot dobiegał z szafy w cianie. Johnny otworzył ją i ujrzał jakiego mężczyznę.

Z twarzą owiniętą ręcznikiem, siedział na podłodze, wcinięty w gószcz sukienek na wieszakach. Drugi ręcznik krępował mu nogi w kostkach. Ręce miał zwiżane na plecach. Był kompletnie łysy, zupełnie jak krupier z klubu Egipt.

De Ruse patrzył na niego nieprzyjanie. Nagle z szerokim umiechem pochylił się i oswobodził go z więzów.

Mężczyzna wypluł myjkę do naczyń, zaklął chrapliwie i zniknął wśród ubrań w głębi szafy. Wrócił ciskając w rękę co puszystego. Doprowadził to co do porządku i nadział na łysą głowę.

W jednej chwili przeobraził się w Kuvalickę, detektywa hotelowego.

Wcisnąwszy sypiąc przekleństwami, wstał i odsunął się od De Rusea z wymuszonym, czujnym umiechem na tłustej twarzy. Prawą rękę poderwał do olstra na biodrze.

Johnny rozłożył ręce.

Opowiadaj polecił, siadając na małym, krytym perkalem podnóżku.

Przez chwilę Kuvalick gapił się na niego w milczeniu. W końcu cofnął rękę z olstra.

Widzę wiatło, no to dzwonię rozpoczął. Otwiera wysoki, ciemny facet. Znam go, często się tu kręcił. To Dial. Mówię mu, że mam w hallu gocia, co chce się z nim spotkać na osobności, ale nie chce podać nazwiska.

To pograł jak ostatni osioł skomentował sucho De Ruse.

Fakt, ale trochę później przyznał Kuvalick z umiechem i wypluł strzępy materiału. Opisuję cię. Teraz dopiero wychodzę na osła. Tamten umiecha się tak jako dziwnie i zaprasza mnie do rodka. Przechodzę obok niego, a on zamyka drzwi i pakuje mi gnata w nery. Mówisz, że jest ubrany cały na czarno? pyta. Tak odpowiadam a na co to kopyto?. Ma szare oczy, kręcone czarne włosy i twardo mu patrzy z pyska? pyta dalej. A ja: Tak, sukinsynu, ale na co to kopyto?. A na to mówi i wali mnie nim od tyłu w globus. To ja klap na podłogę, miękki w nogach, ale przytomny. Wtedy wchodzi babka

Candlessa, wiąż mnie, pakuj do szafy, i tyle. Jeszcze chwilę słyszę, jak się tu kręcisz, a potem cisza. I to wszystko, póki nie zadzwonił.

De Ruse umiechnął się leniwie, sympatycznie. Siedział zupełnie odprężony. Z jego zachowania przebijała opieszałość, jak gdyby miał czasu pod dostatkiem.

Wyparowali stwierdził cicho. Dostali cynk. Moim zdaniem nie był to najlepszy pomysł.

Jestem tajniak ze szkoły starego Wellsa Fargo owiadczył Kuvalick. Zniosę każdy szok. Co takiego zamajstrowali?

Jaka ona jest, ta pani Candless?

Ciemna, przystojna. Jak to się mówi, niedopieszczona. Trochę jakby przechodzona i przepita. Co trzy miesiące zmieniają szofera. Tu, w Casa, też sobie upodobała paru facetów. No i tego żigolaka, co mnie stuknął w globus.

De Ruse spojrział na zegarek, skinął głową i pochylił się, wstając.

Chyba już czas na mundurowych. Masz jakiego znajomka, któremu chciałby sprzedać materiał o porwaniu?

Nie tak prędko powiedział czyj głos.

George Dial wszedł szybko do sypialni i stanął, ciskając w garci długi, wśki pistolet z tłumikiem. W jego błyszczących oczach czaił się obłęd, lecz położył palec na spucie ani drgnął.

Nie wyparowalimy cięgnął. Nie bylimy jeszcze gotowi. Ale wy moglibyście wyparować jak kamfora to wcale niezły pomysł.

Tłusta dłoń Kuvalicka mignęła do olstra na biodrze.

Pistolet z czarnym cylindrem na lufie wydał dwa głuche, stłumione trzaski.

Z przodu marynarki Kuvalicka poderwał się szary obłoczek. Detektyw gwałtownie rozpostarł ręce, a jego oczy wyskoczyły z orbit jak nasiona z pękającego strzka. Osunął się ciężko na podłogę. Leżał na boku, oparty plecami o cianę, z przymkniętymi oczami i zsuniętą na bakier peruką.

De Ruse zerknął na niego i z powrotem przeniósł wzrok na Diala. Jego twarz nie zdradzała ladu emocji, żadnego podniecenia.

Jeste skończonym idiotą, Dial. Pogrzebała swój ostatni szansę. Mogła się z tego wykręcić. Chociaż to nie jedyny twój błąd.

Fakt przyznał Dial spokojnie. Teraz to widzę. Nie powinienem napaść na ciebie chłopaków. Zrobiłem to ot tak, dla draki. Tak to bywa, jak człowiek nie jest zawodowcem.

Johnny pokiwał głowś. Patrzył na Diala niemal przyjanie.

A tak przez ciekawoć kto ci dał cynk, że wszystko wzięło w łeb?

Francy chociaż mogła się z tym, cholera jedna, popieszyć! warknęł Dial z wciekłościś. Wyjeżdżam, więc na razie nie będę jej mógł podziękować.

Ani teraz, ani nigdy. Nie uda ci się przekroczyć granicy stanu. Nie zobaczysz złamanego grosza z forsy starego. Ani ty, ani twoi kolesie, ani twoja babka. Gliny już wiedźś o wszystkim spisujś włanie zeznania.

Damy sobie radę. Mamy za co pojedzić po wiecie. Żegnaj, Johnny.

Twarz Diala stwardniała; wycelował broń. De Ruse przymknęł oczy, gotujśc się na najgorsze. Pistolet nie wypalił. Za plecami Diala co zaszeleciło i do sypialni weszła wysoka, niada kobieta w szarym futrze i małym kapelusiku przykrywajścym zwiśzane na karku ciemne włosy. Krucha i mizerna, była na swój sposób ładna. W zestawieniu z bielś policzków szminka na jej ustach wydawała się czarna jak smoła.

Zimny, leniwy głos nie pasował do malujścgo się na jej twarzy napięcia.

Kto to jest Francy? zapytała lodowatym tonem.

Johnny otworzył szeroko oczy, zeszywniał, a jego prawa ręka powędrowała ku piersi.

Francy to moja dziewczyna wyjanił. Pan Dial chciał mi jś zabrać. Ale nie ma sprawy. Przystojny z niego chłopak, to i wie, jak przygadać sobie panienkę.

Kobietę ogarnęła lepa furia; jej twarz nagle pociemniała. Z wciekłościś uczepiła się ręki Diala tej, w której trzymał pistolet.

Johnny błyskawicznie sięgnęł pod pachę, wyrwał swojś trzydziestkę ósemkę. Ale to nie jego rewolwer wypalił. Pistolet z tłumikiem Diala też milczał. To zagrzmiał olbrzymi colt rodem z Dzikiego Zachodu, o dwudziestocentymetrowej lufie, którego huk przypominał eksplozję bomby. Wystrzelił z podłogi, sponad prawego biodra Kuvalicka, gdzie trzymała go tłusta dłoń detektywa.

Wypalił tylko raz. Dial, jakby pchnięty rękś olbrzymia, poleciał do tyłu i uderzył głowś w cianę. Jego niadś, przystojnś twarz natychmiast zalała krew.

Osunł się bezwładnie po cianie, wypuszczajśc pistolet z czarnym cylindrem na lufie. Kobieta rzuciła się na podłogę, na czworakach szukajśc broni przed rozciśgniętym ciałem.

Złapała jś, uniosła. Jej twarz zmieniała się nie do poznania. Wykrzywione wargi odsłaniały błyszczśce, wśskie wilcze zęby.

Jestem twardy powiedział głos Kuvalicka. Byłem tajniakiem u Wellsa Fargo.

Olbrzymia armata zagrzmiała po raz drugi. Z ust kobiety wyrwał się przeraliwy krzyk. Rzuciło niś o Diała. Leżała bez ruchu, otwierajśc oczy i zamykajśc, otwierajśc i zamykajśc. Pobladła twarz pozbawiona była wszelkiego wyrazu.

Dostała w ramię. Nic jej nie będzie stwierdził Kuvalick, dwigajśc się na nogi. Rozpiśł marynarkę i poklepał się po piersi. Kamizelka kuloodporna owiadczył z dumš. Ale wolałem poleżeć trochę spokojnie, żeby mi nie wygarnšł w twarz.

12.

Francine Ley ziewnęła, prostujśc długš, osłonięts zielonš pizamš nogę i przyglšdajśc się wšskiemu, zielonemu pantofelkowi na bosej stopie. Ziewnęła znowu, wstała i przeszła nerwowo przez pokój do biurka w kształcie nerki. Nalała sobie szklaneczkę, wypila szybko i wzdrygnęła się nerwowo. Twarz miała cišgnięts, zmęczonš, a oczy zapadnięte, podkršżone.

Spojrzała na maleńki zegarek na ręku. Dochodziła czwarta rano. Spłoszona nagłym dźwiękiem, nie opuszczajśc ręki okręciła się na pięcie. Zwrócona plecami do biurka oddychała szybko, łapczywie.

Zza czerwonej zasłony wszedł do salonu De Ruse. Zatrzymał się i spojrzał na dziewczynę pustym wzrokiem. Bez popiechu zdjśł kapelusz, płaszcz i rzucił je na fotel. cišgnšł marynarkę, odpiśł bršzowš kaburę na szelkach i podszedł do butelek.

Powšchał szklanę, nalał whisky do jednej trzeciej wysokoci naczynia i wypił jednym haustem.

Musiła dać cynk tej gnidzie? odezwał się ponuro, wpatrzony w dno pustej szklanki.

Tak odparła Francine Ley. Musiałam do niego zadzwonić. Co się stało?

Musiła zadzwonić do tej gnidy powtórzył tym samym tonem. Chociaż doskonale wiedziała, że maczał w tym palce. Wolała, żeby mnie sprzštnšł, byleby się wywinšł.

Nic ci się nie stało, Johnny? szepnęła zmęczonym głosem.

Nie odpowiedział, nie spojrzał na niš. Powoli odstawił szklanę, nalał whisky, rozcieńczył jš wodš sodowš i rozejrzał się za lodem. Nie znalazłszy go, upił łyk, wpatrujśc się w biały blat biurka.

Ty każdemu przeciwnikowi powiniene dawać fory, Johnny stwierdziła dziewczyna. Każdego, kogo znam, musiałabym uprzedzić, choć nic by mu z tego nie przyszło.

Pięknie odparł. Tyle że aż taki dobry to ja nie jestem. Gdyby nie tajniak hotelowy żywcem wyjęty z komiksu, co nosi do roboty armatę i kuloodpornš kamizelkę, byłbym już sztywny.

Mam się wynieć? spytała po dłuższej chwili.

Posłał jej szybkie spojrzenie i odwrócił wzrok. Postawił szklanę i odszedł od biurka.

Nie, dopóki jeste ze mnš szczerą rzucił przez ramię.

Usiadł w głębokim fotelu, oparł łokcie na poręczach i ukrył twarz w dłoniach. Francine spoglšdała na niego przez chwilę, zbliżyła się i przysiadła na poręczy. Delikatnie przechyliła jego głowę do tyłu, na oparcie, i zaczęła masować mu czoło.

De Ruse zamknšł oczy. Rozlunił się i odprężył.

W Egipcie uratowała mi chyba życie powiedział sennym głosem. Więc pewnie miała prawo dać teraz szansę przystojniakowi.

Dziewczyna bez słowa masowała mu czoło.

Przystojniak nie żyje cišgnšł De Ruse. Platfus odstrzelił mu twarz.

Jej ręka znieruchomiała. Po chwili znów masowała mu czoło.

Żona Candlessa też maczała w tym palce. Babka z temperamentem, szkoda gadać. Chciała mieć szmal Huga, a do kompletu wszystkich męzczyzn na wiecie z wyjšktem niego. Bogu dzięki, że się nie przekreśliła. piewała aż miło. Zapparty też.

Tak, kochanie szepnęła Francine Ley.

De Ruse ziewnšł.

Candless nie żyje. Kiedy się w to włšczyliśmy, był już martwy. O to im włanie chodziło chcieli go ukatrupić. Parisi miał to gdzie, byleby tylko dostał forszę.

Tak, kochanie powtórzyła.

Resztę opowiem ci rano powiedział De Ruse ochryple. Nicky i ja chyba wyszlimy z tego czyci Jedmy do Reno, pobierzemy się Mam doć tego życia na kociš łapę Nalej mi jeszcze szklaneczkę, dziecinko.

Francine Ley nie ruszyła się z miejsca. Miętko, kojšco przesuwiała palcami po jego czole i skroniach. Osunšł się w fotelu. Głowa opadła mu na bok.

Tak, kochanie.

Nie mów do mnie kochanie. Mów mi frajerze.

Gdy zasnšł na dobre, wstała z poręczy i usiadła przed nim na podłodze. Siedziała bez ruchu, patrząc na niego, z głowš podpartš smukłymi, delikatnymi dłońmi o winiowych paznokciach.

WPADKA NA NOON STREET



1.

Przytulona para minęła powoli wyblakły, malowany szyld z napisem Hotel Niespodzianka. On nosił fioletowy garnitur i panamę na tłustych, gładko zaczesanych włosach. Szedł bezszelestnie, płasko stawiając stopy.

Ona wystrojona w zielony kapelusz, krótką spódniczkę i cienkie pończochy stuknęła na dziesięciocentymetrowych szpilkach. Roztaczała zapach perfum Nocny narcyz.

Na rogu mężczyzna pochylił się i szepnął jej coś do ucha. Odskokczyła chichocząc.

Kup wpierw gorzałkę, Skowronek, jak chcesz mnie zabrać na chatę.

Innym razem, mała. Włanie żem się splukał do cna.

Jej głos stwardniał.

To pożegnamy się przy najbliższej przecznicy, przystojniaczku.

A takiego! odparł.

wiatła na skrzyżowaniu padały wprost na nich. Przeszli przez jezdnię osobno, z dala od siebie. Po drugiej stronie ulicy mężczyzna chwycił kobietę za rękę. Wyrwała się.

Łapy przy sobie, szulerze od siedmiu boleci! krzyknęła przenikliwie. Taki palant to dla mnie mierz, rozumiesz! Bujaj się!

A dużo oliwy ci trzeba?

Dużo.

Skąd ja ci ją wytrzasnę, jak się zgrałem do czysta?

A od czego masz ręce? zadrwiła, już nie tak przenikliwym głosem. Przysunęła się do niego. Spluwę pewnie też masz, co, waśniaku? Powiedz, masz spluwę?

Mowa. Tylko że bez kulek.

Ale te trutnie z Central o tym nie wiedz.

Co to, to nie burknął mężczyzna w fioletowym garniturze. Nagle strzelił palcami i zeszywniał. Czekać no, mam pomysł.

Przystanął i obejrzał się na wyblakły szyld hotelu za skrzyżowaniem. Dziewczyna pieszczotliwie trzepnęła go rękawiczką w policzek. Powiało mu Nocnym narcyzem.

Znów pstryknął palcami i umiechnął się szeroko w mrocznym wietle ulicy.

Wytrzasnę jeżeli ten pijus kibluje jeszcze u Doca. Zaczekasz na mnie, co?

Może, ale w domu. Jak się popieszysz.

W domu, to znaczy gdzie?

Spojrzała na niego taksująco. W kącikach jej pełnych ust zaigrał przelotny umieszek. Mężczyzna gwałtownie podniósł nogę, gdy strzęp gazety, uniesiony wiatrem z rynsztoka, przyczepił mu się do nogawki.

Calliope Apartments 4B, Wschodnia Czterdziesta Ósma 246 wyjaniła. Kiedy przyjdiesz?

Stanął tuż przed nią i poklepał się po tylnej kieszeni.

Czekaj na mnie, mała przykazał cicho lodowatym tonem.

Wcisnęła szybko powietrze i skinęła głową.

Nie bój nic, przystojniaczku. Zaczekam.

Mężczyzna cofnął się wyboistym chodnikiem do skrzyżowania i dalej, do miejsca, gdzie nad chodnik wystawał malowany szyld. Pchnął szklane drzwi i wszedł do hallu, tak wąskiego, że stojące pod otynkowaną cianą brązowe krzesła niemal tarasowały dostęp do recepcji. Urzędujący za ladą kompletnie łysy kolorowy siedział rozwalony na krześle i bawił się wpiętą w krawat szpilką z zielonym oczkiem.

Murzyn w fioletowym garniturze nachylił się i błysnął zębami w przelotnym, twardym umiechu. Był bardzo młody: miał wąski, ostro zarysowany podbródek, niskie, kociste czoło i błyszczące, apatyczne oczy gangstera.

Jest tu jeszcze ten osiłek? spytał cicho. Ten zachrypnięty, co wieczorem zgarnął pulę w koci?

Łysy za ladą przyjrzał się muchom na suficie.

Nie widziałem, żeby wychodził, Skowronek.

Nie o to pytałem, Doc.

Ano. Jeszcze jest.

Dalej zalany?

Pewnie tak. Nie ruszał się z numeru.

Trzy czterdzieci dziewięć, zgadza się?

Byłe tam już, co? Na co ci to wiedzieć?

Orznięł mnie do suchej nitki. Muszę wyciśgnąć od niego trochę grosza.

Łysy był wyranie zdenerwowany. Skowronek łagodnie patrzył na zielony kamień w jego spince.

Spylaj, Skowronek. U nas gości się nie okrada. Nie jesteśmy hołotš z Central Avenue.

Doc, to jest mój kumpel szepnięł chłopak. Pożycz mi ze dwie dychy. Odpalę ci połowę.

Wyciśgnął otwartš dłoń. Recepcjonista przyglądał jej się przez chwilę, po czym z cierpkš minš kiwnął głowš, wszedł za szklanš przegrodę i wrócił powoli, zerkając na drzwi od ulicy.

Wysunął rękę nad otwartš dłoń, która zamknęła się na kluczu uniwersalnym i zniknęła w kieszeni taniego fioletowego garnituru.

Skowronek błysnął zębami w lodowatym umiechu.

Idę na górę, Doc a ty uważaj.

Popiesz się. Niektórzy wczynie wracają. Recepcjonista obrzucił wzrokiem zielonš tarczę zegara elektrycznego na cianie. Było piętnacie po siódmej. A ciany tu sš cieniutkie dorzucił.

Chudy chłopak jeszcze raz błysnął zębami, skinął głowš i ostrożnie przeszedł przez hall do nie oświetlonych schodów. W hotelu Niespodzianka nie było windy.

Minutę po siódmej Pete Anglich, tajniak z brygady antynarkotykowej, przekręcił się na twardym łóżku i spojrzał na tani ręczny zegarek. Oczy miał silnie podkršzone, a brodę pokrytš gęstš, czarnš szczecinš. Był w lichej bawełnianej piżamie. Opucił bosc stopy na podłogę, wstał i napił mięnie. Przeciśgnął się, pochylił z jękiem i nie zginając kolan, dotknął palcami podłogi.

Podszedł do zniszczonej komody i łyknął z litrowej flaszki taniej żytniej. Skrzywił się, wepchnął korek w szyjkę butelki i wbił go do końca otwartš dłoniš.

Ludzie, ale mam kaca! wymamrotał ochryple.

Przejrzał się w lustrze nad komodš zobaczył zaroniętš twarz i szerokš biaš bliznę na szyi, koło tchawicy. Blizna ta oraz chrypka były pozostałociš po kuli, która uszkodziła mu struny głosowe. A jednak jego głos, choć chrapliwy, był aksamitny jak u wokalisty bluesowego.

Rozebrał się do naga i stanął na rodku pokoju, palcami stóp skubišc nierównš krawęd wielkiej dziury w dywanie. Szerokie bary sprawiały, że wydawał się niższy niż w rzeczywistości. Garbił się lekko, miał szeroki nos, a skóra na jego policzkach wyglądała jak wyprawiona. Miał też krótko obcięte, kędzierzawe czarne włosy, pewne spojrzenie i małe, zacinięte usta, zdradzające bystroć umysłu.

Ruszył do ciemnej, brudnej łazienki, wszedł do wanny i odkręcił prysznic. Przez chwilę stał w strumieniach ledwo letniej wody, po czym namydlił się, wyszorował, rozmasował mięnie i splukał mydliny.

ciężni z wieszaka brudny ręcznik i zaczął trzeć skórę, aż się zaczerwieniła.

Nagle przerwał, słysząc cichy odgłos za uchylonymi drzwiami łazienki. Wstrzymał oddech i nastawił uszu. Dźwięki powtórzyły się skrzypnięcie deski w podłodze, suchy trzask, szelest materiału. Pete Anglich dotknął drzwi i otworzył je powoli.

Przed komodą stał czarnuch w fioletowym garniturze i panamie. Trzymał marynarkę Anglicha. Na komodzie leżały dwa rewolwery jednym z nich był stary, wysłużony colt Petea. Drzwi wejściowe były zamknięte. Koło nich, na dywanie, leżał klucz hotelowy, jak gdyby wypadł z zamka lub został wypchnięty od zewnątrz.

Skowronek upuścił marynarkę na podłogę. W lewej ręce trzymał portfel; prawą sięgnął po colta. Umiechnął się szeroko.

Nie przeszkadzaj sobie, biały bracie rzucił. Wycieraj się dalej.

Pete Anglich usłuchał. Wytarłszy się do sucha, stanął nagi, trzymając mokry ręcznik w lewej ręce.

Skowronek wytrząsnął zawartość portfela na komodę i lewą ręką przeliczył pieniądze. W prawej wciśniętym colta.

Osiemdziesiąt siedem papierków. Ładny grosz. Część z tego przegrałem do ciebie w koci, ale biorę wszystko, przyjacielu. Tylko spokojnie. Mam tu przody u kierownika.

Będ człowiekiem, Skowronek wychrypiął Pete Anglich. To moja cała forsa. Zostaw mi parę dolców, co? Mówił celowo szorstkim, jakby przepitym głosem.

Murzyn błysnął zębami, potrzebując widać głowę.

Nie mogę, przyjacielu. Zarwałem panienkę i potrzebuję szmalu.

Anglich, umiechając się niemialo, zrobił niedbale krok do przodu. Lufa colta drgnęła i wycelowała w niego.

Skowronek przesunął się bokiem i sięgnął po butelkę żytniówki.

To też mi się przyda. Moja mała lubi przepłukać gardziółko, oj, lubi. Co ci zostało w portkach, to twoje.

Anglich uskoczył w bok. Twarz Murzyna wykrzywił grymas wciekłoci. Poderwał broń, wypuszczając z ręki butelkę, która uderzyła go w stopę. Zawył, wierzgnął nogami i zawadził o dziurę w dywanie.

Policjant zamachnął się mokrym ręcznikiem, celując w oczy czarnego.

Ten zatoczył się i wrzasnął z bólu. Anglich złapał go za nadgarstek i wykręcił mu rękę, w której trzymał rewolwer. Lewa dłoń policjanta przesunęła się w dół, obejmując dłoń Skowronka z coltem. Lufa rewolweru dotknęła boku Murzyna.

Zdradzieckie kopnięcie kolanem trafiło policjanta w podbrzusze; omal nie wymiotował. Odruchowo nacisnął palec Murzyna oparty na spucie colta.

Fioletowy garnitur wytłumił głuchy huk wystrzału. Skowronek wywrócił oczy; wśka szczęka opadła mu bezwładnie.

Anglich ułożył go na podłodze. Dysząc ciężko, przez chwilę stał schylony, z poszarzałą twarzą. Odszukał na podłodze butelkę whisky i wlał do gardła palący płyn.

Niezdrowy kolor ustąpił z jego twarzy. Oddech wrócił do normy. Wierzchem dłoni otarł pot z czoła.

Zbadał tętno chłopaka. Nie wyczuł pulsu. Skowronek nie żył. Anglich uwolnił broń z jego dłoni, podszedł do drzwi i wyjrzał na korytarz. Pusty. W zamku od zewnątrz tkwił klucz uniwersalny. Policjant wyszedł go i zamknął drzwi od rodka.

Włożył bieliznę, skarpetki i buty, potem znoszony garnitur z popeliny i zawiązał krawat pod wygniecionym kołnierzykiem koszuli. Z kieszeni zabitego wyciągnął zwitek banknotów. Wrzucił ubrania i kosmetyki do taniej fibrowej walizki i postawił ją koło drzwi.

Wepchnął ołówkiem oderwany strzęp przecieradła do lufy swojego colta, przeczyił ją, wymienił wystrzelony nabój na nowy, zgniótł obcasem pustą łuskę na podłodze łazienki, wrzucił ją do sedesu i spucił wodę.

Zamknął pokój od zewnątrz i zszedł schodami do hallu.

Łysy recepcjonista zerknął na niego i spucił wzrok. Twarz mu poszarzała. Pete Anglich oparł się o ladę. Gdy otworzył dłoń, dwa klucze z brzękiem upadły na porysowane drewno. Na ich widok recepcjonista wzdrygnął się.

Nie słyszałaś aby czego dziwnego? zapytał.

Anglich powoli ochryplym głosem.

Łysy potrząsnął głową, przełykając linę.

Dzisiaj już grajś gdzie indziej, co? rzekł policjant.

Recepcjonista z wysiłkiem poruszył głową, przekręcił szyję uwięzioną w ciasnym kołnierzyku. Jego ciemna łysina lniła w padającym z sufitu wietle.

Szkoda stwierdził Anglich. Pod jakim nazwiskiem się tu wczoraj zameldowałem?

Wcale się pan nie meldował odparł szeptem łysy.

A może w ogóle mnie tu nie było? zasugerował policjant cicho.

Nie widziałem pana na oczy.

Teraz też mnie nie widzisz. I nigdy nie zobaczysz a w każdym razie nie poznasz. No nie, Doc?

Łysy pokręcił szyjś, próbujśc przywołać na twarz umiech.

Pete Anglich wyciśgnął portfel, a z niego trzy dolary.

Nie jestem z tych, co to wychodźś nie płacśc owiadczył powoli. To za pokój trzysta czterdzieci dziewięć, aż do przedpołudnia. Zdaje się, że chłopak, któremu dałe klucz, ma twardy sen. Przerwał i wbił zimny wzrok w twarz recepcjonisty. No, chyba że ma przyjaciół, którzy zechcśc go stśd zabrać dorzucił w zamyleniu.

Na usta łysego wystśpiły bśbelki liny.

On on nie wyjśkał.

Tak a czego się spodziewał? rzucił Anglich.

Z walizkś w ręku ruszył do drzwi wyjciowych. Na ulicy przystanśł pod malowanym szyldem, spoglśdajśc w stronę jaskrawych wiateł Central Avenue.

Po chwili skierował się w przeciwnś stronę. Ulica była ciemna, spokojna. Zanim dotarł do Noon Street, minśł cztery przecznice drewnianych domków. Była to dzielnica murzyńska.

Po drodze spotkał tylko ciemnoskórś dziewczynę w zielonym kapeluszu, cienkich pończochach i na dziesięciocentymetrowych szpilkach. Stała pod zakurzonś palmś i paliła papierosa, spoglśdajśc w stronę Niespodzianki.

2.

Jadłodajnia mieciła się w starym wagonie restauracyjnym bez kół, ustawionym frontem do ulicy, pomiędzy warsztatem mechanicznym a domem z pokojami do wynajęcia. Jej nazwa, Bella Donna, wypisana była na wszystkich cianach wyblakłymi złotymi literami. Pete Anglich wszedł po dwóch żelaznych schodkach na końcu wagonu wprost w odór przypalonego tłuszczu.

Gruby czarny kucharz w białym fartuchu stał odwrócony plecami do niego. Po drugiej stronie wagonu siedziała przy ladzie biała dziewczyna w tanim pilniowym kapeluszu i znoszonym żakiecie.

Popijała kawę, podpierajśc lewś rękś brodę. Nikogo więcej nie było.

Anglich postawił walizkę na podłodze i zajśł miejsce przy samych drzwiach.

Serwus, Mopsy!

Lniśca czarna twarz ponad białym fartuchem odwróciła się ku niemu. Tłucioch rozdziawił usta w umiechu. Wysunśł siny, mięsisty język i przesunśł nim między grubymi wargami.

Co tam słychać? Zjesz co?

Jajecznice z dwóch jajek, kawę, grzanki, bez ziemniaków.

I to ma być żarcie dla chłopca? zaprotestował Mopsy.

Popiło się wyjanił Anglich.

Siedząca przy drugim końcu lady dziewczyna zmierzyła go ostrym wzrokiem, zerknęła na tani budzik na półce, a potem na swój zegarek, wystajęcy spod rękawiczki. Przygarbiła się i znów utkwiała wzrok w filiżance.

Kucharz wybił na patelnię dwa jajka i rozbełtał je z domieszką mleka.

Chcesz klina?

Pete Anglich odmówił ruchem głowy.

Jestem za kółkiem, Mopsy.

Kucharz umiechnął się od ucha do ucha. Wyciągnął spod lady brązową butelkę, nalał solidną miarę do szklanki i postawił ją przed Anglichem, który chwycił ją gwałtownie i opróżnił jednym haustem.

Zdaje się, że wskoczę za kółko innym razem. Odstawił pustą szklankę.

Dziewczyna wstała, przeszła obok stolika i położyła na ladzie dziesięć centów. Kucharz otworzył kasę i wydał jej pistkę reszty. Anglich spojrzał na dziewczynę obojętnie. Kiepsko ubrana, miała niewinne oczy i kasztanowe włosy, spływające falami na kark. Ostre łuki, wymalowane w miejscu wyskubanych brwi, nadawały jej twarzy zdziwiony wyraz.

Czy pani się czasem nie zgubiła? spytał miękko, ochrypłym głosem.

Dziewczyna otworzyła właśnie torebkę, by schować resztę. Teraz wzdrygnęła się gwałtownie i upuściła ją, rozsypując zawartość po podłodze. Szeroko otwartymi oczyma wpatrywała się w pobojowisko.

Pete przyklęknął i zaczął zbierać do torebki rozsypane drobiazgi: taniś niklowany puderniczkę, papierosy, firmowe zapalniczki ze złotym napisem klub Juggernaut na fioletowym tle. A do tego dwie kolorowe chusteczki, zmietoszony banknot dolarowy i trochę drobnych.

Zamknął torebkę, wstał i podał ją dziewczynie.

Przepraszam powiedział łagodnie. Chyba paniś przestraszyłem.

Wcisnęła powietrze ze wstęmem. Wyrwała mu torebkę, wybiegła z wagonu i tyle ją widzieli.

Kucharz odprowadził ją wzrokiem.

Nie pasuje mi ta lalunia do tej dzielnicy stwierdził powoli.

Nalóżył jajecznicę i grzanki na talerz, nalał kawy do grubego kubka i postawił to wszystko przed Anglichem.

Policjant dotknął grzanki.

Nie doć, że sama, to jeszcze ma zapalki z Juggernaut powiedział z roztargnieniem. To lokal Waltza Elegancika. Sam wiesz, jak kończś panienki, które mu wpadnś w ręce.

Kucharz oblizał się i wyjšł spod lady butelkę. Nalał sobie szklaneczkę, uzupełnił ubytek whisky wodś i schował flaszkę z powrotem.

Ja tam się nigdy nie bawiłem w gangstera i teraz też nie mam zamiaru owiadczyk powoli. Ale tacy biali jak on wszystkim tu podpadli. W końcu kto mu zrobi kuku.

Pete Anglich kopnś walizkę.

Pewnie tak. Przechowaj mi ten kufer, Mopsy.

Wyszedł.

Był rzeki, jesienny wieczór. Nieliczne samochody przemykały ulicś, lecz chodniki były ciemne, wyludnione. Tylko nocny stróż wędrował powoli od jednego obskurnego sklepiku do drugiego, sprawdzajśc drzwi. Po drugiej stronie ulicy stało kilka drewnianych domów; z dwóch dolatywały hałasy.

Policjant minś skrzyżowanie. Trzy przecznice dalej znów ujrzzał dziewczynę.

Stała oparta o cianę, bez ruchu. Tuż za niś paliło się słabe wiatełko nad schodami prowadzścymi do czynszówki. Dalej widać było niewielki parking, zastawiony od frontu tablicami ogłoszeniowymi. W padajścym skśd bladym wietle rysował się kapelusz dziewczyny, znoszony żakiet z postawionym kołnierzem, policzek. Pete Anglich rozpoznał znajomś z baru.

Schował się w bramie i obserwował jś z ukrycia. Gdy uniosła rękę, w słabym wietle mignęło co błyszczścego. Zegarek. Gdzie w pobliżu zegar powoli wybił ósmś.

Ulicę zalał snop wiatła. Zza rogu wysunęła się olbrzymia limuzyna; kierowca skręcajśc przygasił reflektory. Samochód sunś bezszelestnie ciemne, lniśce szyby i wypolerowany lakier.

Anglich umiechnś się ironicznie, nie wychodzśc z ukrycia. Wykonany na zamówienie Duesenberg szeć przecznice od Central Avenue! Nagle zeszywniał, słyszśc szybkie kroki i stukot szpilek.

Dziewczyna biegła chodnikiem w jego stronę. wiatło przygaszonych reflektorów nie dosięgło jej, wóz był jeszcze za daleko. Policjant wysunś się z kryjówki, chwycił kobietę za ramię i wciśgnś do bramy. Wyłowił rewolwer spod marynarki.



Dziewczyna dyszała u jego boku.

Duesenberg minął ich powoli. Nie padły żadne strzały. Kierowca w liberii nie zwolnił.

Nie mogę tego zrobić. Boję się wydyszała kobieta w ucho policjanta. Wyszarpnęła rękę i pobięła w przeciwną stronę niż samochód.

Anglich obserwował limuzynę, która mijala właśnie tablice ogłoszeniowe przed parkingiem. Jechała już w prawdziwie żółtym tempie. Nagle co wyleciało z jej lewego okna i z suchym trzaskiem upadło na chodnik. Samochód przyspieszył bezszelestnie i z cichym pomrukiem wtopił się w ciemność. Kierowca włączył wiatła mijania dopiero za skrzyżowaniem.

Nic się nie wydarzyło. To, co wyrzucono z samochodu, leżało spokojnie na chodniku, z dala od jezdni, niemal pod jedną z tablic reklamowych.

Po chwili dziewczyna wróciła. Szła powoli, ociągając się. Pete Anglich obserwował ją z bramy.

Co tu się dzieje? zapytał, gdy się z nim zrównała. Może pani w czym pomóc?

Odwróciła się raptownie, wydając zduszony jęk, jak gdyby całkiem zapomniała o jego obecności. Stojąc obok niego, poruszyła głowę; w ciemności błysnęły jej oczy. Jej broda drżała. Pan jest tym mężczyzną z baru. Widziałam tam pana. Mówiła cicho, popiesznie, wystraszonego głosem.

Niechże pani odpowie. Co tu jest grane szantaż?

Znow poruszyła głowę w ciemności, w górę i w dół.

Co jest w tej paczce? warknął Anglich. Forsa?

Przyniesie mi ją pan? wyrzuciła z siebie jednym tchem. Tak pana proszę. Byłabym panu taka wdzięczna. Byłabym

Rozemiał się. Zabrzmiało to jak ciche warknięcie.

Przynieć ją, skarbie? Dla ciebie? Ja też mam wydatki. No jak, co tu jest grane? Gadaj!

Spróbowała mu się wyrwać, ale nie pocił jej ręki. Schował rewolwer pod marynarkę i przytrzymał dziewczynę oburącz.

On mnie zabije, jeli mu jej nie przyniosę wyszeptała przez łyzy.

Kto? spytał ostro, zimnym tonem. Waltz Elegancik?

Wzdrygnęła się i niemal oswobodziła z jego ucisku. Ale tylko niemal. Po chodniku zaszurały czyje kroki. Dwie ciemne sylwetki przeszły koło tablic reklamowych, nie zatrzymując się i nie pochylając. Kroki były coraz bliższe; rozbłysły koniuszki papierosów.

Cześć, kiciu! rozległ się czyj głos. Nie chcesz czasem zmienić chłopaka?

Dziewczyna schowała się za policjanta. Jeden z czarnych rozemiał się cicho i pomachał zapalonym papierosem.

A niech to, ta cizia jest biała powiedział szybko drugi. Pryskaemy.

Odeszli rechocząc. Na najbliższym skrzyżowaniu skręcili i zniknęli za rogiem.

No i fajnie warknął Anglich. Nareszcie się przekonała, gdzie jeste. Mówił twardo, ze złości. Szlag by trafił, nie ruszaj się stąd, to ci przyniosę ten twój szmal.

Zostawił dziewczynę i trzymając się blisko ciany domu, podszedł do najbliższej tablicy. Przystanął, przebijając wzrokiem ciemności. W końcu dostrzegł paczkę. Owinięts w ciemny materiał i raczej niewielkš, ale widocznš gołym okiem. Pochylił się i zajrzał pod tablicę, lecz nic więcej nie zauważył.

Zrobił cztery kroki, schylił się i podniósł zawiništko. Pod palcami wyczuł materiał i dwie grube gumowe opaski. Stał nieruchomo, wyęzając słuch.

Z oddali dolatywały ciche odgłosy ruchu ulicznego na głównej arterii. W szklanych drzwiach domu naprzeciwko paliło się wiatło, nad nimi za ujrzął otwarte, ciemne okno.

Za jego plecami rozległ się przeraliwy kobiecy krzyk.

Zamarł, po czym okręcił się na pięcie. wiatło trafiło go między oczy. Padało z ciemnego okna naprzeciwko olepiający biały promień, który przygwodził go do tablicy.

Twarz Anglicha wykrzywił grymas; policjant zamrugał, ale ani drgnął.

Czyje buty stuknęły o beton i z boku, zza ostatniej tablicy ogłoszeniowej, trafił go mniejszy promień wiatła, a spokojny głos polecił:

Nie waź się ruszyć małym palcem, kolego. Jeste otoczony przez policję.

Z obu stron zbliżali się mężczyźni z wycelowanymi rewolwerami. W oddali zastukały obcasy, po czym zapanowała cisza. Nie na długo zza rogu wyjechał samochód z czerwonym wiatłem na dachu i zatrzymał się koło ludzi otaczających Anglicha.

Jestem Angus, porucznik policji przedstawił się mężczyzna o spokojnym głosie. Pozwoli pan, że zaopiekuję się tš paczkš. A teraz będzie pan łaskaw złożyć ręce

Kajdanki z suchym trzaskiem zamknęły się na nadgarstkach Anglicha.

Zatrzymany wyęzył słuch, próbując pochwycić szybki, oddalający się stukot obcasów. Ale teraz już było wokół niego za głośno.

W sąsiednich domach otwierały się drzwi to Murzyni wysypywali się na ulicę.

3.

John Vidaury miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu i najszlachetniejszy profil w całym Hollywood. Był ciemnowłosy, ujmujący i romantyczny; lekko szpakowate skronie przydawały mu tylko atrakcyjności. Szeroki w barach, w biodrach wężki, miał talię godną oficera angielskiej Gwardii Królewskiej. wietnie skrojony smoking leżał na nim jak ulał.

Vidaury patrzył właśnie na Anglika tak, jak gdyby chciał go przeprosić za to, że go nie zna. Pete Anglich obrzucił wzrokiem kajdanki, swoje sfatygowane buty na puszystym dywanie, wysoki zegar z kurantem pod cianą. Oblał się rumieńcem; jego oczy pałały. Nie, nigdy go nie widziałem owiadczył Vidaury łagodnym, czystym, modulowanym głosem i umiechnął się do Anglika.

Angus, porucznik w cywilu, oparł się o skraj rzebionego stołu bibliotecznego i pstryknął palcem w rondo kapelusza. Dwaj inni policjanci stali pod boczną cianą. Czwarty siedział przy małym biurku, na którym leżał notes do stenografowania.

No nic, tak tylko myleliśmy, że może pan go zna rzekł porucznik. Niewiele udało nam się z niego wycisnąć.

Vidaury uniósł brwi i umiechnął się leciutko.

Doprawdy? Pan mnie zdumiewa.

Pozbierał szklanki na tacę i zaczął je napełniać od nowa.

Bywa i tak stwierdził Angus.

Myślałem, że macie swoje sposoby powiedział subtelnie Vidaury, nalewając whisky do szklanek.

Porucznik obejrzał swój paznokieć.

Mówisz, że nic z niego nie wycisgniemy, chcę powiedzieć, że nie dowiemy się nic ważnego, panie Vidaury. Twierdzi, że nazywa się Pete Anglich, że kiedy był bokserem, ale od kilku lat już nie walczy. Od roku jest bezrobotny, przedtem pracował jako prywatny detektyw. Wygrał w koci parę groszy, zalał się i laził po mieście, aż trafił na Noon Street. Widział, jak z pańskiego wozu wylatuje jaka paczka, podniósł ją i to wszystko. Co najwyżej możemy go oskarżyć o włóczęgostwo.

Całkiem możliwe, że tak właśnie było powiedział cicho Vidaury. Zaniósł szklanki czterem policjantom, po dwie naraz. Następnie wziął swoją, skłonił się lekko i z wdziękiem podniósł ją do ust. Z jego ruchów przebijała wyszukana elegancja. Nie, nie znam go powtórzył. Szczerze mówiąc, nie wygląda mi na kogo, kto oblewa ludzi kwasem. Machnął ręką. Obawiam się, że sprowadzanie go tutaj

Pete Anglich podniósł nagle głowę i spojrzał na gospodarza.

To dla ciebie komplement, Vidaury dokończył za niego drzwi. Rzadko kiedy marnuje się czas czterech gliniarzy, żeby obwozili aresztowanego po ludziach.

Vidaury umiechnął się uprzejmie.

Jestemy w Hollywood. Było, nie było, ma się tę reputację.

Raczej miało sprostował Anglich. Twój ostatni film jest do tego, o czym nie wspomina się przy damach.

Angus zdrętwiał. Vidaury pobladł. Powoli odstawił szklanę i opucił rękę. Sprężystym krokiem przeszedł przez dywan i stanął twarż w twarz z aresztowanym.

To tylko pańskie zdanie wycedził chrapliwie. Ale ostrzegam

Anglich spojrział na niego spode łba.

Słuchaj no, waźniaku. Wybuliłe tyśczek, bo niby jaki gnojek groził, że cię obleje kwasem. Znalazłem te twoje liczne, nowiutkie pieniśzki, ale ich nie dostałem. Wróciły do ciebie. W ten sposób nie wydajśc złamanego grosza załatwiłe sobie reklamę wartś dziesięć kawałków. To się nazywa interes!

Doć tego, prostaku! wtrścił ostro Angus.

Tak? parsknął Anglich. Podobno chcielicie, żebym gadał? No to gadam. Bo nie znoszę takich skner.

Aktor oddychał z wysiłkiem. Nagle zacisnął pięć i uderzył aresztowanego w szczękę. Anglich szarpnął głowś do tyłu, przymknął oczy i natychmiast otworzył je szeroko. Otrżśnął się.

Łokieć w górę, kciuk w dół, Vidaury powiedział zimno. Bijśc w ten sposób, złamiesz sobie rękę.

Gwiazdor cofnął się i potrzśnął głowś, oglśdajśc kciuk. Bładoć ustśpiła z jego twarzy, na którą miało powrócić umiech.

Przepraszam wytłumaczył się ze skruchś. Najmocniej przepraszam. Nie przywykłem do takich zniewag. A skoro nie znam tego człowieka, poruczniku, niech go pan stśd zabierze. W kajdankach. Zachowałem się trochę niesportowo, prawda?

Powiedz to swoim kucom do polo wtrścił Anglich. Mnie nie tak łatwo złamać.

Angus podszedł do niego i klepnął go w ramię.

Rusz tyłek, chłopie. Spływamy. Nie przepadasz za przyzwoitymi ludmi, co?

Nie. Ja lubię łobuzów odparł Anglich. Wstał powoli i przesunął nogś po grubym włosiu dywanu.

Stojścy pod cianś gliniarze podeszli do niego z dwóch stron i razem wyszli pod łukiem z wielkiego

salonu. Angus i czwarty gliniarz zamykali pochód. Zatrzymali się w małym, prywatnym hallu, czekając na windę.

Co ci strzeliło do głowy, żeby wdawać się z nim w pyskówkę? warknął porucznik.

Anglich rozemiał się.

Nerwy wyjanił. Poniosło mnie.

Nadjechała winda i zwozła ich do przestronnego, spokojnego hallu Chester Towers. Dwaj detektywi hotelowi zabijali czas przy ladzie, za którą stało dwóch czujnych recepcjonistów.

Pete Anglich uniósł skute kajdankami ręce w geście bokerskiego pozdrowienia.

Co to? Nie ma jeszcze żadnych łowców sensacji? rzucił drzwiśco. Oj, bo się Vidaury pogniewa, że nie będzie rozgłosu.

Jazda, cwaniaku! popędził go jeden z gliniarzy, wykręcając mu rękę.

Przeszli korytarzem do bocznego wyjścia i wydostali się na wśkś, stromś uliczkę, kończąc się pozornie na koronach drzew, za którymi wiatła miasta układały się w wielki złoty dywan, tu i ówdzie nakrapiany czerwieniś i zieleniś, błękitem i fioletem.

Zaszumiały silniki dwóch samochodów. Anglicha wepchnięto na tylne siedzenie pierwszego wozu; po jednej ręce miał Angusa, po drugiej innego policjanta. Oba wozy zjechały powoli ze wzgórza, przy Fountain skręciły na wschód i płynnie, kilometr za kilometrem, przecinały ciemności. Z Fountain zjechały w Bulwar Zachodźszego Słońca i skierowały się do centrum, ku wysokiej białej wieży ratusza. Na placu pierwszy samochód skręcił w lewo, na południe, drugi za pojechał prosto.

Wkrótce Anglich skrzywił się i zerknął z ukosa na porucznika.

Dokśd mnie wieziecie? Na komendę główńś to nie tędy.

Ciemna, surowa twarz Angusa odwróciła się do niego powoli. Po chwili zwalisty gliniarz odchylił głowę na oparcie i ziewnął do księżyca. Nie odpowiedział.

Samochód dojechał Los Angeles Street do Pištej, skręcił na wschód, do San Pedro, i jeszcze raz, na południe. Mijał przecnicę za przecnicęś jedno spokojne, inne hałaliwe; takie, gdzie ludzie w milczeniu przesiadywali na wałscych się werandach, i takie, gdzie młodzi osiłkowie wszelkiej maci kłócili się i przekomarzali przed tanimi knajpami, sklepami i piwiarniami pełnymi automatów.

Radiowóz raz jeszcze skręcił na wschód, w Santa Barbara, i powoli podjechał do Noon Street. Zatrzymał się na rogu koło jadłodajni. Pete Anglich znowu się skrzywił, lecz nie powiedział ani słowa.

No dobra wycedził Angus. Zdejmijcie mu bransoletki.

Siedzący po drugiej stronie aresztowanego gliniarza wygrzebał kluczyk z kieszeni kamizelki, otworzył kajdanki i potrząsnął nimi z upodobaniem, nim przypiął je sobie do pasa. Angus otworzył drzwiczki i wysiadł.

Wynocha! rzucił przez ramię.

Anglich stanął na chodniku. Porucznik oddalił się nieco od latarni, zatrzymał i skinął na niego ręką. Sięgnął pod marynarkę i wyciągnął rewolwer.

Musieliśmy to rozegrać w ten sposób szepnął. Inaczej tamci skapowaliby się co i jak. Oprócz Pearsona nikt cię nie zna. Wpadłe na co?

Pete Anglich wziął swego colta i wolno potrząsnął głową. Schował broń pod marynarkę, zasłaniając ją przed wzrokiem gliniarza w samochodzie.

Chyba wykryli nasz punkt obserwacyjny rzekł powoli. Poza tym kręciła się tu jaka dziewczyna, ale to mógł być przypadek.

Angus patrzył na niego bez słowa. Po chwili skinął głową i wrócił do wozu. Trzasnęły zamykane drzwiczki, samochód ruszył i nabrał szybkości.

Anglich doszedł Santa Barbara do Central i skręcił na wschód. Wkrótce ujrzał przed sobą jaskrawy, fioletowy neon z napisem: Klub Juggernaut. Wyłożone dywanem schodki zaprowadziły go tam, skąd dobiegał gwar rozmów i muzyka taneczna.

4.

Stoliki otaczające mały parkiet do tańca stały tak blisko siebie, że dziewczyna musiała przeciskać się bokiem. Trąciła biodrem plecy mężczyzny, który odwrócił się i z umiechem złapał ją za rękę. Umiechnęła się do niego odruchowo, wyszarpnęła rękę i przeszła dalej.

W brązowej, połyskującej metalicznie sukni bez ramion i z falą kasztanowych loków spływających na kark prezentowała się o wiele lepiej niż na wysokich szpilkach, z odsłoniętymi udami i w kusym żakiecie, a do tego w pilniowym kapelusiku zawadiacko zsuniętym na bakier.

Miała drobniejszą, ładniejszą, choć wymizerowaną buzię i wielkie oczy. Orkiestra rżnęła na całego, próbując zagłuszyć brzęk talerzy, głony pomruk rozmów i szuranie nóg po parkiecie. Dziewczyna podeszła do stolika, przy którym siedział Pete Anglich, odsunęła krzesło i usiadła.

Trzymając łokcie na obrusie, podparła brodę splecionymi dłońmi i wpatrzyła się w policjanta.

Cześć! odezwała się nieco drżącym głosem.

Anglich pchnął ku niej paczkę papierosów i patrzył, jak wytrząsa jednego i wkłada go do ust. Zapalił zapalniczkę. Dziewczyna wyjęła mu ją z ręki i sama sobie przypaliła.

Napijesz się?

Jeszcze jak!

Dał znak kędzierzawemu kelnerowi o migdałowych oczach i zamówił dwa koktajle. Gdy ten odszedł, Anglich wyprostował się na krzele i zaczął oglądać krótko obcięte paznokcie.

Dostałam pański licik szepnęła dziewczyna.

I co, podobał ci się? spytał zimno, obojętnie. Nie patrzył na nią.

Rozemiała się nieszczerze.

Życzenie klienta jest dla nas rozkazem.

Anglich spojrzął ponad jej ramieniem na róg podium dla orkiestry. Jaki mężczyzna stał tam przy mikrofonie i palił papierosa. Potężnie zbudowany, miał przyлизane szpakowate włosy, wielki nochal i przekrwioną cerę moczymordy. Jak na wodzireja, był za stary. Rozdawał umiechy na prawo i lewo. Policjant obserwował go przez chwilę, ciekaw kierunku, w jakim wędrują jego spojrzenia.

I tak by tu przyszła stwierdził tym samym zimnym, obojętnym tonem.

Dziewczyna wyprostowała się na krzele i zgarbiła z powrotem.

Nie musi mnie pan obrażać.

Powoli zmierzył ją pustym wzrokiem.

Jeste przegrana, kotku, stoczyła się na samo dno. Wiem co o tym, nieraz mi się to zdarzało. A zresztą wpakowała mnie dzisiaj w niezły pasztet. Należy ci się ode mnie parę przykrych słówek.

Wrócił kelner. Postawił tacę, wytarł szklanki od spodu brudną cierką, ustawił je na stole i odszedł.

Dziewczyna szybko podniosła swoją szklankę i pociągnęła zdrowo. Odstawiając ją, wzdygnęła się lekko. Zbladła.

Niechże pan co powie zażartuje, czy co rzuciła popiesznie. Proszę tak nie siedzieć. Obserwuj mnie.

Anglich dotknął szklanki i wiadomie umiechnął się w stronę podium dla orkiestry.

Tak, domyłam się. Opowiedz mi o tej wpadce na Noon Street.

Błyskawicznie wyciągnęła rękę i oparła mu dłoń na ramieniu. Ostre paznokcie wpiły mu się w ciało.

Nie tutaj wyszeptwała. Nie wiem, jak mnie pan znalazł, i nic mnie to nie obchodzi. Wygląda pan na takiego, co to nie opuci dziewczyny w potrzebie. O mało tam nie umarłam ze strachu. Ale tu proszę o

tym nie mówić. Zrobię, co tylko pan zechce, pójdę, gdzie mi pan każe. Byle nie tutaj.

Policjant uwolnił ramię z ucisku i usiadł prosto. Oczy miał zimne, lecz usta łagodne.

Rozumiem. Spełniała życzenie Elegancika. Pewnie miał tam na ciebie oko?

Szybko skinęła głową.

Zwinął mnie, zanim minęłam trzy przecznice. To, co tam zrobiłam, uznał za wietny kawał, ale przestanie tak myśleć, jak pana tu zobaczy. Wyjdzie na to, że pan co wie.

Pete Anglich skosztował koktajlu.

Włanie tu idzie powiedział z niezmiśconym spokojem.

Siwy wodzirej lawirował między stolikami, kłaniając się i zatrzymując na słówko z gośćmi. Wyranie sterował w kierunku Anglicha i dziewczyny.

Dziewczyna patrzyła w wielkie pozłacane lustro nad głową policjanta. Nagle jej twarz wykrzywił grymas strachu, a usta zaczęły drżeć niepoohamowanie.

Waltz Elegancik bez popiechu zbliżył się do ich stolika, oparł dłoń na blacie i wycelował przekrwiony nochał w Anglicha. Na twarzy miał łagodny, płaski uśmiech.

Witaj, Pete. Nie pokazywałeś się tu, odkąd pochowali McKinleya. Jak leci?

Tak sobie odparł Anglich ochryple. Zalewałem robaka.

Waltz uśmiechnął się szeroko i spojrzał na dziewczynę. Zerknęła na niego, szybko odwróciła wzrok i zaczęła skubać brzeg obrusa.

Znała wcześniej tę damulkę, czy poderwałeś ją tu na miejscu? zagruchał Waltz łagodnie.

Anglich, z wyrazem znudzenia na twarzy, wzruszył ramionami.

Po prostu chciałem się z kim napić. Posłałem jej licik. A co?

Nie, nic takiego. Waltz podniósł jedną ze szklanek i pociągnął nosem. Chętnie podawałbym co lepszego, ale za pół dolara szklanka to niemożliwe. Co wy na to, żeby wychylić parę głębszych z odpowiedniej butelki, w mojej jaskini?

My? To znaczy oboje? spytał Anglich łagodnie.

Zgadza się, oboje. Za jakie pięć minut. Muszę się tu jeszcze trochę pokręcić.

Waltz uszczypnął dziewczynę w policzek i ruszył dalej, lekko kołysząc ramionami w sztywnym na miarę garniturze.



A więc masz na imię Pete odezwała się dziewczyna powoli. W jej ochrypłym głosie brzmiała rozpacz. Ty chyba chcesz umrzeć młodo, Pete. Ja się nazywam Token Ware. Głupio, no nie?

Mnie się podoba odparł cicho.

Spojrzała na punkt poniżej białej blizny na jego szyi. Jej oczy zasły łzami.

Waltz Elegancik krzął tymczasem po sali, od czasu do czasu zamieniając parę słów z klientami. Precisnął się do ciany, a stamtąd na podium dla orkiestry. Omiótł wzrokiem cały lokal. Gdy spojrzał na Angliča, skinął głową i wycofał się za grube zasłony.

Policjant odsunął krzesło i wstał.

Idziemy.

Token Ware drżącymi palcami zgmiotła papierosa w szklanej popielniczce, dopiła koktajl i wstała. Precisnęli się między stolikami i skrajem parkietu podeszli z boku do orkiestry.

Zasłony prowadziły do mrocznego korytarza z drzwiami po obu stronach. Podłogę pokrywał wywiechtany czerwony dywan. Ze cian sypał się tynk, drzwi skrzypiały.

Na samym końcu, po lewej szepnęła Token Ware.

Pete Anglič zapukał. Usłyszeli głos Waltza, zapraszający ich do rodka. Policjant przez chwilę spoglądał na drzwi, po czym odwrócił głowę i obrzucił dziewczynę twardym spojrzeniem przymrużonych oczu. Otworzył drzwi, ponaglając ją ruchem ręki. Weszli.

W pokoju było stosunkowo ciemno. Wprawdzie światło małej prostokątnej lampy na biurku padało na wypolerowany blat, ale nie sięgało już wytartego czerwonego dywanu i długich, grubych zasłon w tym samym kolorze. W panującym zaduchu unosił się ciężki, słodkawy zapach alkoholu.

Waltz Elegancik siedział przy biurku, dotykając tacy, na której stała kryształowa karafka, kilka połączonych szklanek, kubeczek lodu i syfon z wodą sodową.

Umiechnął się i podrapał po olbrzymim nosie.

Siadajcie, kochani. Szkocka whisky po sześć dziewięćdziesiąt za literek. Tyle płacę w hurcie.

Anglič zamknął drzwi i zlustrował pokój, od sięgających podłogi zasłon, po zgaszoną lampę na suficie. Bez popiechu, swobodnie, rozpiął górny guzik marynarki.

Gorńco tu rzekł cicho. Słyszysz jakie okna za tymi zasłonami?

Dziewczyna usiadła na okrągłym krześle naprzeciwko Waltza, który umiechnął się do niej łagodnie i odparł:

Dobry pomysł. Mógłby otworzyć?

Policjant obszedł biurko i ruszył w stronę ciany. Mijając Waltza, sięgnął pod marynarkę i dotknął kolby rewolweru. Bezszelestnie zbliżył się do czerwonych zasłon, spod których wystawały czubki czarnych butów o kwadratowych noskach, ledwie widoczne w ciemnym kącie.

Stanął, wyciągnął lewą rękę i jednym szarpnięciem rozsunął zasłony.

Stwierdził, że buty w kącie pod cianą są puste. Za plecami usłyszał cichy miech Waltza i gruby, zimny głos:

Ręczki w górę, chłoptasiu!

Dziewczyna wydała zduszony jęk, lecz nie krzyknęła. Anglich opucił ręce i odwrócił się powoli. Olbrzymi Murzyn z postury przypominał goryla, a luno, kraciasty garnitur sprawiał, że wydawał się wręcz kolosalny. Wszedł bosy ze ciennej szafy; wielki czarny rewolwer niemal cały ginął w jego potężnej łapie.

Elegancik także był uzbrojony, w *savage*. Razem z Murzynem przyglądał się spokojnie policjantowi. Anglich zacisnął usta i podniósł ręce, gapiąc się na nich pustym wzrokiem.

Czarny w kraciastym garniturze podszedł do niego długim, swobodnym krokiem i przystawił mu rewolwer do piersi. Sięgnął mu pod marynarkę, odebrał colta i rzucił go za siebie na podłogę. Przełożył rewolwer z ręki do ręki, jakby od niechcenia, i kolbą uderzył policjanta w szczękę.

Anglich zatoczył się; na języku poczuł słony smak krwi. Zamrugał.

Nie zapomnę ci tego, wielkoludzie wychrypiał.

Czarny umiechnął się od ucha do ucha.

Zapomnisz, przyjacielu. Niedługo zapomnisz o wszystkim.

Jeszcze raz uderzył go rewolwerem, po czym wepchnął broń do bocznej kieszeni, wyciągnął łapska i zacisnął palce na gardle policjanta.

Lubię przydusić takiego chojraka, jak mi się zacznie stawiać powiedział nieomal łagodnie.

Anglich poczuł, że w tętnice szyjne wpijając mu się kciuki równie wielkie i twarde jak kłamki. Przed oczami miał olbrzymiś, rosnący z każdą chwilą twarz olbrzymiś, ciemną twarz przepołowioną szerokim umiechem. Falowała w coraz słabszym wietle, nierealna i fantastyczna.

Uderzył w nią. Jego ciosy były słabe, słabe jak munięcie dziecięcym balonikiem; pięci okładając twarz czarnego nic nie czuły.

Murzyn odwrócił go, wbił mu kolano w krzyż i przegiął go do tyłu.

Przez chwilę Anglich słyszał jedynie łomot krwi w uszach. Aż wreszcie, jakby z oddali, dobiegł go piskliwy kobiecy krzyk i jeszcze bardziej odległy głos Waltza Elegancika:

Spokojnie, Rufe. Tylko spokojnie.

wiat Petea Anglicha wypełniła głęboka czerń, zmieszana z krwistą czerwienią. A potem cisza. Wszystko zamarło w bezruchu, nawet krew.

Murzyn ułożył bezwładne ciało Anglicha na podłodze, cofnął się i zatarł ręce.

Tak wycedził. Lubię przyduszać takich chojraków.

5.

Murzyn w kraciastym garniturze siedział na skraju kanapy i ospale brzdękał na pięciostunowym banjo. Twarz miał poważną, spokojną, choć może nieco smutną. Z przekrzywioną na bok głową i zgniecionym niedopałkiem sterczącym z kącika ust, powoli przebierał po strunach. Grał samymi palcami, bez kostki.

Z jego gardła wydobywał się cichy pomruk. piewał.

Tani zegar elektryczny na gzymsie kominka wskazywał jedenastą trzydzieci pięć. Salonik był mały, nadmiernie zagracony jasnymi meblami. Czerwoną lampę stojącą ozdabiała u podstawy kolekcja lalek. Na podłodze leżał pogodny dywan z wzorem w wielkie romby. Pomiędzy dwoma zasłoniętymi oknami wisiało lustro.

Jedne drzwi były uchylone, a drugie, wychodzące na korytarz, zamknięte.

Pete Anglich leżał na podłodze na wznak, z otwartymi ustami i rękami rozrzuconymi na boki. Oddychał chrapliwie. Oczy miał zamknięte; w świetle lampy jego twarz wydawała się czerwona, jak w gorączce.

Murzyn odłożył banjo i wstał. Ziewnął, przeciągnął się i podszedł do kalendarza wiszącego nad kominkiem po drugiej stronie pokoju.

Sierpień już dawno się skończył mruknął z niesmakiem.

Zerwał kartkę z kalendarza, zmiął ją w kulkę i rzucił nią w nieprzytomnego policjanta. Trafił go w policzek. Anglich ani drgnął. Murzyn wypluł peta na dłoń, wyprostował palce i pstryknął nim w tym samym kierunku.

Przeszedł kilka kroków i pochylił się. Pomacał skroń policjanta w miejscu, gdzie widniał wielki siniak, i nacisnął, umiuchając się łagodnie. Anglich dalej leżał bez ruchu.

Czarny wyprostował się, zamylony i niezbyt mocno zaczął kopać leżącego w zębra. W końcu Anglich poruszył się, zabelkotał i przekręcił głowę. Murzyn, najwyraźniej usatysfakcjonowany, zostawił go i podszedł do kanapy. Wziął banjo i oparł je o cianę koło drzwi wejściowych. Na stoliku leżała gazeta, na niej rewolwer. Olbrzym zniknął za uchylonymi drzwiami prowadzącymi do sąsiedniego pokoju i wrócił z na wpół opróżnioną litrową butelką dzinu. Wytarł ją dokładnie

chusteczki i postawił na gzymsie kominka.

Już czas, kolego powiedział na głos. Jak się obudzisz, pewnie ci będzie było jak. Pewnie będziesz chciał strzelić klina Hej, mam lepszy pomysł!

Sięgnął po butelkę, przyklęknął, oblał dżinem usta i brodę policjanta i skropił mu koszulę. Znow wytrzeł butelkę i postawił ją na podłodze, a szklany korek z odmierzaczem wrzucił pod kanapę.

We to złap powiedział cicho. Odciski palców nie zaszkodzi.

Wziął gazetę ze stolika, zsunął z niej rewolwer na dywan i kopnął go tak, by znalazł się niemal w zasięgu ręki Anglika.

Od progu raz jeszcze przyjrzał się bacznie scenerii, kiwnął głową i podniósł banjo. Otworzył drzwi, wyjrzał na korytarz i odwrócił głowę. Żegnaj, przyjacielu powiedział łagodnie. Czas, żebym się ulotnił. Nie masz przed sobą wielkiej przyszłości, za to nie będziesz długo czekał na to, co ma się stać.

Zamknął drzwi i zszedł po schodach na parter. Z sąsiednich mieszkań dolatywały ciche dźwięki radia. W hallu nie było nikogo. Murzyn w kraciastym garniturze wcisnął się do budki telefonicznej w samym rogu sali, wrzucił do aparatu pięć centów i wybrał numer.

Policja usłyszała.

Przysunął usta do słuchawki.

Czy to gliny? rzucił piskliwie, zmieniając głos. Panie, ale się tu strzelali! Calliope Apartments 4B, Wschodnia Czterdziesta Ósma dwieście czterdzieści sześć. Zapisał pan?

Szybko odwiesił słuchawkę i chichocząc zbiegł po schodkach na ulicę. Wskoczył do małego, brudnego sedana, zapalił silnik i odjechał w kierunku Central Avenue. Był już niedaleko Central, gdy zza rogu ukazały się czerwone wiatła radiowozu, który skręcił we Wschodnią Czterdziestą Ósmą.

Murzyn za kierownicą sedana rozemiał się, nie przerywając jazdy. A kiedy mijał go pędzący na sygnale radiowóz, nucił już gardłowo pod nosem.

Słysząc trzask zamka w drzwiach, Pete Anglich uchylił powieki. Poruszył głową jego twarz natychmiast wykrzywił grymas bólu. Mimo to przekręcił głowę dalej, aż wreszcie dostrzegł pusty kąt i rodek pokoju. Odwrócił głowę w drugą stronę i obejrzał resztę pomieszczenia.

Przeturlał się i sięgnął po broń na podłodze. Był to jego własny rewolwer. Anglich usiadł i odruchowo otworzył bębenek. Pomimo bólu, jego twarz stężała. Kto wystrzelił jeden pocisk. Lufa wciąż jeszcze mierziała prochem.

Policjant wstał i skulony ruszył w stronę uchylonych drzwi. Powoli otworzył je na ocież, schylając się jeszcze niżej. Nic się nie stało. Zajrzał do sypialni wyposażonej w dwa blińczone łóżka, zasłane i przykryte różową adamaszkową narzutą w złoty deseń.

Na jednym łóżku kto leżał. Kobieta. Nie ruszała się. Twarz Anglicha wykrzywił twardy, zacięty grymas. Policjant wyprostował się i podszedł na palcach do łóżka. Zobaczył, że drzwi do łazienki są otwarte, lecz panowała tam absolutna cisza. Spojrzał więc na dziewczynę.

Wcisnął powietrze i wypuścił je powoli. Kobieta nie żyła. Na wpół przymknięte oczy patrzyły obojętnie, ręce spoczywały bezwładnie wzdłuż ciała. Nogi miała lekko podkurczone; jedna pończocha trochę opadła, ukazując gołe ciało. Na podłodze leżał zielony kapelusz. Dziewczyna miała na nogach dziesięciocentymetrowe szpilki. W pokoju unosił się zapach Nocnego narcyza. Anglich przypomniał sobie, że widział ją przed hotelem Niespodzianka.

Dziewczyna nie żyła; nie żyła dostatecznie długo, by krew wypływająca z osmalonej przez proch dziury pod lewą piersią zdążyła zakrzepnąć.

Policjant wrócił do salonu, porwał butelkę dzinu i duszkiem wychylił ją do dna. Nawet się nie zakrzuszył. Przez chwilę stał w miejscu, dysząc ciężko i zastanawiając się. Rewolwer trzymał niedbale w lewej ręce. Zacięte usta sprawiały, że wyglądał, jakby nie miał warg.

Pogłodził pustą butelkę, rzucił ją na kanapę i schował broń do kabury pod pachą. Podszedł do drzwi i cicho opukał pokój.

W długim, ciemnym korytarzu hulał lodowaty przeciśg. Samotny kinkiet u szczytu schodów dawał nieco żółtawego wiatła. Oszklone drzwi prowadziły na balkon nad frontową werandą. Odbijała się w nim zimna szara plama księżyc.

Pete Anglich zszedł na dół, ruszył do wyjścia i złapał za klamkę.

W oszklone drzwi trafił reflektor. Czerwone wiatło przedarło się przez szkło i zakrywając je zasłonę.

Anglich przykucnął, by go nie było widać przez szybę, i zgarbiony przemknął się pod boczną cianę. Szybko rozejrzał się po hallu i zatrzymał wzrok na ciemnej budce telefonicznej.

Wpadłem w pułapkę szepnął, wcisnął się do budki i skulił, zostawiając małą szparę w drzwiach.

Na werandzie zatupotały czyje kroki; skrzypnęły otwierane drzwi. Kto wszedł do hallu i zatrzymał się.

Cisza i spokój, co? rozległ się gruby głos. Jak nic, fałszywy alarm.

W każdym razie zajrzyjmy pod cztery B odparł inny głos.

Kroki przeszły przez hall na parterze i wróciły. Wkrótce zabębniły na schodach, a potem w korytarzu na piętrze.

Pete Anglich otworzył budkę, przeliznął się do drzwi wyjściowych i przykucnął, mrużąc oczy przed ostrym czerwonym wiatłem.

Dostrzegł ciemną sylwetkę radiowozu przy krawężniku i jego reflektory owietlające wyszczerbiony chodnik. Nie mógł jednak zajrzeć do wnętrza samochodu. Westchnął, otworzył drzwi i szybko, choć bez popiechu, zszedł po drewnianych schodkach z werandy.

Radiowóz był pusty, przednie drzwiczki z obu stron miał otwarte. Po drugiej stronie ulicy gromadziły się ostrożnie ciemne postacie. Anglich podszedł wprost do samochodu i usiadł za kierownicą. Zapalił silnik i wrzucił bieg.

Odjechał, mijając zgromadzonych mieszkańców sąsiednich domów. Na najbliższym skrzyżowaniu skręcił w przecznicę i zgasił czerwony reflektor. Przyspieszył. Klucząc po okolicy, oddalił się od Central, po czym zawrócił.

Gdy wiatła i ruch alei były już blisko, zaparkował na zakurzonej, wysadzonej drzewami ulicy i porzucił radiowóz.

Spacerkiem ruszył ku Central.

6.

Waltz Elegancik odłożył słuchawkę lewą ręką. Palcem wskazującym prawej dłoni odsunął górną wargę i wolno potarł zęby i dziąsła. Jego płaskie, bezbarwne oczy przesunęły się na olbrzymiego Murzyna w kraciastym garniturze, siedzącego po drugiej stronie biurka.

Pięknie powiedział drewnianym głosem. Co pięknego. Zwiął, zanim go przyskrzynili. Czysta robota, Rufe, szkoda gadać.

Czarny wyjął z ust niedopałek cygara i zgniół go olbrzymim płaskim kciukiem i równie płaskim palcem wskazującym.

Cholera, przecież on był normalnie sztywny! parsknął. A łapsy minęli mnie, zanim dojechałem do Central. Nie uciekną im, nie da rady.

Włanie z nim rozmawiałem przez telefon stwierdził głucho Waltz. Otworzył górną szufladę biurka i położył przed sobą wielkiego savage.

Murzyn spojrzał na broń. Jego oczy zmatowiały, straciły blask; przypominały teraz obsydian. Czarny wyjął wargi.

Ta mała puszczała się za moimi plecami burknął. Należała jej się kulka. No i klawo. Fajno jest. To co, przejdę się chyba po tego cwaniaczka?

Uniósł się z krzesła. Waltz dwoma palcami dotknął kolby savage i potrząsnął głową. Czarny usiadł z powrotem.

On zwiął, Rufe. A ty wezwałeś mundurowych do trupa kobiety. Jeżeli go nie nakryjesz ze spluwą a szansa na to jest jak jeden do tysiąca to nijak go nie powiesz z tym zabójstwem. Więc kto jest

głównym podejrzanym? Ty. To ty tam mieszkałe.

Murzyn błysnął zębami w umiechu, nie spuszczał matowych oczu z broni na biurku.

Znaczy, pali mi się grunt pod nogami powiedział. A giry mam takie, że jest pod czym palić. Lepiej się ulotnię, co?

Waltz westchnął.

Tak, chyba powiniene na jaki czas wyjechać z miasta przyznał w zamyleniu. Z Glendale. Akurat zdższymy na ostatni pociąg do Frisco.

Czarny sposepniał.

Z Frisco nici, szefie. Pogłaskałem tam szyjkę jednej cizi. Udusiła się. Nici z Frisco.

Ty co kombinujesz, Rufe rzekł zimno Waltz. Podrapał się jednym palcem po przekrwionym nosie i odgarnął włosy do tyłu. Widzę to po twoich oczach. Ale daj sobie z tym spokój. Sam się tobś zajmę.

Wyrowad samochód. Przemylimy wszystko po drodze do Glendale.

Murzyn zamrugął; olbrzymiś łapś otarł z brody popiół z cygara.

A ten wielki błyszczący rewolwer zostaw lepiej tutaj dorzucił Elegancik. Przyda mu się chwila wytchnienia.

Rufe sięgnął za siebie i powoli wyciśgnął broń z tylnej kieszeni spodni. Jednym palcem pchnął ją po wypolerowanym blacie biurka. W głębi jego oczu czał się nikły umieszek.

Nie ma sprawy, szefie powiedział niemal z rozmarzeniem.

Przeszedł przez pokój i zniknął za drzwiami. Waltz wstał i ruszył do ciennej szafy. Włożył ciemny pilniowy kapelusz, lekki płaszcz i ciemne rękawiczki. Do lewej kieszeni wrzucił swojego savage, do prawej rewolwer Murzyna. Wyszedł z pokoju i skierował się tam, skąd dobiegała muzyka taneczna.

Na końcu korytarza lekko rozchylił zasłony. Orkiestra grała walca. Klientela dopisała; a jak na Central Avenue, towarzystwo było wyjstkowo spokojne. Waltz westchnął, jeszcze przez chwilę przyglądał się tańczącym parom, po czym opuścił zasłony.

Cofnął się i mijając gabinet, doszedł do drzwi na samym końcu korytarza, prowadzących na schody, u stóp których kolejne drzwi wychodziły na ciemną alejkę na tyłach budynku.

Waltz delikatnie zamknął drzwi i stanął w ciemności pod cianą. Usłyszał szum silnika pracującego na jałowym biegu i lekki stukot zaworów. Uliczka z jednej strony kończyła się lepo, z drugiej zakręcała pod kątem prostym przed front budynku. wiatła Central Avenue odbijały się na ceglanym murze na końcu poprzecznej alejki, tuż za czekającym samochodem małym sedanem, który nawet w ciemności wydawał się zniszczony i brudny.

Waltz zanurzył prawš rękę w kieszeni, wyjšł rewolwer Rufe'a i trzymajšc go w ła'dach płaszcza, bezszelestnie ruszył do samochodu. Podszedł do prawych drzwiczek, otworzył je i schylił się, by wsiść do rodka.

Z samochodu wysunęły się dwie olbrzymie dłonie i chwyciły go za gardło. Twarde dłonie, wyposażone w zgoła nieludzks siłę. Z ust Waltza wyrwał się cichy bulgot; z odgięts do tyłu głowš i wytrzeszczonymi oczami lepca Elegancik wpatrywał się w niebo.

Nagle poruszył prawš rękš, poruszył niš tak, jak gdyby nie miała nic wspólnego z jego sztywnym, napiętym ciałem, z miążdżonš w ucisku szyjš, z wysadzonymi, olepłymi oczami. Ostrożnie, delikatnie przesuwał jš dopóty, dopóki lufa rewolweru, który ciskał w garci, nie dotknęła czego miękkiego. A wtedy powoli, bez popiechu, lufa przejechała po czym, jak gdyby sprawdzajšc, co to takiego.

Waltz Elegancik nic nie widział, niewiele czuł. Nie oddychał. Mimo to jego ręka słuchała płynšcych z mózgu rozkazów niczym jaka niezależna siła, pozostajšca poza zasięgiem straszliwych łap Murzyna. Nacisnł spust.

Zacinięte na jego gardle dłonie zwiotczały i opadły. Zatoczył się, omal nie przewrócił i uderzył barkiem w cianę. Wyprostował się powoli, łapczywie wcišgajšc powietrze do obolałych płuc. Zaczł dygotać.

Nawet nie zauważył, jak olbrzymie cielsko goryla wypada z samochodu na beton. Murzyn leżał u jego stóp, bezwładny, kolosalny, ale juź niegromy. Juź nieważny.

Waltz rzucił rewolwer na zwłoki. Przez pewien czas delikatnie masował gardło, oddychajšc głęboko, nierówno, chrapliwie. Przesunł językiem w ustach. Poczł krew. Z wysiłkiem spojrzł na skrawek nieba w kolorze indygo, widoczny ponad alejkš.

Przewidziałem to, Rufe' wychrypiał po chwili. Widzisz, ja to przewidziałem.

Rozemiał się, wzdrygnł, postawił kołnierz płaszcza i okršzył zwłoki. Sięgnł do stacyjki wozu, by zgasić silnik, i ruszył z powrotem do tylnych drzwi klubu Juggernaut.

Z cienia za samochodem wynurzył się jaki mężczyzna. Waltz błyskawicznie sięgnł lewš rękš do kieszeni płaszcza, lecz opucił jš, gdy mrugnł do niego błyszczšcy metal. Tak włanie mylałem, że mój telefon wywabi cię na dwór powiedział Pete Anglich. I pomylałem, że pewnie wyjdiesz tędy. Nie przeliczyłem się.

On mnie dusił odparł Waltz po dłušszej chwili. To była samoobrona.

Jasne. Obu nas bolš karki. Z mojego została miazga.

Czego chcesz, Pete?

Próbowale mnie zrobić w zabójstwo dziewczyny.

Waltz rozemiał się znieacka, jakby postradał zmysły.



Ja się nie patyczkuję, jak mi wchodziś na odcisk, Pete. Powiniene o tym wiedzieć. Lepiej odwal się od małej Token Ware.

Anglich poruszył rewolwerem; wiatło zamigotało na lufie. Podszedł do Waltza i wbił mu colta w brzuch.

Rufe nie żyje powiedział cicho. To bardzo wygodne. Gdzie dziewczyna?

A co ci do tego?

Nie zgrywaj idioty. Mam swój rozum. Próbowale oskubać Johna Vidauryego. Wdepnąłem w to przez Token. I chcę się dowiedzieć całej reszty.

Waltz stał bez ruchu, z coltem przytkniętym do brzucha. Przebierał palcami w rękawiczkach.

No dobra burknął. Ile chcesz, żeby trzymać język za zębami raz na zawsze?

Dwie setki. Rufe zwędził mi portfel.

A co ja z tego będę miał spytał powoli Elegancik.

Nic a nic. Dziewczynę też chcę dla siebie.

Pięć paczek owiadczył Waltz łagodnie. Ale dziewczyny nie dostaniesz. Dla gnojka z Central Avenue pięć stówek to kawał grosza. Nie kombinuj, tylko bierz forszę i zapomnij o całej sprawie.

Colt oderwał się od jego brzucha. Pete Anglich zwinnie okrążył Elegancika, zrewidował, odebrał mu savage i machnął lewą ręką.

Stoi powiedział zrzędliwie. Co znaczy dziewczyna między przyjaciółmi? Wykładaj gotówkę.

Mam ją u siebie w biurze.

Anglich rozemiał się krótko.

Elegancik, tylko bez numerów! Prowad.

Przeszli korytarzem na piętrze. W oddali, za zasłonami, orkiestra grała rzewny kawałek Dukea Ellingtona smutne, monotonne brzmienie blachy, gorzkie smyczków i cichy stukot instrumentów perkusyjnych. Waltz otworzył gabinet, zapalił wiatło i usiadł za biurkiem. Odrzucił głowę do tyłu, umiechnął się i wysunął zamykaną na klucz szufladę.

Nie spuszczając go z oka, Pete Anglich zamknął drzwi gabinetu na klucz. Podszedł przy cianie do szafy, zajrzał do rodka i za plecami Waltza zbliżył się do zasłon w oknach. Wcisnął ciskał w garci colta.

Wrócił do biurka w chwili, gdy Waltz odsuwał od siebie plik banknotów.

Anglich zignorował pieniądze i pochylił się nad biurkiem.

Zatrzymaj to, ale oddaj mi dziewczynę powiedział.

Elegancik z umiechem pokręcił głowę.

Vidaury miał ci wybulić tyśdziesiąt przynajmniej na poczętek ciśnieł policjant. Noon Street masz dosłownie pod nosem. Czyżby już musiał zmuszać kobiety, żeby odwalają za ciebie brudną robotę? Mnie się wydaje, że chciały mieć na nich jakiego haka, żeby zmusić je do uległości.

Waltz zmrużył oczy i wskazał na plik banknotów.

To biedna, zastraszona mała. Pewnie wynajmuje jakiś umeblowany kłitkę. Nie ma przyjaciół, bo nie pracowałyby w twojej spelunie. Oprócz mnie pies z kulawą nogą by się nie zainteresował jej losem. Nie chciały jej chyba posłać do bajzła, co, Waltz?

Bierz forsy i zjeżdżaj odparł Elegancik piskliwie. Wiesz, co robisz z kapusiami w tej okolicy?

Jasne, pozwalają im prowadzić nocne kluby odparował Anglich łagodnie.

Odłożył colta i sięgnął po pieniądze. Nagle zacisnął dłoń w pięć i od niechcenia poderwał je w górę. Poparł cios ruchem łokcia. Pięć odwróciła się i niemal delikatnie wylądowała na twarzy Waltza, koło spojenia szczęk.

Elegancik sflaczał jak przekłuty balon. Rozdziawił usta. Kapelusz spadł mu z głowy. Pete Anglich zmierzył go wzrokiem.

I dużo mi z tego przyszło burknął.

W pokoju panowała cisza, dolatywała jedynie cicha muzyka orkiestry tanecznej, jakby z przyciszonego radia. Anglich stanął za plecami Waltza i sięgnął mu pod płaszcz do wewnętrznej kieszeni marynarki. Wyjął portfel i wytrząsnął z niego pieniądze, a także prawo jazdy, zezwolenie na posiadanie broni i polisy ubezpieczeniowe.

Schował cały ten majdan z powrotem i markotnie wlepił wzrok w biurko, paznokciem kciuka drapiąc się w szczękę.

Na biurku leżał notatnik w błyszczącej skórzanej oprawie. Na czystej górnej kartce widać było odcinane lady pisma. Policjant obejrzał je pod wiatło, wziął ołówek i lekko, swobodnie, zaczął mazać nim po kartce, na której stopniowo pojawił się niewyrany napis. Gdy cała była już zamazana, Anglich odczytał: Noon Street 4623. Prosić Reno.

Wydarł kartkę z notatnika, złożył je i schował do kieszeni, po czym wziął swego colta i ruszył do drzwi. Przełożył klucz w zamku, zamknął drzwi od zewnątrz i wyszedł po schodach na alejkę.

Zwłoki Murzyna leżały tam, gdzie przedtem, pomiędzy małym sedanem a ciemną cianą. Alejka była wyludniona. Policjant schylił się, przeszukał kieszenie zabitego i wycisnął zwitek banknotów. W

słabym wietle zapalki odliczył osiemdziesišt siedem dolarów. Kiedy chował pozostałe kilka banknotów z powrotem, na chodnik upadł strzép papieru, przedarty nierównno z jednej strony.

Anglich przykucnił obok samochodu i w wietle następnnej zapalki przyjrzał się kartce z notatnika. Od strony nierównnej krawędzi biegł napis: , , 3. Prosić Reno.

Policjant zastukał zębami.

Już lepiej mruknił.

Wsiadł do samochodu, zapalił silnik i odjechał.

7.

Numer znajdował się na okienku nad drzwiami, owietlonym od tyłu słabym wiatłem. Było to jedyne widoczne wiatło w tym wielkim drewnianym domu, położonym niecałš przecznicę od hotelu, gdzie odbywała się partyjka koci. Zza szczelnie zasłoniętych okien frontowych dolatywał zgiełk rozmów, miechy i wysoki głos piewajšcej Murzynki. Po obu stronach ulicy stały zaparkowane samochody.

Drzwi otworzył wysoki, szczupły Murzyn w ciemnym ubraniu i ze złotym pincenez. Za plecami miał drugie, zamknięte drzwi.

Jeste Reno? zapytał Pete Anglich.

Wysoki czarny przytaknił bez słowa.

Przszedłem po dziewczynę, którš zostawił Rufe, tę białš.

Murzyn stał przez chwilę bez ruchu, patrzšc przed siebie ponad głowš Anglicha. Wreszcie odezwał się powolnym, szeleszczšcym głosem, który zdawał się dobiegać zupełnie skšdinšd.

Wejd i zamknij drzwi.

Policjant wykonał polecenie. Murzyn otworzył wewnętrzne drzwi, grube i masywne. Poraził ich hałas i wiatło ciemnoczerwony blask. Przeszli korytarzem.

Ciemnoczerwony blask padał z szerokiego łuku drzwi długiego salonu, wyposażonego w kotary z weluru, sofy i głęboke fotele. W rogu znajdował się bar, za którym urzędował Murzyn w białej marynarce. Cztery pary popijały tam drinki: smukli, czarni wesołkowie o przylizanych włosach i dziewczyny o wyskubanych brwiach, z gołymi ramionami i w jedwabnych pończochach. W przyćmionym ciemnoczerwonym wietle scena ta wydawała się wręcz nierealna.

Reno spojrział obojętnie nad ramieniem Anglicha i opucił ciężkie powieki.

Po którš? spytał ze znudzeniem.

Murzyni w salonie przypatrywali im się w milczeniu. Barman schylił się i sięgnął pod kontuar.

Pete Anglich powoli wyciągnął z kieszeni zmiętą kartkę.

Teraz lepiej?

Reno obejrzał kartkę. Bez popiechu sięgnął do kieszonki kamizelki i wysił podobną, w tym samym kolorze. Złożył obie części, odchylił głowę do tyłu i spojrzał na sufit.

Kto cię przysłał?

Elegancik.

Nie podoba mi się to rzekł czarny. Napisał moje imię. Nie podoba mi się. To nie jest mędrze. No, ale chyba cię sprawdziłem.

Odwrócił się i wszedł na długie, proste schody. Policjant ruszył za nim. Nagle który z młodych Murzynów w salonie parsknął głonym miechem.

Reno zatrzymał się wpół kroku, odwrócił, zszedł na dół i zbliżył się do wesołka.

To jest interes rzucił jednym tchem. Bo tak w ogóle to białych tu się nie wpuszcza. Dotarło? W porządku, Reno odparł chłopak, który przed chwilą się rozemiał, i podniósł wysoką, oszronioną szklankę.

Reno ruszył do schodów, złorzecząc pod nosem. W korytarzu na piętrze było wiele zamkniętych drzwi. Z kinkietów na cianach padało słabe różowe wiatło. Reno wyciągnął klucz, otworzył drzwi na końcu i odstąpił na bok.

Zabieraj już polecił zwięźle. Ja tu białego towaru nie trzymam.

Anglich minął go i wszedł do sypialni. W przeciwległym rogu paliła się pomarańczowa lampa, obok łóżka przykrytego jaskrawą narzutą z falbankami. Okna były zamknięte, a powietrze duszne, niezdrowe.

Token Ware leżała na boku, twarzą do ciany. Chlipała.

Policjant podszedł do łóżka i dotknął dziewczyny. Odwróciła się raptownie, skulona ze strachu. Poderwała głowę; oczy miała rozszerzone, a otwarte usta gotowe do krzyku.

Jak się masz? odezwał się Anglich łagodnie. Szukam cię po całym mieście.

Spojrzała na niego; strach powoli ustąpił z jej twarzy.

Fotograf z redakcji News lewš rękš uniósł wysoki flesz i pochylił się nad aparatem.

Proszę o umiech, panie Vidaury powiedział. Smutny taki, żeby panienki omdlewały.

Aktor odwrócił się na krzele, demonstrujšc profil. Umiechnšł się do dziewczyny w czerwonym kapeluszu, po czym z tym samym umiechem spojrział w obiektyw aparatu.

Błysnšł flesz, trzasnęła migawka.

Wcale niele, panie Vidaury. Chociaż bywało lepiej.

Miałem ciężkie przejęcia przypomniał gwiazdor łagodnie.

Mylę. Oblanie twarzy kwasem to nic zabawnego przyznał fotograf.

Dziewczyna w czerwonym kapeluszu zachichotała i zaniosła się kaszlem, zasłaniajšc usta dłoniš w czerwonej siatkowej rękawiczce.

Fotograf spakował swój sprzęt. Był to starszawy mężczyzna o smutnych oczach. Nosił jasnoniebieski garnitur z serży. Potrzšsnšł siwš głowš i poprawił kapelusz.

Tak, oblanie buzi kwasem to wcale nie do miechu. No, panie Vidaury, mam nadzieję, że przyjmie pan z rana naszych chłopców?

Z przyjemnościš odparł aktor ze znużeniem. Proszę im tylko powiedzieć, żeby najpierw zadzwonili z dołu. I proszę się napić na odchodnym.

Ja nie piję rzekł fotograf. Taki już ze mnie dziwak.

Przerzucił przez ramię torbę ze sprzętem i ruszył do wyjcia. Nie wiadomo skšd pojawił się nagle drobny Japończyk, odprowadził fotografa do drzwi i zniknšł.

Oblanie buzi kwasem powtórzyła kobieta w czerwonym kapeluszu. Cha, cha, cha! Toż to sam ból i udręka, jeli porzšdnej dziewczynie wolno się tak wyrazić. Mogę się napić?

Nikt ci nie zabrania warknšł aktor.

I nigdy nie bronił, kochasiu.

Podeszła chwiejnie do stołu, na którym stała kwadratowa chińska taca, i naląła sobie solidnš miarkę.

Na dzisiaj to już chyba koniec powiedział Vidaury z westchnieniem. Byli z Bulletin, z Press Chronicle, z trzech stacji radiowych, z News Nie jest le.

Ja bym powiedziała, że wręcz znakomicie wtršciła dziewczyna.

Gwiazdor spojrział na niš spode łba.

Ale nikogo nie złapali ciśgnšł cicho. Tylko niewinnego przechodnia. A może tobie wiadomo co na ten temat, co, Irma?

Jej leniwy umiech był lodowaty.

Ja bym cię miała oskubać na marny tyśiśc? Nie bšd dzieckiem, Johnny. Ja zawsze idę na całość.

Vidaury wstał i podszedł do sekretarzyka z rzebionego drewna. Wysunšł szufladę i wyjšł z niej wielkš kryształowš kulę. Wrócił do fotela i usiadł pochylony. Trzymajšc kulę przed sobš, wpatrywał się w niš pustym wzrokiem.

Dziewczyna w czerwonym kapeluszu obserwowała go sponad szklanki szeroko otwartymi, szklistymi oczyma.

Cholera! On zbzikował szepnęła. Z głonym trzaskiem odstawiła szklankę na tacę, podeszła do aktora i nachyliła się. Wiesz, Johnny, co to takiego uwiśd starczy? zagruchała napiętym głosem. To co, co przytrafia się największym rozpustnikom po czterdziestce. Dostajš fioła na punkcie kwiatów i zabawek, wycinajš laleczki z papieru, bawiš się szklanymi kulami Na miłość boskš, Johnny, skończ z tym! Nie jest z tobš jeszcze tak le.

Gwiazdor nie odrywał wzroku od kryształowej kuli. Oddychał głęboko, powoli.

Dziewczyna nachyliła się ku niemu jeszcze bardziej.

Przejedmy się gdzie, Johnny zagruchała. Lubię nocne powietrze. Dobrze mi robi na migdałki.

Nie chce mi się nigdzie jedzić wymówił się. Mam mam przeczucie. Co wisi w powietrzu.

Kobieta pochyliła się nagle i wytršciła mu kulę, która upadła ciężko na podłogę i niemrawo potoczyła się po puszystym dywanie.

Vidaury zerwał się na, równe nogi; jego twarz wykrzywił grymas wciekłoci.

Chcę się przejechać, przystojniaczku owiadczyła dziewczyna zimno. Noc jest ładna, wóz też masz ładny, więc chcę się przejechać.

Aktor gapił się na niš pełnym nienawici wzrokiem. Nagle umiechnšł się powoli. Nienawic zniknęła z jego oczu. Wyciśgnšł rękę i przytknšł dwa palce do ust dziewczyny.

Przejeździemy się, kochanie, oczywiście szepnšł.

Podniósł kulę, zamknšł jš w sekretarzyku i wyszedł do śsiedniego pokoju. Kobieta w czerwonym kapeluszu otworzyła torebkę, poprawiła usta szminkš, wydeła wargi i wykrzywiła się do swego odbicia w lusterku puderniczki. Następnie ostrożnie włożyła beżowy płaszcz z grubej wełny, obszyty czerwonš lamówkš, i zarzuciła na ramię kołnierz w kształcie szala.

Vidaury wrócił w płaszczu i kapeluszu. Na szyi miał szalik z frędzlami.

Oboje ruszyli do drzwi.

Wymknijmy się tylnym wyjściem zaproponował aktor od progu. Na wypadek, gdyby kręcili się tu jeszcze jacy dziennikarze. No wiesz, Johnny! Dziewczyna kpiarsko uniosła brwi. Widziano mnie, jak wchodziłam, widziano mnie tu w rodku. Nie chcesz chyba, żeby pomyleli, że zostałam u ciebie na noc?

Psiakrew! zaklął Vidaury i gwałtownie otworzył drzwi.

W tej samej chwili zadzwonił telefon. Aktor znów zaklął i pucił klamkę, czekajśc, aż mały Japończyk w białej marynarce podniesie słuchawkę.

Chłopak odłożył słuchawkę, umiechnął się pogardliwie i rozłożył ręce.

Pan może odebrać? Ja nie rozumiem.

Vidaury podszedł do telefonu.

Tak? Tu John Vidaury. Przez chwilę słuchał w milczeniu.

Jego palce powoli zacisnęły się na słuchawce. Twarz mu stężała, pobladła.

Chwileczkę powiedział ochryple.

Odłożył słuchawkę i oparł się o stół. Dziewczyna w czerwonym kapeluszu podeszła do niego od tyłu.

Złe wieci, przystojniaczku? Jeste blady jak kreda.

Aktor powoli odwrócił głowę i zmierzył ją wzrokiem.

Wyno się stąd rzucił beznamiętnie.

Kobieta wybuchnęła miechem. Vidaury wyprostował się, zrobił jeden krok i uderzył ją w twarz na odlew.

Powiedziałem, żeby się wynosiła powtórzył drewnianym głosem.

Przestała się miąć i dotknęła ust palcami w rękawiczce. Zrobiła okrągłe oczy, lecz nie była zaszokowana.

Co takiego? Po prostu zważyłam na ciebie, Johnny powiedziała ze zdumieniem. Jeste fantastyczny. Oczywiście, że sobie pójdę.

Odwróciła się szybko, nieznacznie skinęła głową i ruszyła do drzwi. Pomachała mu ręką i zniknęła.

Vidaury nawet nie odprowadził jej wzrokiem. Za ledwie trzasnęły zamknięte drzwi, podniósł słuchawkę i rzucił ponuro:

Przyjeżdżaj tu, Waltz byle szybko!

Odłożył słuchawkę na widełki. Przez chwilę stał w miejscu, gapiąc się niewidzącym wzrokiem. Potem wszedł do sąsiedniego pokoju i wrócił już bez płaszcza i kapelusza. W ręku ciskał gruby, krótki pistolet. Wsunął go lufą w dół do wewnętrznej kieszeni smokingu i powoli zdjął słuchawkę z widełek.

Jeżeli przyjdzie do mnie niejaki pan Anglich, proszę go wpucić na górę polecił stanowczo. Anglich. Przeliterował nazwisko, odwiesił słuchawkę i usiadł w fotelu koło telefonu.

Splótł ręce na piersi i czekał.

9.

Japończyk w białej marynarce otworzył drzwi, kiwnął głową i umiechnął się.

A proszę, proszę do rodka syknął uprzejmie.

Pete Anglich poklepał Token Ware po ramieniu i wepchnął ją do długiego, jaskrawego pokoju. Na tle szarych mebli wyglądała biednie i smutno. Oczy miała zaczerwienione od płaczu, usta rozmazane.

Drzwi zamknęły się za nimi, a Japończyk wyniósł się chyłkiem.

Przeszli po grubym, tłumiącym kroki dywanie. W łagodnym świetle lamp mijali regały z książkami, półki zastawione bibelotami z alabastru i koci słońcowej, porcelany i jadeitu, olbrzymie lustro oprawne w niebieskie szkło i otoczone wianuszkami zdjęć z dedykacjami, niskie stoły i fotele, kwiaty na wysokich stolikach, i znów książki, fotele, dywany aż wreszcie dotarli do Vidauryego, który siedział na uboczu, ze szklanką w ręku, i spoglądał na nich lodowatym wzrokiem.

Aktor niedbale machnął ręką i obejrzał dziewczynę od stóp do głów.

A, to pana przywieśli tutaj ci policjanci. Oczywiście. Czym mogę służyć? Słyszałem, że to była pomyłka.

Anglich przesunął nieco fotel i usadził na nim dziewczynę. Usiadła sztywno, powoli; oblizwała wargi i wlepiała zafascynowany wzrok w gwiazdora.

Vidaury wykrzywił usta z niesmakiem, acz uprzejmie. Oczy miał czujne.

Anglich usiadł. Wyjął z kieszeni gumę do żucia, rozpakował ją i włożył do ust. Widać było, że jest skonany, zmalretowany i wykończony. Policzek i szyję miał pokryte ciemnymi sińcami. Nadal był nie ogolony.

To panna Ware odezwał się powoli. Włanie ona miała odebrać pański szmal.



Vidaury zeszytywniał. Dłoniś, w której trzymał papierosa, zaczął stukać niespokojnie o poręcz fotela. Spojrzał na dziewczynę, ale nie odpowiedział. Umiechnęła się do niego lekko i zarumieniła.

Noon Street to mój grajdoł powiedział Anglich. Znam tam wszystkich cwaniaków i wiem, kto tam pasuje, a kto nie. Wczoraj wieczorem spotkałem tę dziewczynę w garkuchni na Noon Street. Była niespokojna i ciśgle patrzyła na zegarek. Ona mi nie pasowała. Jak wyszła, poszedłem za nią.

Aktor nieznacznie skinął głową. Szary popiół spadł mu z papierosa. Zerknął ospale na Anglicha i znów kiwnął głową.

Szła Noon Street ciśgnął policjant. Nie jest to właściwe miejsce dla białej dziewczyny. Spotkaliśmy się znowu w bramie, gdzie się schowała. Wtedy zza rogu wyjechał wielki Duesenberg i kto wyrzucił pańską forszę na chodnik. Bała się iść po nią, więc poprosiła mnie. No to poszedłem.

Wygląda na uczciwą dziewczynę wtrcił gładko Vidaury, nie patrz się na Token. Powiedział pan o niej policji? Chyba nie, bo inaczej by was tu nie było.

Anglich potrząsnął głową i przesunął gumę w ustach.

Donieć glinom? Ani mi się ni. Nam ta forsa z nieba spadła. Przyszlimy po naszą dolę.

Aktor podskoczył, lecz opanował się natychmiast. Przestał bębnić w oparciu fotela. Jego pobladła twarz była zimna, ponura. Nagle sięgnął do wewnętrznej kieszeni smokingu i spokojnie położył na kolanach krótki pistolet. Pochylił się z umiechem.

Szantażyci zawsze mnie interesowali stwierdził poważnie. Ile ma wynosić ta wasza dola i co macie do sprzedania?

Anglich w zamyleniu spojrział na broń. Z beztrząsk w oczach spokojnie żuł gumę, miarowo poruszając szczękami.

Milczenie odparł równie poważnie. Tylko milczenie.

Vidaury gwałtownie machnął pistoletem.

Gadaj! polecił. Byle szybko. Ja milczenia nie lubię.

Tajniak pokiwał głową.

Groba oblania kwasem to czysty wymysł powiedział. Nikt panu nie groził. Cały ten szantaż był lipny, obliczony na reklamę. To wszystko. Rozsiadł się wygodnie.

Aktor spojrział ponad jego ramieniem w drugą stronę pokoju. Zaczął się umiechać. Nagle jego twarz znieruchomiała.

Waltz Elegancik wliznął się przez otwarte boczne drzwi. W rękę trzymał wielkiego savage. Powoli, bezszelestnie, zbliżał się po dywanie, nie widziany przez Anglicha i dziewczynę.

To wszystko lipa, od początku do końca ciśnieś tajniak. Normalna reklama. A że to tylko domysł? Jasne, ale chwileczkę, popatrz pan, jak łagodnie to szło na początku i jak ostro poszło, odkąd ja się pojawiłem na widoku. Dziewczyna pracuje dla Waltza w Juggernaut. Jest przegrana i zastraszona. Więc Waltz wysłał ją na ten skok. Dlaczego? Bo gliny mają ją przyskrzyńić. Wszystko jest obmyślone. Jeżeli sypnie Waltza, to ten rozemieje im się w nos i powie, że to się działo niemal pod jego bramą, że w grę wchodziły pewnie grosze i że on całkiem niele wychodzi na swojej knajpie. Zwróci im też uwagę, że on, stary cwaniak, nie wysłałby przecież na robotę takiej idiotki, to chyba jasne?

Gliny mu prawie uwierz, a pan wspinałomylnie odstąpi od oskarżenia dziewczyny. Natomiast gdyby nie sypnęła, pan tak czy owak zrezygnowałby z oskarżenia i też miałby pan reklamę. A potrzebuje jej pan jak jasny gwint, bo pana akcje spadają. Zdawało się panu, że będzie to pana kosztować tylko tyle, ile wyniesie dola dla Waltza. A może to zbyt zwariowane? Może to za dużo jak na łajdaka z Hollywood? To powiedz pan, dlaczego nie pracowali nad tym federalni? Dlatego, że ci chłopcy grzebaliby się w tym aż do skutku i wylądowałby pan na ławie oskarżonych za utrudnianie pracy wymiaru sprawiedliwości. Oto dlaczego. A tutejsze gliny mają to gdzie. Są tak przyzwyczajeni do różnych cyrków z reklamą, że tylko ziewnęliby i przewrócili się na drugi bok.

Waltz był już na rodku pokoju. Vidaury nie patrzył na niego, spoglądał na dziewczynę. Umiechnął się do niej lekko.

A teraz niech pan popatrzy, co się porobiło, odkąd ja się w to wpakowałem. Poszedłem do Juggernaut pogadać z dziewczyną. Waltz zaprosił nas do siebie, gdzie jeden goryl na jego usługach omal mnie nie udusił. Kiedy odzyskałem przytomność, znajdowałem się w jakim apartamencie w towarzystwie martwej kobiety. Zastrzelono ją, a w moim rewolwerze brakowało naboju. Leżał na podłodze obok mnie, ja mierzyłem dzinem, a zza rogu wyskakiwał już radiowóz. A pannę Ware zamknięto w burdelu na Noon Street.

I po co to wszystko? Ano Waltz nagrał już liczny szantaż i wycisnąłby z pana krew do ostatniej kropli. Dopóki miałby pan choćby dolara przy duszy, połowa byłaby jego. A pan by płacił, Vidaury, i to z ochotą. Miałby pan rozgłos i ochronę, tyle że za jakąś cenę!

Waltz był już blisko, za blisko. Nagle aktor powstał raptownie i wycelował pistolet w pier Anglika.

Bierz go, Waltz powiedział z rozmarzeniem, piskliwym głosem starca. Ja się nie nadaję do takiej roboty.

Pete Anglich nawet się nie obejrzał. Stał bez ruchu, z kamienną twarzą.

Waltz wbił mu broń w krzyż i z bladym umieszkiem spojrzał ponad jego ramieniem na gwiazdora.

Durny, Pete powiedział cicho. Dostyc już się zabawił jak na jeden dzień. Powinno trzymać się stąd z daleka, ale domyśliłem się, że nie przepucisz takiej okazji.

Vidaury przesunął się na bok i stanął w rozkroku. Jego przystojną twarz powlekał dziwny, zielonkawy odcień; głęboko osadzone oczy błyszczały chorobliwie.

Token Ware wpatrywała się w Elegancika. Jej szeroko otwarte oczy zdradzały strach.

Tutaj nic nie zwojuję, Vidaury rzekł Waltz. I wolałbym sam z nim nie wychodzić. Bierz płaszcz i kapelusz.

Aktor lekko skinął głową. Ruch ten był ledwie dostrzegalny. Jego oczy wciąż błyszczały chorobliwie.

A co z dziewczyną? wyszeptał.

Waltz umięknął się szeroko, potrząsnął głową i dął Anglika łufą swojego.

Vidaury znów przesunął się w bok i rozstawił nogi. W rękę pewnie trzymał gruby pistolet, choć w nikogo nie celował.

Na chwilę przykrył oczy i otworzył je szeroko.

W założeniach wszystko wyglądało jak należy odezwał się powoli, cedząc słowa. Hollywood widziało już bardziej skomplikowane i bezwzględne kombinacje. Ale nie sądziłem, że dojdzie do krzywdzenia innych, do morderstw. Ja ja nie jestem aż takim łajdakiem, Waltz. Nie nadaję się do tego. Już nie. Schowaj lepiej broń i wyjd.

Waltz potrząsnął głową i umięknął się dziwnie. Odsunął się nieco od Anglika i przesunął łufę swojego.

Karty rozdane powiedział zimno. Sam je rozdał. Zbieraj się.

Vidaury westchnął i zgarbił się w ramionach. Nagle zmienił się w samotnego, opuszczonego, już niemłodego mężczyznę.

Nie odparł cicho. Ja się wypisuję. Ostatni przebłysk nie najlepszej reputacji. W końcu to jest mój występ. Jak zwykle spartaczony, ale mój. Schowaj broń, Waltz. I zjeżdżaj.

Zimna, twarda twarz Elegancika była wyprana z wszelkiego wyrazu; jego beznamiętne oczy stały się oczami mordercy. Jeszcze bardziej przesunął swojego.

Bierz kapelusz, Vidaury! wycedził wykanie.

Przepraszam rzekł aktor i wystrzelił.

Broń Waltza wypaliła w tej samej chwili, tak że oba wystrzały zwały się w jeden grzmot. Vidaury zatoczył się, odwrócił i zaraz wyprostował.

Spojrzał na Waltza.

Kto gra pierwszy raz, ten wygrywa rzekł i czekał.

Anglich trzymał już w rękę swego colta, ale nie był mu potrzebny. Waltz powoli upadł na bok,

wciskając policzek i przekrwiony nos w gruby dywan. Poruszył lewą ręką, jakby chciał sięgnąć za siebie. Nagle zabalgotał i znieruchomiał.

Pete Anglich kopniakiem odrzucił wielkiego savage.

Nie żyje? spytał aktor z wysiłkiem.

Anglich burknął pod nosem, nie odpowiedział. Spojrzał na dziewczynę. Oparta plecami o stolik z telefonem, przyciskała dłoń do ust, w klasycznej pozie przerażenia. Tak klasycznej, że aż głupiej.

Tajniak przeniósł wzrok na gwiazdora.

Kto gra pierwszy raz, ten wygrywa, owszem powiedział cierpko. Ale gdyby tak pan spudłował? On blefował. Chciał tylko wciśnąć pana w to wszystko jeszcze bardziej, żeby w razie czego nie mógł pan spać. Bo jeśli chodzi o tanto morderstwo, jestem jego alibi.

Przykro mi szepnął Vidaury. Bardzo mi przykro. Nagle usiadł, odchylił głowę i zamknął oczy.

O Boże, ależ on jest przystojny! odezwała się Token Ware z szacunkiem. I jaki dzielny.

Vidaury dotknął lewej ręki, przyciskając ją mocno do siebie. Spomiędzy palców płynęła krew. Token Ware pisnęła zduszonym głosem.

Pete Anglich rozejrzał się. Po drugiej stronie pokoju stał w milczeniu mały Japończyk w białej marynarce drobna, skulona przy cianie postać. Tajniak znów spojrzał na aktora.

Panna Ware ma rodzinę we Frisco powiedział wolno, niechętnie. Może pan ją odesłać do domu z małym prezentem. To naturalne i oczywiste. Ona naprowadziła mnie na Walta i stąd się znalazłem w tym wszystkim. Powiedziałem mu, że zaczyna pan kombinować, więc przyszedł tu, żeby pana uciszyć. Takie gangsterskie zagranie. Gliny będą się miały, ale w kułak. W końcu oni też mają z tego reklamę. O tym, że to była lipa, więcej ani słowa. Zgodna?

Vidaury otworzył oczy.

Bardzo bardzo to przyzwoicie z pana strony szepnął słabo. Nie zapomnę o tym. Głowa opadła mu na bok.

On zemdlął! krzyknęła dziewczyna.

No to co? stwierdził Pete Anglich. Daj mi ładnie buzi, to od razu się ocknie A ty będziesz miała co wspominać do końca swoich dni.

Zacisnął zęby, podszedł do telefonu i podniósł słuchawkę.

CZYSTA ROBOTA

1.

Portier hotelu Kilmarnock miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu, bladoniebieską liberię i białe rękawiczki, w których jego dłonie wydawały się olbrzymie. Otworzył drzwi taksówki równie delikatnie, jak stara panna głaszcze kota.

Johnny Dalmas wysiadł i zwrócił się do rudego kierowcy:

Zaczekaj na mnie za rogiem, Joey.

Rudzielec skinął głową, wepchnął wykałaczkę głębiej w kącik ust i sprawnie odjechał z wyznaczonego białego miejsca dla samochodów dostawczych. Dalmas przeszedł przez zalany słońcem chodnik i zniknął w przestronnym, chłodnym hallu Kilmarnocka. Grube dywany tłumiły odgłosy kroków. Chłopcy hotelowi stali z rękami splecionymi na piersiach. Dwaj recepcjoniści sterczeli gronie za marmurowym ladem.

Dalmas skierował się do niszy z windą i wsiadł do zdobionej boazerii kabiny.

Na samą górę, proszę rzekł do windziarza.

Na ostatnim piętrze rozejrzał się po niewielkim, cichym korytarzu. Podszedł do jednych z trojga drzwi i zadzwonił.

Otworzył mu Derek Walden czterdziestopięcioletni, a może i nieco starszy mężczyzna o bujnych, przyprószonych siwizną włosach i przystojnej twarzy starego hulaka, nieco zeszpeconej workami pod oczyma. Miał na sobie szlafrok z monogramem, a w ręku pełną szklankę whisky. Był lekko wstawiony.

A, to ty, Dalmas odezwał się posępnie ochrypłym głosem. Wejd.

Cofnął się w głębi mieszkania, zostawiając otwarte drzwi. Dalmas zamknął je za sobą i wszedł do długiego, wysokiego pokoju z balkonem na wprost wejścia. Oszklona ciana po lewej wychodziła na taras.

Derek Walden usiadł pod cianą w brązowym złotym fotelu i oparł stopy na podnóżku. Zakręcił szklankę z whisky, wpatrując się w dno naczynia.

Co cię tu sprowadza? zapytał.

Dalmas przyglądał mu się ponuro.

Wpadłem powiedzieć, że rezygnuję z tej roboty odparł po chwili.

Walden opróżnił szklankę i odstawił ją na skraj stołu. Wygrzebał papierosa, włożył go do ust i zapomniał przypalić.

Naprawdę? błąknął niewyranie, obojętnym tonem.

Dalmas odwrócił się i podszedł do otwartego okna, w którym trzepotały zasłony. Z zewnątrz dolatywał odległy zgiełk ruchu ulicznego.

ledztwo stoi w miejscu bo sam pan nie chce, żeby się posunęło do przodu rzucił przez ramię. Pan zna powody, dla których pana szantażujś, ale ja nic o nich nie wiem. Ci z Eclipse Films interesujś się tym, bo władowali ładny kawał grosza w pańskie filmy.

Mam gdzie całe Eclipse Films stwierdził Walden spokojnie.

Dalmas potrząsnął głowś i odwrócił się twarzś do niego.

Ale ja nie. Jeżeli wpakuje się pan w aferę, której ich spece od reklamy nie dadzś rady zatuszować, wytwórnia poniesie straty. Zaangażował mnie pan na ich próbę. Ale marnuję tylko czas. Pańska współpraca nie była warta złamanego grosza.

Załatwię to po swojemu i nie dam się wpakować w żadnś aferę odparł Walden nieprzyjemnym tonem. Sam dobiję targu jak będę miał pewność, że nie kupuję kota w worku. Twoja rzecz to utwierdzać facetów z Eclipse w przekonaniu, że trzymasz rękę na pulsie. Jasne?

Dalmas odszedł od okna. Stałś przy stole i oparł się o blat, spoglśdajśc niewidzścym wzrokiem na popielniczkę pełnś niedopałków ze ładami ciemnej szminki.

Szkoda, że nikt mi tego nie wyjanił stwierdził sucho.

Myląłem, że masz doć oleju w głowie, żeby samemu to wykombinować zadrwił Walden. Przechylił się na bok i dolał sobie whisky, rozlewajśc nieco alkoholu na stolik. Napijesz się?

Nie, dziękuję.

Gospodarz trafił rękś do papierosa w ustach i rzucił go na podłogę.

A w ogóle to o co ci chodzi? parsknśł. Jeste prywatnym detektywem i bierzesz forszę za to, żeby pokręcić się tu i tam, niby że pracujesz. Robota czysta jak rzadko przynajmniej w twojej branży.

To już druga odzywka, którś mógł pan sobie darować powiedział Dalmas.

Walden poruszył się raptownie, ze złociś. Jego oczy błyszcząły. Kściki ust opadły mu w dół, a twarz spochmurniała. Unikał wzroku detektywa.

Nie występuję przeciwko panu, ale też pana nie popieram ciśgnśł Dalmas. Nie należy pan do ludzi, których mógłbym polubić. Gdyby poszedł mi pan na rękę, zrobiłbym co w mojej mocy. Zresztś i tak to zrobię ale nie w trosce o pana. Nie chcę pańskich pieniędzy więc w każdej chwili może pan odwołać tych, co mnie ledzś.

Walden spucił nogi na podłogę i ostrożnie odstawił szklankę na stolik. Wyraz jego twarzy raptownie się zmienił.

ledź cię? Nie rozumiem. Przełknął linę. Ja nie kazałem cię ledzić.

Dalmas obserwował go uważnie. Po chwili skinął głową.

W porządku. Zasadzę się na następnego cienia i zobaczymy, czy uda mi się go przekonać, żeby wypiewał, dla kogo pracuje. Już ja się dowiem.

Na twoim miejscu nie robiłbym tego – przestrzegł spokojnie Walden. Igrasz igrasz z ludmi, z którymi nie ma żartów. Wiem, co mówię.

Nie powiem, żeby mi to spędzało sen z powiek – odparł detektyw beznamiętnie. Jeżeli to są ci sami, którzy chcą wycisnąć z pana forszę, to już dawno przestali żartować.

Wyciągnął przed siebie kapelusz i przyjrzał mu się. Twarz filmowca wieciła od potu. Miał błędne oczy. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć.

Rozległ się dzwonek do drzwi.

Walden łypnął spode łba, zakłócił. Spojrzał na drugą stronę pokoju, ale nie ruszył się z miejsca.

Co za często mam tu nie zapowiedzianych gości – warknął. Mój Japonec ma dziś wychodne.

Dzwonek zabrzmiał ponownie. Walden uniósł się z fotela, lecz Dalmas zatrzymał go.

Zobaczę, kto to taki. I tak już się zresztą zbierałem.

Skinął głową gospodarzowi, podszedł do drzwi i otworzył.

Do pokoju weszli dwaj uzbrojeni mężczyźni. Jeden bezceremonialnie dągnął Dalmasa rewolwerem w zębra i polecił szybko:

Cofnij no się, raz dwa. To napad, taki, co to pisz o nim w gazetach.

Intruz był niady, przystojny, wesoły. Twarz miał łagodną jak na kamei, bez ladu brutalności. Umiechnął się.

Za nim stał niski facet o włosach koloru piasku. Patrzył spode łba.

To platus Waldena, Noddy – odezwał się wysoki. Zajmij się nim i sprawdź, czy ma broń.

Jasny blondyn, Noddy, wbił rewolwer o krótkiej lufie w brzuch Dalmasa. Jego współnik kopniakiem zamknął drzwi i niedbale podszedł do filmowca.

Noddy wyciągnął Dalmasowi spod pachy trzydziestkę ósemkę, okrążył go i poklepał po kieszeniach. Schował swój rewolwer i przełożył colta detektywa do prawej ręki.

W porządku, Ricchio – burknął. Jest czysty.

Dalmas opucił ręce, odwrócił się i przeszedł na drugą stronę pokoju, w zamyleniu spoglądając na gospodarza mieszkania, który siedział pochylony, z rozdziawionymi ustami i napiętą twarzą. Detektyw spojrzał na wyższego z napastników.

Ricchio? powiedział cicho.

Smagły chłopak zerknął na niego.

Stań przy stole, kochanieńki rzucił. A gadanie zostaw mnie.

Walden odchrząknął chrapliwie. Ricchio stał przed nim, przyglądając mu się uprzejmie. W jego dłoni dyndał rewolwer, zawieszony na palcu za osłonkę spustu.

Spóniasz się z zapłataś, Walden. Spóniasz się jak cholera! Więc przyszlimy ci o tym przypomnieć. Mielimy też na oku tego twojego platfusa. Cwane, co?

To twój były goryl, Walden skoro nazywa się Ricchio rzekł Dalmas spokojnie, z powagą w głosie.

Gospodarz kiwnął głową i przesunął językiem po wargach.

Nie wymśdrzaj się, platfusie parsknął Ricchio. Żeby nie musiał ci więcej powtarzać. Obrzucił detektywa ostrym wzrokiem, po czym spojrzał na filmowca i zegarek na jego rękę. Jest osiem po trzeciej, Walden. Ale po mojemu facet o takich chodach jak ty da radę wycisnąć jeszcze forszę z banku. Masz godzinę na zebranie dziesięciu kawałków. Tylko godzinę. A twojego tajniaka zabieramy ze sobą, żeby obgadać przekazanie szmalu.

Walden ponownie skinął głową, bez słowa. Oparł ręce na kolanach, zaciskając pięści, aż zbieleły mu kostki.

My gramy czysto ciśnął Ricchio. Inaczej nasz interes nie byłby wart funta kłaków. Ty też masz grać czysto. Bo jak nie, to twój tajniak będzie wśchać kwiatki od spodu. Rozumiemy się?

A jak wam zapłaci, to naturalnie pucicie mnie wolno, żebyśmy mógł was wsypać wtrcił Dalmas z pogardą.

Niech cię o to głowa nie boli odparł gładko Ricchio, nie patrząc na niego. Dziesięć kawałków, Walden. A następne dziesięć na początku tygodnia. Jeżeli nie będziemy mieli kłopotów bo jakby nas co spotkało, zapłacisz nam za to.

Walden rozłożył ręce w geście porażki.

Chyba uda mi się zebrać pieniądze rzekł popieszenie.

Klawo. No to zbieramy się.

Ricchio energicznie skinął głową i schował broń. Wyjął z kieszeni brązową rękawiczkę z kolej skóry, włożył ją na prawą rękę i zabrał blondynowi colta Dalmasa. Obejrzał go, wsunął do kieszeni i



trzymał go tam przez rękawiczkę.

Zmywamy się powiedział wskazując głowę drzwi.

Wyszli. Derek Walden odprowadził ich ponurym wzrokiem.

Zjechali na dół tylko w towarzystwie windziarza. Wyszli na półpiętrze i przeszli przez gabinet, mijając okno witrażowe, za którym paliła się lampa, stwarzająca wrażenie wiatła dziennego. Ricchio szedł pół kroku za Dalmasem, po jego lewej ręce. Blondyn napierał na niego z prawej.

Zeszli po wyłożonych dywanem schodach, przeszli przez pasaż z luksusowymi sklepami i opucili hotel bocznym wejściem. Naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy, stał mały brązowy sedan. Blondyn wleź na kierownicę, wsunął broń pod udo i zapalił silnik. Ricchio i Dalmas zajęli miejsca z tyłu.

Jed bulwarem na wschód, Noddy wycedził Ricchio. Muszę pogłówkować.

Noddy jęknął.

Sama radocha prychnął. Wozić faceta po Wilshire w biały dzień.

Ruszaj, mówię.

Blondyn znów jęknął, ruszył, a po chwili zwolnił przed skrzyżowaniem. Po drugiej stronie bulwaru wolna taksówka oderwała się od krawężnika, zawróciła nie dojeżdżając do wiateł i pojechała ich ladem. Noddy zatrzymał się, skręcił w prawo i dodał gazu. Taksówka zrobiła to samo. Ricchio obejrzał się na nią obojętnie. Na Wilshire był duży ruch.

Dalmas oparł się wygodnie.

Dlaczego Walden nie skorzystał z telefonu, jak schodziliśmy? zapytał z namysłem.

Ricchio umiechnął się. Zdjął kapelusz, rzucił go na kolana, po czym wyciągnął prawą rękę z rewolwerem i schował ją pod kapeluszem.

Nie chciał, żebyśmy się na niego pogniawali, platfusie.

I dlatego pozwolił, żeby dwóch gnojków zabrało mnie na przejażdżkę?

To nie taka przejażdżka, jak ci się zdaje odparł zimno Ricchio. Przydasz nam się do tego interesu I nie jesteśmy gnojkami, kapujesz?

Dalmas potarł szczękę dwoma palcami. Umiechnął się lekko, bez słowa. Kierowca szybko odwrócił głowę.

Prosto do Robertson? warknął.

Tak potwierdził Ricchio. Jeszcze główkuję.

Myliciel! zadrwił blondyn.

Ricchio umiechnął się z przymusem, prezentując równe, białe zęby. Przed nimi wiatła na skrzyżowaniu zmieniły się na czerwone. Noddy podjechał szybko i stanął jako pierwszy w rzędzie samochodów. Pusta taksówka zatrzymała się po ich lewej stronie, nieco z tyłu. Prowadzący ją rudzielec w zsuniętej na bakier czapce przeżuwał wykałaczkę i pogwizdywał wesoło.

Dalmas mocno wsparł nogi o przednie siedzenie, przyciskając plecy do oparcia. Wysoko zawieszona wiatła sygnalizacyjne zmieniły się na zielone. Mały sedan wystrzelił do przodu, lecz przyhamował, by przepuścić samochód, który w ostatniej chwili szybko wyjechał z przecznicy i skręcał w lewo. Taksówka także ruszyła spod wiateł. Wtem pochylony nad kierownicą rudzielec raptownie skręcił w prawo. Z rozdzierającym zgrzytem zderzak taksówki przytarł niski zderzak sedana, blokując jego przednie lewe koło. Oba samochody zatrzymały się z szarpnięciem.

Za nimi rozległy się klaksony gniewne, niecierpliwe.

Dalmas wyróżnił Ricchia prawym prostym w szczękę, lewą ręką chwytając broń z jego kolan. Wyszarpnił ją, gdy Ricchio zwiotczał w rogu samochodu. Szantażysta kiwał głową, mrugając szybko. Dalmas odsunął się od niego, chowając colta pod pachę.

Noddy siedział za kierownicą bez ruchu i tylko jego ręka wędrowała powoli ku schowanej pod udem broni. Detektyw wysiadł, zatrzasnął za sobą drzwi i zrobiwszy dwa kroki, otworzył drzwiczki taksówki. Stanął koło niej, spoglądając na blondyna.

Klaksony uwięzionych w korku samochodów trzębiły wciekle. Taksówkarz stał z przodu obu wozów, szarpiąc je równie energicznie, co bezskutecznie. Wykałaczką w jego ustach podskakiwała w górę i w dół. Policjant w ciemnych okularach przedarł się na motocyklu przez gęszcz pojazdów, ze znużeniem ocenił sytuację i przywołał taksówkarza ruchem głowy.

Wsiadaj pan i daj do tyłu zarządził. Klóćcie się gdzie indziej tędy się jedzi.

Taksówkarz wyszczerzył zęby i umknął dookoła swojej gabloty. Wsiadł, wrzucił bieg wsteczny i szarpnął wozem do tyłu, trzębiąc i gestykulując zawzięcie. Samochody rozczepiły się. Blondyn za kierownicą sedana obserwował to z kamienną twarzą.

Policjant wyciągnął gwizdek i przeraliwie zagwizdał dwa razy, wskazując rękami na wschód i na zachód. Brązowy sedan czmychnął ze skrzyżowania niczym kot cigany przez psy policyjne.

Taksówka wystartowała za nim. Pół przecznicy dalej Dalmas pochylił się i zastukał w szklaną przegrodę za plecami kierowcy.

Niech sobie jadą, Joey. Nie złapiesz ich, a poza tym nie są mi potrzebni. Pięknie to rozegrała, tam na skrzyżowaniu.

Rudzielec przysunął brodę do otworu w przegrodzie.

To pestka, szefie rzucił, umieszczając się od ucha do ucha. Następnym razem zleć mi co naprawdę trudnego.

2.

Telefon zadzwonił za dwadzieścia piąta. Dalmas leżał na wznak na łóżku w swoim pokoju w hotelu Merrivale. Nie odwracając głowy, sięgnął po aparat.

Halo?

Pomimo lekkiego napięcia, głos dziewczyny brzmiał całkiem miło.

Mówi Mianne Crayle. Pamięta pan?

Dalmas wyjął papierosa z ust.

Tak, panno Crayle.

Proszę posłuchać. Musi pan pojechać do Dereka Waldena. Zamartwia się czymś i pije na umór. Trzeba coś z tym zrobić.

Detektyw wpatrywał się w sufit ponad słuchawką. Dłonią, w której trzymał papierosa, wystukiwał szybki rytm o ramę łóżka.

On nie odbiera telefonu, panno Crayle odparł powoli. Już parę razy próbowałem się do niego dodzwonić.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Wreszcie dał się słyszeć głos dziewczyny:

Zostawiłam swój klucz pod drzwiami. Lepiej niech pan tam zajrzy.

Oczy detektywa zwęziły się, a palce jego prawej ręki znieruchomiały.

Zaraz jadę, panno Crayle obiecał. Gdzie będę mógł panią złapać?

Nie jestem pewna. Chyba u Johna Sutro. Mielimy wpaść do niego z wizytą.

wietnie. Dalmas poczekał, aż usłyszy trzask. Dopiero wtedy odłożył słuchawkę i odstawił telefon na nocny stolik. Usiadł na skraju łóżka i przez dłuższą chwilę obserwował smugę światła na cianie. W końcu wzruszył ramionami i wstał. Dopił resztki ze szklanki stojącej koło telefonu, nałożył kapelusz, zjechał windą na parter i wsiadł do drugiej taksówki na postoju przed hotelem.

Z powrotem do Kilmarnocka, Joey. I to gazem.

Jazda zajęła piętnaście minut.

Była to już pora dansingu i ulice wokół wielkiego hotelu blokował sznur samochodów wylewających się z trzech bram. Dalmas wysiadł nieco wczniej i skierował się do bocznego wejścia, mijając zarumienione panny w asyście eskorty. Udał się schodami na półpiętro, przeszedł przez gabinet i wsiadł do zatłoczonej windy. Na najwyższe piętro dojechał samotnie – wszyscy wysiedli niżej.

Dwukrotnie zadzwonił do mieszkania Waldena. W końcu pochylił się i zajrzał w szparę pod drzwiami. Cienka nitka wiatła przerywała jaką przeszkodą. Odwrócił się sprawdzając, na którym piętrze stoi winda, pochylił się i ostrzem scyzoryka wygrzebał coś spod drzwi. Płaski klucz. Korzystając z niego wszedł do mieszkania i stanął w progu.

W wielkim pokoju zastał mierć. Ruszył ku niej powoli, cicho stawiając kroki i wytyczając słuch. Jego szare oczy rzucały ostre błyski. Twarz mu stwardniała, blady zarys szczęki kontrastował z opalenizną policzka.

W brązowym fotelu leżał niedbale Derek Walden. Usta miał rozchylone. W jego prawej skroni widniał osmalony otwór, a na policzku i szyi, aż po miękkie kołnierzyk koszuli, spływająca krew utworzyła ażurowy wzór. Prawa ręka filmowca muskała grube włosie dywanu. Palce ciskały mały czarny pistolet.

Do pokoju wpadały ostatnie promienie słońca. Przez dłuższy czas Dalmas stał jak wryty, gapiąc się na Waldena. Panowała absolutna cisza. Wiatr ucichł i zasłony w drzwiach balkonowych wisiały spokojnie.

Z lewej tylnej kieszeni spodni Dalmas wyciągnął cienkie zamszowe rękawiczki. Włożył je, przyklęknął na dywanie i delikatnie uwolnił broń z ucisku sztywniejszych palców. Był to pistolet kalibru 0.32, z kolbą wykładaną orzechem włoskim. Detektyw odwrócił go i obejrzał kolbę od spodu. Zacisnął usta. Numer seryjny został spiłowany – lady pilnika wciąż błyszczały lekko na tle czarnej farby. Dalmas położył broń na dywanie, wstał i podszedł do telefonu stojącego na skraju stołu bibliotecznego, obok płaskiej misy z ciętymi kwiatami.

Sięgnął po słuchawkę, ale nie dotknął jej. Opucił rękę. Przez chwilę stał w miejscu, po czym cofnął się szybko i podniósł pistolet. Wyjął magazynek, wyrzucił łuskę z komory i wcisnął ją do magazynka. Dwoma palcami lewej ręki przytrzymał lufę, odwiódł kurek, przekręcił blokadę zamka i rozłożył broń. Podszedł z kolbą do okna.

Numeru wyrytego wewnątrz kolby nie usunięto.

Szybko złożył broń z powrotem, wprowadził pustą łuskę do komory, wcisnął magazynek do kolby i spuścił kurek. Włożył pistolet do martwej ręki Waldena, zdjął rękawiczki i zapisał numer seryjny broni w małym notesie.

Wyszedł z mieszkania, zjechał windą i opuścił hotel. Dochodziło wpół do szóstej; niektóre samochody na bulwarze jechały już na wiatłach.

Blondyn, który otworzył drzwi u Sutra, nie żałował krzepy. Drzwi huknęły o cianę, a on sam siadł na podłodze, wciśz uczepony klamki.

Trzęsienie ziemi, jak Boga kocham! wybełkotał z oburzeniem.

Dalmas spojrział na niego bez ładu rozbawienia.

Nie wie pan czasem, czy jest tu panna Mianne Crayle? zapytał.

Blondyn pozbierał się na nogi i odepchnął od siebie drzwi, które zamknęły się z kolejnym hukiem.

A kogo tu nie ma? Brakuje tylko dziada z babś, ale ich też oczekujemy zagrzmiał dononie.

Dalmas skinął głowś.

No to się ubawicie na sto dwa.

Minśł blondyna, przeszedł korytarzem i skręcił w łukowate drzwi prowadzśce do wielkiego, starowieckiego pokoju ze ciennymi szafami i mnóstwem tandetnych mebli. Bawiło się tam siedem czy osiem osób. Pod wpływem alkoholu wszyscy mieli wypieki na twarzach.

Na podłodze jaka dziewczyna w szortach i zielonej bluzce polo grała w koci z mężczyznś w smokingu. Jaki grubas w pince nez i ze słuchawkś telefonicznś w ręku mówił surowo:

Zamiejscowa Z Sioux City i to migiem, siostrzyczko.

Z nastawionego na cały regulator radia grzmiało Słodkie szaleństwo.

Dwie roztańczone pary beztrosko objęły się o siebie i o meble. Mężczyzna, łudzśco podobny do Ala Smitha, tańczył samotnie, z pełnś szklankś w ręku i pustkś na twarzy. Wysoka, trupioblada blondynka pomachała do detektywa, wylewajśc alkohol ze szklanki.

Te, kocha! wrzasnęła. Fajnie, że przyszedł!

Dalmas wyminśł jś, kierujśc się do kobiety o skórze koloru szafranu, która włanie weszła do pokoju, w obu rękach niosśc butelki dzinu. Odstawiła je na fortepian i ze znużeniem oparła się o instrument. Detektyw podszedł do niej i spytał o pannę Crayle.

Szafranowa kobieta wzięła papierosa z otwartego pudełka na fortepianie.

Jest na dworze na dziedzińcu odparła bezdźwięcznie.

Dziękuję, pani Sutró.

Spojrziała na niego pustym wzrokiem. Skręcił pod następný łuk, do nieowietlonego pokoju zagraconego meblami z wikliny. Drugie drzwi prowadziły na oszklony taras, skśd wychodziło się po schodkach na cieżkę, która wijśc się znikala wród pogrśżonych w mroku drzew. Dalmas doszedł niś

na skraj urwiska. Roztaczała się stamtąd panorama na owietloną część Hollywood. Na samej krawędzi ustawiono kamienną ławę. Siedziała na niej jaka dziewczyna, zwrócona tyłem do domu. W ciemności rozbłysł koniuszek papierosa. Dziewczyna powoli odwróciła głowę i wstała.

Była drobna, niada, delikatnej budowy. Ciemna szminka na wargach odcinała się wyranie, ale w panującym mroku jej twarz była ledwie widoczna, a oczy ginęły w ciemności.

Przed domem czeka taksówka, panno Crayle odezwał się Dalmas. A może przyjechała pani swoim wozem?

Nie. Chodmy. Okropnie tu, a ja nie pijam dzinu.

Wrócili ciężko, omijając dom. Przez zwiędzoną kratę bramę wydostali się na chodnik i ruszyli wzdłuż siatki do miejsca, gdzie czekała taksówka. Kierowca stał oparty o siatkę, z obcasem na stopniu samochodu. Otworzył im drzwiczki. Wsiadli.

Zatrzymaj się gdzieś po fajki, Joey polecił Dalmas.

Dobra.

Joey usiadł za kierownicą i zapalił silnik. Taksówka ruszyła kręto, stromo drogą w dół wzgórza. Na asfaltowym chodniku lniła wilgoć; witryny sklepów odbijały echem wist opon.

O której wyszła pani od Waldena? zapytał detektyw po chwili milczenia.

Około trzeciej odparła dziewczyna, nie patrząc na niego.

Czy aby nie później, panno Crayle? O trzeciej był z nim jeszcze kto inny.

Dziewczyna mruknęła cicho, żalonię. Zabrzmiało to jak zduszony jęk. Po chwili wyszeptała:

Ja wiem on nie żyje.

cisnęła skronie dłońmi w rękawiczkach.

Jasne rzekł detektyw. Nie kombinujmy więcej niż potrzeba bo kto wie, czy nie będziemy musieli pokombinować.

Nie żył, kiedy tam przyszłam dodała słabym głosem.

Dalmas pokiwał głową. Nie patrzył na pannę Crayle. Wkrótce taksówka zajęczała przed narożną drogerię. Kierowca odwrócił się i spojrzał na tylne siedzenie.

Szkoda, że nie dowiedziałem się tego przez telefon powiedział Dalmas, patrząc na taksówkarza, lecz zwracając się do dziewczyny. Mogłem się niele wpakować. Kto wie, czy już się w to nie wpakowałem po uszy.

Mianne Crayle pochyliła się bezwładnie. Dalmas szybko wyciągnął rękę, złapał ją, nim zdążyła upaść, i oparł o siedzenie wozu. Głowa opadła jej na ramię, usta tworzyły ciemną szramę na tle białej jak kreda twarzy. Przytrzymując dziewczynę, Dalmas wolną ręką zbadał jej puls.

Jedziemy do Carliego, Joey zarządził. Darujemy sobie fajki. Panienska musi się napić i to szybko.

Joey wrzucił bieg i nacisnął pedał gazu.

4.

Carli prowadził niewielki klub usytuowany na końcu pasażu, między sklepem sportowym a wypożyczalnią książek. Dostępu broniły okratowane drzwi i stojący w nich cieć, który dawno już przestał udawać, że obchodzi go, kto zagląda do lokalu.

Dalmas usiadł z dziewczyną w małej wnęce, wyposażonej w twarde ławy i podpięte zielone zasłony. Poszczególne wnęki oddzielone były wysokimi przegrodami. Drugą stronę sali zajmował długi bar i olbrzymia szafa grajsca. Od czasu do czasu, kiedy jazgot opadał, barman wrzucał do niej pięć centów.

Kelner postawił na stole dwa kieliszki brandy. Mianne Crayle wychyliła swój jednym haustem. Jej pogrążone w mroku oczy rozblęły. cięgnęła z ręki białoczarnej rękawiczkę i bawiła się jej palcami, wpatrując się w stół. Po chwili kelner podał dwa koktajle z brandy.

Gdy odszedł, dziewczyna odezwała się cichym, dwięcym głosem, nie podnosząc głowy:

Nie byłam pierwsza miał przede mną dziesiątki kobiet. I nie ostatnia po mnie miałby ich drugie tyle. A poza tym bywał całkiem przyzwoity. I może mi pan wierzyć albo nie, ale sama płaciłam za swoje mieszkanie.

Dalmas w milczeniu pokiwał głową. Dziewczyna mówiła dalej, wciśnięta nie patrząc na niego:

Pod wieloma względami był prawdziwym kanaliem. Na trzewo miał chandrę. Po pijaku wychodził z niego łajdak. Ale kiedy się wstawił w sam raz, był to całkiem przyzwoity facet, a do tego najlepszy reżyser od rozbieranek w całym Hollywood. Potrafił przepchnąć w wytwórni więcej szmiry z golizną niż trzech innych razem wziętych.

Był skończony wtręcił Dalmas beznamiętnie. Moda na rozbieranki się skończyła i wietnie o tym wiedział.

Dziewczyna zerknęła na niego spod oka, spuściła wzrok i upiła łyk ze szklanki. Z kieszeni sportowej kurtki wyciągnęła małą chusteczkę i otarła usta.

Ludzie po drugiej stronie przegrody hałasowali ile wlezie.

Jedliśmy obiad na tarasie cięgnęła Mianne Crayle. Derek był pijany i zalewał się coraz bardziej. Cały czas o czym myślał. Czym się gryzł.

Dalmas umiechnął się lekko.

Może opłakiwał te dwadzieścia kawałków, od których kto go chciał uwolnić chyba wiedziała pani o tym?

To całkiem możliwe. Derek był trochę sknerowaty.

Alkohol kosztował go niełicho stwierdził sucho detektyw. I ten jacht motorowy, którym tak lubił pływać na południe za granicę.

Dziewczyna gwałtownie uniosła głowę. W jej ciemnych, pełnych bólu oczach zamigotały błyski.

Zaopatrywał się w alkohol tylko w Enseñada stwierdziła powoli. Sam go przywoził. Musiał być bardzo ostrożny przy tych ilościach, jakie pochłaniał.

Dalmas kiwał głową. W kącikach jego ust błyskał się zimny umieszek. Dopił koktajl, wziął papierosa i sięgnął do kieszeni po ogień. Na stole nie było firmowych zapalek.

Proszę dalej, panno Crayle.

Wróciliśmy do pokoju. Wyciśgnął następne dwie butelki i powiedział, że zaleje się w trupa. Pokłóciliśmy się. Nie mogłam już tego wytrzymać. Wyszłam. Po powrocie do domu zaczęłam się o niego martwić. Dzwoniłam, ale nie odbierał telefonu. W końcu pojechałam tam, otworzyłam drzwi swoim kluczem i zastałam go w fotelu martwego.

Dlaczego nie powiedziała mi pani o tym przez telefon? spytał Dalmas po chwili.

Złożyła dłonie.

Strasznie się bałam szepnęła ledwie dosłyszalnie. I co co mi się nie zgadzało.

Detektyw oparł głowę o przegrodę i czekał, przyglądając się dziewczynie zmrużonymi oczyma.

To oklepany numer wyjaniła. Aż mi wstyd o tym mówić. Ale Derek był mańkutem. Kto jak kto, ale ja chyba co o tym wiem.

Wielu ludzi musiało o tym wiedzieć rzekł Dalmas cicho. Ale kto pokpił sprawę.

Patrzył, jak dziewczyna miętosi w palcach rękawiczkę.

Walden był mańkutem podjął. To znaczy, że nie popełnił samobójstwa. Pistolet trzymał w prawej ręce. Nie znalazłem ładów walki, otwór po kuli był osmalony i tak na oko strzał padł pod właściwym kątem. Czyli że zabił go kto, kto mógł tam wejść i zbliżyć się do niego. Chyba że był już spity do nieprzytomności, ale wtedy zabójca musiałby mieć klucz.

Mianne Crayle odepchnęła od siebie rękawiczkę i zacisnęła dłonie.



Wyraził się pan aż nazbyt jasno rzuciła ostrym tonem. Wiem, że policja będzie mnie podejrzewać. Ale ja go nie zabiłam. Kochałam tego żalostnego drania. I co pan na to?

Mogła pani to zrobić, panno Crayle rzekł Dalmas beznamiętnie. Im też to przyjdzie do głowy, prawda? A potem mogła pani wpaść na chytry pomysł, żeby zachowywać się tak, jak się pani zachowywała. Na to też wpadnś.

To by wcale nie było chytre stwierdziła gorzko. Raczej przechytrzone.

Czysta robota! Dalmas rozemiał się ponuro. Niele. Przejechał palcami po kędzierzawych włosach. Nie, wstpię, żeby mogli to zwalić na paniś, a zresztś zanim się dowiedzś, że był mańkudem, być może kto inny wykryje, jak to było naprawdę.

Pochylił się lekko i oparł o stół, jak gdyby chciał wstać. W zamyleniu skupił wzrok na jej twarzy.

W komendzie pracuje taki jeden goć, który być może mógłby mi pomóc. Gliniarz z krwi i koci, ale to mój stary kumpel i ma gdzie, co o nim mówisz. Może gdybymy pojechali do niego, obejrzałby sobie paniś i przesłuchał, to wstrzymałby sprawę na parę godzin i nie dał nic do prasy.

Spojrzał na niś pytajśco. Naciśgnęła rękawiczkę.

Więc jedmy powiedziała spokojnie.

5.

Zaledwie zamknęły się drzwi windy w hotelu Merrivale, potężny mężczyzna złożył gazetę, którą trzymał na wysokości twarzy, i ziewnśł. Podniósł się z kanapy w rogu sali, bez popiechu przeszedł przez mały, cichy hall i wcisnśł się do ostatniej z rzędu budek telefonicznych. Wrzucił monetę do aparatu i wybrał numer grubym paluchem, bezgłonie wymawiajśc kolejne cyfry.

Wkrótce nachylił się nad słuchawkś.

Mówi Denny. Jestem w Merrivale. Nasz człowiek włanie wrócił. Zgubiłem go na miecie, więc zaczekałem na niego tutaj.

Głós miał tubalny, gardłowy. Wysłuchał rozmówcy, pokiwał główś i rozłśczył się bez słowa. Wyszedł z budki i ruszył do windy, po drodze wyrzucajśc niedopałek cygara do emaliowanego naczynia wypełnionego białym piaskiem.

Dziesište poleciał windziarzowi, zdejmujśc kapelusz. Miał proste, czarne, mokre od potu włosy, szerokś, płaskś twarz i małe oczka. Ubranie wygniecione, ale nie wywiechtane. Był detektywem pracujścym dla wytwórni Eclipse Films.

Na dziesištym piętrze wysiadł, przeszedł ciemnym korytarzem, skręcił za róg i zapukał do drzwi. Usłyszał zbliżajśce się kroki. Drzwi otworzyły się i stanśł w nich Dalmas.

Olbrzym wszedł do rodka, nonszalancko rzucił kapelusza na łóżko i bez pytania usiadł w fotelu przy oknie.

Serwus, stary! przywitał się. Słyszałem, że szukasz pomagiera.

Przez chwilę Dalmas patrzył na niego w milczeniu. W końcu odparł z niezadowoleniem:

Możliwe, że będę kogo potrzebował na cienia. Ale prosiłem o Collinsa. Ty za bardzo wpadasz w oko.

Zniknął na moment w łazience i wrócił z dwiema szklankami. Napełnił je na komodzie i podał jednemu gociowi. Olbrzym wypił, oblizał się i postawił szklankę na parapecie otwartego okna. Z kieszeni kamizelki wyjął krótkie, grube cygaro.

Collinsa nie było pod ręką wyjął. A ja liczyłem muchy na suficie. Więc miłociwie panujscy oddelegował mnie. Trzeba będzie drałować na piechotę?

Nie wiem odparł Dalmas obojętnie. Raczej nie.

Bo jakby przyszło ledzić w gablocie, to nie ma sprawy. Jestem bryczką.

Dalmas ze szklanką w ręku przysiadł na skraju łóżka, przyglądając się z lekkim umieszkim, jak jego gość odgryza i wypluwa na podłogę koniec cygara. Olbrzym schylił się, podniósł kawałek tytoniu, obejrzał go i wyrzucił przez okno.

Wieczór jak się patrzy zauważył. Zwykle o tej porze jest chłodniej.

Dobrze znasz Dereka Waldena, Denny? spytał Dalmas.

Olbrzym wyjrzał przez okno. W powietrzu wisiała mgiełka i odbłask czerwonego neonu na tyłach sąsiedniego budynku wyglądał jak luna pożaru.

Znać to go nie znam. Tylko z widzenia. Wiem, że to jeden z bardziej nadzianych facetów w branży.

No to nie spadniesz z krzesła, jak ci powiem, że nie żyje owiadczył spokojnie Dalmas.

Denny odwrócił się powoli. W jego szerokich ustach podskakiwało nie zapalone cygaro, lecz widać było, że ciekawość go nie zżera.

mieszna sprawa ci sięgnął Dalmas. Przyczepiło się do niego paru szantażystów. Wygląda na to, że stracili cierpliwość. Walden nie żyje w głowie ma dziurę, a w ręku pistolet. To się stało dzi po południu.

Denny otworzył oczka nieco szerzej. Dalmas pociągnął łyk ze szklanki i postawił ją na udzie.

Znalazła go jego dziewczyna. Miała klucz do apartamentu w Kilmarnocku. Japoniec miał akurat wychodne, a innej służby Walden nie trzymał. Panienska nikomu o tym nie pisała. Ulotniła się i

zadzwońiła do mnie. Pojechałem tam Ja też nikomu nic nie powiedziałem.

Jak pragnę zdrowia! skomentował Denny powoli. Gliny cię w to wrobiś i urzędźś na perłowo. Nie wywiniesz się z tego, bracie.

Dalmas zmierzył go wzrokiem, odwrócił głowę i spojrział na obraz na cianie.

To ja się tym zajmuję ty mi tylko pomagasz rzekł zimno. Dostaliśmy takie zlecenie i mamy za sobś wpływows organizację. W grę wchodzi kupa szmału.

Masz jaki pomysł? spytał Denny ponuro. Był wyranie niezadowolony.

Panienska nie wierzy, że Walden sam się zabił. Ja też nie, zwłaszcza że wpadłem na pewien trop. Ale trzeba się uwijać, bo to równie dobry trop dla glin. Nie sśdziłem, że uda mi się to sprawdzić od razu, ale miałem fart.

Uhm mruknśł Denny. Oszczęd mi łamigłówek. Mylenie to nie moja specjalność.

Potał zapalkę i przypalił cygaro. Jego ręka lekko drżała.

Nie ma nad czym łamać głowy uspokoił go Dalmas. To proste jak drut. Pistolet, z którego zabito Waldena, ma spiłowany numer. Ale rozłożyłem go i okazało się, że numeru wewnątrz kolby nie usunięto. Na policji majś ten numer w rejestrze zezwoleń na posiadanie broni.

A ty tak po prostu zaszedł do nich, poprosiłe ładnie o nazwisko faceta i ci je dali wtrścił Denny ponuro. Jak już znajdś Waldena i sami sprawdźś numer, ucieszś się jak jasny gwint, że ich wykołował. Odchrzśknśł chrapliwie.

Nic się nie bój uspokoił go Dalmas. Sprawdził mi to facet na wysokim stołku. Mogę spać spokojnie.

Jak cholera! A na co takiemu gociowi jak Walden pistolet z usuniętym numerem? Za to się siedzi.

Dalmas dopił koktajl, podszedł z pustś szklankś do komody i pomachał butelkś whisky. Denny odmówił ruchem głowy. Był wyranie zde gustowany.

Walden mógł o tym nie wiedzieć, jeżeli to była jego broń, Denny. Ale może to wcale nie był jego pistolet. Jeżeli należał do zabójcy, to zabójca jest amatorem. Zawodowiec nie posługuje się takś armatś.

Niech ci będzie. Co wykombinował?

Dalmas znów przysiadł na łóżku. Wygrzebał z kieszeni paczkę papierosów, zapalił i pochylił się, by wyrzucić zapalkę przez okno.

Zezwolenie wydano mniej więcej rok temu facetowi o nazwisku Dart Burwand. To taki wcibski dziennikarzyna z PressChronicle. W kwietniu sprzśtnęli go na stacji Arcade. Włanie miał zniknść z

miasta, ale nie zdążył. Sprawa jest do tej pory nie wyjaśniona, ale chodzą słuchy, że ten cały Burwand maczał palce w porachunkach gangsterów na przykład w zabójstwie Linglea w Chicago i że chciał wysadzić z siodła jednego ważniaka. Tyle że ważniak nie dał sobie w kaszę dmuchać i przeniósł Burwanda na tamten wiat.

Olbrzym oddychał ciężko. Cygaro zgasło mu w ustach. Dalmas obserwował go uważnie.

Dowiedziałem się tego od Westfallsa z Press Chronicle ciśgnął. To mój znajomek. Ale to jeszcze nie koniec. Prawdopodobnie pistolet zwrócono żonie Burwanda. Ona dalej tu mieszka, na North Kenmore. Być może dowiem się od niej, co zrobiła z bronią chyba że ona też ma powiązania z jakim gangiem. Jeli tak, to nic mi nie powie, ale po rozmowie ze mną może spróbuje nawiązać kontakty, o których powinniśmy wiedzieć. Pojmujesz?

Denny znów trzasnął zapałką i przysunął ją do cygara.

A co ja mam robić ledzić lalunię, jak już jej wyklarujesz co i jak z tym pistoletem? zapytał ochryple.

Włanie.

Olbrzym wstał, udając, że ziewa.

Zrobi się burknął. Ale po co ta cała tajemnica z Waldenem? Dlaczego nie zostawić tego Glinom? Narobimy sobie tylko wrogów w komendzie.

Musimy zaryzykować. Nie wiemy, co takiego tamci mieli na Waldena, że go szantażowali, a wytwórnia mogłaby stracić sporo pieniędzy, gdyby co wyszło podczas ledztwa i trafiło na czołówki gazet w całym kraju.

Gadasz, jakby Walden nazywał się Valentino zaprotestował Denny. Diabła tam, w końcu to tylko reżyser. Starczy, że zdejmiesz jego nazwisko z paru filmów, które nie weszły jeszcze na ekrany.

Oni są innego zdania uciśł Dalmas. Może dlatego, że nie gadali z tobą.

No dobra rzucił Denny szorstko. Ale ja tam bym sobie odpucił panienkę, niech idzie siedzieć. Glinom zawsze chodzi tylko o kozła ofiarnego. Okrężył łóżko, wziął kapelusz i wcisnął go na głowę. To lubię stwierdził kwano. Musimy się z tym uwinąć, zanim gliny dowiedzą się, że Walden nie żyje. Machnął ręką i rozemiał się niewesoło. Tak, jak to robisz na filmach.

Dalmas schował butelkę whisky do szuflady komody i włożył kapelusz. Otworzył drzwi i stanął z boku, przepuszczając Dennyego przodem. Zgasił wiatło.

Była za dziesięć dziewięć.

6.

Wysoka blondynka spojrzała na Dalmasa zielonymi oczyma o nienaturalnie zwężonych renicach.

Przecisnął się obok niej szybko, choć bez widocznego popiechu i łokciem zamknął drzwi.

Jestem detektywem, pani Burwand prywatnym. Zbieram informacje w sprawie, o której może pani co wiedzieć.

Nazywam się Dalton sprostowała blondynka. Helen Dalton. Daruj pan sobie tę Burwand.

Przepraszam odparł Dalmas z umiechem. Powinienem o tym wiedzieć.

Kobieta wzruszyła ramionami i odpłynęła od drzwi. Przysiadła na skraju fotela z dziurą od papierosa w poręczy. Znajdowali się w salonie umeblowanego mieszkania czynszowego, zagraconym bibelotami rodem z domów towarowych. Za owietlenie służyły dwie stojące lampy. Na podłodze leżały poduszki z falbankami, o podstawę jednej z lamp opierała się francuska lalka, a na gzymsie kominka gazowego stał rząd ksiżek w jaskrawych obwolutach.

Chodzi mi o pistolet, który należał kiedy do Darta Burwanda powiedział Dalmas uprzejmie, kołysząc kapeluszem. Wypłynął w sprawie, nad którą właśnie pracuję. Staram się przeleźć jego historię od momentu, gdy trafił w pani ręce.

Helen Dalton podrapała się w ramię. Paznokcie miała długie na centymetr.

Nie mam pojęcia, o czym pan mówi stwierdziła krótko.

Dalmas oparł się o cianę, przyglądając się kobiecie. Jego głos stwardniał.

A pamięta pani jeszcze, że kiedy była pani żoną Darta Burwanda, którego sprżnęli w kwietniu tego roku czy może to za stare dzieje?

Blondynka zagryzła kciuk.

Spryciarz, co? warknęła.

Nie, chyba że muszę. Ale niech pani nie zasypia po tej ostatniej szprycy.

Helen Dalton wyprostowała się nagle. Jej rysy nabrały wyrazu.

O co chodzi z tym pistoletem? wycodziła przez zacinięte zęby.

O to, że zabito z niego człowieka rzucił Dalmas obojętnie.

Wytrzeszczyła oczy.

Spłukałam się, więc go zastawiłam wyjanila po chwili. Nigdy z niego nie korzystałam. Miałam męża, który wyciśgał tydzień w tydzień sześć dych, ale na mnie nie wydał ani centa. Zawsze byłam bez grosza przy duszy.

Dalmas pokiwał głową.

Pamięta pani, w którym to było lombardzie? A może zachowała pani kwit?

Nie. To było gdzie na Main. Tam co krok jest jaki lombard. A kwitu nie mam.

Tego się obawiałem stwierdził Dalmas.

Przeszedł wolno przez pokój, obrzucił wzrokiem tytuły ksiżek na gzymsie kominka i zatrzymał się przy małym biurku z opuszczonym blatem. Stała na nim fotografia w srebrnej ramce. Obejrzał ją dokładnie i odwrócił się powoli.

Kiepska sprawa z tym pistoletem, Helen. Dzi po południu skasowano nim jednego ważniaka. Numer seryjny na kolbie jest spiłowany. Skoro go zastawiła, to mógł go kupić morderca, tyle że zawodowiec nie usunąłby numeru w taki sposób. Wiedzialby, że w rodku jest jeszcze jeden. A więc pistoletu nie kupił morderca a ten, którego zabito, z całą pewnością nie kupowałby broni w lombardzie.

Blondynka wstała powoli. Na jej policzkach wykwitły czerwone plamy. Sztywne ręce zwiesiła po bokach. Oddychała ze wistem.

Nie będziesz mnś pomiatał, szpiclu wycodziła napiętym głosem. W nic się nie dam wrobić i mam paru przyjaciół, którzy potrafiś się mnś zaopiekować. Lepiej spływaj.

Detektyw zerknął przez ramię na fotografię.

Że też Johnny Sutro pozwala panience trzymać swoje zdjęcie tak na widoku. Można by pomyśleć, że zdradza żonę.

Blondynka przeszła sztywno przez pokój i z trzaskiem wrzuciła zdjęcie do szuflady. Zamknęła ją i oparła się biodrami o biurko.

Zalała się, szpiclu. To nie jest żaden Sutro. Zbieraj się wreszcie, jak pragnę Boga!

Dalmas rozemiał się nieprzyjemnie.

Widziałem cię u Sutra dzi wieczorem. Była tak pijana, że nie pamiętasz.

Dziewczyna zerwała się, jak gdyby chciała wyjść z pokoju. W tej samej chwili z korytarza wszedł jakiś człowiek. Stał w progu i powoli zamknął drzwi, prawś rękę trzymajśc w kieszeni lekkiego tweedowego płaszcza. Był niady, barczysty, kanciasty. Miał orli nos i ostro zarysowany podbródek.

Dalmas patrzył na niego spokojnie.

O, radny Sutro. Dobry wieczór przywitał się.

Mężczyzna spojrział na blondynkę, omijajśc wzrokiem Dalmasa, jak gdyby go w ogóle nie było.

Twierdzi, że jest tajniakiem wyjskała drżścym głosem. Magluje mnie w sprawie jakiego pistoletu,

który podobno kiedy miałam. Możesz go wyrzucić?

Tajniak, co? warknął Sutro.

Przeszedł obok detektywa, nie patrząc na niego. Blondynka cofała się przed nim, aż klapnęła na fotel. Cierę miała ziemistą, w jej oczach czaił się strach. Sutro spoglądał na nią przez chwilę, po czym odwrócił się i wyciągnął z kieszeni mały pistolet. Trzymał go swobodnie, celując w podłogę.

Mam mało czasu powiedział.

Włanie się zbierałem rzekł Dalmas, przesuwał się w stronę wyjścia.

Najpierw gadaj! polecił ostro radny.

Jasne.

Bez popiechu, swobodnym krokiem, detektyw podszedł do drzwi i otworzył je na ocież. Pistolet w dłoni Sutra podskoczył.

Skończ pan ten cyrk parsknął Dalmas. Nie zacznie pan tu żadnej rozróby i wietnie pan o tym wie.

Dwaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem. Wreszcie Sutro schował broń do kieszeni i oblizał wąskie wargi.

Panna Dalton miała kiedy pistolet, z którego dopiero co zabito człowieka wyjaśnił Dalmas. Ale pozbyła się go już dawno temu. To wszystko, co chciałem wiedzieć.

Sutro powoli skinął głową. Miał dziwny wyraz oczu.

Panna Dalton jest przyjaciółką mojej żony. Nie życzę sobie, żeby jej się naprzykrzano owiadczył zimno.

To jasne, że pan sobie nie życzy. Ale działający legalnie detektyw ma prawo zadawać uzasadnione pytania. Ja się tu nie włamałem.

Sutro zmierzył go wzrokiem od stóp do głów.

W porządku, ale odczep się od moich przyjaciół. W tym mieście tak tańczysz, jak ja zagram, więc uważaj, żeby mi nie podpadł.

Dalmas pokiwał głową. Cicho wyszedł na korytarz, zamykając drzwi. Przez chwilę nasłuchiwał, ale z mieszkania nie dobiegały żadne dźwięki. Wzruszył ramionami i oddalił się. Na końcu korytarza zszedł po trzech schodkach do małego hallu bez centralki telefonicznej i opucił budynek. Rozejrzał się. Była to dzielnica bloków mieszkalnych, stąd też wzdłuż całej jezdni parkowały samochody. Skierował się do wiatel czekającej na niego taksówki.

Joey stał na krawężniku obok swojej gabloty. Palił papierosa, spoglądając na drugą stronę ulicy,

gdzie wielki, ciemny kabriolet parkował, zwrócony lewym bokiem do chodnika. Na widok Dalmasa rzucił papierosa i podszedł do niego.

Słuchaj, szefie powiedział szybko. Obejrzałem sobie faceta w tym Cadillaku

Znad drzwi kabrioletu wytrysnęła smuga białego płomienia. Echo wystrzałów obilo się o budynki po obu stronach ulicy. Joey runął na Dalmasa w chwili, gdy Cadillac gwałtownie wystartował do przodu. Obarczony wczepionym w niego taksówkarzem, detektyw skoczył w bok i przyklęknął, próbując wycisnąć broń. Bezskutecznie. Kabriolet z piskiem opon zniknął za zakrętem, a Joey stoczył się z Dalmasa, przeturlał i zleżał na wznak na chodniku. Trzepocząc rękami po betonie, wydał głęboki, ochryply jęk bólu.

Opony znów zapiszczały. Dalmas zerwał się na boki, sięgając pod lewą pachę, lecz odprężył się widząc, że mały samochód hamuje polizgiem i wyskakuje z niego Denny.

Dalmas pochylił się nad kierowcę. Latarnie przy sąsiedniej bramie owietlały krew na przškowanej marynarce Joeya, krew, która sšczyła się przez materiał. Oczy ранego zamykały się i otwierały, jak oczy konajšcego ptaka.

Nie ma co gonić tej bryczki wysapał Denny. Za szybka.

Pęd do telefonu i dzwoń po karetkę polecił Dalmas. Nafaszerowali go jak cholera. A potem przyklej się do tej blondyny.

Olbrzym pognał do swojego wozu, wskoczył za kierownicę i zniknął za rogiem. Gdzie otworzyło się okno i kto pucił soczystš wišzankę. Kilka samochodów przyhamowało.

Spokojnie, staruszkule szeptał Dalmas, pochylony nad taksówkarzem. Tylko spokojnie.

7.

Porucznik z Wydziału Zabójstw nazywał się Weinkassel. Miał rzadkie blond włosy, lodowate błękitne oczy i dziobatš twarz. Siedział na krzele obrotowym, z nogami opartymi na wysuniętej szufladzie biurka i z telefonem pod rękš. Pokój zalatywał kurzem i niedopałkami.

Potęźnie zbudowany gliniarz o szpakowatych włosach i wšsach, nazwiskiem Lonergan, stał w otwartym oknie, wyglšdając ponuro na ulicę.

Weinkassel przeżuwał zapałkę i przyglšdał się Dalmasowi, siedzącemu po drugiej stronie biurka.

Może by nam co powiedział mruknął. Bo taksjusz nie może. Do tej pory miałe fart w tym miecie i nie chcesz go chyba pogrzebać?

To twardziel wtršcił Lonergan, nie odwracając się od okna. Nic nie powie.

Lepiej by nie zabierał głosu, Lonnie rzekł Weinkassel głucho.



Dalmas z bladym umieszkiem potarł dłoniś bok biurka. Zaskrzypiało.

Niby co mam jeszcze powiedzieć? zapytał. Było ciemno i nie widziałem tego, co strzelał. Siedział w odkrytym Cadillaku, bez wiateł. Już to panu mówiłem, poruczniku.

To nie klapuje stwierdził dziobaty zrzędlowie. Co tu mierdzi. Na pewno masz jakie podejrzenia, kto by to mógł być. Murowane, że ta kulka była przeznaczona dla ciebie.

A to czemu? Ostatecznie kropnęli taksówkarza, a nie mnie. Ci taksiarze obracajś się w różnym towarzystwie. Może zadarł z jakimi twardzielami?

Takimi jak ty wpadł mu w słowo Lonergan. Nadal wyglśdał przez okno.

Weinkassel łypnął spode łba na plecy podwładnego.

Ten samochód stał tam, jak jeszcze byłe w chałupie wyjanił cierpliwie. Taksówkarz czekał na ulicy. Jeżeli to jego chcieli kropnęś, to nie musieli czekać, aż wyjdiesz.

Dalmas rozłożył ręce i wzruszył ramionami.

Mylicie, że wiem, kto to zrobił?

Niezupełnie. Ale uważamy, że mógłby nam podrzucić parę nazwisk do sprawdzenia. Kogo tam odwiedziłe?

Dalmas nie odpowiedział od razu. Lonergan odwrócił się od okna i przysiadł na skraju biurka. Siedział wymachujś nogami, z cynicznym umieszkiem na płaskiej twarzy.

No powiedz, dziecinko rzucił wesoło.

Dalmas odchylił się na krzele i schował ręce do kieszeni. Z namysłem przyglśdał się porucznikowi, ignorujś szpakowatego gliniarza, jak gdyby w ogóle nie istniał.

Załatwiałem sprawy mojego klienta stwierdził po chwili. Nie możecie wymagać, żebym wam o tym opowiadał.

Weinkassel wzruszył ramionami, spoglśdajś na niego lodowatym wzrokiem. Nagle wyjśł z ust przeżutś zapalkę, obejrzał jś i wyrzucił.

Z tego może wynikać, że twoje interesy majś zwiśzek ze strzelaninś zapowiedział ponuro. I będziesz musiał otworzyć gębę. Dobrze mówię?

Kto wie? odparł Dalmas. To się jeszcze okaże. Ale mam prawo porozumieć się przedtem z moim klientem.

W porzśdku. Masz na to czas do rana. Bo rano chcę zobaczyć na biurku twojś licencję, rozumiemy się?

Dalmas pokiwał głową i wstał.

Jak najbardziej, poruczniku.

Ten to potrafi tylko trzymać gębę na kłódkę rzucił szorstko Lonergan.

Dalmas skinął głową porucznikowi i wyszedł na ponury korytarz, a stamtąd po kilku stopniach do hallu. Przed ratuszem czekały go jeszcze długie betonowe schody, nim przeszedł na drugą stronę Spring Street, gdzie stał zaparkowany niebieski, pamiętajscy lepsze czasy Packard. Usiadł za kierownicą, skręcił za róg, minął tunel na Second Street i znów skręcił w najbliższą przecznicę na zachód. Co chwila spoglądał w lusterko wsteczne.

Na Alvarado zadzwonił z drogerii do swojego hotelu i dowiedział się od recepcjonisty, że ma gdzie zatelefonować. Zadzwonił więc pod wskazany numer i po drugiej stronie usłyszał tubalny, niecierpliwy głos Dennyego:

Gdzie się podziewał? ciśniełam lalkę do siebie. Jest pijana. Przyjeżdżaj, to wywiemy się od niej, co tylko będziesz chciał.

Dalmas spoglądał przez szybę budki telefonicznej niewidzącym wzrokiem. W końcu spytał powoli:

Zwinęła blondynę? Jak?

To cała historia, bracie. Przyjeżdżaj szybko, to ci opowiem. South Livesay, czterdzieści pięć lat cztery. Wiesz, gdzie to jest?

Mam plan miasta. Trafie – odparł Dalmas tym samym tonem.

Denny jednak wyjaniał mu rozwlekle, jak najlepiej dojechać. Na koniec dorzucił:

Popiesz się. Ona jeszcze pi, ale w każdej chwili może się obudzić i narobić wrzasku.

Tam, gdzie mieszkasz, to chyba nie ma większego znaczenia – mruknął Dalmas. Już jadę.

Odwiesił słuchawkę i wrócił do samochodu. Z kieszeni w drzwiach wozu wyciągnął półlitrowkę burbona i pociągnął solidny łyk. Potem zapalił silnik i pojechał w stronę Fox Hills. Dwukrotnie przerywał jazdę i siedząc sztywno za kierownicą, namyślał się. Ale za każdym razem ruszał w dalszą drogę.

8.

Odgąlenie Pico rozdzielało dwa pola golfowe i nikło poród falistych wzgórz. Szosa biegła skrajem jednego z pól, obok wysokiej drucianej siatki. Tu i ówdzie widać było rozsiane po wzgórzach parterowe domki. Wkrótce droga opadła do kotliny, w której po drugiej stronie dojazdu na teren pola golfowego stał samotny bungalow.

Dalmas zaparkował nieco dalej, pod olbrzymim eukaliptusem, rzucającym głęboki cień na skłpań w wietle księżyca szosę. Wysiadł, cofnął się i skręcił na betonowy chodnik prowadzący do domku. Budynek był szeroki, niski, z kilkoma oknami od frontu. Rosnące przed nim krzewy sięgały do połowy zasłon, zza których przebijało łagodne wiatło i muzyka z cicho nastawionego radia.

Czyj cień przesunął się za oknami i kto otworzył drzwi. Dalmas wszedł do salonu usytuowanego od frontu budynku. Samotna żarówka w lampie i wietlna tarcza radia wystarczały za owietlenie. Wspomagała je nieco powiata księżyca.

Denny był bez marynarki. Podwinięte rękawy koszuli odsłaniały jego muskularne ramiona.

Lalunia jeszcze pi oznajmił. Obudzę jś, ale wpierv ci opowiem, jak jś tu ciśgnłem.

Jeste pewny, że nikt was nie ledził?

Na sto procent zapewnił olbrzym, unosząc wielką dłoń.

Dalmas usiadł na wiklinowym krzele w rogu pokoju, między radiem a oknem. Położył kapelusz na podłodze, wyciśgnął butelkę bourbona i przyjrzał jej się z niesmakiem.

Dałby się napić czego porządniejszego, Denny. Jestem zmordowany jak cholera. Nawet nie jadłem kolacji.

Mam trzygwiazdkowego Martella. Zaraz wracam.

Denny wyszedł z pokoju i na tyłach domu zapaliło się wiatło. Dalmas postawił butelkę obok kapelusza i dwoma palcami pomasaował czoło. Bolała go głowa. Wkrótce wiatło z tyłu domu zgasło i gospodarz wrócił z dwoma wysokimi kieliszkami.

Brandy była łagodna w smaku, lecz mocna. Denny usiadł na drugim wyplatanym krzele. W panującym półmroku jego ciemna postać wydawała się jeszcze większa niż zwykle.

Brzmi to głupio, ale poskutkowało rozpoczęł powoli grubym głosem. Jak się gliny wyniosły, zaparkowałem w bocznej alejce i wszedłem tylnymi drzwiami. Wiedziałem, gdzie mieszka, ale jej nie znałem. Umyliłem sobie, że pod jakim pretekstem sprawdzę, co też ona porabia. Zapukałem, ale nie otwierała. Słyszałem, jak kręci się po mieszkaniu, a potem do kogo dzwoni. No to cofnąłem się korytarzem i spróbowałem przez drzwi dla służby. Były otwarte, więc wszedłem. Wiesz, miały taki zatrzask, z tych, co to zacinają się i nie zaskakują.

Rozumiem, Denny rzekł Dalmas kiwając głową.

Olbrzym łyknął brandy i podrapał się krawędzią kieliszka w dolną wargę.

Facet, do którego dzwoniła, nazywa się Gayn Donner podjął. Znasz go?

Ze słyszenia. A więc panienska ma takie znajomoci?

Zwracała się do niego po nazwisku i była wciekła. Stąd wiem. Donner ma knajpę przy Mariposa Canyon Drive klub Mariposa. Jego orkiestrę puszczałeś w radiu to Hank Munn i jego chłopcy.

Słyszałem ich, Denny.

No dobra. Więc jak skończyła gadać, wszedłem do pokoju. Wyglądała jak naćpana, zataczała się, nie bardzo kojarzyła, co jest grane. Rozejrzałem się i zobaczyłem na biurku zdjęcie Johna Sutro, tego radnego. Wykorzystałem je jako pretekst i powiedziałem, że Sutro przysłał mnie po niś, bo chce, żeby zniknęła na jakiś czas. Kupiła to. Kretynka. Chciała sobie łyknąć, więc powiedziałem, że flaszkę mam w wozie. A ona łaps za kapelusik i płaszcz.

Tak po prostu?

No przytaknął Denny. Dopił brandy i odstawił kieliszek. W samochodzie dałem jej butelkę, żeby sobie golnęła i siedziała cicho, i przywiozłem ją tutaj. Poszła spać i to by było na tyle. Co ty na to? A jak poszło na komendzie, ciężko?

Ciężko. Nie dali się wpucić w maliny.

Mówili co o zabójstwie Waldena.

Dalmas potrzebował głowę.

Zdaje się, że żółtek nie wrócił jeszcze do domu.

Chcesz pogadać z laluniś?

Z radia dobiegały dźwięki walca. Przez chwilę Dalmas w milczeniu słuchał muzyki. Wreszcie odparł zmęczonym głosem:

W końcu po to przyjechałem.

Denny wstał i wyszedł z pokoju. Dalmas usłyszał skrzypnięcie otwieranych drzwi i stłumione głosy.

Wyciągnął rewolwer spod pachy i położył przy nodze.

Wchodząc do salonu, blondynka zachwiała się nieco przesadnie. Rozejrzała się i chichocząc zatrzepotała długimi rękami. Na widok Dalmasa zamrugła, przez chwilę zataczając się w miejscu, po czym opadła na krzesło, które zwolnił Denny. Olbrzym nie odstępował jej na krok. Stał przy bocznej ścianie, opierając się o stół.

Ho, ho, mój przyjaciel szpicel odezwała się pijackim głosem. Hejże, nieznajomy! Nie zaprosisz damy na jednego?

Dalmas przyglądał jej się kamiennym wzrokiem.

Przyszło ci coś nowego do głowy w związku z tamtym pistoletem? zapytał powoli. Wiesz, ta spluwa,

o której rozmawialimy, kiedy wparował Johnny Sutra ta ze spiłowanym numerem z której zabito Dereka Waldena?

Denny zeszywniał. Nagle sięgnął do biodra. Dalmas uniósł swojego colta i wstał. Widząc rewolwer, olbrzym znieruchomiał i odprężył się. Blondynka nawet nie drgnęła, ale pijacka poza ulotniła się jak kamfora. Jej twarz zdradzała napięcie i gorycz.

Trzymaj ręce na widoku, Denny, a wszystko będzie cacy rozkazał Dalmas spokojnie. A teraz może powiecie mi, krętacze, po cocie mnie tu ciśgnęli?

Jak pragnę zdrowia! wychrypiał olbrzym. Co ci strzeliło do głowy? Wystraszyłem się, jak powiedziały przy niej o Waldenie.

Niepotrzebnie rzekł Dalmas, umiechając się od ucha do ucha. Może ona w ogóle o nim nie słyszała? A teraz wyjanijmy to sobie w trymiga. Co mi się zdaje, że czekajś mnie tu kłopoty.

Całkiem ci odbiło!

Dalmas lekko przesunął broń. Oparł się o boczną cianę, nachylił i lewą ręką wyłszył radio.

Sprzedając się, Denny stwierdził z goryczą. Nic prostszego. Nie nadajesz się na cienia, jeste za duży. Ostatnio ciśgłe widziałem, jak za mną łazisz. Nabrałem pewności dzi wieczorem, jak się wpakowały w tę sprawę. A kiedy usłyszałem bajeczkę o tym, jakie to zwabił dziewczynę do siebie, pozbyłem się resztek wstępliwości Czy ty naprawdę myślał, że kto, kto dożył mojego wieku, da się na to nabrać? Bśd teraz tak dobry i powiedz, dla kogo pracujesz, a może pozwolę ci się ulotnić. To jak? Dla Donnera? Dla Sutra? I co to za pomysł z tą zasadzką? Włanie tutaj, w tej głuszy?

W tym momencie dziewczyna zerwała się na równe nogi i skoczyła na niego. Odepchnął ją wolną ręką. Upadła na podłogę.

Załatw go, ty bryło mięsa! wrzasnęła. Załatw go!

Denny ani drgnął.

Zamknij się, szpryco! warknął Dalmas. Nikt tu nikogo nie załatwi. To zwykła przyjacielska pogawędka. Wstawaj i przestań pyskować!

Blondynka podniosła się niemrawo.

W półmroku salonu twarz Dennyego wydawała się kamienna, nieporuszona.

Sprzedając się przyznał chrapliwie. Jak ostatnia winia. No i dobrze. Miałem potśd pilnowania odpicowanych lalun, żeby jedna drugiej nie buchnęła szminki Chcesz, to mnie kropnij.

Nadal stał bez ruchu. Dalmas pokiwał głową.

Kto to jest, Denny? powtórzył. Dla kogo pracujesz?

Nie wiem. Dzwonię pod taki jeden numer, dostaję polecenia i melduję w ten sam sposób. Forsa przychodzi pocztą. Próbowałem podpytać tę cizię, ale nic z tego. Nie sądzę, żeby to była zasadzka, i nic nie wiem o tej strzelaninie na ulicy.

Dalmas obserwował go bacznie.

Chyba nie grasz na zwłokę, żeby mnie tu zatrzymać, co, Denny?

Olbrzym powoli uniósł głowę. W pokoju zapanowała nienaturalna cisza. Przed domem zatrzymał się jakiś samochód i lekki warkot silnika umilkł.

Górna część zasłony zalała czerwone wiatło.

Było olepiające. Dalmas przyklęknął błyskawicznie i bezszelestnie uskokzył w bok. Chrapliwy głos Dennyego przerwał ciszę:

Jak pragnę zdrowia, gliny!

Podświetlone zasłony zatraciły swój splot, biła z nich różowa luna, rzucając wielką, jaskrawą plamę na przeciwległą cianę salonu. Dziewczyna wydała zduszony jęk. Przez mgnienie oka jej twarz przypominała czerwony maskę, nim osunęła się, nikiąc z zasięgu reflektora. Dalmas spojrział na wiatło, chowając głowę pod parapetem. Na tle czerwonego blasku liście krzewów przed domem wyglądały jak czarne ostrza włócznie.

Na chodniku rozległy się kroki.

Łapy do góry i wyłazić! zazgrzytał chrapliwy głos.

W salonie ktoś się poruszył. Dalmas poderwał broń na próżno. Trzasnął kontakt i na werandzie zapaliła się lampa. W jej wietle mignęli dwaj mężczyźni w niebieskich mundurach policjantów, którzy szybko uskokzyli w cień. Jeden z nich ciskał pistolet maszynowy, a drugi długiego lugera ze specjalnym magazynkiem.

Rozległ się zgrzyt – to Denny uchylał wizjer w drzwiach. Olbrzym uniósł pistolet i wystrzelił.

Co ciężkiego upadło na beton. Jakiś mężczyzna, trzymając się za brzuch, wpadł chwiejnie w snop wiatła i zatoczył się do tyłu, nikiąc z widoku. Po chodniku przeturlała się czapka ze sztywnym daszkiem.

Rozterkotał się pistolet maszynowy. Dalmas rozpląszczył się na podłodze przy cianie, wgniatając twarz w deski. Z tyłu doleciał go wrzask dziewczyny.

Rozpylacz szybko omiół cały pokój, wypełniając powietrze gipsem i drzazgami. Lustro spadło ze ciany. Ostry śwąd prochu szedł o lepsze z kwany odorem pyłu gipsowego. Zdawało się, że trwa to już wieki. Co spadło Dalmasowi na nogi. Nie otworzył oczu, dalej przyciskał twarz do parkietu.

Terkot i jazgot ucichły. Ze ciany nadal sypał się deszcz gipsu.

Jak wam się podobało, chłopcy? wrzasnął kto.

Kto inny, stojący dalej od domu, warknął ze złości:

Jazda, spływamy!

Znów rozległy się kroki, a także szuranie. Więcej kroków. Zawarczał silnik samochodu. Głono trzasnęły drzwi. Opony zapiszczały na żwirze, a piew silnika przybrał na sile, by wkrótce zamrzeć w oddali.

Dalmas wstał. W uszach czuł łomotanie krwi, a w nosie suchoć. Podniósł rewolwer z podłogi, sięgnął do wewnętrznej kieszeni po latarkę i zapalił ją. Jej wiatło z trudem przebiło wiszący w powietrzu kurz. Dziewczyna leżała na wznak, z szeroko otwartymi oczyma i ustami wykrzywionymi w czymś na kształt umięchu. Chlipała. Dalmas pochylił się nad nią. Na pierwszy rzut oka nic jej się nie stało.

Przeszedł dalej. Znalazł swój kapelusz nietknięty, koło krzesła z odstrzeloną górną częścią oparcia. Obok stała butelka burbona. Podniósł oba przedmioty. Facet, który kosił z rozpylacza, trzymał automat na wysokości pasa, nie opuszczając lufy. Dalmas podszedł do drzwi.

Denny klęczał w progu, chwycił się i ciskał sobie dłoń. Spomiędzy grubych paluchów syczała się krew.

Dalmas wyszedł na dwór. Na chodniku ujrzał krwawą plamę i mnóstwo łusek, ale nie dostrzegł żywej duszy. Czuł pulsowanie nabiegłej do twarzy krwi i szczypanie skóry wokół nosa.

Pociągnął z butelki, odwrócił się i wszedł z powrotem do domu. Denny tymczasem już wstał i przewiśzywał sobie chusteczką zakrwawioną dłoń. Zataczał się jak pijany. Dalmas skierował promień latarki na jego twarz.

Co poważnego? spytał.

Nie. Dranięcie w rękę wyjanił olbrzym chrapliwie. Palcami niezdarnie ciskał chusteczkę.

Blondyna ledwie żywa ze strachu. To nam, chłopie, sprawił bal. Miłych masz kumpli. Chcieli rozwalić nas troje. Zażył ich, jak do nich wygarnął przez judasza. Chyba co ci się za to ode mnie należy, Denny A swoją drogą strzelać to oni nie bardzo potrafią.

Dokąd się teraz wybierasz?

A jak mylisz?

Denny spojrzał mu prosto w oczy.

Twój człowiek to Sutro owiadczył powoli. Mam już dość zmywam się. Czort z nimi.

Dalmas znów przeszedł przez drzwi i ruszył chodnikiem ku szosie. Wsiadł do samochodu i odjechał

bez wiatła. Dopiero za zakrętem, a i to nie od razu, włączył reflektory, wysiadł i otrzepał się z kurzu.

9.

Srebrnoczarne kotary, podwieszane w kształcie odwróconej litery V, odsłaniały mgiełkę dymu z papierosów i cygar, przez którą od czasu do czasu błyskały złotem instrumenty orkiestry tanecznej. W powietrzu unosił się zapach potraw, trunków, perfum i pudru. Plama bursztynowego wiatła wytyczała pusty parkiet do tańca, na oko niewiele większy od dywanika w łazience gwiazdy filmowej.

Orkiestra zaczęła występ, wiatła pogasły. Wyłożonymi dywanem schodami nadszedł ober, klepiąc się złotym ołówkiem po atlasowej lamówce spodni. Miał wśkie, wyprane z życia oczy i prawie białe włosy, zaczesane do tyłu nad kocistym czołem.

Chciałbym się widzieć z panem Donnerem powiedział Dalmas.

Ober poklepał się złotym ołówkiem po zębach.

Niestety, jest zajęty. Pańskie nazwisko?

Dalmas. Niech mu pan powie, że jestem bliskim przyjacielem Johnyego Sutro.

Spróbuję.

Ober podszedł do tablicy wyposażonej w rząd guzików i małą słuchawkę telefonu. Zdjął ją z widełek i przysunął do ucha, gapiąc się na Dalmasa bezosobowym wzrokiem wypchanego zwierzaka.

Zaczekam w hallu rzekł detektyw.

Minął kotary i bez popiechu ruszył do męskiej toalety. Wyciągnął butelkę i wychylił do dna resztkę whisky, stojąc w rozkroku, z odrzuconą do tyłu głową, na rodku wyłożonej kafelkami podłogi. Zaszuszony czarnuch w białej marynarce nerwowo zatrzepotał rękami.

Tu się nie pije, szefie wydukał niespokojnie.

Dalmas cisnął pustą butelkę do kosza na zużyte ręczniki. Ze szklanej półki wziął czysty ręcznik, otarł usta, zostawił na umywalce dziesięć centów i wyszedł.

Do toalety prowadziło dwoje nieco oddalonych od siebie drzwi. Detektyw oparł się o zewnętrzne i wyjął z kieszeni kamizelki mały pistolet samopowtarzalny, długoci najwyżej dziesięciu centymetrów. Nakrył go kapeluszem i przytrzymując go trzema palcami, wyszedł, łagodnie kołysząc kapeluszem u boku.

Wkrótce do hallu wszedł wysoki Filipińczyk o jedwabistych czarnych włosach i rozejrzał się. Dalmas ruszył ku niemu. Ober wyrzwał zza kotary i dał znak chłopakowi.

Tędy, szefie odezwał się Filipińczyk.



Przeszli długim, cichym korytarzem. Dźwięki orkiestry stopniowo umilkły. Otwarte drzwi z boku pozwalały dojrzeć zielone blaty opuszczonych stołów. Korytarz skręcał pod kątem prostym w następny, na końcu którego z uchylonych drzwi przebijało wiatło.

Filipińczyk zatrzymał się w pół kroku i z gracją wykonał skomplikowany ruch, w rezultacie czego w jego dłoni pojawił się wielki, czarny pistolet. Uprzejmie dgnął nim Dalmasa w żebra.

Muszę pana obszukać, szefie. Taki tu zwyczaj.

Detektyw znieruchomiał, rozkładając ręce. Chłopak odebrał mu colta i wsunął go do kieszeni. Sprawdził pozostałe kieszenie Dalmasa, cofnął się o krok i schował swoją armatę.

Opuszczając ręce, Dalmas upuścił kapelusz i wycelował schowany pod nim pistolecik w brzuch chłopaka. Filipińczyk spojrzał na niego z pełnym niedowierzaniem i niechęcią.

Ubawiłem się, żółtku, co? To teraz ja się ubawię – rzekł Dalmas.

Schował odzyskanego colta na swoje miejsce, odebrał chłopakowi wielki pistolet, wyszedł z niego magazynek i wyrzucił nabój z komory, po czym zwrócił chłopakowi pustą broń.

Zawsze możesz nim jeszcze dać komuś po głowie. Nie schodź mi z oczu, to twój szef nie dowie się, że tylko do tego jest zdolna ta pukawka.

Filipińczyk zwilżył usta. Detektyw upewnił się, że chłopak nie ma drugiego pistoletu, po czym obaj podeszli do uchylonych drzwi na końcu korytarza. Chłopak wszedł pierwszy.

Ciany wielkiego pokoju były wyłożone ukonie drewnianymi boazeriami. Żółty chiński dywan, mnóstwo drogich mebli, żadnych okien. Obite drzwi zdradzały, że pomieszczenie jest dwiękoszczelne. Nad głowami wisiały pozłocane kraty, a wbudowany w nie wentylator wydawał cichy, kojący pomruk. Znajdowało się tam czterech mężczyzn. Wszyscy milczeli.

Dalmas usiadł na skórzanej otomianie i spojrzał na Ricchia – gładkiego faceta, który wyprowadził go z mieszkania Waldena. Chłopak był przywieszony do krzesła z wysokim oparciem. Wykręcone do tyłu ręce miał skrepowane w nadgarstkach. Z jego oczu wyzierała lepa furia, twarz miał we krwi i siniakach, zmasakrowany uderzeniami pistoletu. Noddy blondyn, z którym był w Kilmarnocku siedział w kącie na czymś w rodzaju stołka i palił papierosa.

John Sutro, z oczami wbitymi w podłogę, kołysał się powoli na krytym czerwonym skórzanym bujaku. Nie podniósł wzroku, gdy Dalmas wszedł do pokoju.

Czwarty mężczyzna siedział za biurkiem, które niewinnie kosztowało kupę forsy. Miał miękkie, kasztanowate włosy z przedziałką na środku, zaczesane do tyłu; czerwone oczy nad wąskimi ustami rzucały nieprzyjemne błyski. W milczeniu patrzył, jak detektyw siada i rozgląda się po pokoju, aż wreszcie odezwał się, zerkając na Ricchia:

Włanie tłumaczyliśmy temu chłopakowi, że nie powinien kombinować na własną rękę. Chyba ci to nie przeszkadza?

Dalmas rozemiał się krótko, niewesoło.

Ani trochę, Donner. A co z tym drugim? Widzę, że jest cały i zdrowy.

Do Noddyego nic nie mamy. Robił, co do niego należało stwierdził Donner spokojnie. Ujść pilnik z długą oprawką i zaczął piłować paznokiec. Ty i ja mamy ze sobą do pogadania. Po to tu przyszedł. Na mój gust jeste w porządku byleby za bardzo nie zadawał szyku z tym twoim prywaciarskim interesem.

Dalmas lekko rozszerzył oczy.

Zamieniam się w słuch, Donner.

Sutro uniósł głowę i wbił wzrok w kark właściciela klubu, który gładko, beznamiętnie mówił dalej:

Wiem wszystko o rozróbieniu u Dereka Waldena i o strzelaniu na Kenmore. Gdybym przypuszczał, że gówniarzowi tak odbije, powstrzymałbym go zawczasu. A tak, zdaje się, że teraz sam będę musiał wszystko naprawić. Jak już z nim skończymy, pan Ricchio uda się na komisariat i powie, co ma do powiedzenia. Chcesz wiedzieć, jak do tego doszło? Ricchio pracował dla Waldena, kiedy tym z Hollywood zamierzali się ochroniarze. Walden pływał do Enseñada po alkohol zresztą, o ile wiem, nadal się tam zaopatruje i przywoził go osobiście. Nikt się go nie czepiał, więc Ricchio zwierzył szansę sprowadzania po cichu białego proszku. Walden przyłapał go, ale chciał uniknąć skandalu, więc tylko pokazał chłopakowi drzwi. A ten wykorzystał to i zaczął go szantażować na zasadzie, że sam Walden nie jest do końca czysty, żeby wyjść cało z magła, jaki by mu sprawili federalni. Tyle że Walden nie bulił tak chętnie, jakby sobie tego Ricchio życzył, więc gówniarz wpadł w szewską pasję i postanowił go przycisnąć. A że ty i twój kierowca weszlicie mu w paradę, więc zasadził się na was.

Mężczyzna za biurkiem odłożył pilnik i umiechnął się. Dalmas wzruszył ramionami i zerknął na Filipińczyka stojącego pod cianą koło otomany

Nie mam tak zorganizowanej siatki jak ty, Donner, ale nie urodziłem się wczoraj. To całkiem zgrabna wersja i może by nawet uszła przy dyskretnej pomocy kogoś z komendy. Tyle że twoja opowiadanka sobie, a fakty sobie.

Donner uniósł brwi. Sutro założył nogę na nogę i zaczął kołysać czubkiem wypolerowanego buta.

A gdzie się w tym wszystkim mieci pan Sutro? dorzucił detektyw.

Radny wlepił w niego wzrok i przestał kołysać nogą. Poruszył się niecierpliwie.

Jest przyjacielem Waldena wyjanił Donner z umiechem. Walden wygadał mu co nieco, a Sutro wiedział, że Ricchio pracuje dla niego. Ale jako radny nie chciał zdradzać Waldenowi wszystkiego, co wie.

Powiem ci, Donner, czego brakuje w twojej wersji oświadczył Dalmas ponuro. Strachu. Walden był tak zastraszony, że nie chciał mi pomóc, nawet kiedy już dla niego pracowałem. Za to dziś po południu

wystraszył kogo do tego stopnia, że dostał kulkę w łeb.

Donner pochylił się i przymrużył oczy. Dłonie na biurku zacisnął w pięci.

Walden nie żyje? wyjął cicho, niemal szeptem.

Dalmas przytaknął.

Dostał w prawś skroń z trzydziestki dwójki. Na pozór to samobójstwo. Ale tylko na pozór.

Sutro szybko uniósł dłoń i zakrył twarz. Blondyn na stołku w rogu pokoju zeszywniał.

Chcesz usłyszeć bardzo prawdopodobną hipotezę, Donner? spytał detektyw. Nazwijmy to hipotezą Walden sam robił w narkotykach i to nie na własną rękę. Ale po zniesieniu prohibicji chciał się wycofać z interesu. Straż przybrzeżna nie musiała już tracić tyle czasu na ciganie przemytników alkoholu, więc trudno, żeby szmugiel narkotyków dalej szedł jak z płatka. Poza tym zabijał się w panience, której dobrze patrzyło z oczu i która potrafiła zliczyć do czterech. Dlatego chciał się wycofać z handlu narkotykami.

Jakiego znów handlu narkotykami? spytał Donner, oblizując wargi.

Dalmas zmierzył go wzrokiem.

Ty o niczym nie masz pojęcia, co, Donner? Jasne, że nie, w to się bawiś tylko niegrzeczni chłopcy. Ale niegrzecznym chłopcom nie podobał się pomysł, żeby Walden wycofał się w ten sposób. Za dużo pił i mógł zacząć nadawać swojej dziewczynie. Chcieli, żeby się wycofał właśnie tak nogami do przodu.

Donner powoli odwrócił głowę i wbił wzrok w zwiśzanego chłopaka na krzele.

Ricchio powiedział cicho.

Wstał i obszedł biurko. Sutro oderwał dłoń od twarzy i z drżącymi ustami ledził rozwój wydarzeń.

Donner stanął przed zwiśzanym chłopakiem, oparł dłoń na jego twarzy i przycisnął mu głowę do oparcia krzesła. Ricchio jęknął. Donner umiechnął się do niego.

Chyba otępieiałem na stare lata. To ty zabił Waldena, sukinsynu! Wróciłeś tam i go załatwiłeś. Jako zapomnieliśmy nam o tym powiedzieć, kochasiu.

Ricchio otworzył usta i strzyknął krwią na dłoń i nadgarstek Donnera. Własciciel klubu wzdrygnął się i odsunął, wyciągając rękę przed siebie. Wyjął chusteczkę, starannie otarł dłoń i rzucił chustkę na podłogę.

Daj mi rewolwer, Noddy zwrócił się spokojnie do blondyna.

Sutro podskoczył na krzele i rozdziawił usta. Gapił się błędnym wzrokiem. Wysoki Filipińczyk

chwycił za broń, jakby zapomniał, że jego pistolet nie jest nabyty. Noddy wysił spod prawej pachy pękaty rewolwer i podał go Donnerowi.

Ten podszedł do Ricchia i uniósł broń.

Ricchio nie zabił Waldena odezwał się Dalmas.

Filipińczyk błyskawicznie zrobił krok w przód i zamachnął się pistoletem. Trafił Dalmasa w ramię. Rękę detektywa przeszły fale bólu. Upadł na podłogę, przetoczył się i wyrwał colta spod pachy. Chłopak zamachnął się jeszcze raz. Niecelnie.

Dalmas powstał, uskoczył i z całej siły zdzielił chłopaka lufą colta w skroń. Filipińczyk jęknął, siadł na podłodze i oczy wyszły mu z orbit. Osunął się powoli, drapiąc palcami otomanę.

Twarz Donnera była kompletnie pozbawiona wyrazu, a rewolwer w jego ręku ani drgnął. Na jego długiej górnej wardze perlił się pot.

Ricchio nie zabił Waldena powtórzył Dalmas. Pistolet, z którego zastrzelono Waldena, ma spiłowany numer. Wcinięto mu go do ręki po mierci. Ricchio nie zbliżyłby się na kilometr do spluwy z usuniętym numerem.

Twarz radnego przybrała upiorny wyraz. Blondyn wstał ze stołka, kołyszając ręką przy boku.

Mów dalej polecił spokojnie Donner.

Pistolet prowadzi do niejkiej Helen Dalton czy jak kto woli Burwand. To jej własność. Powiedziała mi, że go zastawiła w lombardzie, dawno temu. Nie uwierzyłem w to. Ona jest przyjaciółką Sutra, a Sutro tak się przejął moją wizytą u niej, że sam wyciągnął na mnie gnata. Jak mylisz, Donner, dlaczego Sutro tak się przejął i skąd wiedział, że pewnie odwiedzę jego panienkę?

miało, powiedz mi rzekł Donner przypatrując się radnemu spokojnie.

Dalmas zbliżył się do Donnera o krok, niedbale trzymając colta w opuszczonej dłoni.

Już ci mówię. Odkąd zacząłem pracować dla Waldena, kto za mną chodził niedowiedziowaty tajniak na usługach wytwórni, którego potrafiłem wypatrzeć na kilometr. Kto go kupił, Donner. Konkretnie zabójca Waldena. Wykombinował sobie, że tajniakowi z wytwórni łatwo będzie się do mnie zbliżyć, a ja mu to jeszcze ułatwiłem żeby mu popsuć szyki, jak już się poczuje swobodnie. Jego szefem był Sutro. To Sutro zabił Waldena własnoręcznie. Od razu było widać, że to amatorszczyzna robota faceta, który przechytrzył. Chytre miało być to, co w rezultacie doprowadziło do wpadki sfingowanie samobójstwa za pomocą spluwy z usuniętym numerem. Morderca był przekonany, że nie da się dotrzeć do jej właściciela, bo nie wiedział, że zwykle wewnątrz kolby jest drugi numer.

Donner przesunął rewolwer tak, że celował gdzieś w pół drogi między blondynem a radnym. Nie odezwał się. Jego oczy zdradzały zadumę i ciekawość.

Dalmas przeniósł ciężar ciała na pięty. Leżący na podłodze Filipińczyk wyciągnął rękę; jego palce

zadrapały skórę otomany.

To jeszcze nie wszystko, Donner. Sutro był znajomkiem Waldena i mógł podejść do niego, przystawić mu pistolet do głowy i wypalić. Na ostatnim piętrze Kilmarnocka nikt by nie usłyszał wystrzału z trzydziestki dwójki. Więc wcisnął mu potem spluwę do ręki i zmył się. Zapomniał jednak, że Walden był mańkutom, a poza tym nie przewidział, że uda się znaleźć właściciela pistoletu. Kiedy do tego doszło i jego człowiek uwiadomił go co i jak a ja trafiłem do dziewczyny, wynajmł paru likwidatorów z rozpylaczem i zwabił cała naszą trójkę do domu w Palms, żeby na dobre zamknąć nam usta Tyle że ci fachowcy byli tak samo do kitu, jak i cała ta szopka.

Donner powoli kiwnął głową, wpatrzony w punkt porodka brzucha radnego, i wycelował tam rewolwer.

Opowiedz nam o tym, Johnny odezwał się cicho. Opowiedz nam, jakże to zbystrzał na stare lata

Blondyn poruszył się nagle. Skoczył skulony za biurko, jednocześnie sięgając prawą ręką po drugi rewolwer. Padł strzał. Kula przeleciała pod blatem biurka i utkwiała w cianie, wydając dźwięk, jak gdyby za boazerii uderzyła w metal.

Dalmas poderwał colta i dwukrotnie wystrzelił w biurko. Posypały się drzazgi. Noddy zawył, zrywając się na nogi z dymiącym rewolwerem w ręku. Donner zachwiał się. Jego broń wypaliła szybko dwa razy. Noddy znów zawył; z policzka trysnęła mu krew. Zwalił się na podłogę za biurkiem i znieruchomiał.

Donner cofnął się i oparł plecami o cianę. Sutro wstał, trzymając się za brzuch. Spróbował krzyknąć.

Kolej na ciebie, Johnny rzekł Donner.

Nagle zakaszłał i z suchym szelestem materiału osunął się po cianie. Pochylił się, wypuścił rewolwer i opadł na czworaki, wciąż zanosząc się kaszlem. Jego twarz poszarzała.

Sutro stał sztywno wyprostowany, z dłońmi wciniętymi w brzuch. Jego zakrzywione palce przypominały szpony. Oczy radnego straciły wszelki wyraz, były martwe. Po chwili kolana ugięły się pod nim i upadł na wznak na podłogę.

Donner wciąż kaszlał.

Dalmas podskoczył do drzwi i nastawił ucha. Wyjrzał na korytarz i czym prędzej zamknął drzwi z powrotem.

Dźwiękoszczelne mruknął. I to jak!

Podszedł do biurka i sięgnął po telefon. Odłożył colta, wybrał numer i po chwili powiedział:

Z kapitanem Cathcartem Ja muszę z nim mówić Jasne, że to ważne bardzo ważne.

Czekał, bębniąc palcami w biurko i twardym wzrokiem omiatając pokój. Drgnął lekko, kiedy w

słuchawce odezwał się zaspany głos.

Mówi Dalmas, kapitanie. Dzwonię z Casa Mariposa, z prywatnego gabinetu Gayna Donnera. Mielimy tu właśnie małą strzelaninę, ale obyło się bez większych strat Mam dla pana zabójcę Dereka Waldena To Johnny Sutro Tak, ten radny Byle szybko, kapitanie Wie pan, nie umiecha mi się wojować z odsieczą

Rozłszył się, podniósł swojego colta i trzymając go w otwartej dłoni, spojrział na radnego. Wstawaj, Johnny poleciał ze znużeniem.

Wstawaj i wyjanij tępemu tajniakowi, jak chcesz się z tego wykręcić cwaniaczku!

10.

wiatło nad wielkim dębowym stołem w komendzie głównej było zbyt silne. Dalmas przejechał palcem po drewnie, obejrzał go i wytarł w rękaw. Oparł brodę na szczipłych dłoniach i wlepił wzrok w cianę nad składanym biurkiem, stojącym po drugiej stronie stołu. Poza nim w pokoju nie było nikogo.

Głonik na cianie zaskrzeczał:

Wóz 71W z obwodu 72 do centrali na rogu Trzeciej i Berendo w drogerii spotkacie mężczyznę

Otworzyły się drzwi. Kapitan Cathcart starannie zamknął je za sobą. Był to kawał chłopca o szerokiej, spótniałej twarzy, poplamionych włosach i sękatych rękach.

Usiadł między dębowym stołem a składanym biurkiem i zaczął się bawić wystygłym fajką leżąc w popielniczce.

Dalmas uniósł głowę.

Sutro nie żyje oznajmił Cathcart.

Detektyw patrzył na niego bez słowa.

Sprzstnęła go żona. Po drodze chciał zajrzeć na chwilę do domu. Chłopcy nie spuszczała z niego oka, ale jej nikt nie pilnował. Naszpikowała go, zanim się obejrzel.

Policjant dwukrotnie otworzył i zamknął usta. Miał silne, pożółkłe zęby.

Nie odezwała się ani słowem. Wycisnęła zza pleców małeńki pistolecik i wpakowała mu trzy pestki. Raz, dwa, trzy. Trzask, prask, i po krzyku. Tak po prostu. A potem odwróciła pistolet w rękę tak licznie, że ładniej nie można, i oddała go chłopcom Po kiego to zrobiła?

Macie zeznanie? spytał detektyw.

Cathcart spojrział na niego, włożył zimną fajkę do ust i zaczął ją ssać głośno.

Jego? Tak chociaż nie na piśmie. Jak sądzisz, dlaczego to zrobiła?

Wiedziała o tej blondynie rzekł Dalmas. I pomyślała, że taka szansa więcej jej się nie trafi. A może wiedziała o jego kombinacjach z narkotykami?

Kapitan pokiwał głową.

Ano przytaknął. Pewnie tak. Wykombinowała sobie, że taka okazja więcej jej się nie trafi. Bo i czemu nie miałyby kropnąć sukinsyna? Prokurator zgodzi się na zabójstwo w afekcie, jeżeli ma głowę na karku. A to raptem piętnacie miesięcy w Tehachapi. Wywczas.

Detektyw poruszył się na krzele i zmarszczył brwi.

Każdemu to tylko wyjdzie na zdrowie ciśnieł policjant. Nie będzie prania brudów ani po twojej, ani po naszej stronie. Gdyby tego nie zrobiła, wszystkim dostałoby się po dupie. Zasłużyła na nagrodę.

Zasłużyła na kontrakt z Eclipse Films sprostował Dalmas. Jak doszedłem do tego, że to Sutro, zrozumiałem, że nie wygram z opinii publicznej. Sam chętnie byłbym go zastrzelił gdyby nie był z niego taki cykor i gdyby nie był radnym.

Wybij sobie takie rzeczy z głowy, bracie warknął kapitan. Wymierzanie sprawiedliwości zostaw nam. Teraz sprawa ma się tak, że raczej nie da rady uznać mierci Waldena za samobójstwo. Przemawia przeciwko temu ten spiłowany numer na spluwie, a zresztą musimy czekać na wyniki sekcji i raport specja od broni. Test parafinowany pewnie wykaże, że Walden w ogóle nie strzelał z tego pistoletu. Z drugiej strony sprawa Sutra jest zamknięta, a to, co musi wyjść na jaw, nie powinno nikomu specjalnie zaszkodzić. Dobrze mówię?

Dalmas wyjął papierosa i obrócił go w palcach. Zapalił bez popiechu i pomachał zapałką, by zgasła.

Walden miał swoje grzeszki powiedział. Przez te narkotyki byłaby draka jak jasna cholera, ale to już pogrzebana sprawa. Jest jeszcze parę niejasnych punktów, ale chyba wyszlimy z tego na czysto.

Chromolę niejasne punkty! Cathcart wyszczerzył zęby. Nie widzę, kto by mógł pójść siedzieć. Ten twój pomagier, Denny, zniknie stąd w trymiga, a jak dostanę w łapy tę Dalton, to wyleję ją na kurację do Mendocino. Może wygrzebiemy co na Donnera jak już go poskładaję w szpitalu. Trzeba będzie wnieć oskarżenie przeciwko tym dwóm pętałom za napad i za taksówkarza, ale obojętne, który z nich go kropnął, żaden nie puci pary z gęby. Muszę myśleć o przyszłości, a z taksjarem nie jest w końcu tak le. Zostaję tylko ci od rozpylacza Policjant ziewnął. Na pewno przyjechali na występy gocinne z Frisco. My tu nie przepadamy za rozpylaczami.

Dalmas zgarbił się na krzele.

Nie napiłby się pan czasem, kapitanie? zapytał ospale.

Cathcart zmierzył go wzrokiem.

Jeszcze jedno rzekł ponuro. Chciałbym, żeby to sobie dobrze wbił do głowy. Nie ma sprawy, że rozłożył tamtę spluwę, bo nie spaskudziłe odcisków palców. I pewnie dobrze zrobił, nic mi o tym nie mówisz, skoro już wpadłe w taki gips. Ale jeżeli nas wyrolujesz i zgarniesz nasze zasługi na własne konto, to niech mnie nagły szlag trafi, jeżeli puszcze ci to płazem.

Detektyw umiechnął się do niego w zamyleniu.

Ma pan więtsz rację, kapitanie przytaknął skromnie. Była robota i po robocie, to wszystko.

Cathcart energicznie potarł policzek, a jego posepnę minę rozwiął szeroki uśmiech. Nachylił się, wysunął szufladę i wyciągnął litrowę butelkę żytniówki. Postawił ją na stole i nacisnął dzwonek. Do pokoju wsunął się olbrzymi tors w mundurze.

Hej, Mikrus! zagrzmał Cathcart. Pożycz no mi ten korkociąg, co mi go buchnął z biurka.

Tors zniknął, a po chwili wrócił.

Za co pijemy? spytał kapitan po dłuższej chwili.

Po prostu, napijmy się odparł Dalmas.

## HISZPAŃSKA KREW

1.

Duży John Masters był wielki, spasiony, tłusty. Miał lniące od potu sine szczęki, grube paluchy z dołeczkami tam, gdzie powinny być kostki, i gładko zaczesane do tyłu kasztanowe włosy. Nosił garnitur o barwie czerwonego wina, z nakładanymi kieszeniami, krawat w tym samym odcieniu i brązową jedwabną koszulę. Z ust sterczało mu grube brązowe cygaro z ogromną czerwonozłotą nalepką.

Zmarszczył nos i powstrzymując uśmiech, znowu podejrział swoją zakrytą kartę.

Dorzuć mi jeszcze, Dave byle nie na furę powiedział.

Odkrył czwórkę i dwójkę. Siedzący po drugiej stronie stołu Dave Aage przyjrzał im się z namaszčeniem i zerknął na swoje karty. Był nadzwyczaj wysoki i chudy, miał długą, kocistą twarz i włosy w kolorze mokrego piasku. Trzymając talię w wyprostowanej dłoni, powoli odwrócił kartę na samym wierzchu i pstryknął ją na stół. Była to dama pik.

Duży John Masters rozdziawił usta, pomachał cygarem i zachichotał.

Bulisz, Dave. Choć raz damulka na co się przydała. Zamaszystym ruchem odwrócił zakrytą kartę. Pistkę.



Dave Aage umiechnął się uprzejmie, lecz ani drgnął. Obok niego, za długimi zasłonami z jedwabiu, okalającymi bardzo wysokie, zakończone ostrołukiem okno, rozległ się stłumiony dzwonek telefonu. Aage wyjął papierosa z ust i starannie umieścił go w popielniczce stojącej na taborecie przy stoliku karcianym. Sięgnął za kotarę po aparat.

Chłodno, zniżając głos niemal do szeptu, powiedział kilka słów, po czym przez dłuższy czas tylko słuchał. Jego zielonkawe oczy nie zmieniły wyrazu, wśka twarz nie zdradzała ladu emocji. Masters wiercił się na krzele, gryząc cygaro.

W porzřdku, odezwiemy się rzekł w końcu Aage.

Odłożył słuchawkę na widełki, odstawił telefon na miejsce i podniósł papierosa. Pociśgnął się za ucho.

Masters zakłśł.

Czym się tak gryziesz, jak pragnę zdrowia? Dawaj dychę.

Aage umiechnął się sucho i rozparł na krzele. Sięgnął po szklanę, pociśgnął łyk, odstawił ją na miejsce i zaciśgnął się papierosem, czyniąc to wszystko powoli, w zamyleniu, jakby z roztargnieniem.

Powiedz, John, mamy łeb na karku? odpowiedział pytaniem.

Mowa. Całe miasto jest nasze. Ale przy oku nie mam z tego żadnego pożytku.

Za dwa miesiřce sř wybory, prawda?

Masters spojrział na niego spode łba, pogrzebał w kieszeni i wetknął do ust nowe cygaro.

No to co?

Gdyby tak co się przytrafiło naszemu głównemu konkurentowi? Włanie teraz. Co ty na to?

Hę? Masters uniósł potężne brwi. Zdawało się, że cała twarz napina mu się, aby je podnieć. Przez chwilę dumał z kwanš minš. Wyszłoby to parszywie jakby faceta migiem nie złapali. Psiakrew, wyborcy mogliby pomyleć, że my wynajęli kogo do tej roboty.

Mówisz o morderstwie, John wtrścił cierpliwie Aage. Ja nic na ten temat nie wspomniałem.

Masters opucił brwi i szarpnął czarny, kędzierzawy włos, wyrastający mu z nosa.

Wydu wreszcie, o co chodzi!

Jego kompan z umiechem wypucił kółko dymu, patrząc, jak unosi się i rozdziela na cieńsze pasemka.

Włanie miałem telefon rzekł cicho. Donegan Marr nie żyje.

Masters ruszał się powoli. Teraz przysunął się cały do stołu i pochylił. A kiedy już nie mógł wychylić się dalej, wysunął brodę, aż mięśnie szczęk naprężyły mu się jak grube druty.

Że jak? warknął ochryple. Że co?

Aage, zimny jak lód, przytaknął ruchem głowy.

Ale co do morderstwa, miały rację, John. Zamordowano go. Jakie pół godziny temu, w jego biurze. Nie wiadomo, kto to zrobił na razie.

Masters ciężko wzruszył ramionami i wyprostował się, wodząc dokoła ogłupiałym wzrokiem. Nagle wybuchnął miechem. Jego dudniący rechot zagrział w małym, przypominającym wieżyczkę pokoju, gdzie grali w karty, skąd przepłynął do sąsiadującego z nim olbrzymiego salonu, odbijając się echem w labiryncie ciężkich, ciemnych mebli, stojących lamp, którymi można by oświetlić cały bulwar i dwóch rzędów płócien w bogatych pozłacanych ramach.

Aage siedział w milczeniu. Bez popiechu zgniótł papierosa w popielniczce, aż resztki żaru wygasły i została tylko duża czarna plama. Otrzepał z popiołu kociste palce i czekał.

Masters przestał się miać równie nagle, jak zaczął, i w pokoju zapanowała cisza. Był wyranie zmęczony. Otarł z potu szeroką twarz.

Musimy co zrobić, Dave powiedział spokojnie. Mało brakowało, a byłbym zapomniał. Musimy to załatwić czym prędzej. To dynamit.

Aage znów sięgnął za kotarę po telefon i podał go Mastersowi nad kartami.

Chyba wiemy, co zrobić? stwierdził chłodno.

W ciemnobrązowych oczach Dużego Johna Mastersa zamigotały przebiegłe błyski. Grubas oblizał się i wyciśnił olbrzymią łapę po aparat.

Taaa mruknął. Wiemy, Dave. Jeszcze jak wiemy, do!

Wybrał numer paluchem, który ledwie miecił się w otworach tarczy telefonu.

2.

Nawet po mierci rysy Donegana Marra były spokojne, regularne, łagodne. Marr miał na sobie jasnoszary garnitur z flaneli; odrzucone do tyłu włosy w tym samym kolorze co ubranie odsłaniały zwykle zakryte blade czoło, kontrastując z opalenizną na czerstwej, wiecznie młodej twarzy.

Spoczywał bezwładnie na wycielanym niebieskim krześle biurowym. Cygaro w popielniczce, ozdobionej na brzegu figurką charta z brzoju, dopaliło się samo. Lewa ręka zmarłego zwiślała obok krzesła, prawa za dotykała pistoletu na biurku. Promienie słońca, padające z tyłu przez zamknięte okno, odbijały się na wypolerowanych paznokciach.

Prześlisknięta krwiś lewa strona szarej kamizelki była niemal czarna. Marr nie żył; nie żył już od jakiego czasu.

Wysoki, szczupły mężczyzna o ciemnej cerze w milczeniu opierał się o mahoniowś szafkę, nie odrywając wzroku od zmarłego. Ręce trzymał niedbale w kieszeniach eleganckiego garnituru z granatowej serży. Słomkowy kapelusz miał zsunięty na tył głowy. Tylko jego oczy i proste, zacinięte usta zdradzały, że to, co się stało, nie jest mu obojętne.

Zwalisty mężczyzna o piaskowych włosach macał rękami po niebieskim dywanie. Wciśz pochylony, stwierdził ochryple:

Ani jednej łuski, Sam.

Ciemnowłosy nie poruszył się, nie odpowiedział. Blondyn wstał, ziewnął i przyjrzał się zwłokom na krzele.

Cholera! Ale będzie smród. Wybory już za dwa miesiśce. Szkoda gadać, komu dostanie się za to po dupie.

Chodziliśmy razem do szkoły odezwał się ciemnowłosy powoli. Byliśmy kumplami. Kochaliśmy się w tej samej dziewczynie. Wybrała jego, ale mimo to zostaliśmy przyjaciółmi, wszyscy troje. wietny był z niego chłopak może tylko ciut za sprytny.

Blondyn obszedł pokój, nie dotykając niczego. Nachylił się, powśchał broń na biurku i potrzśnął głowś.

Z tego nie strzelano. Zmarszczył nos i wciśgnś powietrze. Klimatyzacja. Tu całe trzy górne piętra sś klimatyzowane. I dwiękoszczelne. To się nazywa klasa. Mówili mi, że ten dom jest spawany elektrycznie. Nie ma tu ani jednego nitu. Słyszałe o czym takim, Sam?

Zapytany pokręcił głowś powoli.

Ciekawe, gdzie był personel? ciśgnś blondyn. Taka gruba ryba, jak ten tutaj, na pewno zatrudniał więcej niż jednś dziewczynę.

Jego kolega znowu zaprzeczył ruchem głowy.

Chyba tylko tę. Wyszła wtedy na obiad. On miał naturę samotnika, Pete. To był szczwany lis. Jeszcze parę lat i miasto byłoby jego.

Tymczasem blondyn stanś za biurkiem i pochylając się nad ramieniem trupa, oglśdał oprawny w skórę terminarz z kremowymi kartkami.

Jaki Imlay był umówiony na dwunastś piętnacie oznajmił. Innych spotkań nie zapisał.

Zerknął na tani zegarek.

Wpół do drugiej. Facet już dawno zniknął. Kto to może być, ten Imlay! Hej, czekaj no! Tak się nazywa zastępca prokuratora. Kandyduje na sędziego przy poparciu kliki MastersAage. Mylisz, że

Rozległo się natarczywe pukanie. Gabinet był tak długi, że obaj policjanci przez chwilę zastanawiali się, do których z trojga drzwi kto stuka. Wreszcie blondyn ruszył do najdalszych.

Może przyjechali od koronera rzucił przez ramię. Piniż co o tym jakimu z gazety, a wylśdujesz na bruku. Mam rację?

Drugi policjant nie odpowiedział. Stanął przy biurku, nachylił się lekko i szepnął do zmarłego:

Żegnaj, Donny. Nic się nie martw, ja się tym zajmę. I zaopiekuję się Belle.

Otworzyły się drzwi na końcu gabinetu. Jaki mężczyzna dziarskim krokiem przeszedł po niebieskim dywanie i rzucił na biurko torbę. Blondyn zamknął ciekawskim drzwi przed nosem i bez popiechu wrócił do biurka.

Energiczny człowieczek przekręciwszy na bok głowę badał zwłoki.

Dwie kule mruknął. Chyba z trzydziestki dwójki z twardš koszulkš. Przeszły tuż koło serca, ale go nie przebiły. Umarł prawie natychmiast. Żył jeszcze z minutę, góra dwie.

Ciemnowłosy chrzśknął z niesmakiem i podszedł do okna. Zwrócony tyłem do pokoju, wyglśdał na dachy wysokich budynków i ciepły błękit nieba. Blondyn przyglśdał się, jak lekarz unosi powiekę zmarłego.

Może by tak wreszcie przyszli zdjśc odciski powiedział. Chciałbym skorzystać z telefonu. Ten Imlay

Ciemnowłosy odwrócił nieco głowę.

To korzystaj rzekł z bladym umiechem. W tej sprawie nie będzie żadnych zagadek.

Czy ja wiem? wtrścił się lekarz, zginajšc nadgarstek i przykładajšc grzbiet dłoni do twarzy zmarłego. Może to wcale nie jest taka polityczna afera, jak ci się zdaje, Delaguerra. Przystojny ten truposz.

Blondyn ostrożnie zdjśł słuchawkę z widełek, trzymajšc jš przez chusteczkę. Odłóżył jš, wybrał numer, znów podniósł przez materiał i przysunął do ucha.

Po chwili opuścił brodę i powiedział:

Pete Marcus. Obudcie inspektora. Ziewnął, a po chwili odezwał się całkiem innym tonem: Marcus i Delaguerra meldujš się z biura Donegana Marra, inspektorze. Ekipa techniczna jeszcze nie dotarła. Że co? Wstrzymać się do przyjazdu komisarza? Rozumiem Tak, jest tutaj.

Ciemnowłosy odwrócił się od okna. Blondyn przywołał go ruchem ręki.

Trzymaj, Hiszpan.

Sam Delaguerra wził słuchawkę, nie zawracając sobie głowy chusteczką, i przez chwilę słuchał w milczeniu. Jego twarz stężała.

Jasne, że go znałem ale nie spałem z nim stwierdził spokojnie. Jest tu tylko jego sekretarka. To ona podniosła alarm. W terminarzu zapisano tylko jedno nazwisko Imlay, spotkanie o dwunastej piętnacie. Nie, nic jeszcze nie ruszaliśmy Nie Dobrze, zaraz jadę.

Rozłszył się tak powoli, że stuk odkładanej słuchawki był ledwie słyszalny. Przez chwilę trzymał rękę na telefonie, po czym opuścił ją nagle.

Odwołali mnie, Pete owiadczył stłumionym głosem. Masz czekać ze wszystkim na przyjazd komisarza Drewa. Nikogo nie wpuszczać. Białych, czarnych, Irokezów nikogo.

Po co cię wzywają? parsknął gniewnie Marcus.

Nie wiem. To rozkaz odparł Delaguerra bezbarwnym tonem.

Lekarz oderwał się od wypełniania formularza i z ukosa zerknął ciekawie na niadego policjanta.

Delaguerra wyszedł do mniejszego gabinetu z wydzieloną poczekalnią. Stało tam kilka skórzanych foteli i stół, zarzucony pismami ilustrowanymi. Po drugiej stronie przegrody znajdowało się biurko maszynistki, kasa pancerna i kilka szafek. Przy biurku siedziała drobna, ciemnowłosa dziewczyna z twarzą ukrytą w zmiętoszonej chusteczce. Na głowie miała przekrzywiony kapelusik. Jej ramiona drżały; ochryple szloch brzmiał tak, jakby dostała zadyszki.

Delaguerra poklepał ją po ramieniu. Spojrzała na niego poprzez łzy, z wykrzywionymi ustami. Odpowiedział umiechem na jej pytające spojrzenie i rzekł łagodnie:

Dzwoniła już do pani Marr?

Bez słowa skinęła głową, wstrząsana spazmatycznym płaczem. Jeszcze raz poklepał ją po ramieniu, zawahał się i wyszedł, z zaciniętymi ustami i mrocznym błyskiem w ciemnych oczach.

3.

Wielki, typowo angielski dom przy wąskiej betonowej wstążce zwanej De Neve Lane był odsunięty od ulicy. Kamienie wytyczające kręte ciężką przez trawnik niemal ginęły w wysokiej trawie. Frontowe drzwi osłaniał daszek. Po cianach piął się bluszcz, a rosnące tużtuż drzewa sprawiały, że dom wydawał się ciemny, odosobniony.

Wszystkie posesje przy De Neve Lane cechował ten sam artystyczny nieład. Ale wysoki zielony żywopłot, skrywający garaże i podjazd, był przystrzyżony niczym francuski pudel, a w klombach żółtych i płomienistych mieczyków, rosnących po drugiej stronie trawnika, trudno byłoby się doszukać czego mrocznego czy tajemniczego.

Delaguerra wysiadł z brązowego kabrioletu. Był to stary model Cadillaka, ciężki i brudny. Naciśnięty brezent osłaniał tył wozu. Policjant był w białej płócienną czapce i ciemnych okularach. Granatowy garnitur z serży zamienił na szare sportowe ubranie i zapinał na zamek błyskawiczny kurtkę.

Nie wyglądał na gliniarza. Ani teraz, ani w biurze Donegana Marra. Powoli ruszył wytyczony przez kamienie ciężko, dotknął mosiężnej kołatki u drzwi, lecz nie zastukał; tylko nacisnął dzwonek, niemal ukryty w bluszczu obok futryny.

Czekał długo. Było ciepło, spokojnie. Nad rozgrzaną, jasnozieloną trawą bzyczały pszczoły. W oddali mruczał silnik kosiarki do strzyżenia trawników.

Drzwi uchyliły się powoli i wyjrzała czarna twarz pociągła, smutna czarna twarz, na której strumienie łez rozmywały lawendowy puder. Twarz wykrzeszała z siebie nikły uśmiech i rzekła z wahaniem:

O, witam, panie Sam! Jak to dobrze, że pan jest.

Delaguerra zdjął czapkę i zsunął okulary przeciwsłoneczne.

Cześć, Minnie przywitał się. Tak mi przykro. Przyjechałem, żeby się zobaczyć z panią Marr.

No pewno. Pan wejdzie, panie Sam.

Pokojówka usunęła się na bok, wpuszczając go do ciemnego hallu z podłogą wyłożoną kafelkami.

Byli jacy dziennikarze?

Dziewczyna pokręciła głową powoli. W jej ciepłych brązowych oczach malowało się zaskoczenie, wręcz szok.

Nie było nikogo. Ona też przyszła niedawno. Ani się nie odezwała. Stoi tam tylko w tym słonecznym pokoju, co to w nim nie ma słońca.

Delaguerra pokiwał głową.

Z nikim nie rozmawiaj, Minnie. Przez jakiś czas chcę to utrzymać w tajemnicy, z dala od prasy.

No pewno, panie Sam. Ja tam nic nie wiem.

Delaguerra uśmiechnął się do niej i poruszając się bezszelestnie w butach na gumowej podeszwie, przeszedł na tyły domu, skręcił pod kątem prostym w następny korytarz i zapukał do drzwi. Bez odpowiedzi. Nacisnął klamkę i wszedł do długiego, wąskiego pokoju. Pomimo licznych okien panował tam półmrok, gdyż otaczające dom drzewa rosły tak blisko, że ich liście dotykały szyb. Kilka okien zasłaniały długie kretonowe zasłony.

Wysoka dziewczyna nie spojrzała na wchodzącego. Sztywno wyprostowana, stała nieruchomo na

rodka pokoju, z wzrokiem utkwionym w oknach i z zaciniętymi pięciami.

Miała ciemnorude włosy, które zdawały się skupiać wiatło z całego pomieszczenia i tworzyły miękką aureolę wokół jej pięknej, choć chłodnej twarzy. Ubrana była w niebieski sztruksowy kostium o sportowym kroju, z nakładanymi kieszeniami. Z kieszonki na piersi wystawała biała chusteczka z niebieską obwódką, złożona ze starannocią godną firyka.

Delaguerra czekał, a jego oczy przyzwyczajały się do półmroku. Po chwili dziewczyna przerwała ciszę niskim, głębokim głosem:

A więc załatwili go, Sam. W końcu go załatwili. Czy był aż tak znieawidzony?

Ludzie, z którymi miał do czynienia, nie przebiegaj w rodkach, Belle odparł cicho policjant. Przypuszczam, że na ile to możliwe zachował czyste ręce, ale przy okazji musiał narobić sobie wrogów.

Powoli odwróciła głowę i spojrzała na niego. wiatło zmieniło jej włosy, zabłysło w nich złoto. Miała zaskakująco niebieskie oczy.

Kto go zabił, Sam? spytała załamującym się głosem. Czy już coś wiesz?

Delaguerra przytaknął i usiadł na wiklinowym krześle. Czapkę i okulary trzymał między kolanami.

Tak. Chyba wiemy, kto to zrobił. Niejaki Imlay, zastępca prokuratora okręgowego.

Boże jedyny! szepnęła z westchnieniem. Do czego to dochodzi w tym skorumpowanym mieście!

To było tak ciśnieł Delaguerra beznamiętnie. Chyba że nie chcesz jeszcze o tym słuchać

Chcę. Gdziekolwiek spojrzę, zewsząd patrzę na mnie jego oczy. Błagam, żebyś coś zrobiła. On był dla mnie naprawdę dobry, Sam. Układało nam się raz lepiej, raz gorzej, to prawda, ale to o niczym nie wiadomo.

Ten Imlay kandyduje na sędziego przy poparciu klikę Mastersa i Aagea. Jest po czterdziestce i zdaje się, że jak to bywa w tym wieku miał skok w bok z niejaką Stellą La Motte, tancerką z klubu nocnego. Jakim cudem sfotografowano ich razem, gołych i pijanych. Donny zdobył te zdjęcia, Belle. Znalaziono je w jego biurku. W terminarzu miał zapisane spotkanie z Imlayem o dwunastej piętnacie. Sędzimy, że skoczyli sobie do oczu, ale Imlay był szybszy.

To ty znalazła te zdjęcia, Sam? zapytała dziewczyna spokojnie.

Nie. Ja bym je pewnie wyrzucił. Znalazł je komisarz Drew po tym, jak odebrano mi tę sprawę.

Poderwała głowę i spojrzała na niego szeroko otwartymi oczyma.

Odebrano ci tę sprawę? Tobie przyjacielowi Donnyego?

Tak. Nie bierz sobie tego tak do serca, Belle. Jestem policjantem, muszę stosować się do rozkazów.

Odwróciła się od niego bez słowa.

Chciałbym, żeby mi dała klucze do waszego domku nad Jeziorem Pumpy rzekł po chwili. Kazali mi się tam rozejrzeć, poszukać jakich dowodów. Donny odbywał tam różne zebrania.

Mina dziewczyny zmieniła się gwałtownie. Stała się niemal pogardliwa.

Zaraz ci je przyniosę odparła głucho. Ale nic tam nie znajdziesz. Jeżeli pomagasz im wygrzebać co na Donnyego, żeby mogli wybielić tego całego Imlaya

Umiechnął się i pokręcił głową, patrząc na nią smutnym, zadumany wzrokiem.

Pleciesz bzdury, moja droga. Prędzej bym rzucił robotę, niż zgodził się na co takiego.

Powiedzmy. Minęła go i wyszła z pokoju. Siedział nieruchomo, spoglądając na cianę pustym wzrokiem.

Jego mina zdradzała, że jest dotknięty. Zakłął pod nosem.

Dziewczyna wróciła, podeszła do niego i wyciągnęła rękę. Co z brzękiem spadło mu na dłoń.

Klucze, gliniarzu.

Wstał i z kamienną twarzą schował klucze do kieszeni. Belle Marr podeszła do stołu. Jej paznokcie zazgrzytały o emaliowaną szkatułę, gdy wyjmowała papierosa.

Jak mówiłam, wątpię, żeby co tam znalazł stwierdziła, zwrócona do niego plecami. To prawdziwy pech, że oprócz szantażu nie macie przeciwko niemu nic więcej.

Delaguerra odetchnął powoli, przez chwilę stał bez ruchu, aż wreszcie odwrócił się.

W porządku rzucił bez troski, jak gdyby był piękny dzień, jak gdyby nikt nie zginął.

Przy drzwiach odwrócił się raz jeszcze.

Zajrzę do ciebie po powrocie, Belle. Może będziesz w lepszym nastroju.

Nie odpowiedziała, nie poruszyła się. Nie zapalonego papierosa trzymała sztywno na wysokości twarzy, tuż przy ustach.

Powinna wiedzieć, jaki mam do tego stosunek podjął Delaguerra. Donny i ja bylimy kiedyś jak bracia. Słyszałem, słyszałem, że między wami się nie układało. Ale cieszę się jak cholera, że to nieprawda. Nie bądź taka zawzięta, Belle. Nie masz powodu przynajmniej jeśli chodzi o mnie.

Przez chwilę obserwował jej plecy, a nie doczekawszy się odpowiedzi, wyszedł.



4.

Odchodząca od autostrady wyboista droga biegła z boku wzgórza nad brzegiem jeziora. Tu i ówdzie spoza sosen przewitywały dachy domków. Delaguerra zaparkował Cadillaka w otwartej szopie na stoku i zszedł wśkś ciężkś nad wodę.

Była ciemnoniebieska, lecz płytka. Pływało po niej kilka łódek, a w oddali, za zakrętem jeziora, posapywał silnik motorówki. Depczśc sosnowe szpilki, policjant zapucił się w gśszcz, skręcił przy pniaku i przez drewniany mostek doszedł do domku Marra.

Zbudowany z półokrągłych bali, miał szerokś, wychodzącś na jezioro werandę. Wydawał się samotny i pusty. Tuż przed nim zakręcał płynący pod mostkiem strumyk, a weranda kończyła się z jednej strony urwiskiem, za którym leżały obmywane przez strumyk płaskie otoczaki. Podczas wiosennych przyborów kamienie całe niknęły pod wodś.

Delaguerra wszedł po drewnianych schodkach, wyciśgnś klucze z kieszeni i otworzył masywne frontowe drzwi. Przez chwilę stał na werandzie, palśc papierosa. Po wielkomijskim skwarze panował tutaj przyjemny chłód, cisza i spokój. Na pniaku przysiadła górska sójka i zaczęła czyścić dziobem skrzydła. Daleko, po drugiej stronie jeziora, kto brzdśkał na gitarze hawajskiej. Policjant wszedł do domku.

Obrzucił wzrokiem zakurzone jelenie rogi, pisma ilustrowane na wielkim, topornym stole, staromodne radio na baterie, gramofon w kształcie pudełka i rozrzucone obok niego płyty. Na stole przed olbrzymim kamiennym kominkiem stały brudne szklanki i pół butelki szkockiej whisky. Jaki samochód przejechał drogś biegnącś ponad domem i zatrzymał się w pobliżu. Delaguerra skrzywił się.

Podpucha mrukńś zrezygnowany.

Wszystko to nie miało sensu. Kto taki jak Donegan Marr nie zostawiłby nic ważnego w domku letniskowym.

Zajrzał do dwóch sypialni. W pierwszej zwykłym kście do spania znalazł tylko dwie prycze. Druga była lepiej wyposażona. Na zasłanym łóżku leżała fikuna damska piżama. Zdecydowanie nie wyglśdała na własność Belle Marr.

Dalej znajdowała się ciasna kuchnia z piecem drzewnym i kuchenkś na benzynę. Policjant otworzył tylne drzwi i wyszedł na niewielki, sklecony na poziomie ziemi taras, obok stosu drewna na opał i dwustronnej, wbitej w pniak siekiery.

Wtedy to ujrział muchy.

Z boku domu drewniana rampa prowadziła do komórki na opał w suterenie. W miejscu, gdzie padało na rampę przebijające przez drzewa wiatło, zakrzepły rój much rozkładał się na czym lepkiem i brżzowym. Owady nie odlatywały. Delaguerra nachylił się, dotknś lepkiej plamy i powśchał palce.

Jego twarz stężała.

Nieco dalej, w cieniu, przy drzwiach komórki spostrzegł takś samś, tylko mniejsz plamę. Szybko wyciśgnł klucze, wybrał właciwy i gwałtownym szarpnięciem otworzył drzwi.

W komórce znajdowało się drewno na opał. Nie szczapy, lecz kłody. Nie ułożone, lecz walające się gdzie popadnie. Policjant zaczął przenosić je na bok.

Przerzucił niemało ciężkich kłód, zanim udało mu się chwycić za dwie sztywne nogi w fildekosowych skarpetkach i wyciśgnąć ciało na dwór.

Były to zwłoki szczupłego, redniego wzrostu mężczyzny w dobrze skrojonym garniturze z samodziału i małych, zgrabnych butach. Na wypastowanej skórze osiadł kurz. Człowiek ten na dobrś sprawę nie miał twarzy była zmasakrowana na krwawś miazgę. Potężny cios rozplatał mu czaszkę; siwiejśce kasztanowe włosy zlepił mózg zmieszany z krwiś.

Delaguerra wstał szybko i wrócił do domu. W salonie odkorkował butelkę szkockiej, pociśgnł łyk, odczekał chwilę i znów napił się wprost z butelki.

Fiu! rzucił na głos i wzdrygnł się, gdy whisky smagnęła mu nerwy.

Wrócił do komórki. Gdy się pochylał nad trupem, w pobliżu rozległ się warkot zapuszczanego silnika samochodu. Policjant znieruchomiał. Warkot przybrał na sile, po czym zamarł w oddali i znów zapadła cisza. Delaguerra wzruszył ramionami i przeszukał kieszenie zmarłego. Były puste. Jednś z nich odcięto prawdopodobnie nosiła stempel pralni. Także z wewnętrznej kieszeni marynarki usunięto metkę krawca, zostały po niej tylko postrzępione szwy.

Mężczyzna był sztywny. Nie żył od jakich dwudziestu czterech godzin, nie więcej. Gruba warstwa krwi na jego twarzy zakrzepła, ale nie wyschła całkowicie.

Delaguerra kucnł przy zwłokach i spoglśdał na lniścś taflę jeziora i błyskajśce w oddali wiosło. Potem wszedł do komórki. Poszukiwania zakrwawionej kłody nie dały rezultatu. Wrócił do domu, stanł na werandzie i przyjrzał się urwisku oraz płaskim otoczakom w ródle.

Taaak wyszeptał.

Na dwóch kamieniach dostrzegł muchy, masę much. Nie zauważył ich przedtem. Urwisko miało dobre dziesięć metrów wysokości aż nadto, by spadajścy zeń człowiek roztrzaskał sobie głowę.

Przez kilka minut siedział w fotelu bujanym, nieobecny duchem, w zamyleniu palśc papierosa. W kścikach ust błśkał mu się napięty, twardy, a zarazem sardoniczny umieszek.

Po pewnym czasie wrócił cicho na drugś stronę domu, zaciśgnł zwłoki do komórki i przykrył je kilkoma kłodami. Zamknł komórkę na kłódkę, zamknł dom i wśkś, stromś cieźkś dotarł do swojego samochodu.

Kiedy odjeżdżał, słońce wciśż jeszcze wieciło, choć minęła już szósta.

5.

W przydrożnej kawiarni rolę baru spełniała stara lada sklepowa. Stały przed nią trzy niskie stołki. Delaguerra zajął ten od strony drzwi i spojrzał wymownie na pianę osiadłą we wnętrzu pustego kufła. Barmanem był niady chłopak w kombinezonie, o spłoszonym wzroku i przylizanych włosach. Jękała.

Zmienić ppanu kufel? wydukał.

Delaguerra potrząsnął głową. Wstał.

Chrzczone to piwko, synu powiedział ze smutkiem. Bez smaku jak blondyna z motelu.

To Portola. Ppodobno najlepsze.

Ehe. Najgorsze. Albo je sprzedajesz, albo tracisz koncesję. Trzymaj się, synu.

Podszedł do niskich drzwi wahadłowych i wyrzwał na zewnątrz. Na szosie kładły się coraz dłuższe cienie. Za pasem betonu znajdował się wyżwirowany plac, ogrodzony białą siatką. Stał tam stary Cadillac Delaguerry i zakurzony, zdezelowany Ford. Wysoki chudzielec w ubraniu koloru khaki stał obok Cadillaka, przyglądając mu się.

Policjant wyciągnął pękniętą fajkę i nabił ją do połowy tytoniem z zamykanego na suwak kapciucha. Zapalił ją bez popiechu, starannie, i pstryknął zapalniczkę w kąt sali. Nagle zeszywniał.

Wysoki chudzielec odwrócił się od zakrywającego tył Cadillaka. Odchylił go i zajrzał pod spód.

Delaguerra cicho otworzył drzwi i długim, swobodnym krokiem przeszedł przez betonową szosę. Jego buty na gumowej podeszwie zaszurały na żwirze parkingu, ale chudzielec się nie odwrócił. Policjant stanął obok niego.

Dobrze mi się zdawało, że za mną jechał odezwał się posępnie. O co chodzi?

Nieznajomy odwrócił się bez popiechu. Miał długą, zgorzkniałą twarz i oczy o barwie wodorostów. Prawą rękę trzymał na lewym biodrze. Spod rozpiętego płaszcza wystawała kolba rewolweru, skierowana do przodu, na modłę kawaleryjską.

Z bladym, fałszywym umieszkiem zmierzył Delaguerrę wzrokiem od stóp do głów.

To wasza bryczka?

A jak ci się zdaje?

Chudzielec rozchylił płaszcz jeszcze szerzej, pokazując odznakę na piersi.

Mnie to się zdaje, że jestem leniczym okręgu Toluca, uważasz pan? I zdaje mi się, że sezon na

jelenie tak jakby się skończył. A o sezonie na łanie tom jeszcze nie słyszał.

Delaguerra powoli spuścił wzrok, nachylił się i zajrzał pod brezent. Na jakich rupieciach leżała tam młoda łania, a obok niej strzelba. mierć nie zamglila łagodnych oczu zwierzęcia; spoglądały na niego jakby z niemym wyrzutem. Smukłš szyćę łani pokrywała zakrzepła krew.

Policjant wyprostował się.

Sprytnie pomyłane rzucił cicho.

Masz pan zezwolenie na odstrzał?

Nie jestem myliwym.

Co z tego? Widzę, że masz pan strzelbę.

Jestem z policji.

Gliniarz, co? A nie masz pan przypadkiem odznaki?

Przypadkiem mam.

Delaguerra wyciśgnšł z kieszeni na piersiach odznakę policyjnš, przetarł jš rękawem i podsunšł leniczemu pod nos. Ten wlepił w niš wzrok i oblizał się.

Porucznik ze ledczego, co? Z komendy miasta. Na jego twarzy pojawiła się obojętność, znużenie. Dobra jest, poruczniku. Przejedziemy się teraz z kilometrów w dół waszš gablotš. Potem złapię okazję i wrócę po swojš.

Delaguerra schował odznakę, starannie wytržšnšł fajkę i przydeptał żar. Poprawił brezent.

Jestem zatrzymany?

Włanie, poruczniku.

No to w drogę.

Wskoczył za kierownicę Cadillaka. Leniczy okršzył samochód i usiadł obok niego. Policjant zapucił silnik, cofnił wóz i ruszył w dół gładkš betonowš szosš. W oddali majaczyła przesłonięta gęstš mgłš dolina, nad którš górowały wysokie szczyty, odcinajšce się wyranie na tle nieba. Delaguerra prowadził swobodnie, bez popiechu. Samochód sunšł w dół na jałowym biegu. Dwaj mężczyźni bez słowa patrzyli przed siebie.

Po dłuższej chwili policjant przerwał ciszę:

Nie wiedziałem, że nad Jeziorem Pумы sš jelenie. A dalej nie dotarłem.

Tam jest rezerwat, poruczniku odparł spokojnie leniczy, wyglądjąc przez zakurzoną szybę. Wchodzi w skład lasów okręgu Toluca a może pan o tym nie wiedział?

Nie wiedziałem. Nigdy w życiu nie upolowałem jelenia. Nawet po ładnych paru latach w policji nie jestem aż taki twardy.

Leniczy tylko się umiechnął. Minęli przełęcz. Po prawej ręce mieli teraz opadający stok, po lewej za małe kaniony wrzynały się w zbocza gór. Niektórymi wśwozami biegły zaronięte zielskiem i poorane koleinami drogi.

Nagle Delaguerra gwałtownie skręcił w lewo, na pas czerwonej ziemi i wysuszonej trawy. Wcisnął hamulec. Samochód zarzucił, zakołysał się i zarył w miejscu.

Leniczy odbił się od prawych drzwiczek wozu i grzmotnął w przednią szybę. Sypiąc przekleństwami, wyprostował się i sięgnął po broń.

Delaguerra chwycił go za chudy, twardy nadgarstek i wykręcił. Leniczy zbladł pod opalenizną. Lewą ręką pogmerał przy kaburze, lecz szybko zrezygnował. Pogarszasz tylko swoją sytuację, tajniaku wystękał. Kto dzwonił do mnie do Salt Springs. Dostałem cynk, że w twoim wozie jest łania. Dowiedziałem się, jak wygląda twoja gabłota i gdzie stoi. Ja

Delaguerra puciał jego rękę, wycisnął mu colta z kabury i wyrzucił go z wozu.

Wysiadka. Chciałem wracać okazję, to jazda. Co jest, pensyjka nie starczy już na życie? Sam że mi podrzucił tę łanię, krętaczu, tam nad jeziorem!

Leniczy wysiadł powoli. Z rozdziawionymi ustami stanął przy samochodzie, gapiąc się tępym wzrokiem.

Twardziel, co? mruknął. Jeszcze pożałujesz, tajniaku. Złożę skargę.

Policjant przesunął się na sąsiedni fotel i wysiadł z prawej strony wozu. Stanął obok leniczego.

Może się mylę stwierdził powoli. Może kto do ciebie dzwonił. A może nie.

Wytaszczył martwą łanię z samochodu i nie spuszczał chudzielca z oka, ułożył ją na ziemi. Leniczy nawet nie drgnął, nawet nie próbował zbliżyć się do swej broni, leżącej w trawie cztery metry dalej. Jego oczy o barwie wodorostów były matowe, zimne.

Delaguerra wrócił do samochodu, zwolnił hamulec i zapuciał silnik. Gdy wycofywał się na szosę, chudzielec nadal stał jak wryty.

Dopiero gdy Cadillac wyrwał do przodu i zniknął mu z oczu, leniczy podniósł rewolwer, wsadził go do kabury i zaciśnął łanię w krzaki. Potem wyszedł na szosę i pieszo ruszył pod górę.

Ten człowiek dzwonił do pana trzy razy, poruczniku, ale nie chciał zostawić numeru poinformowała recepcjonistka w hotelu Kenworthy. Dwa razy dzwoniła jaka pani. Nie podała ani numeru, ani nazwiska.

Delaguerra wziął od niej trzy kartki z napisem Joey Chill i trzema różnymi godzinami. Zabrał dwa listy, uchylił kapelusza i wsiadł do windy samoobsługowej. Na czwartym piętrze przeszedł cichym, wąskim korytarzem i otworzył drzwi. Nie zapalając wiatel podszedł do wielkich drzwi balkonowych, otworzył je na ocież i popatrzył na ciemne niebo, wiatła neonów i ostre błyski reflektorów na bulwarze Ortega, dwie przecznice dalej.

Stojąc tam, wypalił pół papierosa. W panującym mroku jego twarz wydawała się bardzo smutna, bardzo zmartwiona. W końcu przeszedł do małej sypialni, zapalił stojąc lampkę i rozbierał się do rosołu. Wziął prysznic, wytarł się, zmienił bieliznę i w małej kuchni przygotował sobie szklaneczkę. Popijając i paląc następnego papierosa, skończył się ubierać. Włanie dopinał kaburę, kiedy w salonie zaterkotał telefon.

Dzwoniła Belle Marr. Głos miała niewyrany, zachrypnięty, jak gdyby od wielu godzin płakała.

Jak to dobrze, Sam, że cię wreszcie złapałam. Ja ja nie mówiłam wtedy poważnie. Byłam wstrząśnięta, roztrzęsiona, kompletnie rozbita. Chyba wiedziała?

Jasne, dziecino. Nie myl o tym więcej. Zresztą miała rację. Włanie wróciłem z jeziora. Wygląda na to, że wysłali mnie tam tylko po to, żeby się mnie pozbyć.

Tylko ty mi teraz zostałeś, Sam. Nie pozwolisz, żeby ci zrobili coś złego, prawda?

Kto?

Dobrze wiesz kto. Nie jestem taka głupia, Sam. Ja wiem, że to był spisek, nikczemny polityczny spisek, żeby się go pozbyć.

Delaguerra mocniej chwycił słuchawkę. Przez chwilę nie mógł wydobyć głosu.

Możliwe jednak, że pozory nie myśl, Belle rzekł w końcu. Mogli się pokłócić z powodu tych zdjęć. Było nie było, Donny miał prawo powiedzieć takiemu facetowi, żeby wycofał swoją kandydaturę. To nie szantaż Pamiętaj, że on też trzymał broń.

Postaraj się wpaść do mnie jak najszybciej, Sam. W jej przeciśniętych słowach odżyło wygasłe uczucie, zadawniona tęsknota.

Wahał się, bębniąc palcami po stole. Wreszcie odparł:

Jasne Kiedy ostatnio kto był w waszym domku nad jeziorem? Nie mam pojęcia. Nie zaglądałam tam od roku. On on jeździł tam bez mnie. Może się z kim spotykał? Nie wiem.

Zmienił temat i wkrótce pożegnał się. Siedział zapatrzony w cianę nad biurkiem. Jego oczy rozblęskły jakim twardym blaskiem. Twarz miał skupioną, nie żywił już najmniejszych wątpliwości.

Wrócił do sypialni po płaszcz i kapelusz. Przed wyjściem wziął trzy kartki z nazwiskiem Joeya Chilla, podarł je na strzępy i spalił w popielniczce.

7.

Pete Marcus potężny, jasnowłosy tajniak siedział bokiem przy małym, zagraconym biurku w prawie pustym gabinecie. Pod przeciwległą cianą stało blińacze biurko, to jednak było porządne i schludne leżała na nim zielona suszka, przybory do pisania z onyksu, mosiężny kalendarz i zastępująca popielniczkę muszla limaka.

Okręga słomiana poduszka, oparta pionowo na krzele pod oknem, przypominała tarczę strzelniczą. Pete Marcus, niczym meksykański nożownik, celował w nią piórami, których całą garść trzymał w lewej ręce. Rzucił z roztagonieniem, bez specjalnej wprawy.

Do pokoju wszedł Delaguerra. Zamknął drzwi, oparł się o nie i z kamienną twarzą spojrzął na siedzącego policjanta. Ten okręcił się na skrzypiścym krzele i z powrotem oparł o biurko. Paznokciem kciuka podrapał się w brodę.

Serwus, Hiszpan! Udany wypad? Stary żyć bez ciebie nie może.

Delaguerra jęknął i wetknął papierosa w gładkie, brązowe usta.

Były przy tym, jak znaleli te zdjęcia, Pete?

Być byłem, ale to stary komis je wygrzebał, nie ja. A bo co?

Widziałe, jak to się odbyło?

Marcus spojrzął mu prosto w oczy i odparł asekuracyjnie:

On je naprawdę znalazł, Sam. Nie podrzucił ich jeśli o to ci chodzi.

Delaguerra skinął głową i wzruszył ramionami.

Jest coś nowego w sprawie broni?

Tak. Kaliber dwadzieścia pięć, a nie trzydzieści dwa. Cholerny kieszonkowy gnat! Koszulki ze stopu miedzi i niklu. Samopowtarzalny, łusek nie znalelimy.

O tym Imlay pamiętał, a o zdjęciach, z powodu których zabił, jako zapomniał stwierdził Hiszpan spokojnie.

Blondyn opucił nogi na podłogę i pochylił się, spoglądając na niego z ukosa.

Możliwe. Przypisali mu motyw, ale skoro Marr też trzymał spluwę, to teoria o zabójstwie z premedytacją jakby upada, nie?

Dobrze główkujesz, Pete. Delaguerra stanął przy oknie, wyglądając na ulicę.

Po chwili Marcus rzucił posępnie:

Pewnie uważasz, że ja nic nie robię, co?

Delaguerra odwrócił się powoli i podszedł do kolegi.

Bez urazy, stary. Jeste moim współnikiem, a że uchodzę za wtyczkę Marra na komendzie, więc i tobie się trochę dostało. Ale ty przynajmniej siedzisz na tyłku, a mnie wysłali nad Jezioro Pумы tylko po to, żeby mi podrzucić do samochodu zastrzeloną łanię i zwalić na głowę leniczego.

Marcus wstał, zaciskając pięci i szeroko otwierając wzburzone szare oczy. Jego nozdrza zbiełały.

Sam, tutaj nikt by się nie posunął tak daleko.

Też tak myślę przytaknął Delaguerra. Raczej dali się namówić, żeby mnie tam wysłać, a kto z zewnątrz załatwił resztę.

Pete Marcus usiadł i z wciekłości cisnął piórem w poduszkę. Stalówka utkwiła w słomie, zadrgała i złamała się, a pióro z grzechotem spadło na podłogę.

Słuchaj powiedział ochryple, nie podnosząc wzroku dla mnie to tylko robota. Nic więcej. ródło utrzymania. Ja nie idealizuję pracy w policji tak jak ty. Jedno twoje słówko, a wezmę tę cholerną odznakę i rzucę staremu w pysk.

Delaguerra nachylił się i dał mu sójkę w bok.

Wybij to sobie z głowy, gliniarzu. Mam pomysł. Zbieraj się do domu i zalej pałę.

Szybko wyszedł z pokoju. Nieco dalej wykładany marmurem korytarz rozszerzał się, tworząc niszę z trojgiem drzwi. Na rodkowych widniał napis: Szef Wydziału ledczego. Wstęp wolny. Delaguerra otworzył je i znalazł się w małej poczekalni. Siedzący za barierką policyjny stenotypista spojrzał na niego i ruchem głowy wskazał mu drzwi wewnętrzne. Delaguerra otworzył furtkę w barierce i zniknął za drzwiami sąsiedniego pomieszczenia.

W wielkim gabinecie zastał dwóch mężczyzn. Szef wydziału ledczego, Tod McKim, posłał mu twarde spojrzenie zza masywnego biurka. Był to zwalisty, nieco już zwiotczały mężczyzna o długiej, irytująco melancholijnej twarzy. Zezował lekko na jedno oko.

Z boku biurka, w fotelu z półokrągłym oparciem, siedział ubrany z przesadną elegancją mężczyzna w kamaszach. Obok niego, na drugim fotelu, leżały szare rękawiczki, perłowoszarzy kapelus i hebanowa laska. Człowiek ten miał bujne, miękkie białe włosy i przystojną, zdradzającą rozpustny tryb życia twarz. Regularne masaż zapewniały mu niezwykle różową cerę. Z ironiczną, rozbawioną miną palił papierosa w długiej bursztynowej cygarnicze. Umiechnął się do wchodzącego.

Delaguerra usiadł naprzeciwko McKima i zerknął na siwego mężczyznę.



Dobry wieczór, komisarzu przywitał się.

Komisarz Drew skwitował to niedbałym ruchem ręki.

McKim pochylił się, splatając krótkie palce o poobgryzanych paznokciach na lniścym biurku.

Nie pieszyło ci się z raportem stwierdził cicho. Znalazłe co?

Delaguerra patrzył na niego spokojnie, bez wyrazu.

A miałem co znaleźć oprócz podrzuconej łani w moim wozie?

Na twarzy McKima nie drgnął ani jeden mięsień, nie zaszła najmniejsza zmiana. Komisarz Drew przejechał różowym, opiłowanym paznokciem po gardle i wisnął przez zęby.

Ładnie to tak odzywać się do szefa w ten sposób, chłopcze?

Policjant nie odrywał wzroku od przełożonego. Czekał.

Miałe nieskazitelne akta, Delaguerra rzekł McKim powoli, ze smutkiem. Twój dziadek był jednym z najlepszych szeryfów w historii tego okręgu. Ale dzisiaj rzucił na to wszystko głęboki cień. Jeste oskarżony o pogwałcenie ustawy o ochronie zwierzyny, utrudnianie wykonywania obowiązków służbowych funkcjonariuszowi z okręgu Toluca i stawianie oporu podczas aresztowania. Masz mi co do powiedzenia na ten temat?

Wydano już nakaz aresztowania? spytał Delaguerra bezbarwnym tonem.

McKim pokręcił głową.

To sprawa wewnętrznydziałowa. Nie wniesiono formalnego oskarżenia. Przypuszczam, że z braku dowodów. Umiechnął się sucho, posępnie.

W takim razie mam pewnie zwrócić odznakę?

McKim przytaknął w milczeniu.

Co ty taki szybki Bill? wtrącił Drew. Nie za prędko się zgadzasz?

Delaguerra wyciągnął odznakę policyjną, przetarł ją rękawem i pchnął przez blat.

Nie ma sprawy, szefie rzekł cicho. W moich żyłach płynie czysta hiszpańska krew. Nie jestem Mulatem, Metysem czy innym mieszaneem. Mój dziadek w takiej sytuacji zużyłby mniej słów, za to więcej prochu, ale to wcale nie jest zabawne. Wrobiono mnie dlatego, że Donegan Marr był moim przyjacielem. Wie pan równie dobrze jak ja, że to nie miało żadnego wpływu na moją pracę. Ale komisarz i jego polityczni poplecznicy nie są chyba tacy pewni.

Drew zerwał się z miejsca.

Jak mi Bóg miły, nie pozwolę się obrażać! ryknął.

Delaguerra umiechnął się. Nie odpowiedział, nawet nie spojrzał na komisarza. Drew usiadł, sapiąc ciężko i łypiąc na niego spode łba.

Po chwili McKim wrzucił odznakę do rodkowej szuflady biurka i wstał.

Jeste zawieszony, Delaguerra oznajmił. Bśd ze mnś w kontakcie. Nie oglśdajśc się za siebie, szybko wyszedł z gabinetu.

Delaguerra odsunął krzesło i poprawił kapelusz. Drew chrzśknął.

Może i ja się zbyt pospieszyłem rzekł, umiechajśc się pojednawczo. To ta moja irlandzka krew. Ale nie obrażaj się. Prędeż czy póniej każdy z nas dostaje takś lekcję. Można ci co poradzić?

Policjant wstał i spojrzał na niego z nikłym, suchym umieszkiem, który wprawił w ruch tylko kściki ust na jego kamiennej twarzy.

Wiem, co to za rada. Mam się odczepić od sprawy Marra.

Komisarz wybuchnął miechem. Wrócił mu dobry humor.

Niezupełnie. Nie ma już żadnej sprawy Marra. Imlay za porednictwem adwokata przyznał się do zabójstwa. Twierdzi, że działał w obronie własnej. Rano ma się stawić do dyspozycji prokuratora. Nie, ja chciałem ci doradzić co innego żeby wrócił do Toluca i pogadał od serca z lenicznym. To chyba powinno załatwić sprawę. W każdym razie warto spróbować.

Delaguerra podszedł cicho do drzwi, otworzył je i odwrócił się, prezentując w umiechu wszystkie zęby.

Ja wyczuję łajdaka na kilometr, komisarzu. Jego już wynagrodzono za fatygę.

Wyszedł. Rozwiczony Drew patrzył, jak drzwi zamykajśc się za nim z szelestem i suchym trzaskiem. Jego różowa twarz zsiniała, dłoń podtrzymujśc bursztynowś cygarniczkę dygotała z wciekłoci. Bezwiednie strścił popiół na nienagannie zaprasowane spodnie.

Jak mi Bóg miły! syknął zawzięcie. Ty gładka hiszpańska zarazo, możesz być sobie gładki jak szkło ale ciebie łatwiej jest podziurawić!

Z furiś wygramolił się z fotela, starannie otrzepał spodnie i sięgnął po laskę i kapelusz. Jego wypielęgnowane palce drżały.

8.

Koloryt lokalny Newton Street, na odcinku między Trzeciś a Czwartś, tworzyły tanie sklepy z konfekcjś, lombardy, automaty z papierosami i gumś do żucia oraz podrzędne hoteliki, przed którymi

mężczyźni wymieniali ukradkowe spojrzenia, a słowa sšczyły się po papierosach przylepionych do ich nieruchomych warg. W połowie drogi wystajšcy drewniany szyld zapraszał: Sala bilardowa Stolla. Delaguerra zszedł po schodkach prowadzšcych z chodnika do sutereny.

Od frontu w sali bilardowej panował mrok. Stoły były przykryte pokrowcami, kije spoczywały w szeregu na stojakach. Ale na tyłach pomieszczenia paliło się wiatło, ostre białe wiatło, na tle którego odcinały się stłoczone głowy i barki. Z wrzawy wybijały się odgłosy kłótni i krzyki markiera podajšcego wyniki. Delaguerra ruszył w tamtš stronę.

Nagle, jak na komendę, wrzawa ucichła. W chwilowej ciszy rozległ się ostry stukot kul, matowy odgłos bili odbijajšcej się od cian, a w końcu ostry trzask potrójnego karambolu. Znow podniósł się zgiełk.

Delaguerra przystanšł koło zakrytego stołu i wysł z portfela banknot dziesięciodolarowy oraz małš nalepkę. Napisał na niej: Gdzie jest Joe?, przykleił jš do banknotu i złożył go we czworo. Podeszedł do tłumu kibiców i przepchał się do samego stołu.

Wysoki, blady mężczyzna o beznamiętnej twarzy i kasztanowych włosach z przedziałkiem nacierał kredš czubek kija, przyglšdajšc się ustawieniu kul. Nachylił się i oparł kij w widełkach sinych białych palców. Hałas wykrzykiwanych zakłádów urwał się jak nożem uciłš. Blady dryblas popisał się efektownym strzałem.

Czterdzieli dla Chilla obwiecił pucółowaty facet siedzšcy na wysokim stołku. Osiem do przodu.

Dryblas znow natarł kij kredš i rozejrzał się leniwie, omijajšc wzrokiem Delaguerrę, jak gdyby się nie znali. Policjant przepchnšł się bliżej niego.

Postawisz na siebie, Max? zapytał. Zaryzykuję pištala, że teraz ci nie wyjdzie.

Dryblas skinšł głowš.

Przyjmuję.

Delaguerra położył złożony banknot na skraju stołu. Młody chłopak w pasiastej koszuli sięgnšł po pieniądze, lecz Max Chill uprzedził go jakby mimochodem i schował banknot do kieszeni kamizelki.

Stoi pištala rzekł obojętnie i złożył się do strzału.

Było to precyzyjne, skomplikowane zagranie, istny majstersztyk. Nastšpił zasłuzony aplauz. Dryblas oddał kij swojemu pomocnikowi w pasiastej koszuli.

Przerwa zarzšdził. Muszę skoczyć na stronę.

Zniknšł za kotarš i drzwiami z napisem: Męski. Delaguerra zapalił papierosa, rozglšdajšc się po typowej hołocie z Newton Street. Przeciwnik Maxa Chilla jeszcze jeden beznamiętny dryblas rozmawiał z markierem, nie patrząc na niego. Koło nich stał samotny przystojny Filipińczyk w szykownym bršzowym garniturze i palił papierosa o barwie czekolady.

Max Chill wrócił do stołu, wziął swój kij i natarł go kredą. Sięgnął do kieszeni, rzucił od niechcienia: Jestem ci krewny piśtkę reszty, kolego i podał Hiszpanowi złożony banknot.

Niemal bez chwili przerwy zrobił trzy karambole.

Chill czterdzieci cztery ogłosił markier. Dwanacie do przodu.

Dwaj kibice wydostali się z tłumu i ruszyli do wyjścia. Delaguerra poszedł w ich łady. Zatrzymał się u podnóża schodów, rozwinął banknot i przeczytał adres nabazgrany pod jego pytaniem.

Zwinął banknot w dłoni i właśnie miał go schować do kieszeni, gdy co twardego dgnęło go w plecy.

Pomóc ci wyjść, mistrzu? zapytał głos przypominający trzęsioną strunę banjo.

Policjant zmarszczył nos. Spojrzał w górę, na znikające nogi dwóch mężczyzn na schodach i odbity blask latarni.

No jak? zabrzdżał głos ponuro.

Delaguerra padł na podłogę, odwracając się w powietrzu i wyrzucając do tyłu rękę. Nim upadł, zacisnął dłoń na nodze przeciwnika. Cios pistoletem rozminął się z jego głową, trafił go w lewy bark, przeszywając bólem całe ramię. Policjant czuł na sobie ciężki, gorący oddech. Co lekko uderzyło go w kapelusz. Tuż obok niego ktoś warczał wciekle, piskliwie. Przeturlał się, wykręcając napastnikowi nogę w kostce, podparł się kolanem i poderwał. Wstał z kocią zwinnością i z całej siły odepchnął nogę przeciwnika.

Filipińczyk w brązowym garniturze grzmotnął plecami o podłogę. Chwiejnie poderwał broń. Delaguerra kopnął małą brązową rękę; pistolet wylądował pod którymś ze stołów. Filipińczyk leżał na plecach, z wysiłkiem unosząc głowę. Kapelusz wciąż trzymał się jego natłuszczonych włosów, niczym przylepiony.

W głębi sali partia karambola spokojnie toczyła się dalej. Możliwe, że ktoś usłyszał odgłosy bójki, lecz nikt się tym nie zainteresował. Delaguerra wyszarpnął z tylnej kieszeni plecioną skórzaną pałkę i nachylił się. Napiętą brązową twarz Filipińczyka wykrzywił skurcz.

Musisz się jeszcze wiele nauczyć, przyjemniaczku stwierdził Delaguerra zimno, lecz obojętnie. Wstawaj.

niady chłopak wstał z podniesionymi rękami. Nagle błyskawicznie sięgnął pod prawą pachę. Policjant zamachnął się od niechcienia. Chłopak opucił przetrzęsioną lewą rękę i pisnął niczym zgłodniałe kocię.

Delaguerra wzruszył ramionami i umiechnął się sardonicznie.

Napad, co? Ano, innym razem, żółtodziobie. Teraz jestem zajęty. Spadaj!

Filipińczyk przeliznął się między stołami, przykucnął. Delaguerra przełożył pałkę do lewej ręki, a

prawy oparł na kolbie rewolweru. Stał tak przez chwilę, patrząc chłopakowi prosto w oczy. Nagle odwrócił się, szybko wszedł na schody i zniknął.

Brązowy chłopak skoczył pod cianę i wczuł się pod stół, szukając swego pistoletu.

9.

Joey Chill gwałtownie otworzył drzwi. W ręku trzymał krótki, zniszczony rewolwer bez muszki. Był to drobny, zawzięty człowieczek o spiętej, skłopotanej twarzy. Przydałoby mu się golenie i czysta koszula. Z pokoju za jego plecami dolatywał cierpki, zwierzęcy odór.

Opucił broń i z kwany umiechem cofnął się w głąb mieszkania.

Wskakuj, ledziu. Co ci się nie pieszyło.

Delaguerra zamknął za sobą drzwi. Zsunął kapelusz na tył głowy, odsłaniając kędzierzawe włosy, i obrzucił gospodarza obojętnym wzrokiem.

Uważasz, że powinienem pamiętać adres każdego chłystka w mieście? Musiałem się dowiedzieć u Maxa.

Mały człowieczek burknął coś pod nosem, położył się na łóżku i schował broń pod poduszkę. Splótł ręce za głowę i pocił oko do sufitu.

Masz stowę, ledziu?

Delaguerra przysunął do łóżka drewniane krzesło i usiadł na nim okrakiem. Wyciągnął pękate fajkę. Nabił ją bez popiechu, rozglądając się z niesmakiem: zamknięte okno, łóżko z odpryskującą farbą, zmietoszona pościel, umywalka i dwa poplamione ręczniki w rogu, pusty kredens kuchenny, a na nim Biblia przycięta opróżniona do połowy butelką dzinu.

Dekujesz się? spytał bez specjalnego zainteresowania.

Pali mi się pod nogami. Depcz mi po piętach. Ale mam dla ciebie coś, za co warto odpalić stowę.

Obojętnie, bez popiechu, policjant schował kapciuch, przypalił fajkę i irytująco powoli wydmuchał dym. Człowieczek na łóżku wiercił się niespokojnie, zerkając na niego z ukosa.

Dobry z ciebie kapu, Joey, to ci muszę przyznać – stwierdził Delaguerra powoli. Ale sto papierków piechotki nie chodzi.

Warto wybulić, chłopie. Jeli chcesz się dowiedzieć, kto naprawdę sprzątnął Marra.

Policjant zatrzymał na nim lodowaty wzrok. Przygryzł ustnik fajki.

Mów, Joey – polecił cichym, ponurym głosem. Zapłacę, jeli uznam, że warto. Byleby tylko nie

zalewał.

Informator wsparł się na łokciu.

Wiesz, co za jedna figlowała z Imlayem na tych obrazkach?

Znam jej nazwisko. Ale zdjęć nie widziałem.

Stella La Motte to pseudo estradowe. Naprawdę nazywa się Stella Chill. To moja młodsza siostra.

Delaguerra splótł ręce za oparciem krzesła.

Niele. Mów dalej.

Ona go w to wrobiła. Wrobiła go za parę działek heroiny od jednego skonookiego Filipińczyka.

Filipińczyka? wtrścił szorstko policjant. Na jego twarzy malowało się skupienie.

Włanie. To jeden z tych naszych małych brżzowych braci. Przystojniak, elegancik i handlarz od prochów. Sakramencki czubek. Nazywa się Toribo, a wołajś go Goršcy Chłopak. Mieszka drzwi w drzwi ze Stellš. Najpierw wcišgnšł jš w nałóg, a potem w sprawę Imlaya. Doprawiła czym Imlayowi wódkę, żeby mu się film urwał, i wpuciła żółtka, żeby im cyknšł parę zdjęć. Cwane, co nie? A potem, jak to kobita, pożałowała tego i wypiewała wszystko mnie i Maxowi.

Delaguerra surowo pokiwał głowš. Milczał.

Joey umiechnšł się pełnš gębš, błyskajšc małymi zšbkami.

A co ja robię? A ja się zasadzam na żółtka. Chodzę za nim jak cień, bracie. Nie minęło czasu wiele, patrzę, a on zasuwa do mieszkanka Davea Aagea na Vendome Za to chyba należy się paczka?

Policjant kiwnšł głowš, wysypał na dłoń nieco popiołu z fajki i zdmuchnšł go.

Kto jeszcze o tym wie?

Max. Potwierdzi, co mówię, jak z nim dobrze zagadasz. Ale on nie chce mieć z tym nic wspólnego. Nie bawi się w takie rzeczy. Dał Stelli foršę, żeby wywiała z miasta, i wypisał się z tego. Bo tamci nie dajš sobie w kaszę dmuchać.

Max nie może wiedzieć, dokšd trafił za Filipińczykiem.

Joey usiadł raptownie i spucił nogi na podłogę. Sposepniał.

Ja nie zalewam, tajniaku. Ciebie nigdy nie kantowałem.

Wierzę ci, Joey odparł cicho Delaguerra. Ale przydałoby się więcej dowodów. Rozumiesz co z tego?

Toż to miedzi na odległość, że aż głowa boli parsknął mały człowieczek. Albo żółtek pracował dla Mastersa i Agea już wczynie, albo dogadał się z nimi, jak zdobył obrazki. Potem Marr dostaje zdjęcia, a głowę daje, że tyle by je zobaczył, jakby mu ich sami nie podesłali. Nie wiedział, że to od nich. Imlay kandydował na sędziego z ich ramienia. Jasne, że to ich fagas, ale fagas to tylko fagas. Tak się składa, że to moczymorda i choleryk. Wszyscy o tym wiedzą.

Twarz policjanta przypominała wykuł w kamieniu maskę i tylko jego oczy lekko błyszczały. Z ust sterczała mu fajka, tak nieruchoma, jak gdyby zatopiono ją w cemencie. No więc, poszli na całość cięgnął Joey Chill, znów szczerząc zęby w umiechu. Marr dostał obrazki, ale nie wiedział, od kogo. A Imlay dostał cynk, że Marr ma jego zdjęcia z panienką i że chce go przycisnąć. Więc co robi taki facet jak Imlay? Wyrusza na łowy ale ubita kaczka trafia na stół Dużego Johna Mastersa i jego pomagiera.

Albo łania mruknął Delaguerra z roztargnieniem.

Że co? To jak, należy się słowa?

Policjant wytrząsnął pieniądze z portfela i odliczył na kolanie kilka banknotów. Zwinął je w ciasny rulon i rzucił na łóżko.

Joey, muszę raz dwa pogadać ze Stellą. Da się zrobić?

Człowieczek na łóżku schował pieniądze do kieszeni koszuli i potrząsnął głową.

Nie da rady. Może spróbuj przez Maxa. Chyba się ulotniła z miasta, a ja sam też znikam, jak już podłapałem trochę grosza. Bo jak mówiłem, oni nie dają sobie w kaszę dmuchać a nie wiem, czy nie nakryli mnie na tym ledzeniu. Łaził za mną jakiś oprych. Wstał, ziewnął i dorzucił: Strzelimy po jednym?

Delaguerra odmówił ruchem głowy. Patrzył, jak jego informator podchodzi do kredensu, nalewa szczerzą porcję dżinu do grubej szklanki i opróżnia ją jednym haustem.

Włanie miał zamiar odstawić pustą szklankę, gdy od strony okna doleciał brzęk. Rozległ się odgłos przypominający uderzenie rękawiczek. Kawałek szyby spadł na gołe, poplamione klepki za dywanem, niemal u stóp Joeya.

Przez dwie, trzy sekundy Chill stał jak wryty. Nagle szklanka wypadła mu z dłoni i potoczyła się pod cianę. Kolana odmówiły mu posłuszeństwa. Powoli opadł na bok i przetoczył się na plecy.

Krew z dziury nad lewym okiem spłynęła mu ospale na policzek. Zaczęła płynąć szybciej. Otwór powiększył się, poczerwieniał. Joey Chill wpatrywał się w sufit pustym wzrokiem, jak gdyby takie drobiazgi przestały go już obchodzić.

Delaguerra cicho opadł na czworaki. Przesunął się wzdłuż łóżka do ciany pod oknem i sięgnął pod koszulę rannego. Przyłożył mu palce do serca. Po chwili cofnął rękę i potrząsnął głową. Przykucnął, zdjął kapelusz i ostrożnie wyjrzał nad parapetem.

Po drugiej stronie uliczki zobaczył wysoką cianę jakiego magazynu. Na samej górze było kilka okien, lecz w żadnym nie paliło się światło. Policjant schylił głowę.

Pewnie karabin z tłumikiem mruknął pod nosem. Strzał przedniej marki.

Niemiało wyciągnął rękę i zabrał zwitek banknotów z koszuli zmarłego. Skulony przeszedł wzdłuż ciany do wyjścia, wyciągnął klucz z zamka, otworzył drzwi, wyprostował się i wyszedł szybko. Zamknął drzwi na klucz.

Zostawił za sobą brudny korytarz i pieszo zszedł do wąskiego, wyludnionego hallu. Za ladą recepcji nie było nikogo. Stał przy szklanych drzwiach wyjściowych, spoglądając na drewniany dom z umeblowanymi mieszkaniami do wynajęcia po drugiej stronie ulicy. Na werandzie dwaj starszycy w fotelach bujanych pykali z fajek. Wyglądali całkiem nieszkodliwie. Obserwował ich przez kilka minut.

W końcu wyszedł, rozejrzał się szybko i mijając zaparkowane przy krawężniku samochody, dotarł do najbliższego rogu. Dwie przecznice dalej złapał taksówkę i kazał się zawieźć z powrotem do sali bilardowej Stolla na Newton Street.

Teraz już cała sala była owietlona. Kule zderzały się i wirowały, gracze snuli się w gęstych chmurach dymu z papierosów. Delaguerra rozejrzał się i podszedł do pucołowatego gościa siedzącego na wysokim stołku przy kasie.

Pan Stoll?

Pucołowaty skinął głową.

Gdzie się podziewa Max Chill?

Już dawno wyszedł, bracie. Grali tylko do stu. Pewnie jest w domu.

To znaczy?

Pucołowaty rzucił mu z ukosa szybkie spojrzenie, niczym wietlnego zajęczka.

A bo ja wiem?

Delaguerra uniósł rękę do kieszeni, w której zwykle nosił odznakę, i opucił ją znacząco. Pucołowaty wyszczerzył zęby.

Platfus, co? W porządku, hotel Mansfield, na Grand, trzy przecznice stąd na zachód.

10.

Cefarino Toribo przystojny Filipińczyk w szykownym garniturze zgarnął dwie dziesięć i trzy jednocentówki z lady urzędu pocztowego i umiechnął się do znużonej blondynki, która go



obsługiwała.

Wylesz to od razu, złotko?

Z lodowatš minš zerknęła na blankiet.

Hotel Mansfield? Doręczymy za dwadziecia minut a złotko niech pan zachowa na lepszą okazję.

Jak sobie życzysz, złotko.

Bez popiechu, z gracjš, Toribo opucił pocztę. Blondynka ze złociš nadzieła blankiet na kolec.

Wariat, czy co? rzuciła przez ramię. Wysyłać telegram do hotelu o trzy przecznice stšd.

Cefarino Toribo przeszedł się spacerkiem po Spring Street, wlokšc za sobš smugę dymu z czekoladowego papierosa. Przy Czwartej skręcił na zachód i trzy przecznice dalej wszedł do hotelu Mansfield, bocznym wejciem koło zakładu fryzjerskiego. Marmurowe schody zaprowadziły go na półpiętro; dalej szedł już schodami wyłożonymi dywanem. Na trzecim piętrze skręcił przy windach i dumnym krokiem przemierzył korytarz, sprawdzajšc numery na drzwiach.

Wrócił do wnęki w połowie korytarza, gdzie pod dwoma oknami, wychodžšcymi na dziedziniec, stał stolik ze szklanym blatem i krzesła. Usiadł, odpalił papierosa od niedopałka poprzedniego i rozsiadł się wygodnie, nasłuchujšc.

Za każdym razem, gdy winda stawała na tym piętrze, pochylał się gwałtownie i wsłuchiwał w dźwięk kroków. Doczekał się po mniej więcej dziesięciu minutach. Wstał i podszedł do rogu wnęki. Spod prawej pachy wycišgnšł długi, wšski pistolet, przełożył go do prawej ręki i schował za nogš, od strony ciany.

Korytarzem nadszedł przysadzisty, dziobaty Filipińczyk w liberii chłopca hotelowego. Niósł maš tacę. Toribo syknšł przez zęby, unosžšc broń. Przysadzisty chłopak odwrócił się. Na widok pistoletu rozdziawił usta i wybałuszył oczy.

Do którego numeru to niesiesz, gnojku? warknšł Toribo.

Chłopak umiechnšł się nerwowo, pojednawczo. Zbliżył się i pokazał żółtš kopertę na tacy. Widniał na niej numer 338.

Zostaw go tu rozkazał zimno Toribo.

Chłopak położył telegram na stoliku. Nie spuszczał wzroku z pistoletu.

A teraz zjeżdżaj i pamiętaj, że wsunšł telegram pod drzwi.

Przysadzisty Filipińczyk pochylił okršgłš głowę, jeszcze raz umiechnšł się nerwowo i szybko ruszył w stronę wind.

Toribo schował broń do kieszeni marynarki i wyjął złożoną kartkę. Rozwinął ją ostrożnie i wysypał niścy biały proszek na lewą dłoń, w zagłębienie powstałe między wyciągniętym kciukiem a palcem wskazującym. Gwałtownie wciśnął proszek do nosa, wyjął jaskrawoczerwoną jedwabną chusteczkę i otarł nos.

Przez chwilę stał nieruchomo. Oczy zaszyły mu mgłą, brązowa skóra na wystających kociach policzkowych jakby się napięła. Oddychał ze wstęmem przez zęby.

Z żółtą kopertą w ręku przeszedł korytarzem do samego końca i zapukał do ostatnich drzwi.

Z apartamentu dobiegł czyj głos.

Telegram do pana odpowiedział piskliwie, pełnym szacunku tonem, z twarzą przy samych drzwiach.

Zaskrzypiały sprężyny łóżka. Czyje kroki zaszurały po podłodze. W zamku przekręcił się klucz i uchyliły się drzwi. Toribo wyciągnął tymczasem broń. Szybko, z gracją, wcisnął się bokiem w szparę w drzwiach i wbił lufę pistoletu w brzuch Maxa Chilla.

Cofnij się! warknął. Jego metaliczny głos znów przypominał dźwięk tręconej struny banjo.

Max Chill odsunął się od pistoletu. Tyłem przeszedł przez pokój i siadł na łóżku, gdy oparł się o nie nogami. Sprężyny zaskrzypiały, zaszeleciła gazeta. Błada twarz pod uczesanymi z przedziałkiem kasztanowymi włosami była absolutnie bez wyrazu.

Toribo cicho zamknął drzwi. Trzask opuszczonej zasuwki wywołał na twarzy Chilla grymas strachu. Jego usta zaczęły się trząść niepoohamowanie.

Donosimy glinom, co? rzucił Toribo drwiścym, metalicznym głosem. Adios.

Włski pistolet podskoczył w jego rękę. Podskoczył kilka razy. Z lufy uleciała smużka białego dymu. Huk strzału nie był głonniejszy niż wbijanie gwóźdźa lub silne pukanie w drewno. Powtórzył się siedmiokrotnie.

Max Chill opadł na łóżko powolutku, nie odrywając nóg od podłogi. W oczach miał pustkę, na rozchylone usta wystąpiła różowa piana. Rozpięty koszulę w kilku miejscach zabarwiła krew. Wpatrzony w sufit, leżał na wznak, z nogami na podłodze i białkami różowej piany na posiniąłych wargach.

Toribo przełożył pistolet do lewej ręki i schował go pod pachę. Podeszedł bokiem do łóżka, przyglądając się zabitemu. Wkrótce różowa piana przestała bulgotać i na twarz Maxa Chilla spłynęły spokój i pustka, właciwe umarłym.

Toribo wrócił do drzwi, otworzył je i tyłem zaczął się wycofywać z pokoju, nie spuszczaając oka z trupa na łóżku. Nagle usłyszał za sobą szelest.

Poderwał rękę, okręcając się na pięcie. Co uderzyło go w głowę. Podłoga zawirowała mu przed oczami, pędziła ku niemu. Nie wiedział, kiedy zderzyła się z jego twarzą.

Delaguerra kopniakiem usunął nogi Filipińczyka z drogi i zamknął drzwi na klucz. Wymachując u boku skórzaną pałkę, podszedł do łóżka. Przez dłuższą chwilę patrzył na zwłoki.

Robiś czystkę mruknął w końcu. Tak, to normalna czystka.

Podszedł do Filipińczyka, odwrócił go na plecy i zrewidował. Znalazł nabity portfel bez żadnych dokumentów, wysadzany granatami złotą zapalniczkę, złoty papieronice, klucze, złoty ołówek, nóż, jaskrawoczerwoną chusteczkę, nieco drobnych, dwa pistolety z zapasowymi magazynkami i pięć działek heroiny w kieszonce marynarki.

Zostawił to wszystko na podłodze i wstał. Toribo leżał z zamkniętymi oczami, oddychając ciężko. Mięsie policzka drgały mu nerwowo. Delaguerra wyszedł z kieszeni kłębek cienkiego drutu i skrupował mu ręce na plecach. Przeciśgnął go w głębi pokoju, oparł o nogę łóżka i połączył drucianą pętlę jego szyję ze słupkiem baldachimu. Do pętli przywiślał czerwony chusteczkę.

Przyniósł z łazienki szklankę zimnej wody i z całej siły chlusnął nią chłopakowi w twarz.

Toribo wzdrygnął się i zacharczał, gdy drut wbił mu się w szyję. Raptownie otworzył oczy. Spróbował krzyknąć.

Delaguerra ciśgnął drut opasujący brzuszne gardło. Krzyk urwał się jak nożem uciśniętym. Rozległ się napięty, bolesny bulgot. Z ust chłopaka pociekła lina.

Delaguerra poluzował drut i przysunął twarz do głowy Filipińczyka.

Będziesz chciał ze mną pogadać, żółtku odezwał się łagodnie. Jego uprzejmość nie wróżyła nic dobrego. Może nie od razu. Może nawet nieprędko. Ale w końcu sam będziesz chciał pogadać.

Chłopak odwrócił wystraszony wzrok. Splunął. I zacisnął usta.

Delaguerra umiechnął się ponuro. Twarda sztuka rzucił cicho. Pociśgnął za chusteczkę, aż drut wpił się w brzuszne gardło powyżej jabłka Adama.

Chłopak zaczął bębnić nogami o podłogę, wstrząsany nagłymi spazmami. Jego twarz z brzusznej przeszła w ciemnopurpurową, niemal tryskała krwią. Przekrwione oczy wyszły z orbit.

Delaguerra znów poluzował drut.

Filipińczyk łapczywie zaczerpnął powietrza. Opucił głowę, poderwał ją i uderzył o słupek. Przeszedł go dreszcz.

Si wyszeptał. Będę gadał.

Przesunął językiem po wargach, odłożył karty i spojrzął przez łukowaty otwór w cianie jadalni na drzwi wejściowe domku. Powoli dwignął się z krzesła wielki, zwalisty goryl z grzywą siwych włosów i olbrzymim nochalem.

Po drugiej stronie łuku, szczupła blondynka leżała na sofie, czytając jakiś magazyn w wietle lampy z podartym czerwonym abażurem. Była ładna, choć zbyt blada; wąskie, silnie wygięte brwi nadawały jej twarzy zdziwiony wyraz. Odłożyła pismo, spuciła nogi na podłogę i zerknęła na Toomeya wylęknionym wzrokiem.

Toomey Zakuta Pała w milczeniu skinął kciukiem. Dziewczyna wstała, przeszła szybko pod łukiem i zniknęła w kuchni, bezszelestnie przysmykając za sobą wahadłowe drzwi.

Dzwonek znów zabrzmiał, tym razem dłużej. Toomey wsunął stopy w białych skarpetkach w bambosze, obarczył nochala okularami i chwycił rewolwer z sąsiedniego krzesła. Trzymając go w lewej ręce, wziął z podłogi zmiesz gazetę i przewiesił ją na rękę tak, by zakrywała broń. Bez opiechu ruszył do drzwi.

Otworzył je i ziewnął, przyglądając się wysokiemu człowiekowi na werandzie.

Co jest? spytał znużonym głosem. Gadaj pan.

Jestem z policji wyjanił Delaguerra. Chcę się widzieć ze Stellą La Motte.

Toomey Zakuta Pała oparł się o futrynę, zagrządzając drzwi ręką przypominającą solidny pień. Jego mina nadal wyrażała znużenie.

Pomyliła adres, glino. Tu nie ma pańienek.

Wejdę się rozejrzeć.

Aha po moim trupie odparł wielkolud radonie.

Delaguerra zwinnie wyszarpnął colta z kieszeni i rżnął nim goryla w lewy nadgarstek. Gazeta i wielki rewolwer upadły na podłogę werandy. Znużenie zaczęło ustępować z twarzy Toomeya.

Stary numer warknął Delaguerra. Wchodzimy.

Toomey potrzęsł lewą ręką, a prawą pocił framugę drzwi i zamachnął się, celując w szczękę policjanta. Delaguerra przesunął głowę o jakie dziesięć centymetrów. Pełen niesmaku zmarszczył brwi i cmoknął.

Goryl rzucił się na niego szczupakiem. Delaguerra uskoczył i walnął rewolwerem w wielki, siwy łeb. Toomey wylądował na brzuchu, w samym progu. Jęknął, podcisnął ręce pod siebie i jak gdyby nigdy nic, zaczął się zbierać na nogi.

Delaguerra kopniakiem usunął rewolwer goryla z zasięgu jego ręki. Wewnątrz domu skrzypnęły cicho drzwi wahadłowe. Policjant spojrzął w tamtą stronę. Tymczasem Toomey klęczał już na kolanie,

podpierając się ręką. Wyrzucił policjanta w brzuch. Delaguerra jęknął i jeszcze raz zaprawił go coltem. Toomey tylko potrząsnął głową.

Walić mnie w łeb to strata czasu, szefie burknął.

Dał nura w bok, chwycił policjanta za nogi i podcisł go. Delaguerra siadł na deskach werandy, nieco zamroczony po uderzeniu głową w futrynę.

Przez łukowaty otwór w cianie wybiegła szczupła blondynka z małym pistoletem w ręku. Wycelowwała w policjanta.

Łapy w górę, draniu! rzuciła z furją.

Delaguerra potrząsnął głową. Chciał się odezwać, lecz tylko zachłysnął się, gdy Toomey, zaciskając zęby, wykręcił mu stopę. Wykręcał ją, jak gdyby na całym bożym wiecie był tylko on i ona, jak gdyby to była jego stopa i mógł z nią robić, co zechce.

Głowa policjanta znowu odskoczyła do tyłu. Jego twarz pobladła. Usta wykrzywił mu gorzki grymas bólu. Dźwignął się, lewą ręką chwycił Toomeya za włosy i szarpnął w górę. A kiedy wielki łeb napiął się i odchylił, z całej siły rżnął lufą colta w odsłoniętą twarz.

Toomey sflaczał jak przekłuty balon i zwałił się na niego bezwładnie. Delaguerra nie mógł się ruszyć. Prawą ręką zapierał się, by nie zniknąć na dobre pod cielskim wielkoluda. Nie mógł jej oderwać od podłogi, a tym samym jego colt był bezużyteczny. Tymczasem blondynka zbliżała się do niego. Wzrok miała dziki, twarz pobladła z wściekłości.

Nie wygłupiaj się, Stella powiedział popieszenie, wyczerpanym głosem. Joey

Twą blondynki była nienaturalna. Nienaturalne były jej oczy o zwężonych renicach i dziwnym, matowym blasku.

Gliny! Jej głos przypominał wrzask. Gliny! Jezu, jak ja nienawidzę glin!

Pistolecik w jej ręku plunął ogniem. Echo wystrzału wypełniło pokój, uciekło przez otwarte drzwi i zamarło na wysokiej siatce od ulicy.

Delaguerra zarejestrował ostre uderzenie w lewą skroń, przypominające cios pałką. Poczucił, że ból rozsadza mu głowę. Rozbłysło światło olepiające białe światło, przepelniające cały wiat. Nagle zgasło. Delaguerra bezszelestnie zapadł się w bezdenne ciemność.

12.

światło powróciło w postaci czerwonej mgły. Klujący, przenikliwy ból przeszywał mu skroń, całą twarz, sięgał zębów. Spróbował poruszyć językiem był rozpalony i spuchnięty. Spróbował poruszyć rękami były gdzie daleko, zupełnie nie przypominały jego rąk.

W końcu otworzył oczy, czerwona mgła rozplynęła się, a on patrzył na twarz. Wielkš, pochylonš nad nim twarz. Była tłuŝta, sine szczęki lniły od potu, a z wyszczerzonych w umiechu wšskich ust sterczało cygaro z barwnš nalepkš. Twarz zachichotała. Delaguerra zamknšł oczy. Fala bólu załała go, zatopiła. Stracił przytomnoć.

Minęły sekundy, które trwały całš wiecznoć. Znów spojrział na twarz i usłyszał gruby głos:

Oho, nareszcie wrócił do żywych. Swojš drogš, twardy z niego chłopak.

Twarz zbliżyła się, a koniuszek cygara rozbłysł czerwieniš. Delaguerra zakrztusił się dymem i zaniósł niepohamowanym kaszlem. Miał wrażenie, że eksploduje mu skroń. Czuł swędzenie policzka, tam gdzie spływajšca wieża krew podrażniła skórę, zanim dotarła do starszej, która zdšżyła mu juź zakrzepnišć na twarzy.

To go postawi na nogi jak się patrzy owiadczył gruby głos.

Inny głos, w którym pobrzmiwał irlandzki akcent, dorzucił cicho sprony komentarz. Wielka twarz odwróciła się i parsknęła miechem.

Delaguerra ocknšł się na dobre. Wyranie widział cały pokój, a w nim cztery osoby. Wielka twarz należała do Dużego Johna Mastersa.

Szczupła blondynka siedziała zgarbiona na skraju sofy. Z narkotycznym otępieniem gapiła się w podłogę. Ręce zwiesiła sztywno po bokach, chowajšc dłonie pod poduszki.

Wysoki, chudy Dave Aage stał oparty o cianę koło zasłoniętego okna. Na jego przypominajšcej klin twarzy malowało się znużenie. Z drugiej strony sofy, pod wystrzępionš lampš, siedział komisarz Drew. wiatło uwydatniało siwe pasemka w jego włosach. Niebieskie oczy komisarza błyszczwały, były czujne.

Duży John Masters ciskał w garci rewolwer. Na jego widok Delaguerra zamrugał i spróbował się podnieć. Silna dłoń spoczęła mu na piersi, spychajšc go w dół. Poczł mdłoci.

Wolnego, szpiclu rzucił ochryple gruby głos. Ty juź się ubawiłe. Teraz kolej na nas.

Delaguerra oblizał wargi.

Dajcie się napić wody.

Dave Aage oderwał się od ciany i przeszedł do jadalni. Wrócił ze szklankš i przysunšł jš policjantowi do ust. Delaguerra wypił.

Podoba nam się twoja ikra, tajniaku. Ale robisz z niej zły użytek. Wyglšda na to, że wszystko trzeba ci klarować od A do Z. A to niedobrze. To znaczy, że jeste skończony. Pojmujesz?

Blondynka spojrziała na Delaguerrę mętnymi oczami i spuciła wzrok. Aage wrócił na swoje miejsce pod cianš. Drew zaczął się nerwowo poklepywać palcami po twarzy, jak gdyby rozboleła go juź na

sam widok zakrwawionego policjanta.

Zabijajšc mnie zyskasz tyle, że zawiniesz na wyŹszej gałęzi, Masters owiadczył Delaguerra powoli. Frajer, któremu udało się wskoczyć na wysoki stółek, zawsze pozostanie frajerem. Zabilicie dwóch ludzi bez najmniejszego powodu. Nawet nie wiecie, co staracie się zatuszować

Grubas zakłšł ochryple, podrywajšc błyszczšcy rewolwer, lecz opucił go i wyszczerzył zęby.

Spokojnie, John przestrzegał Aage. Daj mu się wygadać.

Ta oto pani jest siostrš tych dwóch ludzi, których zabilicie podjł Delaguerra tym samym niedbałym tonem. Opowiedziała im o wrobieciu Imlaya, o tym, kto zrobił zdjęcia i w jaki sposób trafiły w ręce Donegana Marra. Wasz skonooki bandzior wypiewał to i owo. Mam już ogólny pogłšd na sprawę. Nie bylicie pewni, czy Imlay zabije Marra. Mogłó się stać na odwrót. Ale czy w te, czy wewte, wasze byłoby na wierzchu. Tyle że gdyby to Marr zginł, Imlaya trzeba by raz dwa posadzić. I włanie na tym się potknęlicie. Zaczęlicie tuszować całš sprawę nie wiedzšc, co się naprawdę wydarzyło.

Kiepciuchno, gliniarzu, kiepciuchno wtršcił ochryple Masters. Zabierasz mi tylko czas.

Blondynka spojrzała na policjanta, na plecy Mastersa. Z jej zielonych oczu wyzierała teraz nienawić. Delaguerra lekko wzruszył ramionami i mówił dalej:

Wynajęcie zabójców do zlikwidowania braci Chill było z waszej strony rutynowe. Podobnie jak rutynowe było odebranie mi sprawy Marra i wrobiecie mnie tak, żebym został zawieszony. Mylelicie, że siedziałem u Marra w kieszeni. Ale musielicie zerwać z rutynš, jak się okazało, że nie można znaleźć Imlaya i dostalicie pietra.

Masters wlepił w niego puste spojrzenie. Żyły na jego grubej szyi nabrzmiały. Aage zrobił kilka kroków i stanł sztywno na rodku pokoju. Po chwili Masters zadzwonił zębami.

A to pyszne stwierdził spokojnie. Opowiedz nam o tym, szpiclu.

Delaguerra przejechał dwoma palcami po skrwawionej twarzy i zerknł na nie. Z jego oczu wyzierała bezdenne pustka.

Imlay nie żyje, Masters. Nie żył już, kiedy zabito Marra.

Zapadła cisza. Wszyscy zamarli w bezruchu. Delaguerra obrzucił wzrokiem całš czwórkę, dosłownie sparaliżowanš szokiem. W końcu Masters ze wistem wcišgnł powietrze, wypucił i rozkazał szeptem:

Gadaj, szpiclu. Gadaj migiem, bo

Imlay poszedł na spotkanie z Marrem, a jakże przerwał mu policjant beznamiętnie. Bo i czemu nie? Nie wiedział, że został wystawiony do wiatru. Tyle że spotkał się z nim wczoraj wieczorem, a nie dzisiaj. Wycišgnł go do domu nad Jeziorem Pумы, niby żeby obgadać sprawę po przyjacielsku. Rzecz jasna, to był podstęp. W każdym razie doszło między nimi do kłótni i Imlay zginł. Spadł z

werandy i rozwalił sobie głowę o kamienie. Leży teraz sztywny jak kłoda w komórce na drewno w domku Marra Marr ukrył go tam i wrócił do miasta. A dzisiaj kto zadzwonił do niego i powiedział, że niejaki Imlay chce się z nim spotkać o dwunastej piętnacie. Co mu pozostawało? Oczywiście, grać na czas. Wysłał więc sekretarkę na obiad, położył pistolet tak, żeby go mieć pod ręką. Był przygotowany na kłopoty. A jednak widok gocia tak go zaskoczył, że nie użył broni.

Znalazł się, mśdrala burknął Masters. Niby skąd mógłby to wszystko wiedzieć?

Obejrzał się na komisarza. Drew siedział napięty, z poszarzałą twarzą. Aage zrobił jeszcze kilka kroków i stanął koło niego. Dziewczyna ani drgnęła.

Racja, ja tylko zgaduję, ale to odpowiada faktom przyznał Delaguerra. Inaczej być nie mogło. Marr potrafił radzić sobie z bronią, a do tego był cały zwarty i gotowy. Więc dlaczego nie strzelił? Ano dlatego, że odwiedziła go kobieta.

Wskazał palcem blondynkę.

Oto wasz zabójca. Wrobiła Imlaya, mimo że go kochała. Tak to już jest z narkomanami. Potem zrobiło jej się smutno, pożałowała swojego czynu i sama postanowiła sprzątnąć Marra. Zapytajcie ją!

Dziewczyna zwinnie zerwała się z sofy. W prawej ręce trzymała mały pistolecik ten, z którego postrzeliła Delaguerrę. Jej zielone oczy były blade, puste, wytrzeszczone. Masters odwrócił się i zamachnął rewolwerem, próbując wytrząść jej broń.

Bez namysłu, bez chwili wahania strzeliła do niego dwa razy. Z szyi grubasa trysnęła krew, plamiąc mu marynarkę. Masters zatoczył się, wypuścił rewolwer, który spadł niemal u stóp Delaguerry, i poleciał do tyłu, jedną ręką usiłując przytrzymać się ciany za krzesłem policjanta. Drapiąc po niej palcami, runął na podłogę i znieruchomiał.

Delaguerra już sięgał po jego rewolwer.

Drew z wrzaskiem zerwał się na nogi. Nie zwracając uwagi na Delaguerrę, dziewczyna odwróciła się powoli do Aagea. Ten wyrwał spod pachy wielkiego lugera, jednocześnie odpychając komisarza. Oba pistolety wypaliły w tej samej chwili ale tylko luger nie spudłował. Dziewczyna chwyciła się za pier i siadła na sofie. Wywracając oczami, jeszcze raz spróbowała unieść pistolet. Nagle przewróciła się na bok; lewa ręka, którą ciskała pier, opadła jej bezwładnie. Z przodu sukienki pojawiła się krwawa plama. Stella otworzyła oczy, zamknęła, znów otworzyła i znieruchomiała.

Aage wycelował w policjanta. Ostro wygięte brwi zdradzały jego napięcie. Przyлизane piaskowe włosy na kocistej czaszce wyglądały jak namalowane.

Delaguerra strzelił do niego cztery razy, tak szybko, że zabrzmiało to niczym seria z automatu.

Przez ułamek sekundy Aage gapił się pustym wzrokiem idioty. Jego twarz przypominała chudszy, bezmyślny twarz starca. Potem zgiął się w pół i nie wypuszczając lugera z ręki, upadł na podłogę. Leżał z podwiniętą pod siebie nogą, jak gdyby była pozbawiona koci.



W powietrzu wisiał gryzścy swśd prochu i echo kanonady. Delaguerra wstał powoli i skinśł lniścym rewolwerem na Drewa.

To pański bal, komisarzu. Tak pan go sobie wyobrażał?

Drew wolno skinśł głowś. Był blady i roztrzęsiony. Przełknśł linę i mijajśc zwłoki Aagea, podszedł do dziewczyny na sofie. Obrzucił jś wzrokiem, potrzśsnśł głowś i przyklęknśł koło Mastersa. Dotknśł go i wyprostował się.

Wyglśda na to, że wszyscy nie żyjś mrukñśł.

No i dobrze. A gdzie się podział wielkolud? Walimorda?

Kazali mu wyjć. Oni oni chyba nie chcieli cię zabić, Delaguerra.

Policjant lekko skinśł głowś. Rysy mu zmiękły, złagodniały. Jego twarz tam, gdzie nie maskowała jej krew odzyskała ludzki wyraz. Potarł jś chusteczkś materiał natychmiast zabarwił się na czerwono. Odrzucił chusteczkę i przecesał palcami zmierzwione włosy, tu i ówdzie zlepione zakrzepłś krwiś.

Nie chcieli, akurat!

Wokół panowała absolutna cisza. Z zewñstrz nie dochodziły żadne dźwięki. Drew nastawił uszu, pociśgnśł nosem i wyjrzał za drzwi. Ulica była ciemna, spokojna. Komisarz podszedł do Delaguerry. Na twarzy miał wypracowany umieszek.

To dopiero będzie szum skoro komisarz policji we własnej osobie musiał się wcielić w tajniaka, a zwykłego gliniarza trzeba było zawiesić, żeby mógł mu pomóc.

Policjant patrzył na niego bez wyrazu.

Więc to tak chce pan z tego wybrñść?

Głos komisarza brzmiał już spokojnie; rumieniec powrócił na jego twarz.

Człowieku, to jedyne wyjcie. Dla dobra policji, całego miasta i dla nas samych.

Delaguerra spojrzał mu prosto w oczy.

Mnie też to odpowiada powiedział martwym głosem. Pod warunkiem, że nie będzie żadnych zmian w tym scenariuszu.

13.

Marcus zahamował i umiechnśł się z uznaniem na widok wielkiego, otoczonego drzewami domu.

Ładnie tu, nie powiem. Sam bym tu chętnie pomieszkał.

Delaguerra wysiadł powoli, zdrętwiały i zmordowany. Kapelusz trzymał pod pachą. Gruby opatrunek z gazy i plaster przykrywały mu szwy na częściowo wygolonej lewej skroni. Sterczący ponad bandażem kosmyk czarnych kędzierzawych włosów stwarzał nieco komiczny efekt.

Nie wstąpię ale ja tu nie zamierzam zostać, głupolu. Zaczekaj na mnie.

Ruszył kamienną ciężką wijąc się wśród trawy. W porannym wietle drzewa rzucały długie cienie. Zaciśnięte żaluzje i czarna wstęga na mosiężnej kołatce podkreślały otaczając dom ciszę. Delaguerra nie podszedł do drzwi, lecz skręcił na ciężką biegnąc pod oknami, obok klombów mieczyków.

Na tyłach domu było więcej drzew, więcej trawy, więcej kwiatów, słońca i cienia. Był tam też staw z liliami wodnymi i wielką kamienną żabą na brzegu. Dalej stały półkolem krzesła ogrodowe i żelazny stolik z kamiennym blatem. Siedziała przy nim Belle Marr.

Miała na sobie prostą, lśniącą sukienkę w tonacji czarnobiałej. Kapelusz z szerokim rondem przykrywał jej kasztanowe włosy. Pobladała twarz podkreślała ostrość makijażu.

Powoli odwróciła głowę i z nikłym umiechem wskazała sąsiednie krzesło. Delaguerra nie usiadł. Wyciągnął słomkowy kapelusz spod pachy i pstryknął w rondo. Sprawa jest zamknięta odezwał się. Będzie ledźstwo, przesłuchania, pogróżki, paru pyskaczy zacznie szukać rozgłosu, takie tam rzeczy. Przez jakiś czas gazety będą o tym pisać na pierwszych stronach. Ale tak naprawdę akta są już zamknięte. Więc spróbuj, może uda ci się o tym zapomnieć.

Dziewczyna spojrzała na niego szeroko otwartymi błękitnymi oczami i odwróciła wzrok, patrząc na trawę.

Jak twoja głowa, Sam? spytała cicho.

Dziękuję, w porządku No więc to ta La Motte zastrzeliła Mastersa i Donnyego. Jakiś z kolei zabił Aage, a ja jego. Wszyscy sztywni Jak naprawdę zginął Imlay, tego się pewnie nie dowiemy, ale to już nie ma znaczenia.

A skąd wiedziałe, że to zwłoki Imlaya leżą w naszym domku? wtręciła Belle Marr spokojnie, nie patrząc na niego. W gazetach pisali Przerwała i wzdrygnęła się gwałtownie.

Policjant z kamienną twarzą wpatrywał się w kapelusz.

Nie wiedziałem. Ale doszedłem do wniosku, że Donnyego zabiła kobieta. Więc podejrzenie, że ten nad jeziorem to Imlay, miało ręce i nogi. Rysopis się zgadzał.

A skąd wiedziałe, że to kobieta zabiła Donnyego? spytała półszepem, z tęsknotą w głosie.

Po prostu wiedziałem.

Oddalił się o kilka kroków, spoglądając na drzewa. Po chwili wrócił i stanął koło niej. Z jego twarzy przebijało zmęczenie.

Przeżyliśmy razem wspaniałe chwile we troje. Ty, Donny i ja. Ale życie płała paskudne figle. Teraz już wszystko skończone wszystko, co dobre.

Może nie wszystko, Sam szepnęła. Będziemy się musieli częściej widywać, dużo częściej.

Cień umiechu przemknął mu po twarzy.

Dałem się zrobić stwierdził spokojnie. Mam nadzieję, że po raz pierwszy i ostatni.

Belle Marr poderwała głowę, zaciskając dłonie na poręczach krzesła. Jej biała skóra kontrastowała z lakierowanym drewnem. Dziewczyna wykanie zeszywniała.

Po chwili Delaguerra sięgnął do kieszeni i spojrzał posępnie na błyszczący przedmiot w ręku.

Zwrócili mi odznakę. Nie jest już taka czysta jak kiedy. Ale chyba nie gorsza niż większość. W każdym razie postaram się nie zabrudzić jej jeszcze bardziej. Schował ją z powrotem.

Dziewczyna wstała powoli. Stała przed nim, zadarła brodę i obrzuciła go przeciśniętym spojrzeniem. Jej twarz pod makijażem stanowiła białą, gipsową maskę.

Mój Boże, Sam zaczynam rozumieć.

Policjant patrzył sztywno przed siebie, unikając jej wzroku.

Tak błąknął wymijając, z rezerwą. Uznałem, że to była kobieta, bo strzelano z pistoletu małego kalibru, jakim mężczyźni rzadko kiedy się posługują. Ale nie tylko dlatego. Po wizycie w waszym domku wiedziałem, że Donny spodziewał się kłopotów, a więc mężczyźni nie mogli go sprzątnąć tak łatwo. A jednak wszystko pozornie wskazywało na Imlaya. W każdym razie Masters i Aage przyjęli, że to jego robota. Właśnie na ich polecenie adwokat Imlaya zawiadomił telefonicznie, że jego klient przyznaje się do winy i że rano stawi się do dyspozycji. Wszyscy, którzy nie wiedzieli, że Imlay nie żyje, dali się na to złapać, to całkiem zrozumiałe. Zwłaszcza że żaden policjant nie spodziewałby się po kobiecie, że pozbiera łuski. Kiedy Joey Chill opowiedział mi swoją historię, pomyślałem, że może zabójcą jest ta La Motte. Ale zarzucając jej to w ich obecności wcale już tak nie myślałem. To było zagranie poniżej pasa. Na dobrą sprawę zabiłem ją. Choć znalazłem tych przyjemniaczków i tak nie dałbym złamanego grosza za jej życie.

Belle Marr wpatrywała się w niego bez przerwy. Stała jak wryta i tylko kosmyk jej włosów powiewał na wietrze.

Delaguerra spojrzał na nią poważnie i odwrócił wzrok. Wyciągnął z kieszeni niewielki pęk kluczy i rzucił go na stół. Dopóki całkiem nie zmśdrzałem, miałem trzy zagwozдки: notatkę w terminarzu, pistolet w ręku Donnyego i brakujące łuski. Aż wreszcie wpadłem na to co i jak. Donny nie zginął od razu. Nie brakowało mu sprytu i korzystał z niego do samego końca żeby kogo osłonić. Notatka w terminarzu była trochę nieczytelna. Skreślił ją już po wszystkim, kiedy umierał w samotności. Myślał o Imlayu, a zapisanie jego nazwiska pozwoliło mu zmylić trop. Potem wyciągnął z szuflady pistolet, żeby umrzeć z bronią w ręku. Zostały już tylko łuski. Ale po jakim czasie i do tego doszedłem. Strzały padły z bliska, z drugiej strony biurka, na którym leżały książki. Właśnie tam spadły łuski, tak że mógł

je dosięgnąć. Z podłogi nie dałby rady ich pozbierać. Wród kluczy, które mi dała, był także klucz do jego biurka. Poszedłem tam wczoraj, póno w nocy. I znalazłem łuski w pudełku na cygara. Nikt ich tam nie szukał. W końcu człowiek znajduje tylko to, czego się spodziewa.

Przerwał i potarł szczękę. Po chwili mówił dalej:

Donny zrobił, co w jego mocy i umarł. Pięknie to wykombinował więc niech to się skończy po jego myli.

Belle Marr rozchyliła usta. Poczłtkowy bełkot dziewczyny szybko ułożył się w jasne, wyrane słowa: Nie przeszkadzało mi, że zadawał się z innymi, Sam. Rzecz w tym, co to były za kobiety Wzdrygnęła się. Jadę oddać się w ręce policji. Nie. Mówilem już, niech to się skończy po jego myli. Policji odpowiada taki stan rzeczy. To piękny obrót sprawy. Klika Mastersa i Aagea jest skończona. Drew znajdzie się na szczycie, ale jest za słaby, żeby się utrzymać, więc nie ma problemu Ty się do tego wszystkiego nie mieszaj. Masz robić to, czego chciał Donny trzymać się z dala od tej afery. Żegnaj.

Jeszcze raz spojrział szybko na jej białš, zdruzgotanš twarz, po czym odwrócił się i ruszył przez trawnik. Minšł staw z liliami wodnymi, kamiennš żabę i wzdłuż domu skierował się do samochodu.

Pete Marcus otworzył mu drzwi. Delaguerra wsiadł, rozparł się na siedzeniu i z odchyłonš do tyłu głowš zamknšł oczy.

Tylko nie szalej, Pete powiedział apatycznie. Głowa mi pęka.

Marcus zapalił silnik, zakręcił i ruszył De Neve Lane w kierunku miasta. Otoczony drzewami dom małał za nimi, aż w końcu całkiem zniknšł im z oczu.

Ujechali jeszcze spory kawałek drogi, nim Delaguerra znów otworzył oczy.

## KRÓL W ŻŁOTOGŁOWIU

1.

George Millar był wytworny w każdym calu, żyłasty i niewysoki. Pracował w hotelu Carlton na nocnej zmianie. Włanie mówił spokojnie miękkim, głębokim głosem szansonistki, choć jego oczy błyszczały gniewnie.

Stokrotnie przepraszam. Więcej się to nie powtórzy. Natychmiast kogo przyle.

Odłożył słuchawkę na pulpit centralki i szybko wyszedł z za szklanej przegrody do przedsionka. Minęła pierwsza w nocy, a klientela Carltona składała się w dwóch trzecich ze stałych mieszkańców. W głównym hallu, za trzema wšskimi stopniami, nocny portier skończył już sprzštać. W przestronnej sali nie było żywej duszy, jedynie przygaszone wiatła, matowe meble i kosztowny dywan. Gdzie obok cicho grało radio. Millar zszedł po schodkach i ruszył w kierunku ródła dźwięku. Skręcił w łukowate przejście i zmierzył wzrokiem mężczyznę na jasnozielonym tapczanie. Wyglądało na to, że uwalil się on na wszystkich wolnych poduszkach z całego hotelu leżał na boku i z rozmarzonym

wzrokiem słuchał muzyki ze stojącego dwa metry dalej radia.

Hej, ty tam! warknął Millar. Masz tu etat detektywa hotelowego czy hotelowego kota?

Steve Grayce powoli odwrócił głowę. Był to wysoki mężczyzna o czarnych włosach, głęboko osadzonych spokojnych oczach i łagodnym wykroju ust. Miał około dwudziestu omiu lat. Wskazał kciukiem odbiornik i umiechnął się.

Król Leopardi, George. Posłuchaj tylko tej trębki. Dźwięk aksamitny jak skrzydło anioła.

No i dobrze! Wracaj na górę i usuń go z korytarza!

Steve Grayce był wyranie zaskoczony.

Co takiego znowu? Myślałem, że po mojej ostatniej wizycie ptaszki poszły grzecznie spać. Opucił nogi na podłogę i wstał. Przewyższał Millara przynajmniej o głowę.

Osiem szesnacie twierdzi, że nie. Osiem szesnacie twierdzi, że lata po korytarzu w samych spodenkach i z puzonem i że urządził sobie z dwoma przydupasami sesję jazzowś. A jedna z tych dziwek, które Quillan ulokował w osiem jedenacie, odstawia tam dla nich balet. Bierz się do roboty, Steve ale tym razem ma być spokój.

Detektyw umiechnął się kwano.

Leopardi i tak tu nie pasuje stwierdził. Mogę go potraktować chloroformem, czy wystarczy pałkś?

Wielkimi krokami przemierzył jasnozielony dywan, skręcił w łukowate przejście i po drugiej stronie hallu wsiadł do jedynej windy, która była otwarta i owietlona. Zamknął drzwi, wjechał na ósme piętro, raptownie zatrzymał kabinę i wyszedł na korytarz.

Hałas uderzył go niczym nagły podmuch wiatru. ciany dudniły echem. Z uchylonych drzwi kilku pokoi wyglądali rozwścieczeni gocie hotelowi w nocnych strojach.

Wszystko w porzśdku, kochani rzucił Steve popiesznie. Nie denerwujcie się, tym razem to już ostatni akt.

Za rogiem ogłuszajśca muzyka niemal zbiła go z nóg. Obok drzwi, z których padało wiatło, stało przy cianie trzech mężczyzn. Ten w rodku puzonista był mocno zbudowany, miał szeć stóp wzrostu, cienki jak kreska wśsik i kocie ruchy. Jego oczy błyszczwały z przepicia na tle zaczerwienionej twarzy. Za cały strój służyły mu tylko żółte atlasowe spodenki z wielkim, czarnym monogramem na lewej nogawce. Nic więcej. Nagi tors był opalony.

Pozostali dwaj występowali w piżamach typowi, ani ładni, ani brzydcy muzycy orkiestrowi, obaj pijani, ale nie zalani w pestkę. Jeden z nich pitołił zawzięcie na klarncie, a drugi wtórował mu na saksofonie tenorowym.

Przed nimi platynowa blondynka drobiła dumnymi kroczkami, podrygiwała i wdzięczyła się jak paw.

Wyginajšc brwi i ręce, aż niemal dotykała ramion karminowymi paznokciami, kołysała się i plšsała w takt muzyki. Jej głos przypominał ochrypy rechot; był wyprany z melodii, fałszywy jak jej rzęsy i ostry jak jej paznokcie. Nosiła pantofle bez pięt, na wysokich obcasach, i czarnš piżamę z długš purpurowš szarfš.

Steve Grayce zatrzymał się w pół kroku i gwałtownie machnšł rękš.

Zwijac żagle! warknšł. Będzie tego. Dajcie sobie siana. Zbierać zabawki i do domu. Przedstawienie skończone. Spadać stšd, ale juź!

Król Leopardi odessał się od puzonu.

Fanfara na czeć hotelowego tajniaka! ryknšł.

Trzej pijaczkowie zagrali urywany motyw, od którego zadrzały ciany. Dziewczyna rozemiała się głupkowato i machnęła nogš. Pantofel trafił detektywa w pier. Steve złapał go, nim zdšżył upać, podskoczył do dziewczyny i chwycił jš za rękę.

Taka ostra? rzucił z umiechem. Ciebie odstawię w pierwszej kolejności.

Brać go! wrzasnšł Leopardi. Przyładujcie mu w bebech! Skręćcie ledziowi kark!

Steve porwał dziewczynę pod pachę i popędził. Niósł jš jak paczkę, bez wysiłku. Próbowwała kopać go po nogach. Rozemiał się i mijajšc otwarte drzwi, zerknšł do apartamentu. Pod komodš stały męskie bršzowe buty z juchtowej skóry. Dobiegł do następnego otwartego pokoju, wpadł do rodka, zatrzasnšł drzwi kopniakiem i odwrócił się, by przekręcić w zamku klucz hotelowy. W samš porę. Prawie natychmiast kto zaczšł się dobijać. Detektyw nie zareagował.

Wepchnšł dziewczynę krótkim korytarzem obok łazienki do pokoju i pucił jš. Zatoczyła się i odsunęła od niego. Oparta plecami o komodę, dyszała ciężko, przeszywajšc go wciekłym wzrokiem. Kosmyk mokrych platynowych włosów opadł jej na oko. Gwałtownie potrzšsnęła głowš i odsłoniła zęby.

Nie chcesz przypadkiem trafić do mamra za włóczęgostwo, siostrzyczko? Id do diabła! Splunęła na niego. Król jest moim przyjacielem, kapujesz? Trzymaj lepiej łapy przy sobie, ty szpiclu.

Chłopaki zabrali cię w trasę?

Znów go opluła.

Skšd wiedziała, że tu będš?

Na łóżku, z głowš przy cianie, leżała druga dziewczyna. Rozczochrane czarne włosy przesłaniały jej bladš twarz. Miała rozdartš nogawkę piżamy. Leżała bez sił, pojękujšc.

Oho, stary numer z podartš piżamš rzucił ostro detektyw. Tutaj nikt się na to nie nabierze, siostrzyczko. Uważajcie, dziewczyny. Macie do wyboru albo pójć grzecznie spać i zostać do rana, albo wyfrunšć od razu. Jak wolicie.

Brunetka jęknęła.

Wyno się z mojego pokoju, ty ledziu! krzyknęła blondynka.

Sięgnęła za siebie i cisnęła w niego stojącym na komodzie lustrem. Steve uchylił się. Lustro uderzyło w cianę i nie tłukąc się, spadło na podłogę. Brunetka przekręciła się na łóżku.

Dajcie mi więty spokój! wystękała. Jestem chora.

Leżała z zamkniętymi oczami; jej powieki drgały.

Blondynka kołysząc biodrami przeszła na drugą stronę pokoju. Stała przy biurku pod oknem, naląła sobie pół szklanki whisky i wypła duszkiem, zanim Steve zdążył ją powstrzymać. Zaniósła się gwałtownym kaszlem, wypuciła naczynie z ręki i opadła na czworaki.

Trzeba było aż tego, żeby cię rzucić na kolana? rzekł Steve ponuro.

Dziewczyna gramoliła się na czworakach, potrzebując głowę. Czknęła, jak gdyby zbierało jej się na wymioty, i podniosła karminowe paznokcie do ust. Spróbowała wstać, poliznęła się i upadła na bok. Zasnęła prawie natychmiast.

Steve westchnął, podszedł do okna i zamknął je. Przeturlał brunetkę na skraj łóżka, ułożył ją prosto i wyciągnął spod niej kołdrę. Wsunął jej poduszkę pod głowę, przeniósł zewłok blondynki z podłogi na łóżko i przykrył obie dziewczyny po szyję. Otworzył lufcik, zgasił wiatło i wyszedł, zamykając za sobą drzwi kluczem uniwersalnym.

Nie ma to jak pracować w hotelu mruknął pod nosem.

Na korytarzu nie było już nikogo. Tylko z jednych otwartych drzwi wciąż padało wiatło spod numeru 815, dwa pokoje dalej. Dolatywał stamtąd dźwięk puzonu cichy, ale i tak za głośny jak na pierwszą dwadzieścia pięć w nocy.

Steve Grayce wszedł do rodka, barkiem zatrzasnął drzwi i minął łazienkę. Król Leopardi był sam.

Siedział rozparty w fotelu, z oszronioną szklanką pod ręką, i grał, zataczając puzonem małe kółka. wiatło odbijało się od instrumentu.

Steve zapalił papierosa, wypucił chmurę dymu i spojrzał na muzyka ni to z podziwem, ni to z pogardą.

Ga wiatło, ty w żółtych portkach rozkazał. Na trębce grasz bosko, a i od twojego puzonu uszy nie bolą. Ale nie czas i miejsce na to. Mówiłem ci już. Więc daj spokój i odłóż instrument.

Leopardi umiechnął się wrednie i zagrał urywany motyw. Zabrzmiało to niczym diabelski chichot.

Mów do mnie jeszcze parsknął. Leopardi robi, co chce, gdzie chce i kiedy chce. I nikt nigdy mu w tym nie przeszkodził, ledziu. Id się przewietrz.

Steve zgarbił się w ramionach i przysunął do wysokiego, niadego mężczyzny.

Odłóż tę fujarę, ważniaku powiedział spokojnie. Ludzie chcś spać. Tacy już sś dziwni. Wielki to ty mozesz być na estradzie. Ale poza niś jeste po prostu zwykłym facetem, co to ma kupę szmalu i reputację, która mierdzi jak stśd do Miami i z powrotem. Mam swojś robotę i włanie jś wykonuję. Więc dmuchnij jeszcze raz, a owinę ci szyję tś trśbś.

Leopardi opucił puzon i pociśgnął solidny łyk ze szklanki. W jego oczach migotały złoliwe błyski. Znów podniósł instrument do ust, nabrał powietrza i zadśł, aż zatrzęśły się ciany. Nagle wstał płynnie i zdzielił Stevea puzonem w głowę.

Nie znoszę hotelowych szpicli! warknśł. Cuchnś jak szalet publiczny.

Steve cofnśł się o krok i potrzśsnśł głowś. Umiechnśł się złoliwie, wysunśł nogę do przodu i uderzył muzyka otwartś dłoniś. Cios wydawał się lekki, a jednak Leopardi zataczajśc się przeleciał przez pokój i siadł na podłodze u wezğłowia łóżka. Prawś rękę oparł na otwartej walizce.

Na chwilę obaj znieruchomieli. Wreszcie Steve kopniakiem odtrścił puzon i zdusił papierosa na szklanej tacy. Jego czarne oczy były pozbawione wszelkiego wyrazu, lecz umiechnięte usta błyskały bielś.

Jeli szukasz guza, to chętnie ci go nabiję powiedział.

Leopardi umiechnśł się blado, z napięciem, i wyciśgnśł prawś rękę z walizki. Trzymał w niej pistolet. Kciukiem odsunśł bezpiecznik i wycelował pewnie.

To nabij mi tym odparł i wypalił.

W zamkniętym pomieszczeniu ostry huk wystrzału zabrzmiał jak grzmot. Z lustra na cianie posypały się odłamki szkła. Jeden z nich, niczym brzytwa, przeciśł detektywowi policzek. Po twarzy spłynśł mu cienki czerwony strumyczek krwi.

Steve skoczył szczupakiem. Prawym barkiem wyrznśł Leopardiego w nagś pier, a jednocześnie lewś rękś wyrwał mu broń i cisnśł jś pod łóżko. Przetoczył się szybko na bok i przyklęknśł.

Trafiła kosa na kamień, bracie rzucił ochryple.

Zwarł się z przeciwnikiem, złapał go za włosy i ciśgnśc z całej siły, poderwał go na nogi. Leopardi wrzasnśł i dwukrotnie uderzył detektywa w szczękę. Steve tylko się umiechnśł, nadal ciśgnśc lewś rękś długie, przylizane czarne włosy. Odgiśł głowę Leopardiego tak, że trzeci cios trębacza zaledwie musnśł go w ramię, chwycił cofajścś się rękę i wykręcił. Muzyk wyjśc osunśł się na kolana. Steve podniósł go w ten sam sposób, co przedtem, pucił jego nadgarstek i trzy razy zaprawił go w brzuch krótkimi, zdradliwymi pchnięciami. Przy czwartym uderzeniu, wbijajśc rękę niemal po nadgarstek, pucił włosy jazzmana.

Leopardi osunśł się na kolana i zwymiotował. Steve przeszedł do łazienki, wrócił z ręcznikiem i rzucił go muzykowi. Następnie wtaszczył otwartś walizkę na łóżko i zabrał się do pakowania.



Leopardi wytarł twarz i wstał. Wciśz zbierało mu się na wymioty. Zatoczył się i oparł o komodę. Był biały jak płótno.

Ubieraj się albo wychod tak jak stoisz polecił Steve. Mnie tam wszystko jedno.

Leopardi chwiejnie ruszył do łazienki, trzymajśc się ciany jak lepiec.

2.

Gdy otworzyły się drzwi windy, Millar stał za ladš recepcji sztywny jakby kij połknšł. Twarz miał pobladłš, wystraszonš; jego przystrzyżone czarne wšsy tworzyły ciemnš smugę nad górnš wargš. Pierwszy wysiadł z windy Leopardi, z szalikiem na szyi, lekkim płaszczem przerzuconym przez ramię i w zsuniętym na bakier kapeluszu. Pochylony do przodu, kroczył sztywno z pustkš w oczach i zzieleniałš twarzš.

Za nim wyszedł Steve Grayce z walizkš, a na końcu Carl, nocny portier, z dwiema dalszymi walizkami i dwoma skórzanymi futerałami na instrumenty. Steve skierował się do recepcji.

Rachunek pana Leopardi jeli w ogóle co płaci rzucił ochryple. Wymeldowuje się.

Millar wybałuszył na niego oczy zza marmurowej lady.

Ch chyba nie, Steve

Nie ma sprawy. Tak też mylałem.

Leopardi umiechnšł się blado, nieprzyjemnie i wyszedł przez okute mosiřdzem drzwi wahadłowe, które przytrzymał mu usłuzny portier. Przed hotelem stały dwie nocne taksówki. Jedna z nich ożyła i podjechała przed wejście. Gdy portier załadował bagaże, Leopardi wsiadł do samochodu i nachylił się do opuszczonej szyby.

Żal mi cię, ledziu powiedział wolno, ochryple. Naprawdę mi cię żal.

Steve Grayce cofnšł się i obrzucił go kamiennym wzrokiem. Taksówka oderwała się od krawężnika, skręciła za róg i zniknęła z widoku. Steve zawrócił na pięcie, wyciřgnšł z kieszeni ćwierć dolara, podrzucił monetę i wcisnšł jš portierowi do ręki.

To od Króla wyjanił. Będiesz miał co pokazywać wnukom, jeli jej nie wydasz.

Wrócił do hotelu, nie patrzc na Millara wsiadł do windy i pojechał na ósme piętro. Kluczem uniwersalnym otworzył drzwi pokoju Leopardiego i zamknšł je od rodka. Odsunšł łóżko od ciany, podniósł z dywanu pistolet kalibru 0.32 i schował go do kieszeni. Zlustrował podłogę w poszukiwaniu łuski. Leżała obok kosza na mieci. Schylajśc się po niš, zajrzał do rodka i znieruchomiał. Zacisnšł usta. Podniósł łuskę, odruchowo wrzucił jš do kieszeni i wyciřgnšł ze mieci strzęp papieru, na którym naklejono wycięte z gazet litery. Wrócił do łóżka, przesunšł je z powrotem do ciany i wysypał na nie zawartoć kosza.

Ze sterty papierów i zapalek wybrał skrawki papieru z ponaklejanymi literami i usiadł z nimi przy biurku. Wkrótce złożył je w całość niczym układankę i przeczytał tekst, na który składały się wycięte z gazet litery i całe słowa:

Taaak mruknął. Zgarnął skrawki papieru do koperty firmowej, schował ją do wewnętrznej kieszeni i zapalił papierosa. Facet ma ikrę, trzeba mu to przyznać no i jego tršbce!

Zamknął pokój, przez chwilę nasłuchiwał w ciszy korytarza, po czym ruszył do pokoju dziewczyn. Zapukał cicho i przyłożył ucho do drzwi. Usłyszał skrzypnięcie krzesła i zbliżające się kroki.

Kto tam? dobiegł go zimny, ani trochę nie zaspany głos. Nie był to głos blondynki.

Detektyw hotelowy. Chciałbym z paniš chwilę porozmawiać.

Włanie to robisz.

Ale nie przez drzwi, jeli łaska.

Masz wytrych. Sam sobie otwórz.

Kroki oddaliły się. Steve skorzystał z klucza uniwersalnego, cicho wszedł do pokoju i zamknął drzwi. Na biurku stała lampa z marszczonym abażurem. W jej ciemnym wietle dostrzegł blondynkę na łóżku. Chrapała głono, z jednš rękš zanurzonš w błyszczšcych platynowych włosach. Brunetka usiadła na krzele przy oknie, skrzyżowała nogi po męsku i spojrzała na detektywa pustym wzrokiem.

Podszedł do niej i wskazał rozdartš nogawkę piżamy.

Pani nie jest chora. Nie była pani pijana. To rozdarcie jest stare jak wiat. Co jest grane? Chciałycie oskubać Króla?

Dziewczyna zmierzyła go lodowatym wzrokiem i bez słowa zacišgnęła się papierosem.

Włanie się wymeldował, więc nic z tego nie będzie, siostrzyczko cišgnął Steve, nie odrywając od niej przenikliwego spojrzenia.

Ech, wy hotelowi tajniacy, rzygać mi się chce, jak na was patrzę! rzuciła gniewnie brunetka. Zerwała się z krzesła, przeszła obok detektywa i zamknęła się w łazience.

Steve wzruszył ramionami i zbadał tętno pišcej dziewczyny nierówny, dudnišcy puls, puls alkoholowy.

Źałosne dziwki mruknął pod nosem.

Spojrzał na wielkš, ciemnoczerwonš torbę leżšcš na komodzie, podniósł ją odruchowo i upucił. Jego twarz znów stężała. Torba stuknęła o szklany blat, jak gdyby zawierała bryłę ołowiu. Otworzył ją

szybko i sięgnął do rodka. Palcami namacał zimny metal. Otworzył torbę szerzej i wlepił wzrok w mały pistolecik kalibru 0.25. Jego uwagę przyciągnęła biała kartka. Wyciągnął ją i przysunął do wiatła było to pokwitowanie za czynsz, z nazwiskiem i adresem. Schował kartkę do kieszeni, zamknął torbę i kiedy dziewczyna wróciła z łazienki, stał już przy oknie.

Cholera, jeszcze tu jesteś? warknęła. Wiesz, co spotyka hotelowych szpicli, którzy z wytrychem pchają się po nocy do damskich sypialni?

Ehe odparł Steve swobodnie. Majś kłopoty. A czasem mogś nawet zarobić kulkę.

Twarz brunetki znieruchomiała, lecz jej wzrok uciekł w stronę czerwonej torby. Steve nie spuszczał dziewczyny z oka.

Znasz Leopardiego jeszcze z Frisco? zapytał. Tutaj nie grał już od dwóch lat. Wtedy był jeszcze zwykłym trębaczem w zespole Vanea Utigorea to taka marna kapela.

Dziewczyna wydeła wargi, przeszła obok niego i znowu usiadła przy oknie. Twarz miała bladś, nieruchomś.

Blossom go zna wyjaniła stłumionym głosem. Blossom to ta na łóżku.

Wiedziałyście, że dzi zatrzyma się u nas?

A co cię to obchodzi?

Nie wyobrażam go sobie w takim hotelu. To spokojne miejsce. Więc nie bardzo sobie wyobrażam, żeby kto przyjeżdżał go szantażować akurat tutaj.

Id sobie wyobrażać gdzie indziej. Chce mi się spać.

Dobranoc, złotko pożegnał się Steve. I zamknij dobrze drzwi.

Chudzielec o rzadkich blond włosach i wśkiej twarzy stał obok recepcji, bębniśc w marmur kocistymi palcami. Millar wciśz tkwił za ladś i wciśz był blady i wystraszony. Chudzielec miał na sobie ciemnoszary garnitur z fularem pod kołnierzem marynarki. Sprawiał wrażenie, jakby dopiero co wstał z łóżka. Powoli odwrócił niebieskozielone oczy i patrzył, jak Steve wysiada z windy, podchodzi do recepcji i rzuca na ladę klucz.

Klucz Leopardiego, George odezwał się detektyw. Lustro w pokoju jest stłuczone, a na dywanie została jego kolacja głównie whisky. Spojrzał na chudzielca. Chciał się pan ze mnś zobaczyć, panie Peters? Co się stało, Grayce? Blondyn mówił takim tonem, jakby nie spodziewał się usłyszeć niczego prócz kłamstw.

Leopardi zainstalował się z dwoma kolesiami na ósmym, a reszta zespołu na piśtym. Ci z piśtego poszli spać. Ale dwie ewidentne dziwki załatwiły sobie jako pokój prawie drzwi w drzwi z Leopardim, skumały się z nim i całe towarzystwo wyległo na korytarz. Ubaw był przedni. Nie mogłem się cackać, jeli miałem z tym skończyć.

Ma pan krew na policzku stwierdził zimno Peters. Niech pan jš zetrze.

Steve potarł twarz chusteczkš. Cienki strumyczek krwi juŹ zasechł.

Odstawiłem dziewczyny do pokoju podjšł detektyw. Dwaj kolesie zwšchali, co się więci, i zwinęli manatki, ale Leopardi dalej mylał, że nasi gocie nie majš nic lepszego do roboty, jak słuhać jego puzonu. Więć zagroziłem, że mu zawišzę tę tršbę na szyi, a on walnšł mnie niš w głowę. No to trzasnšłem go na odlew, na co sięgnšł po spluwę i strzelił do mnie. To włanie ten pistolet.

Wycišgnšł z kieszeni trzydziestkę dwójkę i położył jš na ladzie, razem z łuskš.

Wobec tego wbiłem mu trochę rozumu do głowy i wyrzuciłem go z hotelu zakończył.

Peters zabębnił w marmur.

Jak widzę, postšpił pan z właciwym sobie taktem.

Steve wlepił w niego wzrok.

On do mnie strzelił powtórzył spokojnie. Z tego pistoletu. Nie jestem kuloodporny. Na szczęście spudłował, ale gdyby tak trafił? Lubię swój brzuch takim, jakim jest, z jednym tylko wlotem i wylotem.

Peters zmarszczył bršzowe brwi.

Na licie płac figuruje pan jako nocny recepcjonista, bo nie lubimy nazwy detektyw hotelowy wyjanił uprzejmie. Ale ani recepcjonista, ani detektyw hotelowy nie ma prawa wyrzucać naszych goci bez uzgodnienia tego ze mnš. W żadnym wypadku, panie Grayce.

Człowieku, ten facet do mnie strzelił. Z pistoletu. Rozumiemy się? Gdzie jest powiedziane, że mam puszczać takie rzeczy płazem? Jego twarz pobladła.

Niech pan wemie pod uwagę jeszcze i to, że głównym udziałowcem tego hotelu jest pan Halsey G. Walters cišgnšł Peters. Pan Walters jest również włacicielem klubu Shalotte, gdzie w rodę wieczorem Król Leopardi rozpoczyna występy. I włanie dlatego, panie Grayce, Leopardi zaszczycił nas swojš obecnościš. Czy pańskim zdaniem miałbym panu jeszcze co do powiedzenia?

Ehe. Źe jestem zwolniony odparł Steve niewesoło.

Bardzo słusznie, panie Grayce. Dobranoc panu.

Chudy blondyn wsiadł do windy i portier zawiózł go na górę. Steve spojrział na Millara.

Słoń Walters, co? rzucił cicho. Twardziel i lepszy cwaniak. Taki spryciarz dobrze wie, że ta buda i klub Shalotte majš cokolwiek innš klientelę. Czy to Peters zaprosił do nas Leopardiego?

Chyba tak, Steve odrzekł Millar cichym, posepnym głosem.

To dlaczego nie dostał apartamentu z prywatnym tarasem, gdzie mógłby tańczyć do upadłego, za dwadzieścia osiem dolców dziennie? Dlaczego ulokowano go na rednio drogim piętrze dla przyjezdnych? I dlaczego Quillan zakwaterował te dziewczyny tak blisko niego?

Millar szarpał czarnego wśsa.

Pewnie lubi pieniądze nie mniej niż szkockś. A jak to było z dziewczynami, tego nie wiem.

Steve trzasnął w ladę otwartś dłoniś.

Jednym słowem wyleciałem dlatego, że nie pozwoliłem jakiemu pijaczynie przerobić ósmego piętra na burdel i strzelnicę. Bez sensu! A jednak będzie mi brak tej budy.

Mnie też będzie ciebie brak, Steve rzekł Millar łagodnie. Ale to dopiero za kilka dni. Od jutra biorę tydzień urlopu. Mój brat ma domek w Crestline.

Nie wiedziałem, że masz brata mruknś detektyw z roztargnieniem. Przez cały czas otwierał i zaciskał pięć na marmurowej ladzie.

On rzadko zagłśda do miasta. Kawał chłopca, ten mój brat. Kiedy był zawodowym bokserem.

Grayce skinś głowś i wyprostował się.

No nic, trzeba przeczekać do rana powiedział. Na plecach. Schowaj gdzie tę pukawkę, George.

Umiechnś się zimno, zszedł po schodkach do pogrśżonego w mroku głównego hallu i zniknś w pokoju, gdzie grało radio. Poprawił poduszki na jasnozielonym tapczanie i sięgnś do kieszeni po skrawek papieru, który zabrał z torby brunetki. Było to pokwitowanie tygodniowego czynszu, wystawione pannie Marilyn Delorme, zamieszkałej przy Court Street 118, Ridgeland Apartments 211.

Schował kartkę do portfela i wlepił wzrok w milczścy radioodbiornik.

Zdaje się, Steve, że znalazł nowś robotę mruknś sam do siebie. Co mi w tym wszystkim mierdzi.

Wcisnś się do przypominajścej szafkę budki telefonicznej w rogu pokoju, wrzucił pięć centów do automatu i wybrał numer całonocnej stacji radiowej. Dopiero za czwartym razem uzyskał połączenie ze spikerem programu Tylko dla asów.

Moglibyście powtórzyć Samotność Króla Leopardiego? poprosił.

To już szło dwa razy, a mam tu całś stertę zamówień. Kto dzwoni?

Steve Grayce, detektyw z nocnej zmiany w Carltonie.

Oho, trzewy facet przy pracy. Dla ciebie, stary, wszystko.

Steve wrócił do tapczanu, włączył radio i położył się na plecach, splatając ręce pod głowę.

Dziesięć minut później z odbiornika doleciał wysoki, przesywający, a zarazem miękki dźwięk trąbki Króla Leopardiego, wyciszony niemal do szeptu. Niewiarygodnie zawieszony E nad wysokim C zdawało się rozbrzmiewać w nieskończoność.

Psiakrew! burknął detektyw, gdy melodia dobiegła końca. Facet tak gra, że bo ja wiem? może i byłem dla niego za ostry.

3.

Court Street, przecinając szczyt Bunker Hill, zamieszkiwali starcy i włoscy emigranci, drobni kanciarze i niedoszli artyści. Można tu było znaleźć ludzi wszelkiej maci i zawodu obdartych wyrzutków z lepszych dzielnic miasta i dekujących się przestępców, panienki lekkich obyczajów i klientów opieki społecznej, toczących wieczną wojnę z zasuszonymi właścicielkami starych domostw wyposażonych w bogato zdobione werandy, parkiety i olbrzymie półkoliste obręcze z białego dębu, mahoni i orzecha włoskiego.

Niegdyś okolica Bunker Hill była wcale sympatyczna, a z czasów jej wietności do dziś zachowała się mieszna kolejka linowa, zwana Anielskim lotem, która pełzała tam i z powrotem po żółtym gliniastym stoku górującym nad Hill Street. Było już po południu, gdy z wagoniku na szczycie wzgórza wysiadł jedyny pasażer i ruszył w słońcu przed siebie: wysoki, barczysty i smukły mężczyzna w dobrze skrojonym niebieskim garniturze Steve Grayce.

Przy Court skręcił na zachód, sprawdzając numery domów. Ten, którego szukał, był zaraz za rogiem, naprzeciw budynku z czerwonej cegły. W zasłoniętych kotarś drzwiach, pod złotym szyldem z napisem: Zakład Pogrzebowy Paolo Perruginiego, stał niady, szpakowaty Włoch w żakiecie. Palił papierosa, czekając, aż kto umrze.

Dom pod numerem sto osiemnastym był drewniany. Miał trzy kondygnacje, szklane drzwi, ledwie widoczne zza brudnej firanki, a w korytarzu szeroki na pół metra chodnik, ciemne numery wymalowane na ciemnych drzwiach i w głębi schody. Mosiężne pręty podtrzymujące chodnik na stopniach błyszcząły w mroku.

Steve Grayce wszedł na samą górę i zagłębił się w korytarz. Mieszkanie numer 211, zajmowane przez pannę Marilyn Delorme, leżało po prawej, od frontu. Detektyw zapukał do drzwi, odczekał chwilę i zastukał ponownie. Za drzwiami, jak i w całym korytarzu, panowała cisza. W mieszkaniu naprzeciwko kto zaniósł się kaszlem.

Steve czekał w półmroku, zastanawiając się, po co właściwie przyszedł. Panna Delorme nosiła broń. Leopardi dostał list z pogrózkami, podarł go i wyrzucił. Panna Delorme, dowiedziawszy się o wyjedzie Króla wymeldowała się z Carltona w ciągu godziny. A jednak

Wyjął skórzany futerał na klucze i obejrzał zamek. Na oko nie powinien się specjalnie opierać. Podłubał więc w nim, odsunął zasuwkę i cicho wszedł do pokoju, zamykając za sobą drzwi tylko na

klamkę, bo od wewnątrz wytrych nie chciał ruszyć zamka.

Zasłony w obu oknach były zaciśnięte, toteż w mieszkaniu panował półmrok. W powietrzu unosił się zapach pudru. Stało tam parę mebli utrzymanych w jasnych kolorach. Składane podwójne łóżko było rozłożone, lecz zasłane. Leżało na nim jakie czasopismo, szklana popielniczka pełna niedopałków i na wpół opróżniona półlitrowka whisky. Obok, na krzele, stała szklanka. Dwie poduszki, które kto podkładał sobie pod plecy, wciśz jeszcze były wgniecione.

Na komodzie walały się rozmaite kosmetyki, ani tanie, ani drogie, grzebień z wplśtanymi czarnym włosami oraz zasypana pudrem taca z przyborami do manicure. W łazience nie było nic. W szafie za łóżkiem wisiała masa ciuchów i stały dwie walizki. Wszystkie buty były tego samego rozmiaru.

Steve stanł przy łóżku i uszczypnł się w policzek.

Blossom, blondynka plujka, tu nie mieszka mruknł pod nosem. Tylko Marilyn, brunetka w podartej piżamie.

Znów podszedł do komody i wyciśgnł szuflady. W najniższej, pod wyciółkś z tapety, znalazł pudełko amunicji do pistoletu kaliber 0.25. Naboje miały koszulki ze stopu miedzi i niklu. Pogmerał w popielnicze. Na ustnikach wszystkich niedopałków widniały lady szminki. Znowu uszczypnł się w policzek i pomachał rękś. Wyglśdało to, jak gdyby wiosłował w powietrzu.

Nici szepnł sam do siebie. Tracisz tylko czas, Stevie.

Podszedł do drzwi, złapał za klamkę, lecz nagle pucił jś, wrócił do łóżka i podniósł je za oparcie.

Okazało się, że panna Marilyn Delorme była jednak w mieszkaniu.

Leżała pod łóżkiem, na boku, z nogami skrzyżowanymi jak podczas biegu. Na jednej stopie miała pantofel, druga była bosa. Tam, gdzie kończyły się pończochy, widać było podwiśzki, a dalej ciało i niebieskś różyczkę na różowym tle. Dziewczyna miała na sobie niezbyt czystś sukienkę z dekoltem w karo, bez rękawów. Jej szyję znaczyły fioletowe sińce.

Twarz kobiety przybrała barwę przejrzałej liwki, a oczy zachowały po mierci lekki matowy blask. Szeroko otwarte usta skracały optycznie jej twarz. Dziewczyna była zimna jak lód, a jednocześnie zupełnie miękka. Nie żyła od co najmniej dwóch, trzech godzin, a co najwyżej od szeciu.

Ciemnoczerwona torba, równie szeroko otwarta jak usta panny Delorme, leżała tuż obok. Steve nie dotknł żadnego z rozsypanych drobiazgów. Nie było wśród nich broni ani papierów.

Opucił łóżko z powrotem i obszedł całe mieszkanie, wycierajśc wszystko, czego dotykał, a także na wszelki wypadek mnóstwo innych rzeczy.

Przez chwilę nasłuchiwał przy drzwiach, po czym wyszedł. W korytarzu nadal nie było nikogo. Mężczyzna w mieszkaniu naprzeciwko wciśz kaszłał. Steve zszedł na parter, obrzucił wzrokiem skrzynki na listy i skierował się do drzwi w głębi korytarza, zza których dobiegało monotonne skrzypienie krzesła.

Zapukał, a słysząc w odpowiedzi ostry kobiecy głos, nacisnął klamkę przez chusteczkę i wszedł do mieszkania.

Na rodku pokoju jaka kobieta kołysała się w starym bujaku. Spoczywała na nim bezwładnie, jak gdyby jej ciało było pozbawione koci, całś swojsz postawš demonstrujšc krańcowe wyczerpanie. Twarz o barwie złota, opadajšce strškami włosy i szare bawełniane pończochy sprawiały, że mogła uchodzić za wzór właścicielki hoteliku z Bunker Hill. Kiedy spojrzała na Stevea, w jej wzroku malowało się tyle zainteresowania, co w oczach niętej złotej rybki.

Pani tu jest właścicielkš?

Kobieta przestała się bujać.

Hej, Jake! Gocie! wrzasnęła na cały głos i znowu zaczęła się kołysać.

Za uchylonymi drzwiami prowadzšcymi do sšsiedniego pomieszczenia kto z trzaskiem zamknšł lodówkę i do pokoju wszedł zwałisty mężczyzna z puszkš piwa w ręku. Miał nalanš twarz kretyna, kępkę kłaków na czubku skšdinšd łysej głowy, kark byka i wysunięts brodę oraz piwne wińskie oczka, równie wyprane z wszelkiego wyrazu jak oczy kobiety. Juž poprzedniego dnia stanowczo powinien był się ogolić. Koszula bez kołnierzyka dosłownie pękała w szwach na jego potężnej, włochatej piersi. Olbrzym nosił jasnoczerwone szelki z wielkimi, złoconymi klamrami.

Wycišgnšł puszkę piwa do kobiety, która czym prędzej wyrwała mu jš z ręki.

Takżem się namęczyła, że nie mam głowy do interesów poskarżyła się.

Normalka. Ale w korytarzu to chyba mogła posprzštać?

Tak posprzštałam, jak mi się chciało odburknęła i łapczywie przyssała się do puszki.

Steve spojrzał na mężczyznę.

Pan tu szefuje?

Jasne, że ja. Jake Stoyanoff, sto trzydzieci osiem kilo w samych gaciach i wcišz jeszcze w pełnej formie.

Kto mieszka w dwiecie jedenacie?

Olbrzym zgišł się w pasie, pochylił do przodu i strzelił szelkami. Jego oczy nie zmieniły wyrazu, może tylko skóra na wydatnej szczęce nieco się napięła.

Panienska.

Sama?

Dalej, pytaj pan rzekł wielkolud. Wycišgnšł łapsko i ze skrajy wielokrotnie przypalanego stołu



podniósł cygaro. Paliło się nierówno, wydzielając smród, jak gdyby kto pucił z dymem słomiankę. Olbrzym wsadził je sobie do ust jednym silnym pchnięciem, zapewne przewidując, że jego wargi zbuntują się przeciwko takiemu gościowi.

Włanie to robię odparł detektyw.

To chod pan się pytać do kuchni wycedził Stoyanoff.

Odwrócił się i przytrzymał drzwi, przepuszczając gościa przodem. Steve przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia.

Przy akompaniamencie skrzypienia bujaka wielkolud kopniakiem zatrzasknął drzwi i wyciągnął z lodówki dwie puszki piwa. Otworzył je i podał jedną detektwowi.

Tajniak?

Steve upił łyczek, odstawił puszkę do zlewu i wyszedł z portfela nowiutki bilet wizytowy, który rano odebrał z drukarni. Pokazał go olbrzymowi.

Ten przeczytał, odłożył wizytówkę na skraj zlewu i znów podniósł ją do oczu.

A, jeden z tych warknął sponad puszki. Jaki numer wywinęła tym razem?

Steve wzruszył ramionami.

Jak zwykle. Podarta piżama i tak dalej. Tyle że tym razem dostała swoją dolę.

Nie może być? A ty masz to teraz załatwić? Przyjemna robótka, co?

Detektyw przytaknął. Olbrzym zaciągnął się cygarem.

To bierz pan się do roboty.

A jakby trzeba było ją zwinąć?

Wielkolud rozemiał się, szczerze ubawiony.

Gadaj zdrow, bracie odparł serdecznie. Jeste prywatnym łapsem. Znaczą się, nikt nic nie wie. No i dobrze. Załatw to cicho szta. A jakby nawet przyszło ją zwinąć, to mam to gdzie jak flaszkę mleka. Więc rób swoje. Czuj się jak u siebie w domu. Jake Stoyanoff ma gliny w głębokim poważaniu.

Steve patrzył na niego bez słowa. Olbrzym rozgadał się, nareszcie ciut zainteresowany.

Poza tym ciągnął, wywijając cygarem mam miękkie serce. Ja tam nie zakabluję żadnej panienci. Ode mnie kobitka nie zarobi poniżej pasa. Dopił piwo, cisnął puszkę do kosza pod zlewem i wyciągnął przed siebie rękę, pocierając kciukiem o dwa palce. No, chyba że co by mi za to kapnęło dorzucił.

Masz wielkie dłonie zauważył cicho detektyw. To mogła być twoja robota. Że co? Stoyanoff mierzył Stevea niemym spojrzeniem piwnych, twardych jak podeszwa wińskich oczek.

A tak. Może i jeste czysty. Ale masz takie łapy, że gliny wymagłowałyby cię tam i nazad i z powrotem.

Wielkolud przesunął się od zlewozmywaka nieco w lewo. Prawą rękę opuścił swobodnie. Zaciśniętą usta tak silnie, że czubek cygara omal nie sparzył mu nosa.

Co jest grane, kole? syknął. W co ty mnie chcesz zrobić? Co Przymknij się wycedził Steve. Dziewczyna jest sztywna. Uduszona. U siebie na górze, pod łóżkiem. Kto już załatwił, gdzie tak przed południem. Gołymi rękami takimi jak twoje.

Olbrzym popisał się dozywaniem broni z biodra. W jego łapsku wyrósł rewolwer, tak nagle, jak gdyby znajdował się tam przez cały czas.

Na widok broni Steve zmarszczył brwi, lecz ani drgnął. Stoyanoff otaksował go wzrokiem.

Twardy jeste owiadczył. Po ilu tam latach na ringu potrafię ocenić krzepę faceta. Prawdziwy twardziel z ciebie, synu. Ale ołów jest twardszy. Więc gadaj migiem.

Zapukałem do niej. Bez skutku. Otworzyć ten zamek to pestka, więc wszedłem. Mało brakowało, a byłbym jej nie zauważył, bo łóżko było rozłożone. Wyglądało na to, że niedawno siedziała na nim i czytała. Podniosłem je, jak już miałem wychodzić no i znalazłem ją. Ona nie żyje, panie Stoyanoff. Więc odłóż pan tego gnata. Dopiero co słyszałem, że ma pan gliny w głębokim poważaniu.

I tak i nie wyszeptał były bokser. Oglądać ich w każdym razie nie kocham. Trafiajś mi się tu czasem truposze. Co jeden to samobójca. Ale pan że co mówił o moich rękach?

Steve potrzęsnął głowę.

Żartowałem. Ona ma na szyi lady paznokci. A pan obgryza paznokcie do samego ciała. Jest pan czysty.

Olbrzym nawet nie spojrzął na swoje palce. Był blady. Pod dolną wargę, na czarnej kilkudniowej szczecinie, wystąpiły mu kropelki potu. Wcisnął się pochylony do przodu, bez ruchu. Nagle dobiegło pukanie do drzwi sąsiedniego pokoju, wychodzących na korytarz. Krzesło przestało skrzypieć i ostry kobiecy głos wrzasnął:

Hej, Jake! Gocie!

Olbrzym skinął głową w bok.

Ten stary wyciruch nie ruszyłby tyłka, choćby się paliło powiedział ochryple.

Wszedł, zamykając za sobą drzwi.

Steve szybko omiół kuchnię wzrokiem. Wysoko nad zlewem ujrzał małe okienko, a w podłodze klapę zsypu, ale drugich drzwi nie było. Sięgnął po wizytówkę, którą Stoyanoff zostawił na skraju zlewu, i schował ją do marynarki, po czym z wewnętrznej kieszeni wyciągnął policyjną trzydziestkę ósemkę o krótkiej lufie, którą nosił kolbą do góry, niczym w kaburze.

Ledwie zdążył to zrobić, za cianą rozległ się nieco stłumiony, lecz wyrany huk broni palnej. Cztery wystrzały zlały się w jeden grzmot.

Steve cofnął się i kopnął drzwi wyprostowanymi nogami. Nie ustąpiły, za to przeszywający ból poraził mu głowę i staw biodrowy. Zaklął, cofnął się pod przeciwległą cianę kuchni i z rozpędu wyrzucił w drzwi lewym barkiem. Tym razem wyleciały z zawiasów. Steve wpadł do pokoju. Kobieta o ziemistej twarzy siedziała pochylona w bujaku, z przekrzywioną na bok głową i kosmykiem mysich włosów przylepionym do kocistego czoła.

Ganik, co? odezwała się głupio. Jako tak blisko. Pewnikiem w alejce przed domem.

Steve kilkoma susami przebiegł przez pokój, gwałtownie otworzył drzwi i wypadł na korytarz.

Stoyanoff trzymał się jeszcze na nogach. Wsparty o cianę, stał ze cztery metry dalej, wpatrując się w szklane drzwi wychodzące na alejkę. U jego stóp leżał rewolwer. Nagle olbrzym przyklęknął, gdy lewe kolano odmówiło mu posłuszeństwa.

Na korytarz wyjrzało jakieś jędzowate babsko i natychmiast zatrzasnęło drzwi. Muzyka z radia w jej mieszkaniu momentalnie przybrała na sile.

Wielkolud dwignął się z podłogi. Nawet przez nogawkę widać było, jak jego lewa noga dygocze gwałtownie. Osunął się na kolana, chwycił rewolwer i zaczął pełznąć do szklanych drzwi. Nagle uderzył twarzą o podłogę i szorując nią po chodniku, dalej próbował czołgać się do wyjścia.

Wtem znieruchomiał; jego ciało zwiotczało. Broń wypadła z bezwładnej ręki i potoczyła się po podłodze.

Steve wyskoczył przed dom. Szary samochód, wciśnięty przyspieszając, zbliżał się już do końca alejki. Detektyw wyhamował ostro i zebrał się w sobie. W chwili gdy składał się do strzału, samochód znikł włącznie za rogiem.

Z budynku po drugiej stronie alejki wyjrzał rozwścieczony mężczyzna. Steve, gestykulując do niego jedną ręką, a drugą wskazując przed siebie, pędził za samochodem. Nie zwalniając biegu, schował rewolwer do kieszeni. Zanim dotarł do końca uliczki, samochód przepadł bez ładu. Detektyw skręcił raptownie za róg, wskoczył na chodnik i zwolnił kroku. Nagle zatrzymał się.

Kawałek dalej ktoś parkował przy krawężniku. Steve patrzył, jak kierowca wysiada, przechodzi na drugą stronę ulicy i znika w jadłodajni. Poprawił kapelusz i sam też ruszył do knajpy.

Wszedł do rodka, zajął miejsce przy barze i zamówił kawę. Wkrótce usłyszał syreny policyjne.

Dopiero po drugiej filiżance kawy zapalił papierosa i zszedł długim zboczem na Piłtš, skąd skręcił w

Hill i wrócił pod stację Anielskiego lotu, gdzie zostawił na parkingu swój kabriolet.

Odjechał na zachód, za Vermont, do hoteliku, w którym tego dnia rano wynajmował pokój.

4.

Bill Dockery, kierownik sali w klubie Shalotte, hutał się na piętach i ziewał, pilnując wejścia do sali jadalnej. Była to martwa pora dla interesów na koktajl za późno, na kolację za wczesnie. A przede wszystkim o wiele za wczesnie na to, z czego żył cały klub to znaczy na hazard.

W granatowym smokingu, z godzikiem w klapie, Dockery prezentował się wcale nieźle. Jego lakierowane czarne włosy odsłaniały pięć centymetrów czoła, przystojne, choć może za grube rysy, czujne piwne oczy i długie, zakręcone rzęsy, które lubił opuszczać, by sprowokować jakiego podchmielonego awanturnika do bitki.

Odwierny w liberii otworzył boczne drzwi i do foyer wszedł Steve Grayce.

Ho, ho mruknął Dockery i postukał się paznokciem w zęby. Pochylony do przodu, niespiesznie ruszył powitać nowego gościa. Steve zatrzymał się w progu, lustrując salę. Wysokie ciany foyer wyłożono mlecznym, lekko podświetlonym szkłem. Ozdabiające je sztychy przedstawiały żaglowce, dzikie zwierzęta, syjamskie pagody i wiśtynie z Jukatana. Kwadratowe, chromowane futryny drzwi przypominały ramki do pamiątkowych zdjęć. Klub Shalotte miał klasę, co do tego nie było wątpliwości. Z baru po lewej dolatywał cichy pomruk głosów. Dyskretna muzyka hiszpańska w tle była delikatna jak chiński wachlarz.

Dockery podszedł do detektywa.

Czym mogę służyć? zapytał, lekko wysuwając łeb głowę.

Jest Król Leopardi?

Dockery cofnął głowę. Wyraz twarzy stracił zainteresowanie.

Ten muzyk? Występuje dopiero od jutra.

Myląłem, że może wpadnie już dziś na próbę, czy co.

To pański przyjaciel?

Znajomy. Nie szukam pracy ani nie chcę mu wcisnąć żadnych piosenek, jeśli o to panu chodzi.

Dockery zakołysał się na piętach. Miał drewniane ucho i nazwisko Leopardiego mówiło mu tyle co nic.

Niedawno widziałem go w barze poinformował z lekkim umiechem i skinął kwadratową, twardą jak skała brodą. Steve Grayce ruszył we wskazanym kierunku.

Ciepły, komfortowy i w sam raz oświetlony bar był zajęty najwyżej w jednej trzeciej. Pod arkadą grała na instrumentach z tłumikami niewielka hiszpańska orkiestra smyczkowa. Ciche, tęskne melodie przywodziły na myśl raczej wspomnienia niż dźwięki. Parkietu do tańca nie było. Stał tam długi kontuar i wygodne stołki barowe oraz małe okrągłe stoliki z mozaikowymi blatami, ustawione niezbyt blisko siebie. Wzdłuż trzech cian biegła ława. Kelnerzy kręcili między stolikami niczym ćmy.

Steve dostrzegł Leopardiego. Muzyk siedział w samym rogu sali, w towarzystwie młodej kobiety. Sąsiednie stoliki wieciły pustkami. Dziewczyna była oszałamiająca.

Wysoka, o włosach barwy płonących krzewów oglądanych przez chmurę pyłu. Czarny aksamitny beret, zawadiacko zsunięty na bakier, zdobiły dwa motyle z nakrapianych piór, przypięte długimi srebrnymi szpilkami. Dziewczyna ubrana była w wełnianą sukienkę koloru czerwonego wina. Przerzucony przez ramię błękitny lis miał dobrze ponad pół metra szerokości. W olbrzymich, przydymionych niebieskich oczach malowało się znużenie. Lewa dłoń w rękawiczce powoli obracała na blacie nieduży kieliszek.

Leopardi mówił co do swej towarzyszki, pochylając się ku niej nad stołem. W kremowej, włoskiej marynarce sportowej wydawał się jeszcze bardziej barczysty niż zwykle. Zaczesane włosy zbiegały mu się w szpic na brzożowym karku, tuż nad kołnierzem. Gdy Steve ruszył w jego stronę, muzyk wybuchnął szyderczym, pewnym siebie śmiechem.

Detektyw przystanął i skręcił do sąsiedniego stolika. Leopardi zauważył go kątem oka, z irytacją odwrócił głowę, lecz nagle unióś brwi i z błyskiem w oku całym ciałem okręcił się w stronę Stevea, niczym mechaniczna zabawka.

Oparł na stole małe, kształtne dłonie, po obu stronach wysokiej szklanki z koktajlem, i umięchnął się. Raptownie odsunął krzesło. Wstał, unióś palec i teatralnym ruchem dotknął cienkiego jak kreska węża.

Ty skurwysynu! wycedził z naciskiem.

Siedzący w pobliżu mężczyzna łypnął na niego przez ramię. Kelner, który ruszył w ich stronę, zatrzymał się w pół kroku i zniknął między stolikami. Dziewczyna spojrzała na detektywa i odchyliła się na oparcie ławy przy cianie. Zwilżyła językiem czubek palca prawej dłoni i przesunęła nim po kasztanowej brwi.

Steve ani drgnął, lecz jego policzki zabarwił ciemny rumieniec.

Zapomniał wczoraj czego w hotelu powiedział cicho. Chyba powiniene co z tym zrobić. Trzymaj.

Wyciągnął z kieszeni złożoną kartkę i podał ją muzykowi. Leopardi wziął ją z umięchem, rozłożył i przeczytał. Był to arkusz żółtego papieru z ponaklejanymi literami wyciętymi z gazet. Trębacz zmiął go i upucił na podłogę.

Zbliżył się do Stevea o krok i tym razem głoniej powtórzył:

Ty skurwysynu!

Mężczyzna, który przed chwilą zmierzył go wzrokiem, raptownie wstał od stolika i odwrócił się.

Nie zniosę takiego języka w obecności mojej żony powiedział wyranie.

Pocałujcie mnie wiesz gdzie, ty i twoja żona odparł Leopardi, nie zaszczycajś go spojrzeniem.

Mężczyzna spurpurowiał. Jego towarzyszka zerwała się z miejsca, chwyciła torebkę i żakiet i odmaszerowała. Po chwili wahania wybiegł za nią. Teraz już cała sala ledziła rozwój wydarzeń. Kelner, który niedawno zniknął między stolikami, pospiesznie wyszedł do foyer.

Leopardi zrobił jeszcze jeden, dłuższy krok i uderzył detektywa w szczękę. Steve cofnął głowę, amortyzując cios, i zatoczył się do tyłu. Podparł się ręką o sąsiedni stolik. Gdy się odwracał, by przeprosić siedzącą tam parę za przewróconą szklankę, trębacz raz jeszcze skoczył i zaprawił go w skroń.

Dockery wyszedł z foyer, rozsunął dwóch kelnerów na boki niczym skórę banana i błyskając zębami, ruszył na drugą stronę sali.

Steve czknął lekko i odskoczył. Odwrócił się.

Zaczekaj, wariacie! rzucił ochryple. To nie wszystko jest jeszcze

Leopardi skoczył za nim i z całej siły uderzył go w twarz. Z wargi detektywa pociekła krew, spływając błyszczącym strumyczkiem z kącika ust na brodę. Rudowłosa dziewczyna poblądła z wciekłości. Sięgnęła po torebkę i zamierzała wstać od stolika.

Nagle Leopardi okręcił się na pięcie i odszedł. Strząsnął dłoń kierownika sali, który próbował go zatrzymać, i zniknął za drzwiami.

Wysoka ruda odłożyła torebkę na stół i upuściła chusteczkę. Spokojnie spojrzała na detektywa i z równym spokojem poleciła:

Niech pan zetrze krew z brody, zanim poplamie panu koszulę.

Mówiła cicho, ochryłym, wibrującym głosem.

Podszedł do nich rozwścieczony Dockery. Złapał Stevea za ramię i wykręcił mu rękę.

No, jazda! Idziemy!

Steve jakby wrósł w ziemię. Wlepił wzrok w dziewczynę, przykładając chusteczkę do ust. Umiechnął się blade. Dockery, nie mogąc ruszyć go z miejsca ani o włos, dał znak dwóm kelnerom, którzy szybko stanęli za detektywem.

Steve delikatnie pomacał usta i przyjrzał się zakrwawionej chusteczce. Odwrócił się do pary przy stoliku.

Najmocniej przepraszam powiedział. Straciłem równowagę.

Dziewczyna, której przewrócił szklankę, wycierała sukienkę serwetką obrębioną frędzlami. Spojrzała na niego z umiechem.

To nie pańska wina odparła.

Dwaj kelnerzy zniechęceni chwycili detektywa od tyłu za ręce, lecz pucili go natychmiast, gdy Dockery pokręcił głową.

Uderzył go pan? zapytał kierownik sali z napięciem.

Nie.

A może go pan sprowokował?

Nie.

Rudowłosa dziewczyna schyliła się po upuszczoną chusteczkę. Trwało to trochę, nim się wyprostowała. W końcu jednak odnalazła zgubę i usiadła z powrotem.

To prawda, Bill odezwała się zimno. Król po prostu znów musiał zaprezentować się publiczności z najlepszej strony.

Hę? bęknął Dockery, kiwając głową osadzonym na grubym, twardym karku. Nagle umiechnął się szeroko i spojrzał na Stevea.

Przyłożył mi trzy razy, w tym raz od tyłu rzekł detektyw. Nie oddałem mu. Z pana jest kawał chłopca. Może sprawdzimy, czy uda się panu taka sztuczka?

Dockery otaksował go wzrokiem.

Nie sądzę przyznał. Twoje na wierzchu Jazda stąd! zwrócił się ostro do kelnerów. Gdy odeszli, powściął godzik w kłapie i dorzucił spokojnie: My tu nie przepadamy za bijatykami. Jeszcze raz umiechnął się do dziewczyny i odszedł, zamieniając po drodze słówko z niektórymi gośćmi przy stolikach. Wrócił do foyer.

Steve poklepał usta, schował chusteczkę do kieszeni i omiótł wzrokiem podłogę.

Mam to, czego pan szuka w chusteczce stwierdziła rudowłosa ze spokojem. Nie usiędzie pan?

Jej głos był mu dziwnie znajomy, jak gdyby już go kiedyś słyszał.

Zajął miejsce Leopardiego, na wprost dziewczyny.

Ja zapłacę za tamten koktajl zwróciła się do kelnera. Byliśmy razem.

Parę kropli gorzkich z coca colš zamówił Steve.

A dla pani?

Brandy z wodš sodowš. Tylko proszę nie za mocnš.

Kelner skłonił głowę i odszedł.

Krople gorzkie z coca colš powiedziała dziewczyna z rozbawieniem. Włanie dlatego uwielbiam Hollywood. Można tu spotkać tylu neurotyków!

Nietęgi ze mnie pijak wytłumaczył się cicho detektyw, patrząc jej prosto w oczy. Jestem z tych, co to wyskakujš na piwko i budzš się w Singapurze z brodš do pasa.

Nic a nic panu nie wierzę. Od dawna zna pan Króla?

Poznalimy się wczoraj w nocy. Ale od samego poczłtku jako nam się nie układa.

Dało się zauważyć. Wybuchnęła głębokim, dwięcznym miechem.

Pani mi odda tę kartkę.

Oho, jeszcze jeden niecierpliwy. Przed nami dužo czasu. Chusteczkę, w której ukryła zmięts żółts kartkę, trzymała w zaciniętej dłoni. Tej w rękawicze. rodkowym palcem prawej ręki musnęła brew. Pan chyba nie pracuje w filmie?

Boże, uchowaj.

To rozumiem. Ja teź nie, jestem za wysoka. Nasi przecudnej urody amanci musieliby wkładać koturny, żeby mnie przycisnšć do piersi.

Kelner postawił przed nimi szklanki, wykonał serwetš skomplikowanš ewolucję w powietrzu i odszedł.

Pani mi odda tę kartkę powtórzył Steve z uporem.

Nie podoba mi się forma pani mi odda. Przypomina mi słownictwo policyjnych szpicli.

Niestety, nie znam pani nazwiska.

Ja pańskiego teź nie. Gdzie pan poznał Leopardiego?

Steve westchnšł. Hiszpańska orkiestra grała melancholijnš melodię w tonacji minorowej, zdominowanš przez stłumiony klekot tykw.

Detektyw przekręcił głowę, wsłuchujšc się w muzykę.

Struna E przestrojona o pół tonu niżej zauważył. Ciekawy efekt.



Dziewczyna spojrzała na niego z rozbudzonym zainteresowaniem.

Nigdy bym nie zauważyła. A podobno wcale niele piewam. Ale nie odpowiedział mi pan na pytanie.

Wczoraj w nocy byłem jeszcze detektywem hotelowym w Carltonie wyjanił powoli. Nazywało się, że jestem recepcjonistš z nocnej zmiany, ale byłem zwyczajnym tajniakiem. Leopardi zatrzymał się u nas i narozrabiał. Więc wyrzuciłem go, za co wyleciałem z roboty.

Zaczynam rozumieć stwierdziła. On odgrywał króla, a pan jak się domyłam detektywa z gatunku tych twardych.

Co w tym rodzaju. A teraz, jeli łaska

Wcišż jeszcze mi się pan nie przedstawił.

Sięgnš do portfela, wyjšł jednš z nowiutkich wizytówek i podsunš jš dziewczynie. Czekajšc, aš przeczyta, popijał ze szklanki.

Imię i nazwisko ładne orzekła. Ale adres nie najlepszy. Poza tym detektyw prywatny nie brzmi dobrze. Powinno być: zlecenia poufne, drobniutkim druczkiem, w lewym dolnym rogu.

Bęđš drobniutkie, spokojna głowa wtrcił Steve, umiechajšc się szeroko. A teraz, jeli łaska

Znienacka wycišgnęła rękę ponad stołem i zrzuciła mu na dłoń zmiętoszonš papierowš kulkę.

Oczywiście nie czytałam tego choć naturalnie bardzo bym chciała. Mam nadzieję, że to doceniasz zerknęła na wizytówkę Steve. Aha, i powiniene mieć biuro w dziewiętnastowiecznym albo bardzo nowoczesnym gmachu przy Bulwarze Zachodžšcego Słóńca, najlepiej w okolicach numeru osiemdziesiątego. Apartament i tu jaka ładna nazwa. Poza tym ubieraj się krzykliwie. Naprawdę krzykliwie, Steve. W tym mieście tylko zrujnowani bogacze starajš się nie rzucić w oczy.

Umiechnš się szeroko. W jego głęboko osadzonych czarnych oczach zamigotały ogniki. Dziewczyna schowała wizytówkę do torebki, poprawiła futerko na ramieniu i wychyliła połowę zawartoci szklanki.

Na mnie już czas.

Dała znak kelnerowi i uregulowała rachunek. Gdy odszedł, wstała.

Proszę usiść! rzucił ostro Steve.

Spojrzała na niego z namysłem. Po chwili usiadła z powrotem i oparła się o cianę, nie spuszczajšc z niego wzroku. Detektyw pochylił się nad stołem.

A pani dobrze zna Leopardiego?

Od lat. Widujemy się raz na jaki czas, choć nie wiem, co ci do tego. Tylko, na Bóg miły, nie

przybieraj czasem tonu pana i władcy. Nie cierpię takich mężczyzn. Kiedy piewałam w jego zespole, ale krótko. Z nim nie da się tylko piewać jeli rozumiesz, co mam na myli.

Ale dała mu się zaprosić na jednego.

Skinęła głowš i wzruszyła ramionami.

Jutro zaczyna tu występy. Namawiał mnie, żebym znów z nim piewała. Odmówiłam, ale kto wie, czy nie będę musiała się zgodzić przynajmniej na tydzień, może dwa. Właciciel klubu Shalotte jest zarazem włacicielem mojego kontraktu i stacji radiowej, dla której sporo nagrywam.

Słoń Walters rzekł. Powiadajš, że jest twardy, ale uczciwy. Nie poznałem go osobicie, a szkoda. W końcu muszę jako zarabiać na życie. Proszę.

Wyciŝgnł rękę ponad stołem i upucił papierowš kulkę.

A nazywa się pani

Dolores Chiozza.

Detektyw przeciŝgle powtórzył nazwisko.

Ładnie. Pani piew też mi się podoba. Często słucham pani nagrań. Pani nie próbuje przedobrzyć, jak te wyciskaczki łez, co tylko tłukš szmal. Jego oczy błyszcząły.

Piosenkarka rozpostarła kartkę na blacie i przeczytała jš powoli. Jej twarz nie zmieniła wyrazu.

Kto to podarł? zapytała spokojnie.

Pewnie Leopardi. Znalazłem te strzępy u niego wczoraj w nocy, w koszu na mieci. Poskładałem je, jak już wyjechał. Facet ma nerwy albo dostaje tego tyle, że nie robi to na nim wrażenia.

Albo uznał to za kiepski żart. Spojrzała mu prosto w oczy i oddała złożonš kartkę. Być może. Ale jezeli jest taki, jak słyszałem, to który z tych listów okaże się prawdziwy, a jego autor nie poprzestanie na szantażu.

Jest dokładnie taki, jak słyszałem potwierdziła Dolores Chiozza.

Wobec tego kobiecie nie byłoby trudno dostać się do niego, prawda? Uzbrojonej kobiecie?

Nie spuszczała z niego wzroku.

Prawda. A jeli chcesz znać moje zdanie, to wszyscy jak jeden mŝ przysliby jej z pomocš. Na twoim miejscu zapomniałabym o tej całej sprawie. Gdyby chciał ochrony, to Walters mógłby mu zapewnić lepszą obstawę niż cała policja razem wzięta. A skoro nie chce to co ci do tego? Ja w każdym razie gwizdżę na to.

Twarda z pani dziewczyna, panno Chiozza w pewnych sprawach.

Nie odpowiedziała. Twarz miała pobladła, zacięta.

Steve opróżnił szklanekę, odsunął krzesło i sięgnął po kapelusz. Wstał.

Dziękuję bardzo za poczęstunek, panno Chiozza. Teraz, kiedy już paniś poznałem, z tym większą niecierpliwością będę oczekiwał pani nagrań.

Co ty nagle taki formalny? rzuciła.

Wyszczерzył zęby.

Żegnaj, Dolores.

Żegnaj, Steve. Powodzenia detektywie. Gdybym co usłyszała

Odwrócił się i lawirując między stolikami, ruszył do wyjścia.

5.

Był rzeki jesienny wieczór. Mrugały do niego wiatła Hollywood i Los Angeles. Reflektory omiały bezchmurne niebo, jak gdyby w poszukiwaniu nieprzyjacielskich bombowców.

Steve wyjechał kabrioletem z parkingu i skręcił na wschód, w Bulwar Zachodźszego Słońca. Na skrzyżowaniu z Fairfax kupił popołudniówkę i zatrzymał się przy krawężniku, by przejrzeć gazetę. O wypadkach przy Court Street 118 nie było najmniejszej wzmianki.

Ruszył w dalszą drogę. W kawiarence na tyłach swego hotelu zjadł kolację i wybrał się na film. Wychodząc z kina kupił lokalne wydanie Tribune gazety porannej. Znalazł w niej relację o obu morderstwach.

Policja nie wykluczała, że dziewczynę zadusił Stoyanoff, choć ofiara nie była napastowana. Podano, że była stenotypistką, chwilowo bezrobotną. Zdjęcie kobiety nie było, zamieszczono natomiast zdjęcie Stoyanoffa, które wyglądało na retuszowaną fotografię policyjną. Policja szukała człowieka, z którym były bokser rozmawiał tuż przed morderstwem. Kilku wiadków opisało go jako wysokiego mężczyznę w ciemnym garniturze. Policja nic więcej o nim nie wiedziała albo nie ujawniała.

Steve umiechnął się kwano, w kawiarence wypił kawę na dobranoc i wrócił do siebie. Dochodziła jedenasta. Wchodząc do pokoju, usłyszał dzwonek telefonu.

Zamknął drzwi i stanął w ciemności, przypominając sobie, gdzie jest telefon. Wkrótce jak kot ruszył po ciemku wprost do celu, klapnął na fotel i wycisnął z półki pod stolikiem jednoczęściowy aparat telefoniczny.

Halo?

Czy to Steve? odezwał się głęboki, ochryply głos, niski i dwujęzny. Brzmiało w nim napięcie.

Tak, to ja. Słyszę cię. Wiem, kto dzwoni.

Usłyszał cichy, suchy miech.

Będzie z ciebie jeszcze detektyw. I zdaje się, że właśnie ode mnie dostaniesz pierwsze zlecenie. Mógłby przyjechać do mnie natychmiast? Renfrew północna, południowej nie ma dwadzieścia cztery dwanacie, tuż przed Fountain. To co w rodzaju osiedla domków jednorodzinnych. Mój jest ostatni w tylnym rzędzie.

Dobrze, jasne. Ale co się stało?

Zapadła cisza. Na ulicy przed hotelem odezwał się klakson. Sufit zalało białe wiatło reflektorów samochodu, który wyjechał zza rogu. Wreszcie niski głos odparł powoli:

Chodzi o Leopardiego. Nie mogę się go pozbyć. On on zasnął w mojej sypialni. Ze słuchawki doleciał piskliwy miech, zupełnie nie idący w parze z jej głosem.

Steve cisnął telefon tak silnie, że rozboleła go ręka. Zadzwoił zębami w ciemności.

W porządku odparł bezbarwnym, nieco łamiścym się głosem. Będzie cię to kosztować dwadzieścia dolarów.

Oczywiście. Popiesz się, proszę.

Odłożył słuchawkę. Przez chwilę siedział w ciemności, sapiąc ciężko. Zsunął kapelusz na tył głowy, gwałtownym szarpnięciem nasadził go prosto i rozemiał się w głos.

Psiakrew! A więc to taka damulka.

Renfrew nie było osiedlem w pełnym tego słowa znaczeniu. Stało tam w zygzakowatej linii sześć parterowych domków, tak ustawionych, że wejście do każdego z nich było niewidoczne dla sąsiadów, mimo iż wszystkie wychodziły na tę samą stronę. Z tyłu osłaniał je ceglany mur, za którym widać było kociół. Przed domkami rozpocierał się długi strzyżony trawnik, skąpany w wietle księżyca.

Do wejścia prowadziły dwa schodki, otoczone z obu stron latarniami. Judasza osłaniała kratka z kutego żelaza. Detektyw zapukał, na co wizjer uchylił się i wyjrzała drobna, owalna twarz dziewczyny, okolona kasztanowymi lokami. Miała silnie zarysowane usta i wygięte w łuk, wyskubane brwi. Oczy błyszczały niczym wieżo obrane kasztany.

Steve rzucił papierosa na ziemię i przydeptał go obcasem.

Do panny Chiozza. Czeka na mnie, nazywam się Steve Grayce.

Panna Chiozza udała się już na spoczynek, proszę pana odparło dziewczę z nieco bezczelnym grymasem ust.

Dobra, dobra, kochana. Twoja pani czeka na mnie, chyba mówię wyranie?

Okienko w drzwiach zatrzasnęło się. Detektyw czekał, patrząc spode łba za siebie, na wysoki, skąpany w powiacie księżycy trawnik. A więc to tak trudno, dla dwudziestu dolarów warto było odbyć tę wieczorną przejażdżkę.

Szczęknięta zasława i otworzyły się drzwi. Steve minął pokojówkę i wszedł do ciepłego, pogodnego salonu. Królował tu staromodny perkal. Lampy nie były ani stare, ani nowe, za to liczne i usytuowane jak należy. Przy kominku, osłoniętym ażurowym parawanem z miedzianych listew, stała sofa, a w rogu odbiornik radiowy z wbudowanym barkiem.

Bardzo przepraszam usprawiedliwiła się sztywno pokojówka. Panna Chiozza zapomniała mnie poinformować. Proszę spocząć. Jej miękki głos zdradzał przebiegłość. Dziewczyna zniknęła za drzwiami po drugiej stronie salonu, a wraz z nią krótka spódniczka, jedwabne pończochy i dziesięciocentymetrowe szpilki.

Steve usiadł, położył kapelusz na kolanach i wlepił wzrok w cianę. Skrzypnęły drzwi wahadłowe. Detektyw wyjął papierosa, przesunął go między palcami i zgniótł w drobny mak, po czym rzucił skrawek białej bibułki i okruchy tytoniu na kratę paleniska.

Pojawiła się Dolores Chiozza, ubrana w piżamę z zielonego aksamitu, przewieszając długie, obrębiane złotymi frędzlami szarfe. Wywijiała jej końcem niczym lassem, umieszczając się sztucznie. Podkrążone oczy odcinały się od wiezo wymytej twarzy. Dziewczyna mrugała nerwowo.

Steve wstał, obserwując zielone pantofle z marokinu, wysuwające się spod piżamy przy każdym kroku piosenkarki. Gdy podeszła bliżej, podniósł wzrok na jej twarz.

Witaj odezwał się drewnianym głosem.

Spojrzała mu prosto w oczy.

Wiem, że już późno, ale wiem też, że przyzwyczaile się nie spać w nocy powiedziała dononie przyjaznym tonem. Więc pomyślałam, że moglibyśmy obgadać Dlaczego nie siadasz?

Przechyliła głowę, jak gdyby czego nasłuchiwała.

Nic nie szkodzi rzekł Steve. Nigdy nie kładę się przed drugą.

Podeszła do kominka i nacisnęła dzwonek. Wkrótce w łukowatych drzwiach ukazała się pokojówka.

Przynieś lód, Agatha. A potem zmykaj do domu. Późno już.

Tak jest, psze pani. Dziewczyna zniknęła.

Zapadła widrząca cisza. Wreszcie wysoka kobieta machinalnie wyciągnęła papierosa ze szkatułki, wsunęła go do ust, a Steve niezdarnie potarł zapałkę o podeszwę buta. Przytknęła czubek papierosa do ognia, nie odrywając swych niebieskich oczu od czarnych oczu detektywa. Ledwie dostrzegalnie

pokręciła głowę.

Pokojówka przyniosła miedziany kubek z lodem. Przysunęła mosiężny hinduski barek na kółkach przed sofę, ustawiła na nim kubek, syfon, szklanki i łyżeczki, a także trójgraniastą butelkę, która sędzść z wyglądu mogłaby zawierać przedniš szkockš whisky, gdyby nie pokrywajšcy jš srebrny filigranowy motyw i korek z odmierzaczem.

Możesz zrobić co do picia? odezwała się formalnie Dolores Chiozza, zwracajšc się do gościa.

Przyrzdził dwa koktajle, zamieszał i podał jej szklankę. Skosztowała i potrzšnęła głowę.

Za słaby powiedziała. Dolał jeszcze trochę whisky i zwrócił jej naczynie. Już lepiej stwierdziła, opierajšc się w rogu sofy.

Do salonu wróciła pokojówka. Jej kasztanowe loki przykrywał zsunięty na bakier kapelusik. Dziewczyna miała na sobie szary płaszcz obsyty puszystym futrem, a w ręku czarnš brokatowš torbę, w której można by wynieć zawartość sporej lodówki.

Dobranoc, panno Dolores.

Dobranoc, Agatha.

Dziewczyna wyszła frontowymi drzwiami, zamykajšc je cicho za sobą. Na chodniku zastukały obcasy. Trzasnęły drzwiczki samochodu i rozległ się odgłos zapuszczanego silnika. Warkot wkrótce zamarł w oddali. Była to bardzo spokojna okolica.

Steve odstawił szklankę na mosiężny barek i wbił wzrok w paniš domu.

To znaczy, że mamy jš z głowy? spytał szorstko.

Tak. Zawsze wraca do siebie swoim wozem. Moim samochodem przywozi mnie ze studia, jeżeli tak jak dzisiaj mam nagrania. Sama nie lubię prowadzić.

To na co czekamy?

Siedziała zapatrzona w parawan przed nie rozpalonym kominkiem. Na jej policzku nerwowo drgał mięsień. Po chwili odezwała się:

Zabawne, że zadzwoniłam po ciebie, zamiast do Waltersa. On by mi zapewnił lepszą ochronę. Ale ty w przeciwieństwie do niego może mi uwierzysz. Nie zapraszałam Leopardiego. O ile się orientuję, nikt oprócz nas nie wie, że on tu jest.

Co w jej głosie sprawiło, że Steve wyprostował się raptownie.

Z górnej kieszonki zielonej aksamitnej piżamy wycišgnęła szeleszczšc chusteczkę, upuciła jš na podłogę, podniosła szybko i przycisnęła do ust. Niespodziewanie, bez choćby jednego szlochu czy westchnienia, zaczęła drzeć niczym lić na wietrze.

Co u licha? rzucił szybko detektyw. Załatwię tego drania nie wyjmując ręk z kieszeni. Tak jak wczoraj mimo że strzelił do mnie z pistoletu.

Odwróciła głowę, wpatrując się w niego szeroko otwartymi oczyma.

Ale wtedy to nie był mój pistolet powiedziała zmartwiałym głosem.

Hę? Oczywiście, że nie co u

Dzisiaj ma mój pistolet. Patrzyła mu prosto w oczy. Sam mówiłem, że uzbrojona kobieta bez trudu dałaby mu radę.

Gapił się na nią bez słowa. Był blady, z jego ust wydobywał się jakiś chrapliwy dźwięk.

On się nie upił, Steve wyjaśniła łagodnie. Nie żyje. Leży tam w żółtej piżamie, martwy w moim łóżku. I ciska mój pistolet. Od początku nie wierzyłem, że się po prostu upił, powiedz?

Zerwał się z miejsca i znieruchomiał, patrząc na nią z góry. Przesunął językiem po wargach. W końcu odzyskał głos.

Chod, obejrzymy go wyszeptał.

6.

Sypialnia znajdowała się na tyłach domu, po lewej. Dolores wyjęła z kieszeni pęk kluczy i otworzyła drzwi. Na stoliku stała niska lampa; żaluzje były zaciśnięte. Steve na palcach przecisnął się obok dziewczyny i wszedł do pokoju.

Leopardi zajmował rodek łóżka wielki, gładki, milczący mężczyzna, po mierni nienaturalny niczym figura z wosku. Nawet jego włosy wyglądały jak sztuczne. Na wpół przymknięte, podobne do szklanych kulek oczy sprawiały wrażenie, jak gdyby nigdy nie widziały. Król leżał na plecach, na przecieradle; kołdra była przerzucona przez oparcie łóżka.

Muzyk miał na sobie żółtą jedwabną piżamę, wkładaną przez głowę, z wywiniętym kołnierzykiem. Była luno i cienka, na wysokości piersi pociemniała od krwi, która wsiąknęła w jedwab niczym w bibułę. Krew splamiła także odsłoniętą brzoś szyję.

Król w złotogłowie mruknął Steve, wpatrując się w zwłoki. Czytałem kiedy taką książkę. Zdaje się, że lubił kanarkowy kolor widziałem wczoraj trochę jego rzeczy, jak mu się pomagałem pakować. Ale on sam był ptaszkiem dużo większego kalibru. Potrafił pokazać pazury. Chociaż tacy jak on zwykle wolą chować głowę w piasek.

Dziewczyna przysiadła na stołku w rogu sypialni i wbiła wzrok w podłogę. Był to ładny pokój. O ile wystrój salonu cechowała pozorna przypadkowość, o tyle sypialnię urządzono na wskroś nowoczesnie. Dywan o barwie kawy z mlekiem, ciężkie meble z inkrustowanego drewna, zmylna komoda z lustrzanym blatem i szufladami umieszczonymi po obu stronach wnęki na kolana, jak w biurku. Nad

komodś wisiało lustro w oprawie, nad nim za półkolisty kinkiet z mlecznego szkła. Na szklanym stoliku stał kryształowy chart i lampa. Steve nigdy dotśd nie widział tak wielkiego abażuru.

Przestał się rozglśdać i wrócił do Leopardiego. Delikatnie podciśgnśł piżamę Króla i obejrzał ranę. Dokładnie na wysokości serca skóra była osmalona i pocętkowana od prochu. Krwi wyciekło stosunkowo niewiele. mierć nastśpiła natychmiast.

W prawej ręce, wyciśgniętej na górnej z dwóch poduszek, muzyk ciskał mały pistolet samopowtarzalnego mausera.

Artystyczna robota stwierdził Steve, wskazujśc palcem. Tak, widać rękę mistrza. Prawdopodobnie typowa rana kontaktowa. Nawet podciśgnśł przedtem bluzę piżamy. Słyszałem, że niektórzy tak robiś. To chyba mauser siedem szećdziesiś trzy. Jeste pewna, że to twój?

Tak. Nie odrywała wzroku od podłogi. Leżał w biurku w salonie nie nabity. Ale naboje też tam były. Sama nie wiem, po co go trzymałam. Dostałam go kiedy. Nawet nie potrafiłabym go nabić.

Podniosła nagle wzrok i wzdrygnęła się, widzśc umiech na twarzy detektywa.

Nie spodziewam się, że kto mi uwierzy stwierdziła. Chyba równie dobrze możemy wezwać policję?

Steve machinalnie skinś głowś, włożył papierosa do ust i zaczął nim kołysać. Od uderzenia Leopardiego wciśz jeszcze miał spuchnięte wargi. Potarł zapałkś o paznokieć kciuka i wypucił z ust obłoczek dymu.

Żadnych glin powiedział spokojnie. Jeszcze nie teraz. Opowiadaj.

Wiesz, że piewam dla stacji KFQC zaczęła. Trzy razy w tygodniu przez piętnacie minut, w wieczornej audycji dla kierowców. Dzi też występowałam. Wróciłyśmy z Agathś o gdzie koło wpół do jedenastej. W progu przypomniałam sobie, że skończyła się woda sodowa, więc posłałam Agathę do sklepu trzy przecznice stśd i weszłam do domu sama. Poczułam dziwny zapach, trudny do opisania. Jak gdyby przebywało tam kilku mężczyzn, co w tym gucie. Weszłam do sypialni i leżał dokładnie tak jak teraz. Zobaczyłam pistolet, przyjrzałam mu się i wiedziałam, że wsiśkłam. Nie miałam pojęcia, co robić. Nawet gdyby policja oczyciła mnie z zarzutów, to na każdym kroku spotykałabym się z

Jak on się tu dostał? przerwał Steve ostro.

Nie wiem.

Mów dalej.

Zamknęłam drzwi. Potem rozebrałam się a ten tu leżał na łóżku. Poszłam do łazienki wziśc prysznic i pozbierać resztki myli. Wychodzśc z pokoju zamknęłam drzwi i wzięłam klucz ze sobś. Agatha była już w domu, ale chyba mnie nie zauważyła. No i tak po kśpieli trochę odżyłam, wypiłam koktajl i zadzwoniłam do ciebie.



Przerwała, poliniła czubek palca i wygładziła koniuszek lewej brwi.

To wszystko, Steve, naprawdę wszystko.

Służba przeważnie lubi się wtrącać w nie swoje sprawy. A jeli znam się cokolwiek na ludziach, ta twoja Agatha jest szczególnie wcibiska. Podszedł do drzwi i obejrzał zamek. Idę o zakład, że po domu wala się ładne parę kluczy, którymi można go otworzyć. Następnie sprawdził zatrzaski w oknach i szyby. Czy Król się w tobie kochał? rzucił przez ramię.

On nigdy nie kochał żadnej kobiety! zareplikowała ostro, gniewnie. Parę lat temu, kiedy piewałam przez jakiś czas z jego zespołem w San Francisco, krążyły o nas idiotyczne plotki. Wyssane z palca. Odgrzali je teraz w komunikatach dla prasy, żeby narobić szumu wokół jego premiery. Mówiłam mu włąnie po południu, że nie zniosę, żeby ktokolwiek łączył jego nazwisko z moim. Jego życie prywatne było obrzydliwe. mierdziało na kilometr. Każdy z branży ci to powie, choć w tym środowisku niewiniątek ze wiecś szukać.

A twoja sypialnia to jedyny bastion, którego nie zdobył?

Dziewczyna zarumieniła się po korzonki ciemnorudych włosów.

Brzmi to paskudnie dorzucił Steve. Ale wszystko muszę wziąć pod uwagę. Więc jak, mam rację?

Tak chyba tak. Chociaż jedyny to może przesada.

Id do salonu, łyknij sobie co.

Wstała i spojrzała mu prosto w oczy.

Nie zabiłam go, Steve. Nie wpuciłam go dzi do domu. Nie miałam pojęcia, że się tu wybiera, że miał powody, by się u mnie zjawić. Możesz mi wierzyć lub nie. Ale co w tym wszystkim nie gra. Leopardi był ostatnim człowiekiem na wiecie, który odebrałby sobie swoje cenne życie.

Wcale tego nie zrobił, skarbie. Id już się napić. Zamordowano go. A cała ta aranżacja ma na celu wymuszenie ochrony na Słoniu Waltersie. Wyjd.

Stał w bezruchu, w milczeniu, dopóki dolatujące z salonu dźwięki nie upewniły go, że tam dotarła. Dopiero wtedy wyjął chusteczkę i uwolnił pistolet z prawej ręki Leopardiego. Najpierw dokładnie wytarł broń z zewnątrz, potem rozłożył ją i przetaił magazynek, a także wszystkie naboje z osobna, włącznie z tym, który znajdował się w komorze. Złożył pistolet z powrotem i wcisnął go do martwej dłoni. Palec wskazujący muzyka oparł na spucie, pozwalając, by ręka Leopardiego opadła bezwładnie na łóżko i ułożyła się w naturalnej pozycji.

Poszperał w pocieli, znalazł łuskę po wystrzelonym naboju i wytarłszy ją, odłożył na miejsce. Powściął chusteczkę, z niesmakiem zmarszczył nos i obszedł łóżko, by dostać się do garderoby w cianie.

Jak można się tak ubierać, stary mruknął.

Na wieszaku wisiała kremowa marynarka, a pod nią ciemnoszare spodnie z paskiem ze skóry jaszczurki. Obok dyndała żółta atlasowa koszula i krawat o barwie czerwonego wina. Z kieszonki marynarki zwisała na dobre dziesięć centymetrów chusteczka pod kolor krawata. Na podłodze stała para brązowych sportowych butów ze skóry gazeli, obok za leżały skarpetki bez podwišek i żółte atlasowe spodenki z wielkim czarnym monogramem.

Steve starannie przetrząsnął szare spodnie. Wyjął z nich skórzany futerał na klucze, opucił sypialnię i przeszedł korytarzem do kuchni. W solidnych, zamykanych na zatrask drzwiach od strony ulicy tkwił klucz. Detektyw wyciągnął go i spróbował dobrać do zamka który z kluczy Leopardiego. Żaden nie pasował. Włożył więc stary klucz z powrotem i przeszedł do salonu. Otworzył drzwi frontowe, wyszedł na dwór i zatrzasnął je, nie patrząc na skuloną w rogu sofy dziewczynę. Znow sięgnął po futerał. Znalazł właściwy klucz, wszedł do domu, w sypialni schował klucze muzyka do szarych spodni i wrócił do salonu.

Dziewczyna obserwowała go ze swego miejsca bez ruchu.

Oparł się plecami o gzyms kominka i zaciągnął się papierosem.

Agatha była z tobą w studiu przez cały czas?

Przytaknęła ruchem głowy.

Tak mi się wydaje. Czyli że on miał klucz. Włanie to sprawdziła, prawda?

Tak. Jak długo ona u ciebie pracuje?

Okolo roku.

Kradnie? Myle o jakich drobiazgach.

Dolores Chiozza ze znużeniem wzruszyła ramionami.

Czy to ważne? One wszystkie co podbierają. A to krem czy puder, a to chusteczkę, czasami pończochy. Tak, mylą, że kradła. One uważają, że w pewnym sensie mają do tego prawo.

Wszystkie oprócz tych uczciwych, skarbie.

Wiesz, ma takie niewygodne godziny pracy Ja pracuję wieczorami, często wracam bardzo późno. Ona jest także garderobianką, nie tylko pokojówką.

Co jeszcze o niej wiesz? Zażywa kokainę, pali trawkę? Zagląda do butelki? Ni z tego, ni z owego wybucha miechem?

Nie sądzę. Ale co to ma do rzeczy, Steve?

Droga pani, ona sprzedała komu klucz do tego domu. To oczywiste. Od ciebie go nie dostał, od dozorczy też raczej nie, ale Agatha miała trzeci. Jasne?

Z oczu Dolores wyzierał strach. Jej usta drżały. Pod ręką miała szklanę z nie napoczętym koktajlem. Detektyw nachylił się i pociśgnął łyk.

Tracimy tylko czas, Steve stwierdziła wolno. Trzeba dzwonić na policję. Nikt tu nic nie poradzi. Może nie przestanę być na fali, ale w towarzystwie jestem spalona. Pomyśl, że to była kłótnia kochanków, że go zastrzeliłam, i kropka. A nawet gdybym ich przekonała, że nie, to wyjdzie na to, że zastrzelił się sam w moim łóżku i też jestem skończona. Więc chyba najwyższa pora, żebym stanęła z tym twarzą w twarz.

Popatrz szepnął detektyw. Tak robiła moja matka. Przyłożył palec do ust, nachylił się i dotknął jej warg w tym samym miejscu, tym samym palcem.

Pójdziemy do Waltersa a raczej ty do niego pójdziesz powiedział z umiechem. Sam wybierze gliniarzy, a ci, których on wemie, nie narobiś rabanu w rodku nocy i nie zlecś się z dziennikarzami. Przyjadś cicho jak przedsiębiorcy pogrzebowi. Walters już to załatwi. Na to włanie liczył morderca. Ja tymczasem wezmę się za Agathę. Bo potrzebuję mieć rysopis faceta, któremu opchnęła ten klucz i to migiem. A tak przy okazji, jeste mi winna dwadziecia dolarów za przyjazd. Mam nadzieję, że nie wyleciało ci to z pamięci?

Wysoka dziewczyna wstała, umiechajśc się.

Ale ty stuknięty. Skśd ta pewnoć, że go zamordowano?

Leży w nie swojej piżamie. Jego miała monogram. Wiem, bo pakowałem wczoraj jego rzeczy kiedy go wywaliłem z Carltona. Ubieraj się, skarbie i daj mi adres Agathy.

Wszedł do sypialni i nakrył zwłoki Leopardiego. Przez chwilę spoglśdał na jego twarz, nim opadł na niś skraj przecieradła.

Żegnaj, chłopie powiedział łagodnie. Był z ciebie kawał wini, ale muzykę czułe jak mało kto.

Drewniany domek przy Brighton Avenue, koło Jefferson, stał w rzędzie takich włanie starowieckich drewnianych domków z werandami od frontu. Prowadźcy do drzwi wśki betonowy chodnik wydawał się w wietle księżycy bielszy niż w rzeczywistości.

Steve wszedł po schodkach i spojrział na obramowanś wiatłem zasłonę w szerokim frontowym oknie. Zapukał. Zza drzwi dobiegło szuranie. Kobieta, która mu otworzyła, spojrziała na niego przez zawieszonś na hakach zasłonę przysadzista, podstarzała baba o siwych, kręconych włosach. Ubrana była w szlafrok, skutecznie ukrywajśc jej figurę. Jej stopy lizgały się w rozczłapanych pantoflach bez pięt. Przy stole siedział na wiklinowym krzele jaki mężczyzna. Miał lniścś łysinś głowę i mętny wzrok. Bezsensownie przebierał kciukami splecionych na kolanach rśk. Nawet nie zerknś na drzwi.

Przysłała mnie panna Chiozza odezwał się Steve. Czy pani jest matką Agathy?

A pewno odparło babsko chmurnie. Ale jej nie ma.

Mężczyzna przy stole wyciśgnś chustkę, wysiśkał nos i prychnś ponuro.

Panna Chiozza nie najlepiej się czuje rzekł detektyw. Miała nadzieję, że Agatha wróci i zostanie u niej na noc.

Mężczyzna znów prychnął, tym razem ostrzej.

A bo my wiemy, gdzie ona jest? odparła kobieta. Nie wróciła. Włanie na nią czekamy z tatkiem. Wraca tak póno, że jesteśmy cali w nerwach.

Jak się będzie tak włóczyć, to jś którego razu przywiozś mundurowi! warknął piskliwie facet o mętnych oczach.

Tatko ledwo co widzi. Dlatego taki złoliwy wyjaniała kobieta. Wejdzie pan?

Steve pokręcił głowś, miętoszśc w rękach kapelusz niczym oniemielony kowboj z kiepskiego westernu.

Muszę jej poszukać odparł. Gdzie mogła pójć?

A w miasto, żłopać gorzałę z bubkami bez grosza przy duszy zarechotał tatko. Z lalusiami, co to zamiast krawatki noszś jedwabne chustki. Żeby ja miał oczy, tobym jś sprzał na kwane jabłko. cisnął poręczę krzesła; mięnie jego dłoni zgrubiały. Nagle rozplakał się. Z mętnych oczu trysnęły łzy, spływajśc na siwś szczecinę porastajścś jego brodę. Kobieta podeszła do niego, wyrwała mu chusteczkę z zaciniętej pięci i otarła twarz męża. Potem wydmuchała nos i wróciła do drzwi.

Mogła pójć bśd gdzie powiedziała do Stevea. To wielkie miasto. A bo ja, panie, wiem?

Jeszcze zadzwonię odparł detektyw posepnie. Proszę jej nie wypuszczać, jeli przyjdzie. Jaki jest wasz numer telefonu?

Jaki jest nasz telefon, tatku? zawołała przez ramię.

A kto go wie? parsknął tatko.

A, już pamiętam powiedziała. Południowy dwadziecia cztery pięćdziesišt cztery. Dzwonń pan kiedy chcesz. Tatko i ja nie mamy nic lepszego do roboty.

Steve podziękował, wrócił białym chodnikiem na ulicę i cofnął się kawałek do miejsca, gdzie zostawił samochód. Wsiadajśc do wozu, rozejrzał się leniwie. Nagle znieruchomiał, ciskajśc klamkę drzwiczek. Pucił jś, zrobił trzy kroki w bok i zaciskajśc usta, spojrzwał na drugś stronę ulicy.

Wszystkie okoliczne domy były bardzo podobne do siebie, lecz ten naprzeciwko wyróżniał się plakietkś z napisem Do wynajęcia, umieszczonś za szybś we frontowym oknie, oraz tablicś handlarza nieruchomociami, wbitś w niewielki trawnik. Sam dom był już na pierwszy rzut oka zaniedbany i opustoszały, a jednak na wśskim podjedzie stało zgrabne, czarne, coupé.

Masz nosa, Stevie powiedział sam do siebie. We się za to.

Miękkim krokiem przeszedł na drugą stronę szerokiej, zakurzonej ulicy, ciskając w kieszeni twardy metal rewolweru. Zbliżył się do samochodu od tyłu, przystanął i nastawił uszu. Podszedł cicho do lewych drzwiczek, zerknął na przeciwległy chodnik, po czym zajrzał przez opuszczoną szybę do rodka wozu.

Dziewczyna siedziała tak, jak gdyby prowadziła, i tylko głowa była zbyt przechylona. Wciśnięta jeszcze miała na sobie czerwony kapelusz i szary płaszcz obszyty futrem. W wietle księżycy widać było szeroko otwarte usta i wysadzony język. Kasztanowe oczy wpatrywały się w sufit samochodu.

Steve nawet nie dotknął dziewczyny. I tak wiedział, że na szyi ma ciemne ślęce.

Nie patyczkuj się z kobietami ci faceci mruknął.

Czarna brokatowa torebka leżała na siedzeniu wozu obok zamordowanej, rozdziawiona jak jej usta tak samo, jak usta i torba panny Marilyn Delorme.

Taak nie patyczkuj się.

Steve cofnął się pod palmę na skraju podjazdu. Ulica była pusta i wyludniona jak nieczynny teatr. Detektyw wrócił cicho do swego samochodu, wsiadł i odjechał.

Nic tu po nim. Dziewczyna wracająca samotnie po nocy, zaduszona kilka kroków od domu przez jakiego oprycha. Prosta sprawa. Chłopaki z pierwszego patrolu, który się tam nawinie, musieliby się całkiem pospać, żeby nie sprawdzić co i jak, widząc napis Do wynajęcia. Steve dodał gazu i oddalał się stamtąd coraz bardziej.

Przy rogu Washington i Figueroa wstąpił do otwartej całś noc drogerii. Zamknął się w budce na tyłach sklepu, wrzucił pięć centów do automatu i wybrał numer komendy policji.

Poprosił o połśczenie z oficerem dyżurnym.

Niech pan pisze, sierżancie powiedział. Brighton Avenue koło numeru trzy tysiśce dwiecie, strona zachodnia, podjazd do pustego domu. Zapisał pan?

Ehe. No i co?

Stoi tam samochód z trupem kobiety w rodku rzekł Steve i odwiesił słuchawkę.

7.

Quillan, dzienny recepcjonista i zastępca kierownika hotelu Carlton, pracował na nocnej zmianie, ponieważ Millar wziął tydzień urlopu. Nudził się, bo dochodziło wpół do drugiej, a wokół panowała cisza i spokój. Dawno już załatwił wszystko, co było do zrobienia ostatecznie pracował w branży hotelarskiej całe dwadziecia lat.

Nocny portier skończył sprzśtać i zaszył się w swym pokoju obok wind. Jak zwykle jedna winda była

otwarta i oświetlona. wiatła w wysprężonym głównym hallu przygaszono. Wszystko było tak, jak zawsze.

Quillan niski, przysadzisty mężczyzna miał jasne, błyszczące żabie oczka, które z pozoru patrzyły przyjaźnie, choć w rzeczywistości nic nie wyrażały. Miał także resztki spłowiałych piaskowych włosów. Białe dłonie splótł przed sobą na marmurowej ladzie. Przy swoim wzrocie miało mógł się oprzeć o blat, bez obawy, że kto uzna, iż się na nim pokłada. Niewidzącym wzrokiem gapił się na cianę obok wejścia. Pomimo szeroko otwartych oczu drzemał, lecz gdyby portier zapalił u siebie w pokoju zapalniczkę, usłyszałby to i natychmiast uruchomił dzwonek.

Otworzyły się okute mosiężem drzwi od ulicy i wszedł Steve Grayce, w letnim płaszczu z postawionym kołnierzem, w nasuniętym na oczy kapeluszu i z dymiącym papierosem w kłóciku ust. Wydawał się zarazem obojętny i czujny, a przy tym zupełnie na luzie. Podeszedł do recepcji i zabębnił w ladę.

Obud się! warknął.

Quillan przesunął wzrok o dwa centymetry.

Każdy pokój ma okno od ulicy i łazienkę. Ale urządzenie zabaw na ósmym piętrze surowo wzbronione. Sie masz, Steve. W końcu dali ci kopa, co? I to bez powodu. Samo życie.

Dobra, dobra. Macie już kogo na moje miejsce?

Nie potrzebujemy tajniaka, Steve. Po mojemu, nigdy takiego nie potrzebowali.

Będziecie potrzebowali tajniaka, dopóki taki stary wyga hotelowy jak ty nie przestanie meldować lafirynd obok facetów w rodzaju Leopardiego.

Quillan na chwilę przymknął oczy.

To nie ja, stary odparł obojętnie. Ale każdy może się pomylić. Millar jest w końcu księgowym, a nie recepcjonistą.

Steve odchylił się. Jego twarz stężała. Zdawało się, że dym zawisł na czubku jego papierosa. Oczy detektywa przypominały czarne szkło. Umiechnął się nieszczęrze.

A dlaczego Leopardi dostał pokój za osiem dolarów na ósmym piętrze, zamiast apartamentu na górze, po dwadzieścia osiem dolarów dziennie?

Quillan zrewanżował się umiechem.

Nie ja go meldowałem, jełopo. Miał rezerwację. Miałem, że sam tak chciał. Niektórzy nie szastają forsą. Ma pan jeszcze jakie pytania, panie Grayce?

Mam. Czy osiem trzynacie był zeszłej nocy pusty?

Pusty, bo co tam remontowali. Hydraulicy. Dawaj dalej.

Kto zarządził remont?

Błyszczące, bezdenne oczy Quillana przesunęły się i znieruchomiały. Recepcjonista nie odpowiedział.

Pytam, bo Leopardi mieszkał w osiem piętynie, a dziewczyny pod jedenastką wyjanil Steve. Porodku jest tylko osiem trzynacie. Kto, kto miał klucz uniwersalny, mógłby tam wejć i odsunść zasuwę w drzwiach prowadzących do sąsiednich pokoi. Gdyby gocie z tamtych numerów zrobili to samo po swojej stronie, mieliby dla siebie cały apartament.

No to co? rzekł Quillan. Okantowaliby nas na osiem dolców? Takie rzeczy zdarzają się i w lepszych hotelach. Jego oczy przybrały senny wyraz.

Millar mógłby to zrobić powiedział Steve. Cholera, przecież to bez sensu. On nie z takich. Ryzykować pracę dla paru groszy na boku e, tam. Millar to nie dziwka za dolara.

Dobra jest, policjancie. Gadaj, co ci chodzi po głowie?

Jedna z dziewczyn w osiem jedenacie miała broń. Leopardi dostał wczoraj list z pogróżkami nie wiem gdzie ani jak. Ale nie zestrachał się. Podarł list i stąd wiem pozbierałem strzępy z kosza na mieci. Przypuszczam, że jego chłopaki się wymeldowali?

Oczywiście. Przenieli się do Normandy.

Zadzwoń tam i popro Leopardiego. Jeli jest u siebie, to pewnie dalej żłopie. Razem ze swoją kompanią.

Dlaczego? spytał Quillan łagodnie.

Dlatego, że jeste równy chłop. Jeżeli podejdziesz do telefonu, po prostu się rozłuszcz. Steve przerwał i uszczyplił się mocno w podbródek. A jeli wyszedł, to dowiedz się, dokąd.

Quillan wyprostował się, jeszcze raz obrzucił detektywa przeciwnym spojrzeniem i zniknął za parawanem z matowego szkła. Steve stał bez ruchu, nasłuchując. Jedną rękę trzymał zaciniętą przy boku, drugą bezgłonie wystukiwał jakiś rytm na marmurowej ladzie.

Quillan wrócił może po trzech minutach i z powrotem oparł się o ladę.

Nie ma go. W jego apartamencie tam mu nie dali takiej klitki odbywa się jubel, co słyhać gołym uchem. Facet, z którym gadałem, był względnie trzewy. Powiedział, że koło dziesiątej Leopardi dostał telefon od dziewczyny. Wyszedł cały w skowronkach, chwalił się, że ma jakiś szalony randkę. Facet był podchmielony w sam raz, żeby się z tym wygadać.

Dobry z ciebie kumpel rzekł Steve. Szkoda, że nie mogę ci powiedzieć wszystkiego. Fajnie mi się tu pracowało, szkoda gadać. Zwłaszcza że roboty było niewiele.

Ruszył do wyjścia. Quillan odczekał, aż Steve chwyci za klamkę, i dopiero wtedy go zawołał. Detektyw odwrócił się i podszedł do niego powoli.

Słyszałem, że Leopardi do ciebie strzelał. Zdaje się, że nikt na to nie zwrócił uwagi. Tutaj o tym nie zameldowano. A Peters chyba zrozumiał, w czym rzecz, dopiero jak zobaczył lustro w osiem piętynie. Gdyby chciał do nas wrócić, Steve

Detektyw potrząsnął głową.

Dzięki, że o tym pomyślała.

A w związku z tą historią co mi się przypomniało dodał recepcjonista. Dwa lata temu jaka dziewczyna zastrzeliła się w osiem piętynie.

Steve wyprostował się tak raptownie, że niemal podskoczył.

Co za dziewczyna?

Quillan spojrzał ze zdziwieniem.

Nie wiem. Nie pamiętam jej nazwiska. Jaka mała, której tak dokopali w życiu, że chciała już tylko umrzeć w czystym łóżku sama.

Steve złapał recepcjonistę za ramię.

Akta hotelowe! rzucił ochryple. Muszą tam być wycinki, wszystko, co pisali o tym w gazetach. Chcę je obejrzeć.

Quillan przyglądał mu się przez dłuższą chwilę. W końcu owiadczył:

Nie wiem, w co ty się bawisz, synu, ale znasz się na rzeczy. Muszę ci to przyznać. A ja się tu nudzę jak mops i próbuję zabić czas.

Wyciągnął rękę i kciukiem uruchomił dzwonek. Otworzyły się drzwi po drugiej stronie przedsionka i nadszedł nocny portier. Z umiechem powitał Stevea skinieniem głowy.

Przejmij ster, Carl polecił Quillan. Muszę zajrzeć do gabinetu pana Petersa.

Otworzył sejf i wyciągnął klucze.

8.

Wysoko, pod samym szczytem wzgórza, na tle zwartej ciany sosen australijskich, dębów i cedrów odcinał się solidny dom z kamiennym kominem, cały kryty gontem. Skutecznie przeciwstawiał się nachyleniu stoku. Za dnia dach był zielony, ciany rudobrązowe, a okiennice i zasłony czerwone. Ale w niesamowitej powiacie księżycą tej październikowej nocy można było rozróżnić wszystkie



szczególty budynku z wyjŝtkiem kolorów.

Dom ten stał na samym końcu drogi, dobre pół kilometra od najbliższych zabudowań. Steve pokonał ostatni zakręty szosy na wygaszonych wiatłach. Była piŝta nad ranem. Upewniwszy się, że trafił pod właciwy adres, detektyw natychmiast zahamował, wysiadł z samochodu i bezszelestnie ruszył poboczem ŝwirowanej drogi, po dywanie dzikich irysów.

Na poziomie drogi znajdował się sklecony z sosnowych desek garaŝ, a dalej cieżka prowadŝca na werandę. Garaŝ był otwarty. Steve ostroŝnie uchylił drzwi, wyciŝgnął rękę ku ciemnej sylwetce samochodu i pomacał chłodnicę. Jeszcze nie całkiem ostygła. Wyjŝł latarkę kieszonkowŝ i omiótł niŝ zaparkowany wóz. Był to szary, zakurzony sedan. Wskanik paliwa stał na rezerwie. Detektyw zgasił latarkę, starannie zamknął drzwi garaŝu i założył na powrót kawałek drewna, który słuŝył za skobel. Potem ruszył cieżkŝ pod górę, do domu.

Zza zaciŝgniętych czerwonych kotar przebijało wiatło. Wysokŝ werandę zawałał stos nie okorowanych pni jałowca. Nad zwykłŝ klamkŝ w drzwiach frontowych widniała kołatka.

Nie starajŝc się zachowywać specjalnie cicho, Steve wszedł na taras, uniósł rękę, westchnął z gardłowym pomrukiem i zapukał. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszczu, musnął kolbę rewolweru, lecz wyciŝgnął pustŝ dłoń.

Skrzypnęło krzesło i czyje kroki zaszurały po podłodze.

Kto tam? zapytał cichy głos. Głos Millara.

Detektyw przysunął usta do futryny.

To ja, Steve. Wstałe juŝ, George?

W zamku szczęknięł klucz i otworzyły się drzwi. George Millar, wytworny rewident z hotelu Carlton, nie odznaczał się teraz elegancjŝ. Ubrany był w stare spodnie i gruby niebieski sweter z wywiniętym kołnierzem. Na nogach miał prŝŝkowane wełniane skarpety i obszyte barankiem pantofle bez pięt. Przyszczyżone czarne wŝsy tworzyły łukowatŝ smugę na tle jego bladej twarzy. Miserne wiatło dwóch gołych ŝarówek, wiszŝcych pod spadzistym sufitem, uzupełniała lampa na stole, zwrócona w stronę obszernego skózanego klubowca z miękkim, regulowanym oparciem. Po sypkim popiele w wielkim, otwartym kominku leniwie pełzał ogień.

A niech mnie, Steve odezwał się Millar głębokim, ochrypłym głosem. Miło cię widzieć. Jak ty nas tu znalazł? Wskakuj, stary. Zamknął drzwi na klucz za detektywem. Miejski nawyk wyjanił z umiechem. W górach nikt niczego nie zamyka. Siadaj, rozgrzej nogi. Nad ranem robi się zimno.

Jeszcze jak przytaknął Steve.

Usiadł w klubowcu, odłożył kapelusz i płaszcz na skraj stołu za fotelem i pochylił się, wyciŝgajŝc rękę do ognia.

Jakim cudem nas tu znalazł? spytał Millar.

Nie było to takie proste odparł spokojnie detektyw, nie patrzę na niego. Wczoraj w nocy mówiłem, że twój brat ma tutaj domek, pamiętasz? Z braku lepszego zajęcia pomyślałem, że wpadnę i załapię się na niadanie. Własciciel zajazdu w Crestline nie wiedział, kto tu gdzie mieszka. Jego interesują tylko przyjezdni. Zadzwoiłem do faceta z warsztatu samochodowego, ale on też nie słyszał o żadnym domu Millara. Aż zobaczyłem, że na placu z opałem zapala się wiatło i jaki człeczyna, który jest tu leniczym, zastępcz szeryfa, sprzedawcz opału i benzyny i diabli wiedz, kim jeszcze, wyprowadza samochód. Wybierał się do San Bernardino po cysternę benzyny. Łebski goć. Jak tylko usłyszał, że twój brat był kiedy bokserem, od razu skapował, o kogo chodzi. No i jestem.

Millar zaczął skubać wssa. Gdzie na tyłach domu zaskrzypiały sprężyny łóżka.

Tak, on wciż używa nazwiska, pod którym występował na ringu Gaff Talley. Obudzę go, napijemy się kawy. Ty i ja jedziemy chyba na tym samym wózku przywyklimy do nocnej pracy i nie możemy spać. Ja się w ogóle nie kładłem.

Steve spojrział na niego powoli i odwrócił wzrok. Nagle doleciał go z tyłu gromki głos:

Gaff już wstał. Kim jest twój kumpel, George?

Steve podniósł się bez popiechu i odwrócił. Najpierw spojrział na ręce boksera nie mógł się od tego powstrzymać. Były to wielkie łapska, czyste, wręcz wypielęgowane, ale toporne i brzydkie. Jeden kciuk wciż nosił ludy paskudnego złamania. Talley był potężnie zbudowanym rudzielcem. Okrył się przymałym szlafrokiem narzuconym na flanelowš piżamę. Jego twardš, beznamiętnš twarz znaczyły liczne szramy na policzkach, nad brwiami, w kšcikach ust. Nos miał spłaszczony i zgrubiały. Sšdzšc po stanie jego twarzy, nadział się na niejednš rękawicę. Jedyne z wyrazu oczu nieco przypominał brata.

Steve Grayce przedstawił Millar. Nocny tajniak z naszego hotelu aż do ostatniej nocy. Jego umiech wypadł dosyć blade.

Gaff Talley podszedł i ucisnł dłoń detektywa.

Fajnie, że mogłem cię poznać. Wbiję się tylko w jakie łachy i wrzucimy co na zšb. Już się wyspałem. A George, głupol jeden, wcale nie spał.

Ruszył do drzwi, przez które wszedł. W progu zatrzymał się, pochylił nad starym gramofonem, opierajšc dłoń obok stosu płyt w papierowych obwolutach, i zastygł tak w bezruchu.

Złapałe już jakš pracę, Steve? spytał Millar. A może jeszcze nie próbowałe? Tak. W pewnym sensie. Może mi odbiło, ale spróbuję zaczepić się jako prywatny łaps. Dużo z tego nie wyciśgnę, chyba że wyrobię sobie reklamę. Wzruszył ramionami, a po chwili dorzucił szeptem: Król Leopardi dostał w czapę.

Millarowi opadła szczęka. Stał tak przez dobrš minutę skamieniały, z rozdziawionymi ustami. Gaff Talley oparł się o cianę, spoglšdajšc na nich z kamiennš twarzš. W końcu Millar odzyskał głos.

Dostał w czapę? Gdzie? Nie mów, że

Nie w hotelu, George. Szkoda, co? W mieszkaniu pewnej dziewczyny. Całkiem miłutkiej. Ona go tam nie zwabiła. Stary numer z lipnym samobójstwem ale tym razem to nie przejdzie. Ta dziewczyna jest moją klientką.

Millar ani drgnął. Podobnie jak jego brat. Steve oparł łokcie na kamiennym gzymsie kominka.

Po południu zająłem do klubu Shalotte, przeprosić Leopardiego rzekł cicho. Bez sensu, bo nie miałem go za co przepraszać. Siedział tam w barze z dziewczyną. Przyłożył mi trzy razy i wyszedł. Jej się to nie spodobało. Skumaliśmy się oboje i wypiliśmy po jednym. A dziś w nocy czy raczej późnym wieczorem zadzwoniła do mnie i powiedziała, że Leopardi leży u niej pijany i że nie może się go pozbyć. Pojechałem tam. Ale on nie był pijany. Leżał sztywny, w jej łóżku i w żółtej piżamie.

Bokser lewą ręką odgarnął włosy do tyłu. Millar oparł się o krawędź stołu, tak powoli, jak gdyby obawiał się, że może się o nią skaleczyć. Jego wargi pod przyszywanym czarnym włosem drgały.

A to wiństwo wychrypiał.

Ano, nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem rzucił Gaff.

Tyle że to nie była jego piżama ciśnień Steve. Jego miała monogram wielki, czarny monogram. I była atłasowa, nie jedwabna. Poza tym, mimo że trzymał pistolet nawiąsem mówiąc, był to pistolet dziewczyny nie zastrzelił się sam. Gliny udowodnił to ponad wszelką wątpliwość. Żaden z was, przyjemniaczki, nie słyszał chyba o tacie parafinowym Lunda, dzięki któremu można udowodnić, czy kto strzelał ostatnio z broni palnej. Zabójstwo miało się odbyć zeszłej nocy, w hotelu, w pokoju osiem piętnacie. Ale popsułem cały plan, wyrzucając go na zbity pysk, zanim ta brunetka z osiem jedenacie zdążyła się do niego dostać. Mam rację, George?

Pewnie tak żeby ja tylko wiedział, o czym ty mówisz.

Mylę, że wiesz, o czym mówię, George oświadczył detektyw powoli. Byłaby to swego rodzaju romantyczna sprawiedliwość, gdyby udało się załatwić Króla w numerze osiem piętnacie. Bo właśnie w tym pokoju dwa lata temu zastrzeliła się pewna dziewczyna. Zameldowała się jako Mary Smith ale zwykle używała nazwiska Eve Talley. A naprawdę nazywała się Eve Millar.

Bokser oparł się ciężko o gramofon.

Czy ja aby nie pię? powiedział ochryple. Z takiego gadania nic dobrego nie wyjdzie. Eve była naszą siostrą i zastrzeliła się w Carltonie. I co z tego?

Steve umiechnął się nieszczerze.

Posłuchaj, George. Mówiłem, że to Quillan zameldował te dwie panienki w osiem jedenacie. Ale to ty je tam ulokowałeś. Mówiłem, że Leopardi pewnie ze skłopotu wziął pokój na ósmym zamiast apartamentu. Ale on nie był skłopoty. Po prostu nie obchodziło go, gdzie mieszka, byleby miał pod ręką damskie towarzystwo. Więc postarałem się o to. Zaplanowałem wszystko, George. Namówiłem nawet Petersa, żeby napisał do Leopardiego do Frisco, gdzie mieszkał w Raleighu, i zaprosił go do

Carltona na czas pobytu tutaj pod pretekstem, że właściciel hotelu jest jednocześnie właścicielem klubu Shalotte. Facet kalibru Waltersa akurat zawracałby sobie głowę załatwianiem kwatery dla jakiego grajka!

Twarz Millara była trupioblada, pusta.

Steve głos mu się załamał. Steve, na miłość boską, o czym ty mówisz? Skąd mógłbym Przykro mi, stary. Dobrze mi się z tobą pracowało. Lubiłem cię, nawet bardzo. I chyba wciśz cię lubię. Ale nie lubię dusicieli kobiet i tych, którzy wrabiają kobiety, żeby ukryć własne, popełnione z zemsty morderstwo.

Poderwał rękę i znieruchomiał.

Wolnego przyjrzyj się temu rzekł Gaff.

Wyciągnął rękę zza stosu płyt. Trzymał w niej colta kaliber 0.45.

Zawsze uważałem hotelowych tajniaków za bandę wydrwigroszy podjął przez zęby. Wygląda na to, że nie wziłem pod uwagę ciebie. Masz parę szarych komórek. Diabła tam, założę się, że trafił nawet na Court Street sto osiemnacie. Dobrze mówię?

Steve opuścił pustą dłoń i spojrzał na wielkiego colta.

Dobrze. Widziałem dziewczynę a raczej jej zwłoki ze ładami twoich palców na szyi. Oni potrafią mierzyć takie rzeczy, kolego. Zabicie w ten sam sposób pokojówki Dolores Chiozza to był błęd. Porównaj oba zestawy odcisków, dowiedz się, że wasza brunetka z pistoletem mieszkała zeszłej nocy w Carltonie, i dodaj dwa do dwóch. Dam wam dwa tygodnie, jeśli znikniecie stąd raz dwa. Byle migiem.

Millar przejechał językiem po wysuszonych wargach.

Nie ma popiechu, Steve wyszeptał. Nigdzie nam się nie pieszy. Zrobiliśmy już, co do nas należało. Może nie najlepiej, może nie najładniej, ale też nie była to ładna sprawa. Leopardi był ostatni winiś. Kochaliśmy naszą siostrę, a on z niej zrobił zwykłą dziwkę. To było jeszcze dziecko, naiwna dziewczyna, która zakochała się w mydłku na szpanie, a ten stał się sławny i rzucił ją dla rudej wyciskaczki łez, bo była bardziej w jego stylu. Dał jej kopniaka, złamał jej serce i dlatego się zabiła.

Tak rzekł Steve ochryple. A wy co robicie przez ten cały czas? Piłowalście paznokcie?

Kiedy to się stało, nas tu nie było. Minęło trochę czasu, zanim dowiedzieliśmy się co i jak.

I dlatego warto było zabić czterech ludzi? Jeśli chodzi o Dolores Chiozza, to nie pozwoliłaby Leopardiemu czyścić sobie butów ani wtedy, ani potem. Ale jeśli też musicie w to wplątać, w to wasze parszywe morderstwo i zemstę. Rzygać mi się chce na twój widok, George. Każ swojemu braciszki morderować dalej, niech sobie nie psuje zabawy.

Gaff wyszczerzył zęby.

Będzie tego gadania, George powiedział. Sprawdź, czy ma spluwę. Tylko nie stawaj przed nim ani za nim. Ten straszak przestrzeliłby was na wylot.

Steve nie odrywał wzroku od rewolweru w garci boksera. Twarz miał białś i twarđ jak koć. Na ustach błśkał mu się zimny, szyderczy umieszek. Jego lodowate oczy pociemniały.

Millar, poruszajśc się bezszelestnie w obszytych futrem pantoflach, okrśżył stół, podszedł z boku do detektywa i poklepał go po kieszeniach.

W tej owiadczył, wskazujśc palcem.

Chyba całkiem upadłem na głowę szepnśł Steve. Mogłem cię zwinść od razu, George!

Odsuń się od niego! warknśł Gaff Talley do brata.

Przeszedł przez pokój i wbił wielkiego colta w brzuch detektywa. Nie odrywajśc spojrzenia od jego oczu, lewś rękś wyciśgnśł mu z kieszeni policyjnś trzydziestkę ósemkę.

Trzymaj, George polecił, wysuwajśc rękę z rewolwerem detektywa za siebie.

Millar wziśł od niego broń i wrócił na drugś stronę stołu. Gaff Talley odsunśł się od Stevea.

Koniec z tobś, chytrusie owiadczył. Sam chyba wiesz. Z tych gór prowadź tylko dwie drogi, a musimy zyskać na czasie. Pewnie nikomu nic nie powiedziałe, co? Rozumiesz teraz?

Steve stał jak skamieniały, z pobladłś twarzś i drwiścym umieszkiem w kściku ust. Jego oczy, utkwione w rewolwerze boksera, wyrażały zdziwienie.

Czy nie można tego załatwić inaczej, Gaff? wtrścił Millar. Jego głos przypominał rechot; nie był już dwięczny, głęboki.

Steve odwrócił nieco głowę i spojrzał na niego.

Oczywiście, że nie, George. W gruncie rzeczy jesteście zwykłymi bandziorami. Dwaj sfiksowani sadyci, udajścyci mcicieli skrzywdzonej dziewicy. Obyczaj jak z jakiej zapadłej wiochy. Ale jesteście już truposzami gnijścymi truposzami.

Gaff Talley rozemiał się, odciśgajśc kurek rewolweru.

Lepiej się pomódl zadrwił.

Taki pewny, że mnie z tego kropniesz, dusicielu? rzekł Steve ponuro. Nie nabity. Spróbuj raczej załatwić mnie tak, jak sobie radzisz z kobietami gołymi rękami.

Bokser zerknśł w dół; jego oczy pociemniały. Nagle wybuchnśł miechem.

Rany boskie, ten gnat zaróśł kurzem na pół metra zarechotał. Patrzaj pan.

Wycelował w podłogę i nacisnął spust. Iglica opadła z suchym trzaskiem komora była pusta. Twarz boksera wykrzywiła wciekłość.

Przez chwilę wszyscy stali w bezruchu. W końcu Gaff odwrócił się powoli na piętach i spojrzał na brata.

To twoja robota, George? spytał łagodnie.

Millar oblizał się i przełknął linę. Wydął usta i zagryzł wargi, zanim odzyskał głos.

Moja, Gaff. Stałem przy oknie, kiedy Steve wysiadał z samochodu na drodze. Widziałem, jak wchodzi do garażu, i wiedziałem, że nasz wóz jest jeszcze ciepły. Starczy tych zabójstw, Gaff. Za dużo już tego było. Dlatego wyjąłem kule z twojego rewolweru.

Odsunął kciukiem kurek policyjnej trzydziestki ósemki. Talley wytrzeszczył oczy. Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w krótką lufę rewolweru. Nagle skoczył do przodu, wymachując pustym coltem. Millar zebrał się w sobie, ale ani drgnął.

Żegnaj, Gaff powiedział bezbarwnym tonem starca.

Rewolwer trzykrotnie podskoczył w jego małej, kształtnej dłoni. Z lufy powoli uleciał dym. Na kominku przewróciła się przepalona kłoda.

Gaff Talley umiechnął się dziwnie, pochylił i znieruchomiał. Colt spadł mu pod nogi. Bokser chwycił się za brzuch wielkimi, grubymi łapskami.

Nic nie szkodzi, chłopcze wychrypiał powoli. Nic nie szkodzi Ja

Słowa uwięzły mu w gardle; nogi odmówiły posłuszeństwa. Steve dopadł Millara trzema szybkimi susami i zdzielił go w szczękę. Tymczasem potężny facet wciąż padał tak wolno, jak pada cięte drzewo.

Millar przeleciał przez pokój i grzmotnął o cianę, zrzucając białoniebieski talerz, który stłukł się na podłodze. Broń wypadła mu z ręki. Steve skoczył szczupakiem. Gdy wstawał z rewolwerem w garci, Millar przykucnął, obserwując brata.

Gaff Talley dotknął głową podłogi, podparł się oburącz i położył spokojnie na brzuchu, jak gdyby był zmęczony. Nie wydał najmniejszego dźwięku.

W oknach, dokoła czerwonych kotar, zajaniały pierwsze promienie wiatła. Z boku kominka dymił kawałek przepalonej kłody; resztę paleniska pokrywała gruba warstwa szarego, rozżarzonego pod spodem popiołu.

Uratowały mi życie, George odezwał się posępnie detektyw. A w każdym razie zapobiegły strzelaninie. Poszedłem na to ryzyko, bo potrzebowałem dowodów. Siadaj przy biurku, opisz po kolei, jak to było, i podpisz się.

On nie żyje?

Tak, George. Zabił go. O tym też napisz.

Zabawne powiedział Millar spokojnie. Chciałem wykończyć Leopardiego sam, własnymi rękami, kiedy znalazł się na szczycie i miał co tracić. Po prostu wykończyć go i ponieść karę. Ale Gaff chciał to rozegrać sprytnie. On walimorda bez żadnego wykształcenia, który nigdy w życiu nie uchylił się przed ciosem chciał pokombinować, obmyślał plany. Bo ja wiem, może właśnie dlatego dorobił się nieruchomości, jak choćby tej czynszówki przy Court Street, którą zarządzał Jake Stoyanoff? Nie wiem, jak trafił do pokojówki Dolores Chiozza. Ale to chyba nie ma większego znaczenia?

Id, spisz to. To ty zadzwoniła do Leopardiego, udaj się dziewczynę?

Tak. Wszystko to opiszę, Steve. Złożę swój podpis, a potem mnie pucisz tylko na godzinę. Powiedz, Steve? Daj mi tylko godzinę. Zważywszy na starszą przyjaźń, nie jest to chyba wygórowana próba?

Millar zdobył się na nikły, upiorny uśmiech. Steve przyklęknął obok leżącego olbrzyma i zbadał mu puls na szyi. Podniósł wzrok.

Zimny trup owiadczył. Tak, George, dam ci godzinę, pod warunkiem, że wszystko to opiszesz.

Millar cicho podszedł do wysokiej dębowej szyfonierki, ozdobionej ćwiekami z zaniedbanego mosiądzu. Wysunął blat, usiadł i sięgnął po pióro. Odkręcił kałamarz i zaczął wypełniać kartkę starannym, wyranym pismem księgowego.

Steve Grayce usiadł przed kominkiem, zapalił papierosa i wpatrzył się w popiół na palenisku. Lewą ręką trzymał na kolanie rewolwer. Na dworze rozszczebiały się ptaki. W domku słychać było tylko skrzypienie stalówki.

9.

Słońce stało już wysoko, gdy Steve wyszedł z domku, zamknął go na klucz i stromość cieżko, a potem zwirowanoś drogą zszedł do samochodu. Garaż był pusty szary sedan zniknął. Pół mili dalej z innego domku unosił się dym, płynąc leniwie nad koronami dębów i sosen. Detektyw wszedł do swego auta, zapalił silnik, minął zakręt i dwa stare wagony towarowe, przerobione na domki, aż wreszcie wyjechał na główną dwukierunkową szosę, która zaprowadziła go do Crestline.

Zaparkował na głównej ulicy, przed zajazdem Na skraju wiata. Wypił kawę przy barze i zamknął się w budce na tyłach pustej sali. Poprosił telefonistkę z międzymiastowej o sprawdzenie numeru Waltersa w Los Angeles, po czym zadzwonił do właściciela klubu Shalotte.

Rezydencja pana Waltersa usłyszała jedwabisty głos.

Steve Grayce. Proszę mnie z nim połączyć.

Chwileczkę.

Trzask w słuchawce, a potem twardy, już nie tak uprzejmy głos:

Tak?

Steve Grayce. Chciałbym mówić z panem Waltersem.

Przykro mi. My się chyba nie znamy. Ciut za wcześnie dzwoniś, przyjacielu. W jakiej sprawie?

Czy pojechał do panny Chiozza?

Aha. Przerwa. Tajniak. Rozumiem. Zaczekaj chwilkę, kolego.

Wreszcie następny głos leniwy, lekko zabarwiony irlandzkim akcentem:

Tu Walters, synu. Możesz mówić.

Nazywam, się Steve Grayce. Jestem

Wiem wszystko, synu. Tak przy okazji, wiadoma pani ma się dobrze. Zdaje się, że pi teraz na górze. Mów.

Dzwonię z Crestline ze szczytu Arrowgrade. Leopardiego zabiło dwóch mężczyzn. Jednym z nich jest George Millar, rewident w hotelu Carlton. Drugi to jego brat, Gaff Talley, były bokser. Talley nie żyje zastrzelił go brat. Millar uciekł, ale zostawił mi pełne, szczegółowe zeznanie na pimie, podpisane.

Szybko działasz, synu stwierdził Walters powoli. Chyba że po prostu zbzikowałe. Przyjeżdżaj tu zaraz.

Dlaczego oni to zrobili?

Z powodu siostry.

Z powodu siostry powtórzył cicho Walters. A co z tym, który uciekł? Nie chcemy, żeby jaki prowincjonalny szeryf albo spragniony sławy prokurator zaczął co kombinować

O to może pan być spokojny, panie Walters wtrścił cicho detektyw. Chyba wiem, dokąd uciekł.

W zajedzie zjadł niadanie, nawet nie tyle z głodu, co z osłabienia. Potem znów wsiadł do samochodu i ruszył w dół gładkš szosš z Crestline do San Bernardino. Szeroka, brukowana arteria biegła wzdłuż urwiska opadającego do głębokiej doliny. W miejscach, gdzie droga prowadziła samym skrajem przepaci, ustawiono siatki ochronne.

Trzy kilometry za Crestline Steve znalazł to, czego się spodziewał. W miejscu, gdzie szosa tworzyła ostry zakręt nad urwiskiem, ujrzał na poboczu zaparkowane samochody kilka prywatnych, jednš karetkę i wóz pomocy drogowej. Biała siatka była rozerwana; wokół uszkodzenia stało kilku spoglądających w dół mężczyzn.



Dwiecie pięćdziesiąt metrów pod nimi leżały w porannym słońcu pocięte, zdruzgotane szczątki szarego sedana.